

**Steve White i Shirley Meier**

# **Exodus**

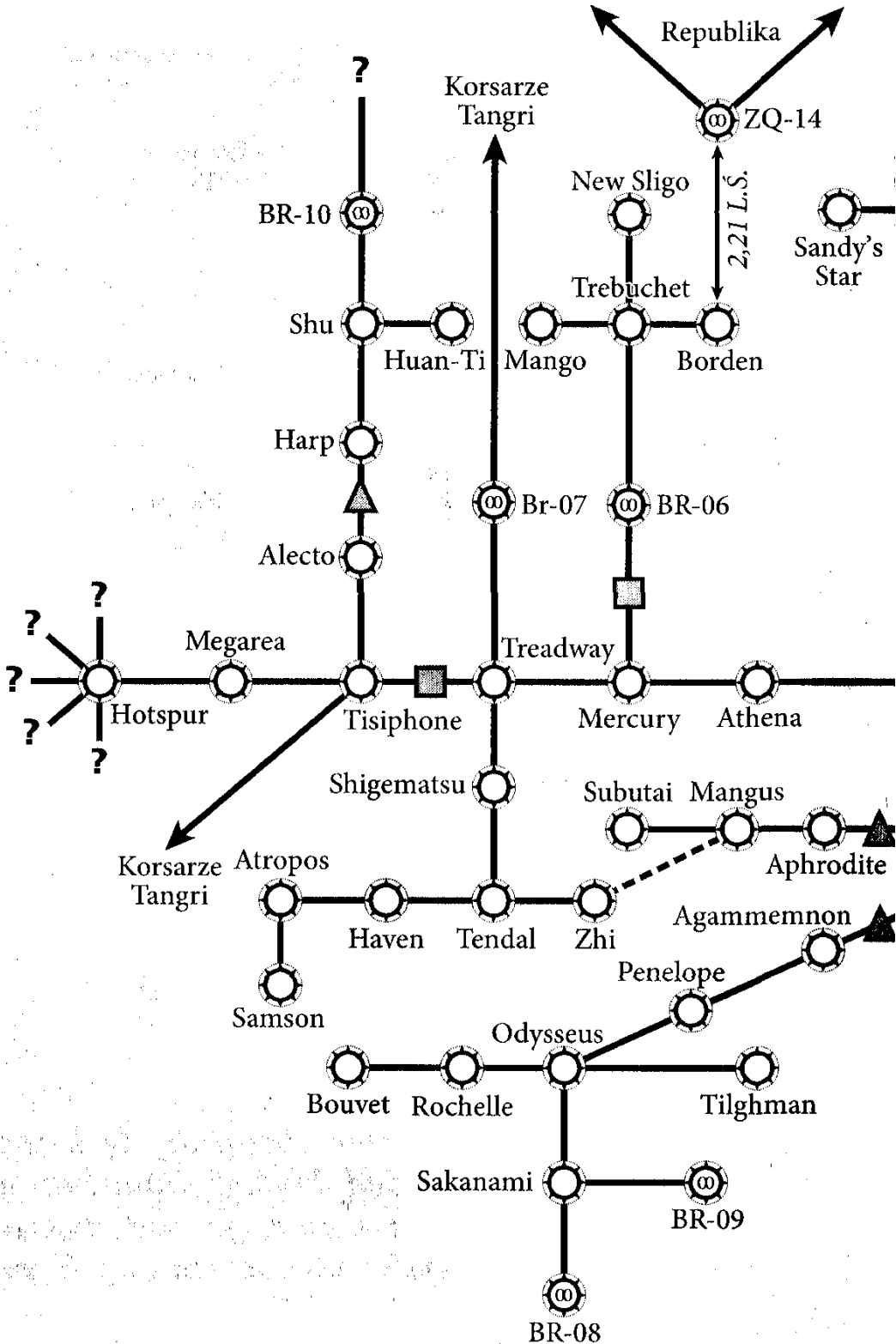
*Exodus*

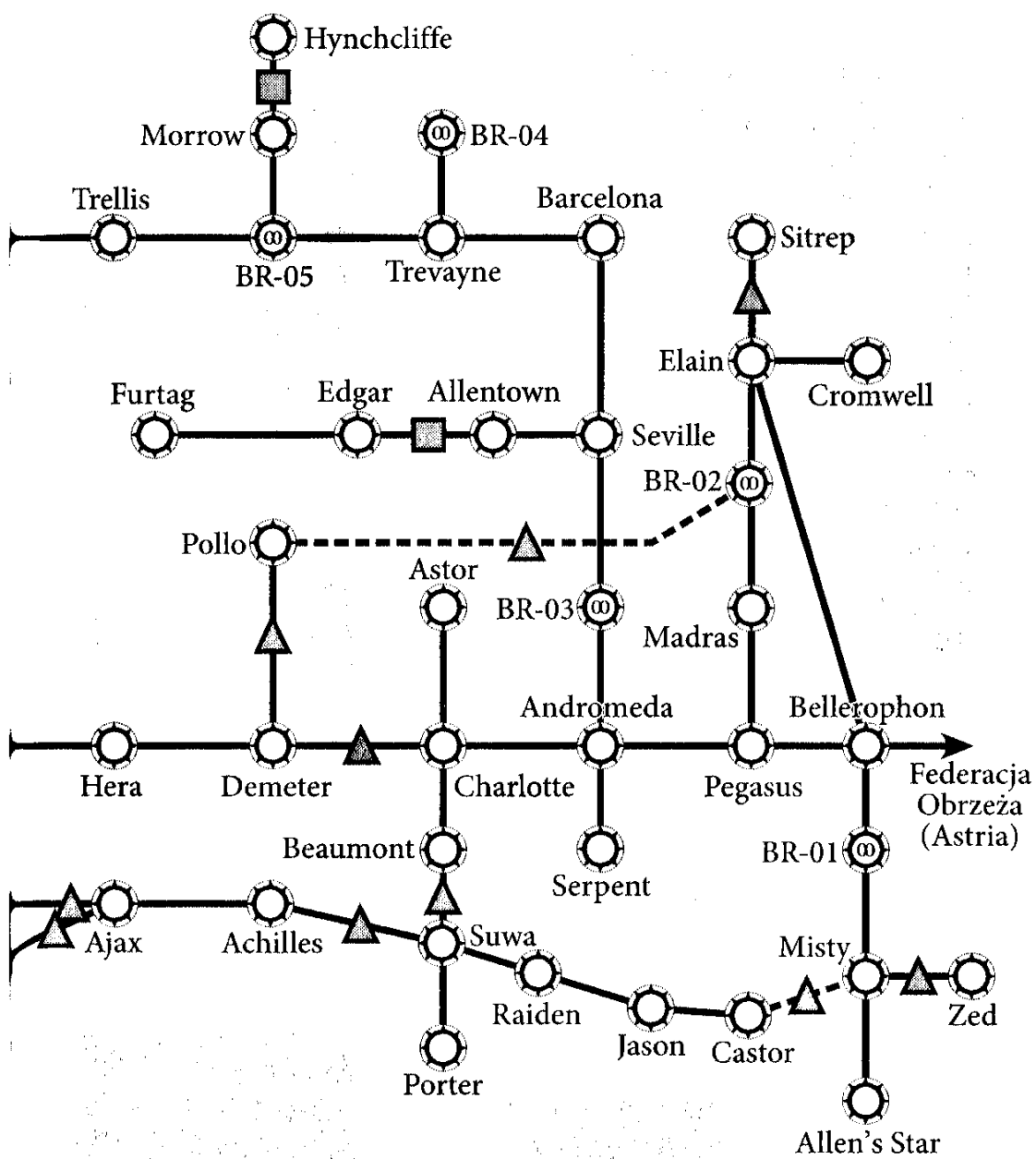
Tłumaczenie:

Anna i Miłosz Urbanowie



*Shirley Meier chciałaby tę książkę  
zadedykować Jonathanowi.  
Steve White może ją zadedykować  
tylko niezastąpionej Sandy.*





▲ Niedostępne dla devastatorów

■ Niedostępne dla supermonitorów i devastatorów

# **KSIĘGA PIERWSZA**

## PROLOG

Mając Sekahmant na niebie, nie trzeba bać się nocy.

Słońce zaszło, zamieniając ocean Auriel w rozkołysaną masę półcieni, czerwieni, pomarańcza i *murn*, oddając niebo w niepodzielne władanie potężnej gwiazdzie. Choć widoczna była ledwie jako drobny punkt aktywnego światła w kolorze *vrel* - lecz przecież żaden obiekt nie mógł być niczym więcej, gdy w grę wchodziły odległości międzygalaktyczne. Jej światło miało intensywność, której żadna inna nie mogła się równać. To ono budziło do życia ich trzecie oko i pozwalało widzieć kolory. Harrok stał na tarasie swojej górskiej willi, wysoko na wybrzeżu Kormat, i spoglądał na miasto leżące poniżej; na meandrującą linię brzegu i pojedyncze zatoczki oddzielone od siebie skałami. Na zachodzie ocean falował jak płynny metal, a południe wzięły we władanie dumne górskie szczyty pokryte czapami śniegu.

Gdyby chciał, mógłby zobaczyć to samo wybrzeże z chropowatego pokładu statku należącego do Asthian, którzy kilka wieków później wybudują miasto, poniżej miejsca, gdzie kiedyś powstanie jego willa - to dzięki temu, że był *shaxzhu*, a jego wspomnienia ze wszystkich żyć, przyszłych i przeszłych, były dobre. Ale to był inny rodzaj widzenia.

Obrazy oglądane z tarasu zawsze go wzruszały. Cóż za zamysł Illudora! Ileż piękna, które wymaże ta, co je dziś oświetla! Harrok nie był astrofizykiem, ale nie wątpił w prawdziwość głoszonych przez nich kasandrycznych wizji. W końcu wykształceni ludzie już od pokoleń wiedzieli, że eteryczne piękno Sekahmantu któregoś dnia obróci się przeciwko nim. Tylko dlaczego tak wcześnie?

\* \* \*

Z zamyślenia wyrwał go szelest. Na tarasie pojawiła się jego córka i stanęła w kręgu światła Sekahmantu. Ankaht była wiernym odbiciem swojej oczekującej na kolejną inkarnację matki. Szczupła, ciemna i drobna, stanowiła przeciwieństwo Harroka. Jego skóra, choć bladła z upływem lat, wciąż mieniła się złotem, a dzięki długiej i smukłej szyi był ponadprzeciętnego wzrostu. Jednak różnice dotyczyły jedynie powierzchowności, gdyż w tym, co naprawdę ważne, byli do siebie bardzo podobni: ona też była *shaxzhu*. Rzadkie były przypadki, by i rodzice, i dzieci posiadali ten dar. Czasem za jego sprawą relacje z córką stawały się kłopotliwie bliskie.

- Decyzja już zapadła - oznajmiła bez wstępów.

Miała łączność z globalną siecią wymiany danych, na którą Harrok z każdym dniem patrzył coraz bardziej sceptycznie; niemal wszystkie wiadomości były złe.

- Narody oddały na czas kryzysu pełnię władzy nowemu rządowi, o co zresztą ten zabiegał, przypieczętowując koniec swego autonomicznego istnienia w dotychczasowej formie. (Podniecenie, przytłumione żalem za dawnym życiem.) Głosy orędowników intensywnych badań zostały zlekceważone. Pierwsze statki produkować będziemy w technologii, którą dziś dysponujemy, a nowe odkrycia i rozwiązania wprowadzane będą do kolejnych jednostek. (Głęboka ostrożność.)

Harrok i Ankaht zawsze doskonale odczytywali nawzajem swoje uczucia. *Selnarm*, czyli zdolność empatii, współodczuwanie, była wyjątkowo silna pomiędzy wszystkimi *shaxzhu*, a tu dodatkowo potęgowały ją więzy krwi.

- Cóż - powiedział. - Chyba nie mieli wyboru... (Rezygnacja.) Z tego, co słyszałem, najnowsze szacunki przewidują powstanie supernowej za mniej więcej dwieście lat.

Czyli jakieś trzy, może cztery inkarnacje, pomyślał, zakładając minimalny czas, jaki spędzi między kolejnymi wcieleniami.

A może nie było sensu na cokolwiek się nastawiać? Niewiele dało się przewidzieć, biorąc pod uwagę drakońskie środki kontroli urodzeń, jakie planowali wprowadzić. Z drugiej strony, jaki mieli wybór? W kopalniach Ardu nie było dość metalu, by zbudować flotę zdolną wywieźć z planety choćby większą część obecnej populacji, nie mówiąc już o nadażaniu za jej rozrostem.

A to oznacza więcej przerażającego, pozbawionego egzystencji czasu między kolejnymi inkarnacjami.

Jednak ani przez chwilę nie zwątpił w ostateczny sukces. W najgorszym razie uda się ocalić tylko część rasy, pomyślał; jego przekonanie nie wynikało ani z pobudek politycznych, ani z żonglerki argumentami naukowymi czy ekonomicznymi. Jego pewność była czystym imperatywem filozoficznym. Koniec końców, byt supernowych został zapisany w umyśle Illudora. Czy Illudor mógł chcieć swego końca? Raczej mało prawdopodobne. Równie nieprawdopodobna była myśl, że Bóg mógłby dążyć do samobójczej śmierci - lecz i ona była daleko mniej przerażająca niż coraz częściej powtarzana herezja, jakoby wszechświat był jedynie snem Illudora... i dotychczas spokojny, właśnie zamieniał się w koszmar.

Potrząsnął głową, przerywając filozoficzne rozmyślenia, i skupił się na słowach Ankaht.

- Poproszono mnie, bym dołączyła do grupy, która zajmie się planowaniem wyprawy od strony społecznej... Chodzi o zapewnienie ciągłości kultury i tożsamości... Wiesz, setki lat w

zamknięciu. (Wstręt.) My, *shaxzhu*, będziemy szczególnie ważni ze względu na podtrzymywanie kontaktu ze światem, który znaleźliśmy. Jak inni mieliby zrozumieć, że za stalowymi ścianami jest jakiś wszechświat? - Wzruszyła ramionami. - Chcą również twojej pomocy, ojciec. Prawdopodobnie nie będziesz miał ciała, kiedy pierwszy statek opuści planetę, jednak twoja wiedza i mądrość są nie do przecenienia już teraz, na etapie planowania.

- Oczywiście, że pomogę, na ile tylko będę mógł - zapewnił Harrok.

Silne *shaxzhutok* niosło ze sobą prócz przywilejów szereg obowiązków, a szczerze mówiąc, nadchodzące problemy były interesującym wyzwaniem. Obrócił się, by zaprosić Ankaht do środka, nagle jednak zatrzymał się i głośno strzelił zakrzywionymi pazurami kończącymi dwie główne macki lewego ramienia.

- Byłbym zapomniał. Twoja siostra miała wypadek przy wybieraniu. Ona czuje się dobrze, jednak jej najmłodszy syn zginął.

- Przykro mi. (Delikatny żal.) Miał niespełna pół roku, prawda? Czy wiesz może, kim...?

- Nie, nie było mnie przy narodzinach, a potem nie udało mi się wyczuć, kto go wybrał. Ale na pewno nikt bliski.

- Też tak sędzę. Ale szkoda mi go, kimkolwiek był. Jak przez mgłę pamiętam, że kiedyś z niemowlęctwa wróciłam znów do oczekujących na inkarnację. To było takie rozczarowujące! Nie ma chyba nic bardziej frustrującego. Przekaż, proszę, Kathmeer, że cieszę się, że z nią wszystko w porządku. Nie rozmawiamy tak często, jak powinnyśmy, ale skądinąd wiem, że deinkarnacja byłaby teraz dla niej bardzo uciążliwa. (Marsowa mina.) Uciążliwa dla wszystkich, jeśli wziąć pod uwagę niechybne ograniczenia populacji.

Harrok zasmucił się na wspomnienie własnych myśli - a Ankaht natychmiast to wyczuła. Po chwili w milczeniu weszli do środka i zamknęli za sobą szklane drzwi.

Wieczór na zewnątrz wypełniał śpiew i bzyczenie świetlików, a gwiazda Sekahmantu świeciła jasno, jakby nikomu nie zagrażała.



# ROZDZIAŁ I

## POWTÓRNE NARODZINY

Prescott City bardzo się zmieniło.

Nie, poprawiła się po raz setny, lecz wciąż z taką samą irytacją. Nie Prescott City, tylko Prescott. Po prostu Prescott.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dokładnie w ciągu kilku ostatnich pokoleń „City” wyszło z użycia. Dziś skrócona nazwa dumnie figurowała nawet na oficjalnych pismach i mapach. Gdyby ktoś w towarzystwie powiedział „Prescott City”, automatycznie stałby się żywą skamieliną, bez szans na kontakt ze współczesnością. A czcigodna Miriam Ortega, przewodnicząca Zgromadzenia Konstytucyjnego Federacji Obrzeża, premier przez pięć kadencji (wprawdzie nie kolejnych), które po zsumowaniu dawały czterdzieści lat urzędowania, a obecnie przewodnicząca Sądu Najwyższego - nie, ona nie była jeszcze gotowa, by zostać w tyle. Mimo że sto jedenaście standardowych lat stanowiłoby doskonałą wymówkę.

Potrząsnęła głową. Kuracja antystarzeniowa przysługująca jej jako osobie zasłużonej dla społeczeństwa i jako mieszkance planety, której ostatnim zmartwieniem był nadmierny przyrost naturalny, dawała doskonale efekty. Dzięki niej wyglądała na sześćdziesięciolatkę w świetnej formie i tak też się czuła; nie znajdowała żadnego usprawiedliwienia dla starczej demencji.

Poza tym, pomyślała, dlaczego nazwa miałaby pozostać bez zmian, kiedy cała reszta dawno już poszła naprzód?

Nigdzie indziej upływ czasu nie był tak widoczny jak tutaj, gdy spoglądało się z okna prywatnego gabinetu szefa sądu, na ostatnim piętrze rządowej siedziby.

Zbudowano ją sto pięćdziesiąt pięć lat temu - wszyscy wciąż używali pojęcia lata standardowe, jednostki czasu, jakiego Ziemia potrzebowała na okrążenie Słońca. Pierwotnie była budynkiem wzniesionym dla Rządu Tymczasowego planety Xanadu, wówczas

wysuniętego przyczółka wojskowego. Rosnąca z czasem liczba cywilnego personelu wymusiła stworzenie cywilnej administracji... Choć to jeszcze nie uzasadniało budowy gmaszyska rozmachem pasującego do starszych i lepiej rozwiniętych kolonii. Jednak w zamyśle nie miał to być li tylko budynek, lecz symbol - ekstrawagancja, którą matka Miriam bez ogródek nazwałaby bulwersującą hucpą.

Xanadu została skolonizowana w połowie czwartej wojny międzyplanetarnej, gdy ludzkości i jej sprzymierzeńców zagroziło niebezpieczeństwo znacznie gorsze niż śmierć, a mianowicie redukcja do roli nieświadomego bydła hodowanego na rzeź. Planeta została skolonizowana dlatego, że jej system, nazwany przez odkrywców z Chanatu Zephraim, oddalony był zaledwie o jeden tranzyt wargem od Hive Trzy, jednego z macierzystych systemów Pająków. Kolonizatorzy byli świadomi, że przez ich nowy dom przebiega front wojny, która zakończyć się mogła tylko i wyłącznie unicestwieniem jednej z walczących stron. Przekształcając naturalny kamień powierzchni planety w neoklasycystyczne kształty, górujące ponad „miastem” z prefabrykowanych modułów, ludzie ci (Miriam często żałowała, że nie mogła ich poznać) wysyłali bezkompromisowy przekaz: „Ten świat należy do nas. Możecie nas zabić, ale nie zdołacie nas stąd usunąć”. Koniec końców, żadne z tych zagrożeń się nie ziściło... dzięki człowiekowi, którego imię nadali miastu i którego pomnik wznosił się na wysokiej kolumnie.

Po wojnie budynek remontowano, ale nigdy nie przebudowywano. A kiedy Miriam Ortega, młoda prawniczka, wprowadziła się po śmierci matki do jednego z gabinetów, by pozostać blisko ojca, Siergieja Ortegi, komandora Marynarki Federacji, monumentalna bryła wciąż górowała nad okolicą. Dumnie i niezmiennie trzymała straż ze szczytu wzgórze w zakolu rzeki Alph, spoglądając na miasto, które urosło do rozmiarów godnych swego miana.

Kolejne fale galaktycznego kosmopolityzmu dotarły jednak i tutaj. Gmach znalazł się w cieniu wysokich na kilometr wież z plastalu i syntetycznych diamentów. Pola Abu'said, które niegdyś dostarczały wspaniałych widoków, dawno już padły ofiarą intensywnej rozbudowy, a nowy port kosmiczny wypchnięty został na przedmieścia. Lecz mimo niebotycznych cen nieruchomości grunty okalające historyczny budynek pozostały nietknięte; otaczał je najwyższy szacunek, jakby komodor Prescott chronił je spojrzeniem odlanych z brązu oczu...

Ale nie stał już tam sam. Miriam skupiła wzrok na postaci wieńczącej drugi postument. Nagle dotarło do niej, że nie może już dłużej odsuwać spotkania, które nie miało nic wspólnego z działaniami Sądu Najwyższego.

Odruchowo wyciągnęła kolejnego papierosa. Nowotwory, w tym płuc, już dawno przeszły do historii, bo wszyscy mieli dostęp do najnowocześniejszej biotechnologii. Mimo to

pierwszy, głęboki haust dymu wywołał nieprzyjemny grymas na jej twarzy, która nawet w młodości nie należała do pięknych... w każdym razie nie klasycznie pięknych. Choć im dłużej się na nią patrzyło.... Ze złością zgasiła niedopałek i odwróciła się do dwóch mężczyzn, którzy cierpliwie czekali przy stole.

- Idiotyczne przyzwyczajenie - mruknęła. - Latem w końcu to rzucę.

Obaj zachowali neutralny wyraz twarzy. Nie pierwszy i nie ostatni raz - Miriam Ortega wygłaszała to postanowienie przed każdymi ze 105 ostatnich wakacji, przy czym rok planetarny odpowiadał niecałemu dziewięciu standardowym miesiącom.

Drobny, wytworny mężczyzna, w cywilnym ubraniu, typ wykładowcy akademickiego, doskonale panował nad swoim rozbawieniem. Genji Yoshinaka, admirał Marynarki Republiki (emerytowany), miał śnieżnobiałe włosy, usprawiedliwione stu dwudziestoma ośmioma przeżyтыми latami. Jego skóra, mimo iż pomarszczona, zachowała wytrzymałość i elastyczność charakterystyczną dla osób, które późno rozpoczęły kurację antygerontologiczną. Cechy fizyczne wskazywały na pochodzenie wschodnioazjatyckie, zgodnie z prawdą, bo należał do coraz mniejszego grona mieszkańców Federacji urodzonych na Ziemi. Zawsze był po mistrzowsku powściągliwy, a wiek nie wpłynął negatywnie na jego takt i delikatność.

Drugi mężczyzna stanowił przeciwieństwo Genjiego Yoshinaki. Sean F.X. Remko, admirał floty Marynarki Federacji (wciąż w czynnej służbie - choć mając sto czterdzieści lat, zaczynał brać pod uwagę rozwiązanie dotychczas absolutnie wykluczone - emeryturę), wielki niczym niedźwiedź, miał na sobie mundur Federacji Obrzeża. W gruncie rzeczy był to srebrno-czarny mundur Marynarki Federacji, lecz sprzed siedemdziesięciu pięciu lat, jeszcze sprzed zmiany przepisów mundurowych - ekscentryzm podszyty polityką. Broda, modna wtedy wśród oficerów, dziś także okalała jego twarz, na której coraz silniejsze piętno odciskały geny przodków, znacznie mocniej niż sugerowałoby to jego nazwisko. Remko był bowiem produktem pulsującego tygła slumsów Nowego Detroit, a w jego głosie wciąż przebijały pozostałości akcentu, który nikomu nie przyniósłby prestiżu.

- W porządku - powiedziała Miriam, swoim zwyczajem nie siląc się na formalności, choć w obecnym towarzystwie i tak nie czułaby się skępowana. Usiadła u szczytu stołu. - Rozpoczynamy spotkanie powierników osoby oraz własności admirała floty Iana Trevayne'a. Dziękuję za przybycie. Jeśli pozwolicie, chciałabym pominąć sprawozdanie finansowe i zająć się oceną najnowszego raportu medycznego, który otrzymałam od doktora Mendeza i jego zespołu.

Obaj mężczyźni momentalnie unieśli czujne spojrzenia.

- Nie widzieliśmy go jeszcze - powiedział ostrożnie Yoshinaka.

Remko mruknął potwierdzająco.

- Wiem i bardzo mi przykro, że nie miałam czasu, by udostępnić go wam przed spotkaniem. Ale uznałam, że to sprawa niecierpiąca zwłoki - przerwała, bezwiednie przybierając podniosły wyraz twarzy. Koniec końców, była doświadczonym politykiem. - Najprawdopodobniej w ciągu najbliższych pięciu standardowych lat będziemy mogli osiągnąć nasz główny cel.

Wpatrywali się w nią wzrokiem pełnym niedowierzania zrodzonego z długich dekad zawiedzionych nadziei.

- Pozwólcie, proszę, że omówię podstawowy problem - kontynuowała, wykorzystując ich milczenie. - Nic się nie zmieniło w sytuacji, którą wyjaśnił nam doktor Yuan piętnaście lat temu, poza tym, że medycyna i technika poczyniły ogromne postępy. W raporcie znajdziecie bardziej szczegółowe informacje na ten temat. Niemniej jednak pojawiła się szansa, by utrzymać Iana przy życiu przez cały proces rozmrażania. Szacunkowo to 85 procent prawdopodobieństwa.

Yoshinaka odchrząknął.

- Ależ Miriam, to z całą pewnością wspinała wiadomość, choć, jak sama zauważyłaś, rozmrożenie go po kriogenicznej kąpieli, która uchroniła go od śmierci od ran poniesionych w bitwie o System Zapata, rozwiązuje jedynie połowę naszego problemu. Z jednej strony aż połowę, ale z technicznego punktu widzenia zaledwie połowę. Pamiętaj, że nie przeprowadzono wtedy nawet standardowych badań.

- Właśnie - przytaknął mu Remko. - Jeśli nawet rozmrażanie się powiedzie, znów staniemy przed tym samym problemem, który zmusił doktora Yuana do natychmiastowego zamrożenia go - czyli do uszkodzeń ciała!

- A te by go przecież natychmiast zabiły. - Yoshinaka pokiwał głową i rozpoczął wyliczanie: - Napromieniowanie, szczególnie dolnych partii ciała. Kręgosłup przerwany poniżej piątego kręgu, nie wspominając o efektach skrajnego niedotlenienia i wstrząsu... - Zamilkł, widząc wyraz twarzy admirała, i uświadomił sobie, ile znaczył dla niego człowiek, o którym właśnie mówił.

Ale Remko go zaskoczył. Szybko wziął się w garść i spokojnym głosem rzekł:

- Wszystko w porządku. Trzeba jeszcze wspomnieć o uszkodzeniach, które wywołało błyskawiczne zamrożenie. Zważcie, proszę, na to, że w żadnym razie nie krytykuję doktora Yuana. Zrobił wszystko, co wtedy było w jego mocy. Jednak... - Uczynił nieokreślony gest ręką.

- Tak - zgodziła się z nim Miriam. - Doktor Mendez przyznał, że nawet przy obecnym stanie medycyny zabieg będzie ekstremalnie ryzykowny. Jeśli pacjent go przeżyje, jest duże prawdopodobieństwo, że pozostaną nieodwracalne uszkodzenia, głównie za sprawą napromieniowania, bo na nie zamrażanie nie miało żadnego wpływu.

- Zatem wracamy do punktu wyjścia - stwierdził Remko.

- Nie do końca. Doktor Mendez proponuje, byśmy spróbowali uniknąć ryzyka przez całkowite zarzucenie prób ratowania ciała.

Yoshinaka jako pierwszy zrozumiał, do czego zmierza.

- Klonowanie? - Sapnął.

- Najważniejsze dla nas jest to, że doktor Yuan zrobił jednak część badań przed kąpielą kriogeniczną - kontynuowała Miriam. - Nie mógł pominąć oceny stanu tkanki mózgowej, bo mózg jest najbardziej narażony na uszkodzenia. Przeprowadził szybkie testy. A doktor Mendez mógł potwierdzić, że ta część organizmu Iana nie ucierpiała.

- Jedną chwilę, Miriam - przerwał jej Yoshinaka. - Chyba wiem, co planujesz. Nie jestem specjalistą, ale coś niecoś słyszałem. Selektywne klonowanie oraz hodowla organów i tkanek jest dziś codziennością, to fakt. Nie wątpię też w doświadczenie zespołu doktora Mendeza i jego umiejętności, które pozwolą im dostać się do rdzenia kręgowego i podłączyć do jego mózgu; to też fakt. Ale my mówimy tutaj o potężnej operacji złożonej z ogromnej liczby transplantacji przeprowadzonych równocześnie, z których każda niesie ze sobą ryzyko odrzucenia czy zwykłego błędu! Problem wciąż sprowadza się poniekąd do oszacowania skumulowanego ryzyka wszystkich operacji naraz.

- W gruncie rzeczy, Genji, nie do końca mnie rozumiałeś. Nie mówimy o transplantowaniu całego ciała po kolei. Mówimy tylko o jednej transplantacji. Mózgu. Masz rację, że to w najwyższym stopniu skomplikowana operacja. Ale doktor Mendez jest przekonany o jej sukcesie i o tym, że wraz ze swoimi ludźmi temu podoła.

Obydwa mężczyźni nie potrafili oderwać od niej wzroku. Pierwszy odezwał się Remko.

- Klonowanie całego... ciała? - W jego głosie wyraźnie było słycać przybierające na sile niedowierzenie zmieniające się stopniowo w zrozumienie i w końcu w sprzeciw.

- Miriam - powiedział Yoshinaka, wpatrując się w nią. - Wszystkim nam na tym zależy, ale powinnaś znać prawo dotyczące ludzkich klonów: oni są w świetle ustaw normalnymi ludźmi, ze wszystkimi przysługującymi im przywilejami i obowiązkami. Właśnie ta zasada stała się przyczyną opracowania techniki selektywnego klonowania poszczególnych organów. Wykorzystanie całościowego klonu jako... źródła części zamiennych jest nielegalne i, można powiedzieć, wątpliwe moralnie, jak, nie przymierzając, wykorzystanie w tym celu czyjegós

dziecka. A jeśli to wszystko odnosi się do wycinania organów jednego po drugim, to w takim samym stopniu musi się odnosić do wycięcia mózgu i zastąpienia go innym!

- Nie znam się na prawie - mruknął Remko. - Ale wiem jedno: admirał nie chciałby mieć z takim czymś nic wspólnego! - Kiedy Remko wymawiał słowo „admirał” specjalnym tonem, nie było wątpliwości, którego admirała ma na myśli. - To szatański pomysł! On wolałby... zostać w takim stanie jak teraz. - Mówiąc to, wskazał ręką w stronę miasta, gdzie w podziemiach centrum medycznego spoczywał podobny do trumny pojemnik pokryty gęstym szronem.

- Pewnie, że zdaję sobie sprawę z problemów prawnych - powiedziała Miriam pojednawczo. - Ale z całą skromnością przypominam, że jest to materia, na której znam się lepiej niż którykolwiek z was. I doskonale wiem, jak admirał zareagowałby na to, co w tej chwili proponuję. Właściwie chyba mam prawo uznać, że i w tym temacie wiem więcej.

Zamilkli. Oni byli w końcu jedynie przyjaciółmi Iana Trewayne’a i jego towarzyszami broni; Miriam Ortega była jego kochanką.

- W rzeczywistości - mówiła dalej - kiedy doktor Mendez wspomniał o tym pomysle, wyszukałam wszystkie argumenty przeciw, o których przed chwilą mówiliśmy. I znalazłam jeszcze kilka innych, które nie przyszły wam do głowy. W rozmowie z nim użyłam chyba bardzo mocnego języka. - Obaj mężczyźni doskonale wiedzieli, co to oznaczało w przypadku Miriam. - Mendez natychmiast zaczął mnie zapewniać, że to, co proponuje, pozwala obejść wszystkie problemy. Jest przekonany, że dzięki odwrotnemu zastosowaniu technik klonowania pojedynczych organów - czegoś w rodzaju inżynierii wstecznej - on i jego zespół potrafią sklonować całe ciało, ale bez wybranego organu. W naszym przypadku chodzi o mózg. Taki klon będzie miał czystą postać anencefalii - brak jakichkolwiek wyższych funkcji. W efekcie urodzi się z objawami śmierci mózgowej. Bardzo dawno temu, nie przypominę sobie dokładnie jak dawno, musiałabym to sprawdzić, ale z całą pewnością chodzi o czasy przed podbojem kosmosu i jeszcze przed odkryciem warpów, ustalono definicję śmierci. Osiągnięto wtedy możliwość sztucznego podtrzymywania funkcjonowania ciała, czyli zgodnie z tradycyjną definicją podtrzymywania życia. Chodzi tu o pracę serca w chwili, kiedy mózg ostatecznie przestaje działać. Definicja, która wtedy powstała, obowiązuje do dzisiaj. Bezmózgi klon będzie w świetle prawa martwy, a tym samym pozbawiony praw przysługujących ludziom. Będzie podtrzymywany w takim stanie do chwili, kiedy fizycznie osiągnie dojrzałość. Przy obecnej technice można ten proces przyspieszyć czterokrotnie - stąd te pięć lat, o których wcześniej wspomniałam. Tyle właśnie zajmie nam doprowadzenie klona do pożądanego etapu rozwoju. Cały czas będziemy stosować techniki uporczywego

podtrzymywania życia, bo chcemy uniknąć atrofii mięśni. A kiedy będziemy gotowi, przystąpimy do transplantacji mózgu.

- Czyli - powiedział powoli Yoshinaka - jego pięćdziesięcioletni umysł obudzi się w ciele dwudziestolatka?

- Ale nie jakiegoś dwudziestolatka. To będzie jego własne ciało - poprawiła go z naciskiem. - To właśnie jeden z czynników, które dają doktorowi Mendezowi pewność co do ostatecznego sukcesu transplantacji.

- Okay, nie jestem specjalistą, jednak czytałem gdzieś, że jeśli klon został wyhodowany z komórek nieembrionalnych, czyli komórek pobranych od dorosłego, może się szybciej „zużywać”, co skutkuje między innymi przedwczesnym starzeniem się.

- Tak było dawniej, na samym początku prób z klonowaniem, czyli ponad pięćset lat temu. Dziś jednak dysponujemy daleko doskonalszymi technikami odwracającymi efekty starzenia, więc i temu zaradzimy.

- W porządku. Najwyraźniej rozważyliście z doktorem Mendezem wszystkie za i przeciw. I zakładam, że wierzy pani, że przemyślała również wszystkie prawne konsekwencje z tym związane. - Yoshinaka uniósł dłoń, widząc, że przewodnicząca Sądu Najwyższego otwiera usta. - Tak, wiem, wiem. To w końcu pani działka. Ale proszę mnie wysłuchać. Nie mam wątpliwości co do zasady, tutaj panuje pełna zgoda. Ale czy samo pragnienie, by tego dokonać, nie przysłania nam pełnej oceny? Przecież mogą wystąpić przeszkody natury etycznej. Tak jak Sean powiedział wcześniej, jest w tym całym pomysłe coś...

- ...szatańskiego - powtórzył Remko, jednak z mniejszym naciskiem niż poprzednio.

- Właśnie. Miriam, sama pani doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli ktoś bardzo mocno czegoś chce, to zawsze znajdzie sposób, żeby obejść przepisy.

- O „opinii publicznej” wiem chyba wszystko i powiem szczerze, że na nią najbardziej liczę! - Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy na jej twarzy pojawił się wymowny uśmiech, który całkowicie odmienił jej wygląd. - Czy pamiętacie jeszcze, kim on jest? Ten, o którym rozmawiamy? I co jego postać oznacza dla mieszkańców Federacji? Jeśli potrzebujecie krótkiego przypomnienia, to po prostu podejdźcie do okna i spójrzcie na drugą kolumnę, tę obok Prescottta.

Zamilkli. Oczywiście, że nie zapomnieli. Jakżeby mogli?

Przed osiemdziesięcioma laty, w najmroczniejszych dniach wojny domowej w Federacji Ziemskiej, Yoshinaka był szefem sztabu wiceadmirała Iana Trevayne’a, a Remko kapitanem jego okrętu flagowego. Pomogli mu przeprowadzić 32. Zespół Wydzielony przez zbuntowane systemy Pogranicza do Zephraim, bramy do wciąż lojalnych systemów Obrzeża. To właśnie

tam ich przełożony zyskał sławę militarnego geniusza, który powstrzymał siły nowo powstałej w wyniku rebelii Republiki, w bitwie o system Zapata, w której zresztą odniósł bardzo ciężkie rany, ale ocalał Obrzeże dla Federacji Ziemskiej.

Federacji, do której Obrzeże wciąż należy na mocy własnej decyzji, pomyślała Miriam. Mimo że nazywa się Federacją Obrzeża. I nie należy do Unii Międzygatunkowej, z którą Federacja Ziemska się połączyła.

Kto by pomyślał, powiedziałyby matka.

Czego ja chcę, przecież powinnam się cieszyć, że ludzie nieustannie dążą do komplikowania sobie życia. Gdyby było inaczej, my, prawnicy, musielibyśmy poszukać sobie jakieś uczciwego zajęcia.

- Wszyscy będą za, kiedy społeczeństwo w końcu się dowie, że zaistniała realna szansa na jego powrót - kontynuowała. - Wątpię, by ktokolwiek podnosił kwestie legalności przedsięwzięcia, a jeśli nawet, to i tak nie uda mu się nas zatrzymać. Sąd też nic im nie da, mimo że wyłączę się ze składu orzekającego, jeśli wniosą skargę do Sądu Najwyższego.

- Pewnie masz rację - zgodził się Yoshinaka. - Nie mamy więc możliwości, by uniknąć odpowiedzi na pytanie, czy my za tym stoimy. Ale niezależnie od tego, co mówią na ten temat przepisy, nie możesz zaprzeczyć, że istnieją wątpliwości natury etycznej. I... prawdopodobnie również natury osobistej - dodał, odważnie spoglądając jej w oczy.

- Zapewniam panów, że wszystkie te sprawy już przemyślałam. I jeśli ja jestem w stanie sobie z nimi poradzić, to wy dwoje również. - Nawet nie usiłowali dyskutować w obliczu tak wyłożonej kwestii. - Co się zaś tyczy aspektów etycznych... może rzeczywiście w jakiś sposób sobie je zracjonalizowałam? Ale z drugiej strony, czy myślicie, że kiedykolwiek będziemy mieli lepszą okazję, żeby tego dokonać? Czekaliśmy przez siedemdziesiąt pięć lat, mając nadzieję na cud, który pozwoliłby mu wrócić do nas w zdrowiu. I co? Chyba wszyscy mamy dość lat, a nawet więcej niż dość, żeby zrozumieć, że życie nie zawsze oszczędza nam trudnych wyborów. Tym razem jest nie inaczej... ale ja jestem gotowa, by dokonać wyboru. - Wzięła głęboki oddech. - Zaszliśmy już za daleko, by potrzebować formalnej procedury. Wiecie, jaka jest moja opinia... - Mówiąc to, uniosła dłoń. - Panowie?

Chwilę później to samo zrobił Yoshinaka. Remko kazał na siebie długo czekać, jednak i on zagłosował za.

A więc postanowiono. Projekt zostanie wdrożony i będzie trwał przez pięć lat.

\* \* \*

Na krystalicznym błękitnie nieba świeciło słońce, zalewając swym blaskiem Morze



Śródziemne. Musiał zmrużyć oczy, by chronić je przed jego promieniami.

Nawet teraz, oślepiiony, potrafił dostrzec orzechowe włosy czteroletniej dziewczynki, która stała na plaży i machała do niego.

- Courtenay! - zawołał i ruszył biegiem w jej stronę.

Dalej wszystko potoczyło się tak jak zawsze.

Śródziemnomorskie słońce zaczęło gwałtownie puchnąć, topiąc wszystko w rozżarzonej blasku, w którym zniknęła również dziewczynka - a potem jej siostra Ludmiła i ich matka Natalia. Zginęły pochłonięte pożarem wznieconym przez buntowników w cywilnych dzielnicach Archipelagu Jamiesona w Galloway's World.

Zaczął krzyczeć...

Wtedy nagle wszystko zniknęło. Rzeczywistość wróciła z przytłaczającą siłą. Był w systemie Zapata, w samym środku długo wyczekiwanej bitwy. Buntownicy (nigdy nie nazwał ich Marynarką Republiki, podobnie jak nie użył określenia Republika) w końcu stawili czoło jego flocie, kiedy przebijał się do Obrzeża, do centrum lojalnej reszty Federacji. Li Han - nie miał żadnych wątpliwości co do tożsamości przywódcy rebelianckich sił, z którymi walczył - przygotowała dla niego kilka nieprzyjemnych niespodzianek taktycznych i technicznych. Dał się zaskoczyć, ale nie pozwolił, by porażki sparaliżowały jego dalsze działania. Właśnie rozkazał Seanowi Remce, by wyłączył ekranowanie i zaatakował wrogie lotniskowce w czasie przezbierania myśliwców po pierwszym uderzeniu, które kosztowało ich więcej krwi, niż powinno. Następnie wysłał Genjiego Yoshinakę do sekcji wywiadu okrętu flagowego, dokładnie w chwili, kiedy pierwsza fala pocisków wroga została wykryta przez sensory... Potem wszechświat wypełnił się hukami i wstrząsami...

Tak, najprawdopodobniej stracił przytomność... ale chyba nie na długo?

Wszystkie te wspomnienia wróciły, jeszcze zanim otworzył oczy. Kiedy w końcu uniósł powieki, zorientował się, że nie znajduje się na mostku swego okrętu flagowego FNS *Horatio Nelson*.

Leżał na plecach. Rozejrzył się na tyle, na ile był w stanie, mając unieruchomioną głowę. Dookoła stały rzędy urządzeń medycznych.

Wylądowałem zatem w lazarecie, pomyślał. Ale wtedy uświadomił sobie, że coś w tym wszystkim nie pasuje - nie słyszał odgłosów bitwy. Nie docierało do niego nawet delikatne wibrowanie czy szum silników. Ogłuchłem? Ogarnął go nagły strach.

W polu widzenia zaczęli pojawiać się jacyś ludzie prowadzeni przez lekarza. Nie poznał go, ale z pewnością nie był to doktor Yuan, lekarz pokładowy *Nelsona*. Ten tutaj był dużo młodszy... i nie miał na sobie munduru.

Otworzył usta, próbując się odezwać, lecz z gardła wydobyło się jedynie suche chrapanie. Musiałem stracić przytomność na dłużej, pomyślał. Z trudem przełknął ślinę, oblizał usta i znów spróbował przemówić.

- Doktorze - wychrypiał. - Proszę natychmiast posłać po komandora Yoshinakę. Musi złożyć raport o obecnej sytuacji.

Słyszając swój głos, doszedł do wniosku, że nie mógł ogłuchnąć. Co się więc stało z dźwiękami, które powinny tu dobiegać? Po chwili zastanowienia odsunął od siebie tę myśl jako nieważną. Najpierw powinien zająć się innymi sprawami. Spróbował usiąść, ale nie był w stanie. Jego ciało zostało przytwierdzone do stołu, na którym leżał. Na dodatek czuł się niewiarygodnie słaby. Było coś jeszcze, jakieś dziwne wrażenie dotyczące ciała...

Lekarz pochylił się nad nim i zaczął mówić z akcentem, który tak bardzo kochał - akcentem z Xanadu. Jego rysy też wskazywały na mieszkankę krwi charakterystyczną dla tego świata. Tylko... jakoś dziwnie dobierał słowa. Może przybył z jakiegoś odległego zakątka planety? Roztaczał wokół siebie aurę stanowczości wymuszającą szacunek.

- Admirale Trewayne, proszę się rozluźnić. Nazywam się Jamal Mendez i jestem pana osobistym lekarzem.

- Doktor Yuan...

- Admirale, doktora Yuana tutaj nie ma, a pan nie znajduje się na pokładzie swojego okrętu. Nie znajduje się pan również w systemie Zapata. Bitwa się skończyła. Leży pan w szpitalu na Xanadu, w Prescott. - Mendez uważnie obserwował swojego pacjenta, którego ciemnobrązowe oczy wyrażały zagubienie, jakby usłyszał coś, czego się nie spodziewał. - Do bardzo wielu rzeczy będzie się pan musiał przyzwyczaić, wielu uczyć od zera. O jednym natomiast mogę pana zapewnić - jest pan całkowicie bezpieczny.

- Jak... jak długo byłem nieprzytomny?

Doktor Mendez zawahał się przez chwilę, ale szybko podjął decyzję.

- Zgodnie ze Standardowym Kalendarzem Ziemi mamy obecnie rok 2524. Przez ponad osiemdziesiąt lat znajdował się pan w kąpielni kriogenicznej. Wojna skończyła się niemal tyle samo lat temu. Teraz, panie admirale, chciałbym pana poprosić... Admirale? Admirale? Do diabła, siostrze, szybko, coś uspokajającego. Biegiem!

Kiedy osuwał się w otchłań, miał w głowie tylko jedną myśl i trzymał się jej z siłą, z jaką osoba tonąca chwytła kawał dryfującego drewna:

Zwyciężyliśmy! Musieliśmy zwyciężyć. Inaczej, po pierwsze, byłbym teraz martwy, a po drugie, nie znajdowalibyśmy się na Xanadu, tylko na jakiejś innej planecie. To znaczy, że zwyciężyliśmy!

Dłużej nie wytrzymał. Stracił przytomność.

\* \* \*

Kiedy znów otworzył oczy, znajdował się w przyjemnym, pastelowym pokoju, którego okna wychodziły na zachód. Pojedyncze drobinki kurzu unosiły się w promieniach wieczornego słońca Zephraim A. Drugi element podwójnego systemu słonecznego musiał być bardzo blisko, bo widać było domieszkę pomarańczowej poświaty, która, choć za słaba na słońce, z całą pewnością była zbyt intensywna na światło gwiazd.

To by było na tyle, jeśli chodzi o to, gdzie jestem, pomyślał.

Powoli zaczynały docierać do niego inne wrażenia. Leżał w normalnym łóżku, a jego ruchów nie ograniczały już żadne pęta poza przemożną słabością. Nie mógł usiąść, ale przynajmniej poruszał ramionami. Bezwiednie, charakterystycznym gestem podniósł dłoń i pogładził się po brodzie.

Skóra była miękka i gładka.

Hm, już nie pamiętam, kiedy byłem tak gładki. Ciekawe, czemu mnie ogolili? Odruchowo sięgnął do głowy, by wygładzić resztki fryzury.

Pod dłonią poczuł gęstwinę krótkich, mocnych włosów.

Po prostu dotknął włosów.

Jako rdzennemu mieszkańcowi chronicznie przeludnionej Ziemi nie wolno mu było rozpocząć kuracji antystarzeniowej przed wejściem w wiek średni. Do tego czasu zazwyczaj rozpoczynało się u mężczyzn łysienie, ale proces ten dawało się odwrócić zmodyfikowanymi genetycznie retrowirusami... On jednak nie zamierzał tego robić. Uznał, że to technologicznie zaawansowany substytut tupecika dla próżnych facetów z kryzysem wieku średniego. W czymś takim wygląda się jak idiota. Coraz większą łysinę starał się zrównoważyć brodą, czym, zupełnie przypadkiem, trafił w panującą modę. Ale teraz...

Jaki mogli mieć powód, by zdecydować za mnie, zastanawiał się, nieprzerwanie gładząc odzyskaną w niewytłumaczalny sposób fryzurę. Po chwili poczuł, że zmęczył się podnoszeniem ramienia.

Położył dłoń na pościeli i przyjrzał się jej. Coś było nie tak. Żyły nie przebijały się wyraźnie przez skórę, mięśnie były bardziej zwarte, a z kostek zniknęła siateczka drobnych zmarszczek.

Uniósł lekko otwartą dłoń i palcami drugiej uchwycił skórę pokrywającą wystające kostki. Kiedy ją puścił, w mgnieniu oka była znów gładka.

Przez jakiś czas leżał, myśląc intensywnie.

Rozmyślania przerwało mu wejście do pokoju doktora Mendeza i kilku innych osób. Potem rozstąpili się, by wpuścić do środka jakąś kobietę: kobietę, której twarz wskazywała na podeszły wiek maskowany długotrwałą terapią odmładzającą.

Ale to była jedyna jej cecha, która nie budziła jego zdziwienia. Nie mógł się pomylić... znał tę twarz, tę żywą, charakterystyczną, z wysokimi kośćmi policzkowymi, mocno zakrzywionym nosem i cudownie ekspresyjnymi ustami, które teraz rozciągnęły się w uśmiechu. Uśmiechu nie do podrobienia...

- Nie... - usłyszał swój własny szept.

Miriam Ortega podeszła do łóżka i z nieskończoną delikatnością pocałowała go w czoło.

- Witaj w domu, Ianie - powiedziała miękko.

## ROZDZIAŁ II

### PAJĄKI

Toshi Springer przeglądała zdjęcia, które właśnie ściągnęła z głównego teleskopu.

- Jak tam z moją kawą, Davidzie? - zapytała.

Drugi doktorant spojrział na nią znad antycznego urządzenia.

- Myślisz, że takimi pytaniami da się przyspieszyć pracę ekspresu?

Napełnił filiżanki i wrócił do swojego komputera.

- Będzie ci smakować. Ojciec przysłał mi ją jako załącznik do pytania o postępy dysertacji.

Kiedy spróbowała, aż uniosła brwi.

- Smakuje jak Hina z Nowej Terry.

- Bo to jest Hina z Nowej Terry. Smacznego. - Uśmiechnął się.

Kiedy w laboratoriach wydziału astronomii Uniwersytetu Philonea panowała cisza i przygasały światła, a na dyski komputerów spływały dane z teleskopów, wszystkich ogarniała senność. Większość studentów i naukowców sięgała wtedy po kawę, by w ogóle móc się skupić na pracy.

Toshi wypila jeszcze jeden łyk, delektując się smakiem.

- Nie może się na ciebie gniewać, skoro przysłała coś tak pysznego.

David Nanmin uśmiechnął się przebiegle.

- Oboje z mamą starają się mnie przekonać, że jeśli tak koniecznie chcę się zajmować astronomią, to nie powinnam się upierać przy obserwacji nieba w czasie rzeczywistym. No i że na pewno doskonale bym się sprawdziła na bardziej opłacalnym kierunku komunikacji przez warpy. Dlatego przysyłają mi luksusowe prezenty. Najlepsza była ciocia Mai, która stwierdziła, że więcej zarobię rozsyłając elektroniczne pocztówki.

- Ale nie przyjmują do wiadomości, że nie każdy, kto wie, jak włączyć komputer z mapą

nieba, musi zaraz zajmować się warpami. Ty, ja czy jeszcze kilku narwańców od prawdziwych teleskopów nie potrafi, albo po prostu nie chce, skupiać się tylko na tym jednym kawałku astronomii. - Pokiwała głową.

Wszystkie podróże między systemami odbywały się przez warpy odkryte przed wiekami. Dzięki nim loty trwały kilka dni czy najwyżej tygodni zamiast lat czy setek lat. Dlatego prawdziwa astronomia, nieodłącznie związana z obserwacją nieba, stała się akademickim odpowiednikiem stosowania pijawek do leczenia schorzeń. Słyszając to, maniacy teleskopów natychmiast zaprotestowałyby, że trzeba oglądać gwiazdy choćby po to, by znaleźć nieodkryte jeszcze warpy. Zapalczywość, z jaką zwykle reagowali, nie dodawała im prestiżu, a co gorsza, przez zachowanie niektórych profesorów twierdzących, że pozostałe formy astronomii są ledwie wtórne, przyłgnęła do nich łaska narwańców.

Kłam tej opinii zadawała mrówcza praca doktorantów w laboratoriach „Fortu Teleskop”, którzy bez słowa sprzeciwu ślęczeli nad ranem przy komputerach. Mimo że platformy z teleskopami były rozsiane w całym systemie Bellerophon, ludzie wciąż musieli spędzać długie nocne godziny w biurach, obligowani harmonogramami prac sieci. Czekać na analizy między zakurzonymi hologramami Bellerophona i innych systemów gwiazdnych dookoła, mieli dużo czasu na rozmyślanie.

Ujął jej dłoń.

- Twoi starzy nadal nie dają ci spokoju?

- Nie jest źle. Problem mam tylko z jednostką.

- Wiem coś o tym. - Zaczął mówić głosem z zapowiedzi filmowych: - Nieliczni, niepokorni, weekendowi wojownicy z rezerwy... oczywiście wyłączając obecnych tutaj. Czy oni zdają sobie sprawę z tego, że jeśli chcesz się dostać do Zwiadu Kartograficznego, to w ten sposób zyskujesz dodatkowe punkty?

Z tyłu, za ich plecami, jeden z archaicznych komputerów o płaskim ekranie, wyprodukowany jeszcze w Chanacie, zarzęził i zrestartował się. Potem to samo zrobił kolejny.

- Moi dowódcy rozumieją. Wiedzą, że to jest potrzebne do nawigacji w Zwiadzie. A ty jesteś chyba trochę zbyt krytyczny w stosunku do nich. No wiesz, podporucznik McGee i sierżant De Vega nie są głupi.

- Okej, masz rację. Są dobrzy. Tak samo Katya. Ale reszta? - Prychnął. - Co to za specjaliści, którzy nie widzieli z bliska prawdziwej wojny... a już tym bardziej nie mają prawa traktować cię z góry tylko dlatego, że jesteś teleskopowcem. I najlepszym nawigatorem w jednostce.

Nie miała pojęcia, jak bardzo ją kochał. On sam mógł być traktowany protekcjonalnie i nie go to nie obchodziło. Jeśli jednak ktoś spojrział krzywo na nią, był gotów rzucić się nań z pięściami.

Jej jednostka nie różniła się od innych rezerwowych, utrzymywanych w stałym pogotowiu nie tylko na całym obszarze Federacji, ale też innych ras sprzymierzonych. Problem polegał na tym, że większość działań, w jakich uczestniczyli, odbywała się na strzelnicach i poligonach oraz z wykorzystaniem przestarzałych okrętów szkoleniowych. Matka Toshi walczyła z Korsarzami Tangri w czasie ostatniej wojny, a jej ojciec ścigał ich - prawdopodobnie należących do Nowej Hordy - jeszcze zanim się pobrali. Wychowanie w wojskowej rodzinie już dawało jej przewagę nad większością nadętych bufonów z bogatych domów, którzy byli przekonani, że posiadanie munduru czyni z nich drapieżców. On z kolei był stypendystą, który wygrał po drodze każdą możliwą nagrodę, lecz pochodził z okolic Red Lake, mówił z tamtejszym akcentem i miał tamtejszy temperament.

Wszechświat stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Rasa Pająków, której przedstawiciele traktowali wszystkie inne gatunki wyłącznie jako źródło białka, została wyeliminowana. Znacznie większym problemem były rasy, które żyły w przekonaniu, że przegrana w ostatniej wojnie była jedynie przypadkiem. A do nich należeli Korsarze Tangri. Oczywiście każdy najazd Nowej Hordy natychmiast był potępiany jako dzieło odszczepieńców, z którymi rząd nie ma nic wspólnego. Ostatnim razem, chyba z piętnaście lat temu, dostali zdrowe cięgi od floty pod wodzą admirała Remki. Co stanowiło najlepszy argument za utrzymywaniem w gotowości nie tylko jednostek liniowych, ale i rezerw.

Tyle że niewielka liczba akcji, w których mogłyby one uczestniczyć, skutkowało bardzo dziwnym i niestety mylnym wyobrażeniem ich członków o wojnie.

Toshi uśmiechnęła się do Davida.

- Im się wydaje, że każdy to nowe wcielenie „Iana Wielkiego” czy sklonowana „Li Han, Postrach Gwiazdnych Szlaków”.

David gwałtownie odstawił filiżankę i, krztusząc się, zasłonił dłonią usta.

- Rany, nie wiedziałem, że oglądasz takie seriale - powiedział, wycierając brodę.

- A co, ty nie jesteś fanem Chana Bezwzględne?

Opadł na oparcie krzesła i teatralnym gestem chwycił się za serce.

- Dotknęłaś mnie! Dotknęłaś do żywego!

Roześmiała się.

- Masz za swoje. - Odstawiła kawę. - Jeszcze do tego wrócimy. A teraz chodź, mamy nową porcję zdjęć. Trzeba je przejrzeć i obrobić dla profesora.

- No pewnie.

Wrócili do swoich terminali w momencie, kiedy znów się restartowały. Spojrzeli na siebie.

- Oba naraz? - zdziwił się David.

- Poczekaj... - przerwała Toshi, sprawdzając system. - Chyba jest przeciążony.

- Mój też. Może trafiliśmy na jakąś supernową?

- Albo coś podobnego. Puszczę to przez kilka filtrów i sprawdzę.

Dwadzieścia minut zajęło poleceniom z komputera dotarcie do odległego teleskopu, a kolejne dwadzieścia trwało ściąganie nowych danych.

- Spójrz na to. - Toshi wskazała na jaśniejszy punkt, który pojawił się w górnej prawej ćwiartce ekranu. - To nie jest supernowa.

David podrapał się po głowie.

- To jakiś ślad. Tylko co mogło go zostawić?

- Nie mam pojęcia, ale nie jest pochodzenia naturalnego... - odparła, wpatrując się w ekran. - Na pewno nie wziął się tam sam z siebie.

- Jeśli mam być szczerzy, to nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego.

- Davidzie, coś głupiego przyszło mi do głowy.

- Co?

- Czy to może być sztuczne? - zapytała, spoglądając na niego.

- Sztuczne? - Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy i nic nie mówili. W końcu David skierował wzrok na komputer. - Nie. Nie ma mowy. Nie ta częstotliwość. Tamten hobbysta ze zdalnie sterowanymi raketami, który psuł nam wyniki przed kilkoma laty, używał innych długości fal. Poza tym z tego co pamiętam, policja zamknęła go, bo stwarzał zagrożenie dla komunikacji wewnątrzsystemowej. Spójrz tutaj. - Wskazał na zdjęcie, które wyświetlił na ekranie, a potem dla porównania otwierał kolejne na jej komputerze: - Między tymi dwoma śladami nie ma zmian położenia, to coś musi więc być spoza naszego systemu, cokolwiek to jest.

- Ale my tej częstotliwości byśmy też nie użyli. - Spojrzała na niego, a on oderwał wzrok od swojego terminalu. - Ślady są zbyt stabilne, by zostawiły je jakiekolwiek pociski. Poza tym przez ostatnie trzy tygodnie nie było w planach żadnych ćwiczeń.

- Chyba spektrogram więcej wyjaśni. Może to jakiś odprysk? W tamtej mgławicy ciągle coś się dzieje.

- Jeśli nie z mgławicy, to te ślady nie mogą być sztuczne.

- Nie da się oszukać poziomów promieniowania.



- Pewnie że nie. Ale to z miejsca daleko poza naszym systemem, bo ślady są na obu rzutach. - Uruchomiła jeszcze kilka testów.

- Spójrz, wyraźnie widać paralaksę. Ślad musiał powstać przynajmniej pół roku świetlnego dalej.

Wpatrywali się w obraz na ekranie.

- Toshi, co to, do diabła, może być?

- To chyba ślad torowy - powiedziała, cicho wzdychając.

- Co? - zapytał, nie rozumując jeszcze znaczenia jej słów. Potem na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. - Czy ty... sugerujesz ślady torowe... napędów jakichś jednostek?

- Tak - potwierdziła miękko.

- O, do diabła... - Nie wiedział, co powiedzieć. - Jeszcze nikt nigdy... a poza tym, to inne spektrum. Tutaj - powiedział, wyświetlając inny spektrogram - tutaj wyraźnie widać, że są inne.

- Bo są inne. - Przesunęła wskaźnik na sam koniec skali długości fal i tam oba obrazy idealnie się pokrywały. - To efekt przesunięcia ku fioletowi.

- Budzimy profesora?

- Trzeba go natychmiast wyciągnąć z łóżka. Jeśli mamy do czynienia z przesunięciem ku fioletowi, to znaczy, że cokolwiek to jest, zmierza w naszą stronę!

\* \* \*

- Panie profesorze! Profesorze Gerardzie! Mam pytanie, profesorze! - W starej sali wykładowej falowało morze rąk dziennikarzy. Na uniwersytecie zapanowało podniecenie, jakiego nie pamiętano tu od czasów pożaru Północnej Wieży. Dziennikarze zajmowali pierwsze rzędy siedzeń, naprzeciwko podwyższenia ze stołem, przy którym siedzieli oficjele. Krzesła dla wojskowych wciąż były puste, bo chcąc wyprzedzić konkurencję, dziennikarze nie czekali z pytaniami na oficjalne rozpoczęcie.

- Profesorze, czy to prawda, że odkryto nieznaną obcą rasę...

- Profesorze Gerardzie, czy mógłby pan skomentować...

- Pani rektor...

- Profesorze Duane, czy społeczność naukowa sądzi...

Rektor, która przez dłuższą chwilę usiłowała wymóc na gościach ciszę, pokręciła potencjometrem mikrofonu, aż przenikliwy pisk sprzężenia całkowicie zagłuszył nawał pytań. Kiedy gwar wreszcie ucichł, zmniejszyła głośność i zaczęła mówić.

- Dziękuję, dziękuję państwu.

Przyjrzała się zebrany. Jej wzrok przyciągnęła ekipa istot o płasko położonych uszach i bujnym futrze. Miały wrażliwszy słuch i pisk musiał sprawić im ból. Miały pazur chana Showaath'sekakhu-jahr i jej zespół byli jedynymi dziennikarzami z Chanatu Orionu.

Chan osobiście zadbał, by przeszła szkolenie medialne. Odbyła je na planecie Yowl, pierwszym świecie zamieszkanym wspólnie przez sprzymierzonych, w bardzo prestiżowej szkole. Showaath'sekakhu-jahr była niższa od większości kobiet, a jej twarz pokrywało czarne, błyszczące i bardzo arystokratycznie wyglądające futro z jasnozłotymi pasami odchodzącymi od nosa w górę, po obu stronach głowy. Była jedynym żyjącym dzieckiem wielkiego pazura Meerheewa'rehfraka. Kiedy zdecydowała, że dociekliwość jest dla niej pierwszą z cnót, ojciec poparł ją publicznie. Szybko stała się obiektem fascynacji ludzkich mediów. Zdarzyło się, że jeden z ekspertów zasugerował, że pewna dziennikarka z Chanatu - jakby była jakaś poza nią - doskonale by się sprawdziła jako szpieg. Ale jej charakterystyczność i rozpoznawalność dawały gwarancję bezpieczeństwa i ochronę przed takimi zarzutami.

Reszta ekipy miała brązowe lub złote futra, a pręgowany kamerzysta nosił uprząż ze sprzączkami świadczącą o statusie znacznie wyższym niż prostego pracownika fizycznego. Ochroniarz, pomyślała Toshi, spoglądając zza pleców profesorów, pani rektor i członków rady nadzorczej. Showaath i jej ekipa byli tu jedynymi obcymi. Ludzka forma dziennikarstwa rozprzestrzeniała się wśród innych ras bardzo powoli.

Ona sama była akurat na Bellerophonie zupełnym przypadkiem - kręciła materiał o zamówionych przez Chanat Orionu nowych frachtowcach i remoncie jednego z uszkodzonych lotniskowców.

Toshi i David skromnie zajęli miejsca w ostatnim rzędzie. On miał na sobie szary garnitur z wytartymi łokciami, a ona mundur wyjściowy, który ledwie zdążyła przynieść z domu. Zeszłej nocy dano jej wyraźnie do zrozumienia, że nie jest już rezerwistką. Wszyscy zostali w trybie natychmiastowym przeniesieni do czynnej służby. Oczywiście nikt z góry nie zakładał, że nieznani przybysze mają wrogie zamiary, jednak lepiej było brać pod uwagę najgorszą ewentualność.

Denerwowało ją, że musieli się pojawić tutaj oboje. Nowe zdjęcia wciąż spływały, a oni tkwili na bezsensownej konferencji, zamiast prowadzić analizy. Sprawdziła łącze, ale nie znalazła nic ciekawego. Nie uśmiechało jej się stać beczynnie i słuchać, jak wszyscy rozprawiają, co teraz powinni zrobić... Zamarła, kiedy otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł admirał floty Waldeck, a za nim jego sztab. Szybko zajęli miejsca na podwyższeniu. Zawsze wiedział, jak wejść, żeby zrobić wrażenie. Tłum dziennikarzy zaczął jednostajnie

mruczeć przekazy do swoich mikrofonów, a operatorzy unieśli kamery jak najwyżej, żeby nie stracić dobrego ujęcia. Wszyscy bez wyjątku okazywali przybyłemu gościowi szacunek i podziw. Mimo że miał już 132 lata, admirał wciąż chodził wyprostowany jak trzcina. Część dziennikarzy używała w odniesieniu do niego słowa „pedant”, jednak określenie to było na wyrost. Jakby na przekór siwym włosom wciąż zachowywał dobrą kondycję, choć był nieco przy kości.

- Ma minę, jakby chciał kogoś zjeść - David nachylił się i szepnął jej do ucha.

- Wiem. Ale nie wygląda na zagłodzonego, nie ma się więc czego bać - odszepnęła. - Poza tym bądź cicho, bo jeszcze ktoś nas o coś zapyta.

Zasłoniła dłonią usta, by ukryć uśmiech. Szybko się opanowała i udała, że jedynie drapie się po brodzie. Zauważyła, że jeden ze sztabowców pochylił się nad stołem i wyciągnął dłoń, a admirał ukradkiem spojrział w stronę Showaath. Wkładki do nosa przeciwko alergii. Gdyby dziennikarka o coś zapytała, lepiej nie przerywać wypowiedzi co kilka słów kichnięciem. Wszyscy i tak wiedzieli o antypatii, jaką darzył Kociambry; Showaath z całą pewnością nie była wyjątkiem, nie chciał więc, by jego alergia została odebrana jako jawny objaw lekceważenia.

- Szanowni obecni - ponownie odezwała się pani rektor, używając tym razem poprawnego politycznie, neutralnego zwrotu adresowanego do przedstawicieli różnych ras - dziękuję za tak tłumne i szybkie przybycie.

Profesor Duane był wycieńczony, a oni wyglądali nie lepiej. Pełne dwie doby trwała analiza zebranych danych i konsultacje z profesorem Gerardem. Dopiero wtedy zyskali pewność i podnieśli alarm na uniwersytecie. Nikt nawet na chwilę nie poszedł w tym czasie do domu, a konieczną toaletę załatwiali w łazienkach przy salach gimnastycznych. Nie jedli niczego poza zamawianymi daniami na wynos. Wszystkie inne projekty, które w tym czasie miały angażować teleskopy, zostały wykreślone z agendy, a dostępne stacje robocze zaprzęgnięto do analizy obrazów śladów napędów zauważonych bardzo, bardzo daleko.

Rektor zadzwoniła do admirała Waldecka o tej samej godzinie o której dowiedziała się o odkryciu zgrai maniaków astronomii teleskopowej. Nie poprzestała na przekazywaniu wiadomości sekretarce. Natychmiast wyciągnęła admirała z łóżka.

- Dziękuję za przybycie. Przede wszystkim chciałabym oficjalnie poinformować, że dwa dni temu zespół profesora Duane'a wykrył ślady napędów czegoś, co przybywa z mgławicy Bufo. - Uniosła dłoń, by powstrzymać wrzawę.

Toshi z trudem hamowała śmiech, słysząc, że rektor użyła słowa „zespół”, mówiąc o niej i o Davidzie. Widać uznała, że tak lepiej brzmi i licuje z powagą sytuacji.

- Jesteśmy przekonani, że ślady te, proszę zwrócić uwagę, że celowo użyłam liczby mnogiej, pozostawiły statki poruszające się z prędkością podświetlną. Póki co, nie da się jeszcze ustalić, ile ich jest. Oceniamy, że znajdują się około pół roku świetlnego od nas. Zwalniają. Z obliczeń wynika, że przy zachowaniu obecnego tempa wytracania prędkości przybędą tutaj za mniej więcej trzy miesiące. To wszystko, co miałam do powiedzenia. Przekazuję głos admirałowi Waldeckowi.

- Dziękuję pani, rektor Davenport.

\* \* \*

- ...i przegrupowujemy flotę, tak na wszelki wypadek, jako środek ostrożności.

- Bardzo rozsądnie. - Pierwsza Dama Przestrzeni Li Han nie miała w zwyczaju reagować w ten sposób.

Podniosła się z krzesła pod oknem znacznie gwałtowniej, niż zamierzała. Podobnie jak wiele innych gwałtownych ruchów, ten też przypomniał jej o nieubłaganym upływie czasu i 123 latach standardowych. I to znacznie dotkliwiej niż siwe włosy, które codziennie widywała w lustrze. Ale mogło być przecież jeszcze gorzej. Tutaj, na Bowditch, księżycu Beauforta, który służył za stolicę Republiki Ziemskiej, grawitacja wynosiła jedynie połowę ziemskiej, czyli znacząco mniej niż w jej rodzinnej Hangchow. Martwiło ją podniecenie, jakie odczuwała, choć wiedziała, że niepotrzebnie. Jak daleko sięgała pamięcią, wszyscy przestrzegali ją przed niebezpieczeństwem znużenia monotonią.

Potrząsnęła głową i skupiła się na Cyrusie Waldecku.

O ile znała admirała, uczyni wszystko, by ludzie mogli czuć się bezpieczni, a co więcej, nie będzie działał pochopnie.

- Jakies pytania? Mam coś zrobić? - Słodki głos komputera został zapożyczony z jakiegoś pradawnego programu rozrywkowego.

- Tak. Wyłącz się. - Ekran zgasł, a wraz z nim zniknął admirał Waldeck opisujący kroki, jakie zamierzał przedsięwziąć w związku z nowymi obcymi.

Li nie uległa zwyczajowi, by systemowi komunikacyjnemu w swoim biurze nadać jakieś imię, choć nawet jej sekretarka tak uczyniła. Peeves? Jeeves? W każdym razie jakoś tak. Uważała, że to przerost formy nad treścią.

Nie miała też zwyczaju uzalać się nad sobą i roztrząsać kwestii „dlaczego teraz?” albo „dlaczego ja?” Rzeczy się działy, a ona nie miała najmniejszych pretensji do nieczułego i bezdusznego świata, bo dobrze pamiętała słowa swojego dziadka z Nowego Tybetu, że wszechświat, jeśli dąży w jakimkolwiek kierunku, to z pewnością w kierunku dobra.

Uśmiechnęła się do siebie. Im więcej miała lat, tym lepiej go pamiętała. Czuła, że odkrywa go na nowo. Rodzina z Hangchow niechętnie wspominała akurat tego przodka - żadna niespodzianka, jeśli wziąć pod uwagę historię stosunków chińsko-tybetańskich na Ziemi, problematycznych przynajmniej od VIII wieku, kiedy Imperium Tybetańskie (tak, kiedyś mieli swoje pięć minut) odcięło Chiny dynastii Tang od prowincji leżących w centralnej Azji, skąd wywodziła się ich kawaleria. Koniec końców, to właśnie przyczyniło się do późniejszego upadku Państwa Środka.

Obraz koni sprawił, że wróciła do wcześniejszych ponurych rozmyślań. Choć sama nie wiedziała, dlaczego konie - przezwisko było wyjątkowo głupie i nie na miejscu, bo Korsarze Tangri w niczym nie przypominali tych zwierząt. No cóż przyjęło się mówić o nich „Końskie Łby”, a ona nie czuła się na siłach, by to zmieniać. Teraz Korsarze Tangri znów byli w natarciu i za nic nie chcieli zaprzestać ataków. Pojawiła się też silnie lobbująca grupa ReNurturers, zorganizowana jako odpowiedź na postulaty frakcji przekonującej o konieczności całkowitego wyeliminowania Końskich Łbów. „Ostateczne rozwiązanie kwestii Tangri” - tak w skrócie określali, co jest przedmiotem ich starań. Li sama sporo nad tym myślała, a wraz z upływem czasu coraz przychylniej spoglądała na takie wyjście. Bo, w gruncie rzeczy, sprowadzało się to do fundamentalnego sporu o karę śmierci. Jak mogłaby z czystym sumieniem zestawić nieustanne mordowanie swoich braci i siostr - w tym wypadku wszystkie sprzymierzone rasy musiała traktować na równi - z zagładą jednego gatunku?

Z drugiej strony sama zagłada była tym, co argumentom ReNurturers nadawało mocy. Niech przedstawiciele innych ras adoptują młodych Tangri. Niech wychowują ich we własnej kulturze, z dala od tej, z której zostali zabrani, choć zachowując z niej wszystko, co dobre, i bezwzględnie eliminując jakiegokolwiek przejawy zapiekłej ksenofobii. Tyle że takie podejście rodziło więcej problemów, niż mogło rozwiązać. Przede wszystkim, kto zdecydowałby się adoptować takie dzieci? A to było tylko pierwsze z pytań.

Może mniej paternalistycznym wyjściem byłoby zastosowanie ostatecznego rozwiązania i zmiecenie tego całego bałaganu raz na zawsze? Patrząc w dłuższej perspektywie, byłoby to też bezpieczniejsze dla ludzi. Serdecznie nienawidziła piractwa, a jego źródła dopatrywała się w Nowej Hordzie. Starła się odsunąć od siebie uczucie nienawiści, ale w tym wypadku było to niemożliwe. Byli wcieloną niegodziwością. Złem. Jeśli ktokolwiek - i to zupełnie niezależnie od tego, jak wyglądał i z jakiej rasy pochodził - chciał skrzywdzić ją, jej rodzinę czy jej dzieci, sam wyłączał siebie z grupy istot obdarzonych rozumem i stawał się potworem. To oni zadecydowali, że będą potworami, i tym samym pozbawili mocy argument, że nie zasłużyli sobie na stosowanie ostatecznych metod.

A teraz pojawił się całkowicie nowy problem, który skutecznie przyciągnął uwagę absolutnie wszystkich.

Spojrzała przez okno na nocne niebo i ogromną purpurowo-niebieską sylwetkę Beauforta. Tam urodziła się Fiona MacTaggart, której śmierć wywołała powstanie. Zamyśliła się na chwilę, podziwiając ten widok, by w końcu usiąść za biurkiem i sięgnąć po akta, które wcześniej przeglądała.

Bez wątpienia mamy do czynienia z czymś ogromnym. Ogromnym i pięknym, pod warunkiem że ma się odpowiednią siłę ognia, myślała. Oczywiście część purystów i Kociambry uznaliby, że lepiej sprawdzają się mniejsze okręty, najlepiej myśliwce. I jeszcze te napędy odrzutowe... miały za dużo wad, żeby w ogóle o nich myśleć. Chociaż gdyby chodziło tylko o prędkość i moc...

Jednostkom tej samej wielkości bardzo by się przydały, gdyby Końskie Łby znów odważyły się zaatakować kogoś poza swoim terytorium. Potarła skronie. Musi się jeszcze zastanowić, ile takich okrętów będzie im potrzebnych, jeśli obcy okażą się agresorami.

\* \* \*

Genji Yoshinaka starał się odsunąć tę chwilę najdalej, jak tylko się dało.

Z początku nietrudno było opóźnić to, co nieuniknione, Ian musiał odbyć długą rehabilitację. Doktor Mendez z zespołem poskładali jego nowe ciało i połączyli je ze starym mózgiem, wykazując się przy tym nieprzeciętnymi umiejętnościami. Robota była rzeczywiście bez zarzutu, ale zestrojenie obu części w poprawnie pracującą całość wymagało sporo czasu. Równocześnie odbywała się swoista reedukacja, obejmująca osiem standardowych dekad historii, przemian społecznych i wiedzy technicznej. Zmiany, choć spowolnione skutecznym wydłużeniem przeciętnego czasu życia, wciąż prezentowały ogrom informacji do przyswojenia, Ian nie mógł znaleźć wolnej chwili, by w końcu przejść się po mieście.

Ale nieuniknionego nie da się odsuwać w nieskończoność, co uzasadnia użycie określenia „nieuniknione”. Trevayne stanął w końcu na dziedzińcu siedziby rządu i wpatrywał się osłupiały w wysoki obelisk zwieńczony posągami, tuż obok statuy Andrew Prescottta. Yoshinaka był wyraźnie zakłopotany.

- Staralem się im to wyperswadować - mruknał, przerywając milczenie.

Trevayne go nie słyszał. Przeczytał inskrypcję umieszczoną u podstawy kolumny. W końcu odwrócił głowę i spojrzał na Yoshinakę wzrokiem, z którego dało się wyczytać nieme: „I ty, Brutusie?”

- Pozwoliłeś im...

- Tłumaczyłem, że nigdy czegoś takiego nie powiedziałaś! - Zaprotestował. - Ale mnie nie słuchali. Z jakichś przyczyn wszyscy są święcie przekonani, że w czasie drugiej bitwy o Zephraim, kiedy republikanie... znaczy buntownicy zostali zauważeni, użyłaś takich słów jako sygnału dla floty. Powtarzałem im do znudzenia, że pomylili cię z admirałem Togo w czasie bitwy pod Cuszimą.

- Raczej lordem Nelsonem w czasie bitwy pod Trafalgarem - poprawił go automatycznie.

- Togo ściągnął to od niego.

- Dobrze, poddaję się. Nie mam zamiaru wracać do tej kłótni. A... - na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech - poza tym to też twoja wina, bo nazwałeś swój okręt flagowy *Horatio Nelson*. Ktoś sprawdził w książkach od historii, kto zaczął, zapamiętał rozkaz, potem skojarzył go z tobą i... i dalej już poszło.

Trevayne nie zamierzał się wdawać w słowne przepychanki. Znowu spojrzał na inskrypcję i pokręcił głową.

„Ziemia oczekuje, że każdy wypełni swój obowiązek” - przeczytał półgłosem. - A więc tak mnie zapamiętali! - Znowu pokręcił głową. - Jasna cholera.

- Ale pamiętają cię też z innych rzeczy. - Yoshinaka uśmiechnął się, konstatując, że Trevayne nie stracił nic ze swojego temperamentu. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że to naprawdę on.

A miał przecież prawo zachować dystans.

Młode, zwinne ciało, którym kierował mózg Trevayne'a, naprawdę należało do niego - tak musiał wyglądać w czasie studiów w akademii. Gładko ogolona twarz nie była tak zniszczona jak jej pięćdziesięcioletnia wersja, którą zapamiętał z czasów, kiedy razem służyli. Zdążył spędzić już dość czasu na dworze, wystawiony na działanie promieni Zephraim A, by nabrać nieco kolorów, co w połączeniu z genami nadało mu wygląd emigranta z Jamajki. Widok często spotykany na ulicach Londynu pod koniec dwudziestego wieku. Karnacja była jedynym śladem pochodzenia, bo poza tym charakteryzował się cechami mieszkańca północno-zachodniej Europy - jednak w miarę dyskretnymi i nierzucającymi się w oczy. No i znowu miał bujną czuprynę bez śladów siwizny.

Z jednej strony nie poruszał się jak niezgrabny dwudziestolatek, a z drugiej zniknęła sztywność stawów pięćdziesięciolatka, którą zapamiętał jego mózg. Kiedy tylko zyskał pełną kontrolę nad ciałem, zwyciężyły odruchy i zachowania wyuczone przez niemal pięć dekad wcześniejszego życia i to one sterowały teraz młodymi mięśniami i stawami. Efekty były nieco dziwne. Podobnie rzecz się miała z głosem, którym wypowiadał słowa mądrości i

doświadczenia, i z twarzą, która wyrażała emocje nieznane młodym ludziom. Emocje kogoś, kto ma samoświadomość niemożliwą do osiągnięcia w wieku lat dwudziestu.

Trzeba też wspomnieć o ubraniach. Jako gubernator Obrzeża zawsze uchodził za osobę doskonale orientującą się w obowiązujących trendach mody. Była to jedna z zaskakujących cech jego osobowości. Teraz nie miał czasu, by samemu zajmować się doborem ubrań, scedował więc to zadanie na krawca. Ten zaś nie miał pojęcia, w jaki sposób nosił się za młodu jego legendarny klient, więc Trevayne, chcąc nie chcąc, ubierał się teraz w znacznie bardziej stonowany sposób i w niczym nie przypominał wcześniejszego siebie.

Wszystko to sprawiało, że znajomym było nad wyraz trudno oswoić się z nim w obecnym wydaniu. Brak charakterystycznej bródki również nie pomagał.

Sam Trevayne, patrząc na statuę z brązu wieńczącą wysoką kolumnę, pomyślał o braku zarostu i nieświadomie potarł dłonią gładko ogolony policzek. Domyślał się, że wszyscy oczekiwali, iż zapuści ją znowu, ale oparł się presji. Po pierwsze, obawiał się, że wyrosnie mu słabowity puszek nielicujący z powagą jego, bądź co bądź, autorytetu; nie był przecież chłopcem z college'u. Po drugie, w czasie, który spędził pogrążony w kriogenicznym śnie, brody odeszły do lamusa i stały się niemal archaizmem. Ci, którzy znali go z poprzedniego życia, byli zaskoczeni, że w ogóle się tym przejął - ale taka była rzeczywistość. Image zrędlivego konserwatysty to jedno, ale za żadne skarby świata nie zamierzał stać się dziwakiem.

Otrząsnął się.

- Teraz już za późno, żeby to zmienić, co? Chyba nie ma bardziej bezsensownych i skazanych na niepowodzenie działań niż próby poprawiania legend, prawda? Można się naprawdę namęczyć, a wiatraki dalej będą się kręciły. Chodźmy stąd i...

- Admirale!

- Sean! - Trevayne z uśmiechem na ustach obrócił się w stronę szerokich schodów prowadzących do wielkiego gmachu siedziby rządu. W jego kierunku schodził Sean Remko w otoczeniu sztabowców. Uśmiechnął się do siebie, kiedy świta, z mieszaniną respektu i ciekawości na twarzach, zwolniła i została z tyłu. Ich wzrok wyrażał jeszcze coś - niezrozumienie szacunku, z jakim admirał Remko, człowiek legenda, o reputacji, na którą uczciwie zapracował przez ponad sto czterdzieści lat standardowych, witał się z kimś, kto wyglądał na studenta lubiącego drogie ciuchy.

Oni nie musieli walczyć o każdy krok, by wyrwać się z niebezpiecznych slumsów Nowego Detroit, i nie wiedzieli, co znaczy spotkać na swojej drodze dowódcę, który miał naprawdę głęboko gdzieś akcent, z jakim się mówi, i dzięki niemu zejść jeszcze dalej...



- Chciałem pana odwiedzić, admirale - oznajmił tubalnym głosem. Trewayne w żaden sposób nie zareagował na tytuł, jakim się do niego zwrócił - wciąż był przecież admirałem floty, figurującym dzięki specjalnej decyzji parlamentu Federacji Obrzeża na liście oficerów.  
- Tyle że przez ten cały kryzys...

- Nic się nie stało, Sean. W przeciwieństwie do niektórych, ty wciąż pozostajesz w czynnej służbie, a w wojsku nie ma zmiłuj. Najpierw obowiązki. Poza tym ostatnio nie miałem zbyt wiele czasu na życie towarzyskie. Mam ogrom wiedzy do przyswojenia...

- I pieniędzy do wydania! - Pośród niemal białej brody pojawił się szeroki uśmiech. (W przypadku admirała Remki wiek nie złagodził jego niechęci do mody.)

Trewayne pokręcił głową z miną świadcząca o lekkim zakłopotaniu. Pochodząc z rodziny przez pokolenia kontynuującej tradycje oficerskie, siłą rzeczy należał do wyższych sfer klasy średniej i miał wystarczająco dużo pieniędzy, by żyć wygodnie, lecz jeszcze nie bogato. A ta sama ustawa, na mocy której parlament przeniósł jego zamrożone ciało i umysł na listę rezerwistów, zwolniła jego pensję z podatków, nie zawieszając jej wypłacania. Była to forma wyrażenia wdzięczności. Przez osiemdziesiąt lat spędzonych w kriogenicznej kąpieli nie miał żadnych wydatków, a jego przyjaciele mądrze inwestowali spływający regularnie żołąd. Był naprawdę zaskoczony, że dzięki ich działaniom stał się przez te kilka dekad jednym z głównych graczy w ekonomii całej Federacji.

Znacznie większą niespodzianką była dla niego sama Federacja...

- Masz rację - usłyszał swoje słowa. - A poza tym te wszystkie zmiany. Cała polityka...

Z wyczuciem, o jakie nikt go nie podejrzwał, Remko pojął w mig, do czego zmierzał Trewayne, lecz brak właściwych słów nie pozwolił mu odpowiedzieć.

- Sam wiesz... - Wykonał nieokreślony gest obejmujący system połączony z Federacją jednym jedynym łańcuchem przez warpy, otwarty na mocy układu kończącego rebelię. Mimo heroicznych wysiłków i poświęcenia, z jakim Ian Trewayne walczył o otwarcie go siłą. - Myślę... chyba tak po prostu musi być i koniec... szczególnie jeśli... rozumiesz... Unia Międzygatunkowa.

- Hmm, chyba wiem, co masz na myśli - odparł Trewayne, błędząc myślami gdzie indziej. To było dziwne. Proponowane połączenie Federacji z Chanatem Oriona stało się bezpośrednią przyczyną secesji Pogranicza i powstania Republiki. Tak więc, koniec końców, dzisiejsza Unia Międzygatunkowa była tym, o co Trewayne walczył.

Zastanawiał się więc w duchu, dlaczego nie czuje satysfakcji?

Wykrzywił usta na myśl o Federacji Obrzeża, która uważała się za część Federacji Ziemskiej - łącznie z przysyłanym z Ziemi marionetkowym gubernatorem - ale już nie Unii,

do której z kolei należała Federacja Ziemska. Chyba tylko prawnik mógłby się w tym połapać, pomyślał.

Prawnik. Jak na przykład Miriam...

Otrząsnął się z zamyślenia.

- Oczywiście - powiedział żywo. - Z jakiegoś powodu Republika była dla mnie najłatwiejsza do przełknięcia. - Uśmiechnął się do Yoshinaki. - Genji-san, doceniam, że przez wzgląd na moje odczucia pilnowałeś się, by nazywać ich buntownikami. Już nie musisz. Nie chcę zmarnować danego mi drugiego życia na kontynuowanie wojny, która skończyła się ponad osiemdziesiąt lat temu. I między Bogiem a prawdą zawsze byłem w stanie zrozumieć przesłanki kierujące mieszkańcami Pogranicza. - Znow się uśmiechnął, tym razem na widok wyrazu twarzy swoich byłych podwładnych. - Już nie róbcie takich min, przecież wtedy nie mogłem powiedzieć tego publicznie. Nie mogłem przyznać nawet przed samym sobą, że rozumiem ich racje. Nie po... - Ani jedno słowo więcej nie chciało mu przejść przez gardło, a oczy zaszyły łzami. Oni go rozumieli. Wiedzieli, że przypomniał sobie żonę i córki, które zginęły z rąk buntowników... a co gorsza - syna, którego sam pozbawił życia, gdy ten przystał do rebelii.

Zastanawiali się, czy naprawdę bezwarunkowo zaakceptował istnienie Republiki. On sam łamał sobie nad tym głowę.

- Sean - odezwał się, zmieniając temat - powiedz mi, cóż cię tutaj sprowadza? Wspomniałeś coś o kryzysie? Chyba coś mi się obilo o uszy...

- Kryzys to słowo chyba nieco na wyrost, ale... miałaś ostatnio masę spraw na głowie, pewnie więc nie dotarła do ciebie wiadomość o tym, co odkryliśmy w systemie Bellerophon.

- Zdziwisz się, ale słyszałem. Nadganiając osiemdziesiąt lat nieobecności, staram się równocześnie obserwować współczesne wydarzenia. Nie zawsze jest to proste, ale uwierz mi, w tym wypadku nie miałem najmniejszych trudności... Flota statków międzygwiazdnych poruszających się z prędkością podświetlną...!

- Czyli cię nie zaskoczyłem - skostatował Yoshinaka. - Jak ustalili nasi naukowcy, używają napędów fotonowych. To jest teoretycznie możliwe już od jakiegoś czasu, ale dotąd nikt nie spróbował.

Trevayne pokiwał głową. Sama idea silnika fotonowego polegała na przekształceniu masy w energię przy niemal stuprocentowej sprawności, jednak proces przemiany do niedawna był zbyt nieprzewidywalny, by ta technologia doprowadziła do rewolucji w gospodarce. Niemniej silnik fotonowy byłby najdoskonalszym napędem wykorzystującym, jak wszystkie silniki odrzutowe, zachodzące reakcje... a najciekawsze było to, że nikt już nie

wykorzystywał silników odrzutowych, a przynajmniej nie od czasu odkrycia pola antyinercyjnego. Pomijając wszystkie znane zalety tych napędów, czyli ich manewrowość i wytrzymałość, do działania potrzebowały jedynie energii, a nie masy reaktywnej. Ograniczeniem były z początku maksymalne prędkości, jakie mogły osiągać - do 11,7 %. Stopniowo udawało się je zwiększyć, aż w określonych warunkach i z wykorzystaniem nowatorskiego aparatu fazowo-grawitacyjnego, o którym ostatnio zrobiło się naprawdę głośno, osiągnięto 50 %

. Napęd nosił nazwę swojej wynalazczyni - napęd Desai. Trewayne uśmiechnął się, wspominając swoją byłą podwładną, Sonję Desai - kobietę błyskotliwą, choć nieco aspołeczną.

Silniki reakcyjne, popularnie zwane odrzutowymi, w teorii mogły osiągać niemal prędkość światła, jeśli dać im dostatecznie dużo czasu i dostatecznie dużo mieszanki reaktywującej, czyli po prostu paliwa. Tyle że to było ich jedyną zaletą. A na dodatek od kiedy warpy umożliwiły podróże międzygwiazdne w czasie potrzebnym niegdyś na przelot między dwiema sąsiednimi planetami, takie prędkości nie były już do niczego potrzebne.

Teraz najwyraźniej miało się okazać, że ktoś ich jednak potrzebował - ktoś, kto nie miał pojęcia o istnieniu warpów, ale z jakiegoś powodu uznał, że powinien odbyć podróż międzygalaktyczną.

- W takim razie słyszałeś też pewnie - kontynuował Remko - że wysyłamy zespół wydzielony do systemu Bellerophon. Prewencyjnie oczywiście, aby mieć pewność, że kiedy niezapowiedziani goście przybędą, będziemy mogli zademonstrować dostatecznie wyraźną obecność Federacji Obrzeża. Wiesz, żeby nie mieli wątpliwości, do kogo należy Bellerophon. No i zostałem poproszony, żebym dowodził. - Remko był coraz bardziej zakłopotany. - To ty powinienes znaleźć się na tym miejscu! Ja... po tym wszystkim...

- Och, Sean! Daj spokój, przecież nie jestem nawet w aktywnej służbie. I nie nadrobiłem zaległości, a przez te osiemdziesiąt lat zaszły imponujące zmiany. Poza tym... - Trewayne wskazał dłonią na ciało młodzika, które należało teraz do niego.

- Zgodnie z prawem pański oficjalny wiek to 132 lata standardowe, sir. - Yoshinaka uśmiechnął się złośliwie.

- No proszę, i ty twierdzisz, że ja mam dziwne poczucie humoru! - zachnął się Trewayne.  
- Ale tak poważnie, Sean, zazdroścę ci. Będziesz obecny przy pierwszym spotkaniu z nową rasą.

- W rzeczy samej. - Remko przyznał mu rację. - Cieszę się też na spotkanie z Cyrusem Waldeckiem. Dowodzi teraz w systemie Bellerophon, a ja mam go tam zastąpić, kiedy...

Admirale, czy wszystko w porządku?

- Tak, tak, Sean. - Trevayne głęboko oddychał, starając się opanować atak kaszlu. - Czy ja dobrze usłyszałem? Powiedziałaś Cyrus Waldeck?

- Ten sam. Pamiętasz go, prawda? Po wojnie wrócił do Federacji... Federacji Ziemskiej. Teraz pełni służbę na misjach z naszą flotą. Powiem ci w sekrecie, że podoba mu się tam nawet bardziej niż w Unii. Nie udało mu się przyzwyczaić do oficerów z Chanatu... a poza tym jest uczulony na ich futro.

- To już jest przynajmniej jakiś powód. - Trevayne usilnie starał się zachować powagę. - Ta alergia poważnie ogranicza jego możliwości towarzyskie. No oczywiście, że go pamiętam. Były kapitan twojego flagowca. - Dla niego działo się to całkiem niedawno. - Ale jak rozumiem, dziś nie ma... żadnych obiekcji, by służyć pod tobą, dla Obrzeża?

- Nie, zupełnie żadnych. - Remko był lekko zaskoczony. - Naprawdę lubi tu wszystkich. Myślę, że dla niego jesteśmy mieszkańcami Pogranicza, którzy mimo wszystko pozostali lojalni wobec Federacji. A jeśli chodzi o nas... - Remko odkaszlnął i nieświadomie sparafrazował słowa jednego z polityków, wypowiedziane na długo przed erą podróży międzygwiazdnych - może i on jest z Planet Korporacji, ale to nasz człowiek!

- Rozumiem. - Trevayne uśmiechnął się, przywołując świeże jedynie dla siebie wspomnienia.

Cyrus Waldeck należał do rodziny bogaczy, których chciwość stała się jedną z głównych przyczyn rebelii. Trevayne szanował jego umiejętności, jednak fakt, że Waldeck musiał teraz służyć pod kimś z przeszłością Seana Remki, rozbawił go. Miał nadzieję, że obecna sytuacja i żelazna dyscyplina panująca we flocie zmusiła ich obu do skierowania swoich antypatii w innym kierunku.

Zawsze byłem zdania, że osobiste niesnaski trwają dłużej niż polityczne zatargi, pomyślał. Ale chyba nawet czysta nienawiść nie może trwać niezmiennie przez osiem dekad... czas, który dla mnie nie istniał i nie istnieje. Jedyne, co mogę, to przyglądać się rzeczom, które jawią mi się jako gwałtowne i niespodziewane zmiany.

- Sean, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tak dobrze się między wami układa. I zupełnie się mną nie przejmuj. Coraz bardziej odnoszę wrażenie, że każdy, kogo kiedyś znałem, albo diametralnie się zmienił, albo już nie żyje. - Przesunął wzrokiem po wielkim gmachu przed sobą, ale trwało to jedynie chwilę. Jego twarz pojaśniała. - Powodzenia, Sean. I przekaz Cyrusowi moje najlepsze pozdrowienia.

## ROZDZIAŁ III

### ONI SĄ SZALENI!

Ryk eksplozji wypełnił pomost flagowy *Hurusankham*. Ucichł dopiero po chwili, kiedy oficer łącznościowy otrząsnął się z szoku i nakazał komputerowi wyłączyć transmisję dźwięku. Pełna przerażenia cisza pozostawała w skrajnym kontraście z przeraźliwie brutalnymi i pełnymi przemocy obrazami zalewającymi główne ekrany. Ankaht cofnęła się o krok, z trudem kontrolując emocje. (Szok, opanowanie się siłą woli.) Nefarat, kapitan flagowego okrętu Pierwszej Fali, nie poruszył nawet najmniejszymi mackami. (Kalkulacja, agresja.) Brak agresywnej reakcji był dla niego na tyle charakterystyczny, że nie wzbudzał jakiegokolwiek zaniepokojenia, jednak zastanawiające było, dlaczego właśnie on został wybrany na kapitana. Zagadkę nieco rozjaśniał fakt, że on i starszy admirał byli bardzo do siebie podobni - obaj należeli do szanowanych *Destoshaz*, obaj byli wojownikami.

- Starszy admirał proszony na mostek - powiedział cichym głosem, a jego słowa natychmiast przekazano dalej.

Oświetlenie było zbyt jasne i zbyt niebieskie dla ludzkich oczu, a żółta poświata z ekranów sprawiała wrażenie wyblakłej.

Oficer łącznościowy Yegire (Rozpacz, strach.), która nie przypuszczała, że kiedykolwiek przyjdzie jej zmierzyć się z komunikacją z obcymi, siedziała, zakrywając twarz dłonią, jakby miała nadzieję odciąć się od odrażających widoków z planet, które miały się stać nowym Ardu. (Ucieleśnienie spokoju.) Nowy dom. Akurat usiłowała się połączyć z *Buvastash*, kiedy na ekranach pojawiły się obrazy, które zatrzymały wszystkich w pół ruchu.

Drugi dowódca trzymał emocje pod kontrolą, jednak wszystko zdradzała skóra - biało-żółta, upstrzona czerwonymi plamami. Wszyscy byli tak przejęci, że *selnarm* stała się niemalże szeptem.

Na ekranach widać było niewielkie okręty przesuwające się nad planetą, a ich drogę znaczył szlak brzydkich chmur wybuchów jądrowych. Jednostki walczyły między sobą i z

większymi jednostkami, a potwory stały, mówiły i wymachiwały czymś, co przypominało normalne ramiona, choć brakowało na nich macek i szponów. Mieli przeraźliwie sztywne palce. Niemal wszystkie głowy zwieńczone były mięsistymi, nieruchomymi naroślami i żadna z kreatur, które wysadzały się nawzajem w powietrze, nie miała więcej niż dwoje oczu.

Część miała wyglądającą na dotkniętą chorobą brązową i beżową skórę; inne całkowicie pokrywało futro. U reszty placki futra widać było tylko w niektórych miejscach. Kreatury w całości okryte sierścią jak *yihrt* miały długie kły niczym wymarłe już drapieżniki. Inne, podobne do ptaków, pokrywały chyba prawdziwe pióra. Pełne spektrum dziwnych stworzeń siedziało dookoła biurka. Stołu?

Drzwi otworzyły się po cichu. Nic więcej nie wskazywało na to, że przybył właśnie starszy admirał. Torhok zmienił kapitana w niszy dowodzenia. (Przejęcie dowodzenia.) i (Uznanie, zastępstwo.) Jak na *Destoshaz* był średniej wielkości, ale za to zwarty i twardy jak skała. Jego skóra połyskiwała matowym złotym kolorem, a zachowanie zawsze przyprawiało macki Ankaht o solidny węzeł. Ćwiczył trochę *matsokah*, trochę „treningu duszy”, lecz jego *sulhaji* nie było „prawdziwym widzeniem” czy „prawdziwą wizją”, którą ona dostrzegła. Innymi słowy, między nimi nie było dobrej *Sarmata*. Zacisnęła żwacze i zapanowała nad emocjami. To nie był czas i miejsce na okazywanie złej woli i niezgody przez *selnarm*.

- Yegire. (Silne wsparcie.) - Admirał Torhok odezwał się głosem delikatniejszym niż zazwyczaj, kiedy zajmował miejsce na stanowisku dowodzenia. Pomagał w ten sposób oficer łącznościowej otrząsnąć się z szoku. - Co oni mówią? Czy starają się cokolwiek przekazać?

- Sir, to tylko hałas. (Ustępująca rozpacz, empatia.) Częstotliwość *selnarm* jest zupełnie pusta. Są jak maszyny, sir.

- Koszmar Illudora - szepnął ktoś. Admirał nie odwrócił wzroku od ekranu (Obrzydzenie, rozpacz.), jednak gwałtowność, z jaką zareagował podświadomością na tę uwagę, nakazała Ankaht zrobić kilka kroków w tył. (UWAGA.)

- Nie jesteśmy nowymi stworzeniami. Niezliczone życia poprzedzają obecne, a nasze działania będą odzwierciedleniem doświadczenia i troski! (Nieugiętość.) Istniejemy z woli Illudora i z jego woli zostaliśmy rozproszeni przez Sekahmant. - Powoli obrócił fotel. - Domyślam się, że inne statki również odbierają tę transmisję. - Wskazał głową na ekran, gdzie dwa dziwaczne stworzenia z futrem na głowie siedziały po przeciwnych stronach jakiegoś przedmiotu i przerzucały się jazgotliwymi dźwiękami. - Pewnie panika już się rozprzestrzeniła. (Spokój, siła woli, gotowość do obrony.) Yegire, zorganizuj konferencję za godzinę. Wszystkie statki, ich kapitanowie i grona, które damy radę zgromadzić i działać w *narmata* w oczach Illudora.

(Ulga.) płynęła z pomostu. Ankaht, jako najstarsza z wybudzonych, pozwoliła sobie jedynie na odrobinę (Powściągliwość.), jako części *narmata*. Nie była zadowolona ze sposobu, w jaki najmłodsze pokolenie na statku scedowało kontrolę na dowódców, często w ogóle o tym nie myśląc. Odbierała to jako upadek rasy, zmniejszanie potencjału *holodah* dla każdego z podróżujących. Nie czuła się komfortowo, obserwując przemijające kolejne pokolenia. Ich *narmata* była już ograniczona i surowa w sposób, który działał jej na nerwy.

- Tak jest, admirale. Za godzinę.

- Najstarsza, zbierz, proszę, resztę podobnych tobie, by wesprzeć nas swoją (Tłumiona uraza.) wiedzą - zwrócił się do Ankaht. Mimo że większość *shaxzhu* uważała go za sprawnego dowódcę, on sam nie miał żadnych wspomnień z wojen, w których brał udział, i bitew, którymi dowodził. Jeśli, na Illudora, nie ma nikogo poza „nami”, to jaki sens było wybierać wojownika na starszego admirała Pierwszej Floty, myślała. Teraz okazało się, że najwyraźniej nie jesteśmy sami. Ktoś musiał przewidzieć, że możemy się spotkać z agresywnym powitaniem.

Znacznie lepiej niż on radziła sobie z niepożądanymi emocjami, choć biologicznie byli w tym samym wieku. Jej *shaxzhutok* i doświadczenie zebrane jeszcze na rodzinnej planecie dawały jej jednak przewagę, o której zniwelowaniu on mógł jedynie marzyć. (Kojący szacunek.)

- Oczywiście, admirale.

\* \* \*

Dzień później wszyscy wybudzeni siedzieli cicho w ciemnej sali zebrania, dryfując w swojej *narmata*. Pozostawali zahibernowani, kiedy całe pokolenia inkarnowały na statku, coraz bardziej oddalając się od *shaxzhu* rodzimej planety. Mieli także świadomość oczekiwania bezcielesnych na zasiedlenie powierzchni nowego świata. Na okręcie flagowym było tylko 452 *shaxzhu* i znacznie prościej było spotkać się najpierw w mniejszych grupkach i ustalić wspólny kierunek, by potem być gotowym na ogólne spotkanie, które miało się wkrótce odbyć.

Ankaht ustawiła światła na tuż po zachodzie słońca i na chwilę przed wschodem Sekahmantu; uznała, że półmrok pomoże wszystkim panować, nad emocjami. Byli zamyśleni, siedzieli ze splecionymi mackami, by ułatwić *narmata*. Mimo że sala zgromadzeń była w najdrobniejszych szczegółach odwzorowaniem pokoju zgromadzeń w domach, w których mieszkali wcześniej, miała gorzką świadomość, że istnieje jeden poważny problem - nigdy już nie znajdą się w swoich domach.

Dzieła reprezentujące *sulhaji*, umieszczone by przypominać, że *holodah* jest osiągalny dla każdego, na macierzystej planecie byłyby czymś więcej niż tylko hologramami i *shotan*. Zgodnie z tradycją, kiedy uczestnicy zgromadzenia stawali się zbyt pobudzeni, mogli zerwać grono i udać się na kontemplację dzieł sztuki. Tutaj, jeśli ktoś szukał ukojenia w *narmata*, czy to w sobie samym, czy w całym zgromadzeniu, mógł jedynie patrzeć na hologramy, bo nie dało się ich dotknąć. Nic nie ważyły, ledwie kilka fotonów zawieszonych w przestrzeni. Tęskniła za tymi znanymi ze swojego domu.

Szum wentylacji i wszechobecny, delikatny zapach charakterystyczny dla zamkniętych przestrzeni źle działał na jej podświadomość - bez przerwy musiała się kontrolować. Nie pomagały odległe, ledwie zauważalne wibracje, które mimo wielkości statku rozchodziły się po całym pokładzie, świadcząc o działaniu monstrualnie wielkich silników. Współczuła pierwszemu pokoleniu, które wychowywało dzieci, nie znając innego świata, i cieszyła się ze swojej bezcielesnej natury. Z całą pewnością będą pierwsi w kolejności do narodzin, kiedy pojawi się czas na kolejne pokolenia na nowej planecie. Pod warunkiem że napotkani obcy nie przeszkodzą im w osiedleniu się.

Wybudzeni spędzali większość czasu we własnym towarzystwie, choć naprawdę starali się przebywać jak najwięcej z pokoleniami wychowanymi na statku. Zarówno Ankaht, jak i Thutmus, oboje *shaxzu*, którzy wiele żyć spędzili razem, wiedzieli, że są tam po to, by połączyć starą *narmata* z nową. Okazało się jednak, że nowe pokolenia są trudne, bardzo trudne w obyciu, dla wszystkich z wyjątkiem Neferek i Silar, wysokich i jasnych, którzy uznali mieszkańców statku za lepsze towarzystwo niż pozostałych wybudzonych. Ich obecność wprowadzała dysharmonię w *narmata*, posmak zepsucia w słodkiej zupie.

Ankaht powtarzała to sobie, wysyłając przekaz (Otwarcie, akceptacja.) w ich kierunku. Potrafiła równie dobrze kontrolować swoją niechęć do nich jak niechęć do starszego admirała. Była niemal pewna, że w żaden sposób nie zdradza się ze swymi odczuciami. Moim obowiązkiem wobec rasy jest podtrzymanie *narmata*. To jedyna gwarancja przetrwania, późniejszej inkarnacji tych, którzy czekają, i nadzieja na *holodah*. Silny ucisk macek po obu stronach uspokajał. Thutmus był ciemny podobnie jak ona i dostatecznie spokojny, by jego centralne oko pozostawało zamknięte nawet w obliczu katastrofy.

Siedzący po jej drugiej stronie Hathrok był jasny, rozluźniony, a Ankaht czuła radość, że ma ich obu przy sobie.

- Najwyraźniej nie jesteśmy jedynymi odbiciami myśli Illudora. - Thutmus odezwał się cichym głosem. (Uzasadniona refleksja.) - Mieliliśmy tego jednoznaczny dowód. - Strzelił szponami, nie zrywając zgromadzenia.



- Nie tak szybko. - Neferek zamknęła środkowe oko. (Zaprzeczenie, zaprzeczenie, negacja.) - To nie był żaden dowód, że oni są obdarzeni jakąkolwiek inteligencją! - (Zdrada, odrzucenie, złość.)

*Narmata* w pomieszczeniu była najwyraźniej przeciwko niej, jednak nie poddawała się i walczyła dalej.

- Moim zdaniem nie są. Być może wcześniej mieszkał tam lud, a to, co zobaczyliśmy, to tylko ich zwierzęta domowe? (Nadzieja?) Obserwowaliśmy je przez kilka dni i z całą pewnością nie ma tam nawet śladu świadomej *selnarm*! Nic, tylko bezsensowny hałas! Jak jakieś *flixit*! - Przez salę przeszła fala żalu po ulubieńcach, bo na statku nie znalazło się miejsce nawet dla tak małych stworzeń. Ankaht poczuła ukłucie i tęsknotę za pieśnią, którą śpiewał jej *flixit*.

Oczywiście nie było tak, że zwierzęta zostały porzucone na macierzystej planecie; po prostu z powodu ograniczeń nie mogły podróżować żywe i wybudzone. Podróżowały pod postacią zamrożonych embrionów w bankach genów, czekając na nowy dom. Przez kilka tygodni, kiedy Ankaht była wybudzona, dręczyły ją koszmary. Wydawało się jej, że została zamrożona w banku kriogenicznym, lecz nie straciła świadomości. Myślała i czuła, a jednak z jakiegoś powodu nikt nie mógł jej usłyszeć. Tyle było w tym sensu, co we wszystkich widziadłach sennych... chyba że była to pamięć *shaxzhu*. Otrząsnęła się szybko, zanim sny zdążyły rozprzestrzenić się przez *selnarm* i zakłócić *narmata*. (Zgoda 1, niepewność 12, sprzeciw 20.)

- Moim zdaniem oni posiadają inteligencję, bo gdyby było inaczej, nie rozwinęłyby takiej technologii... po obejrzeniu zdjęć nie ma co do tego wątpliwości. Chyba udało się nam też odkryć i zrozumieć zupełnie nowe drogi komunikacji, pozostające bez związku z *selnarm*; chodzi mi tutaj o gesty. Być może *selnarm* ma u nich postać zapachu lub przekazywany jest na innych częstotliwościach. - Ankaht mówiła zdecydowanym tonem. - Zamysły Illudora są bardziej tajemnicze, niż mogliśmy przypuszczać. (Podziw, radość, strach, zrozumienie.)

- Oni zabijają się nawzajem - powiedział Silar. (Zamknięcie się na argumenty, upór.) - Nie potrafią się poprawnie porozumiewać. I potwierdziło się, że odgórnie wybierają gatunki, które chcą pozbawić cielesnego życia - jedni przeciwko drugim. Illudor nie stworzyłby czegoś równie ohydneho. (Fanatyzm.)

- To należy jeszcze dokładniej zbadać. (Rozsądek w obliczu ignorancji.) - Sapnął Hathrok, impulsywnie jak zawsze. - Bardzo miło z twojej strony, że informujesz nas o zamysłach Illudora. Najwyraźniej pozostajesz z nim w bezpośrednim kontakcie! (Sprzeciw.)

(Spokój.) Ankaht przerwała im.

- Nie możemy walczyć między sobą. (Rozsądek, kontynuacja.)

Neferek ograniczyła *selnarm* do cieniutkiej struzki. (Obraza, potwarz.)

- Choćbyś chciał, nie możesz zaprzeczyć, że te stworzenia dokonały eksterminacji przynajmniej dwóch ras, a to tylko to, czego byliśmy świadkami. Wydaje się jednak, że dla nich to nic nowego. Posunęli się nawet do zderzenia planet, by wybić ich mieszkańców.

(Milczące przerażenie.)

(Bezruch w obliczu zagrożenia atakiem drapieżnika.)

(Furia w samoobronie.) Salę wypełniło trzaskanie i zgrzyt pazurów. Grono wyglądało jak płatanina wysuniętych szponów.

- Masz rację (Niepewność.) - oznajmiła Ankaht, delikatnie opuszczając ramiona, zrywając tym samym obronne grono. - Ale możliwe też, że ich po prostu nie rozumiemy. Powinniśmy się strzec, by nie powtórzyć chaotycznego i bezsensownego zachowania, które miało miejsce za czasów Harroka Wszechogarniającego. Niektórzy z nas byli tam wtedy i nie udało im się tego powstrzymać.

Zgromadzonych przeszył dreszcz, kiedy przypomniła im o tamtym życiu i tamtych potwornościach. To, co się wydarzyło, stało się za sprawą manipulacji pierwszego wojownika. Zapanował wtedy czas krwi i ognia, a wielu zostało pozbawionych cielesnego życia z niewłaściwych powodów.

(Otwarcie, ciekawość chowająca się za ostrożnością.)

- Nie powinniśmy niczego zakładać.

(Zgoda 30, niezdecydowanie 2, sprzeciw 2.)

\* \* \*

Starszy admirał Torhok miał po dziurki w nosie swoich doradców, którzy jak mantrę powtarzali, by był ostrożniejszy i mniej agresywny. Stworzenia, które obserwowali, stanowiły zagrożenie dla całej rasy. Zabijały i cieszyły się z tego. Część z przechwytywanych transmisji stanowiła muzyka, o ile można ją było tak sklasyfikować. Czasem do tego stopnia przepełniała ją wspólna radość, że dało się w niej znaleźć ślady *selnarm*. Świątowali zniszczenie planet. Świątowali zbrodnię.

Nie podniósł dłoni z pulpitu dowodzenia, a jedyną oznaką powstrzymywanych emocji było delikatne stukanie pazurami po przyciskach. Zajmował to miejsce znacznie dłużej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Wszyscy zakładali, że Illudor, skłaniając ich do szybkiego opuszczenia macierzystej planety, szybko daruje nowy dom rasie stworzonej na swoje podobieństwo.

Jego odpowiedzialność obejmowała Pierwszą Falę - każdy z dwudziestu sześciu statków pokoleniowych.

I wszystkie następne fale, aż do ostatniej, którą zabiła radiacja i fala uderzeniowa, bo nie zdążyła uciec przed eksplozją. Musieliby pędzić z prędkością bliską prędkości światła, by zadziałało ekranowanie, a nie mieli dość czasu, by ją rozwinąć. Prawdopodobnie gorsze okazało się tsunami pyłu, którego obłoki pędziły z prędkością podświetlną w tak wielkich ilościach, że pochłonęły trzy miliony istnień tych, którym nie udało się uciec.

Wśród bezcielesnych wielu z pewnością pamiętać będzie zagładę, kiedy cała planeta wyparowała, a ostatnie statki z uchodźcami nie zdążyły uciec z zasięgu eksplodującej gwiazdy i zostały doszczętnie zniszczone. *Selnarm* przekazała falę wywołaną przez umierających, dając upiorny dowód, że częstotliwość, na której funkcjonował ten zmysł, musiała pozwalać znacznie przekraczać prędkość światła. Przekazywanie przez *selnarm* czyjejś śmierci nie było przyjemne, ale też nikogo nie szokowało. Zdarzało się, że dla tych, dla których długie życie stanowiło udrękę, śmierć była ulgą. W tamtym jednak przypadku liczba równoczesnych śmierci była tak przytłaczająca, że pozostający przy życiu przez całe tygodnie nie mogli się otrząsnąć z traumy. Śpiącym zostało to oszczędzone. Podobnie jak oszczędzona została wrodzona zbiorowa pamięć, przekazywana całemu gronu, którego rolą było zapewnienie przetrwania.

Naukowcom z tamtego pokolenia udało się zakłócić przepływ *selnarm* pomiędzy statkami, zapobiegając masowej traumie. Potem umożliwili komunikację z prędkościami większymi od światła.

Stuknął pazurem, wyświetlając na ekranie najświeższe dane. Cokolwiek stanie się nam, reszta odczuje to przez *selnarm*. Nawet jeśli nie poznają szczegółów, będą wiedzieli, na co się przygotować.

Te potwory - nie potrafił inaczej o nich myśleć - najwyraźniej znały sposób na podróżowanie między systemami gwiazd, nie w przestrzeni myrtakiańskiej. Właściwie to możliwości były dwie - albo podróżowali pomiędzy systemami gwiazdnymi, albo opanowali sztukę tworzenia okrętów z niczego, lecz to akurat było jeszcze mniej prawdopodobne. Pierwsze rozwiązanie tłumaczyłoby także bogactwo odmiennych fizyczności, odzwierciedlających prawdopodobnie przynależność poszczególnych osobników do różnych gatunków. Jednak żadne z nich nie przejawiało najmniejszych śladów *selnarm*, a to, co było widać, to nieprzerwane pasmo agresywnych, zbrodniczych zachowań. To właściwie upraszczało sprawę. Miał do czynienia z potworami stanowiącymi realne zagrożenie dla jego rasy.

\* \* \*

Dyskretny dzwonek interkomu rozległ się w chwili, gdy Sean zapinał spodnie.

- Remko, słucham. - Rzucił przez ramię, myjąc ręce.
- Sir, flota obcych zaraz znajdzie się w zasięgu naszych sensorów.
- Za chwilę będę na mostku.
- Tak jest, sir.

Gdy poprawiał kurtkę mundurową, nasza go zaskakująca myśl - żaden z bohaterów seriali, które kiedyś oglądał, nie był wzywany do akcji z toalety. Wspomnienie młodości musiało być oznaką stresu - stresu, który dzielił ze wszystkimi. Zespół wydzielony leciał z zadaniem przechwycenia obcych, a to oznaczało spędzenie w przestrzeni więcej czasu, niż byli przyzwyczajeni. Czym innym były godziny czy całe dni w podróży pomiędzy warpami, a czym innym wyprawa w bezmiar kosmosu, ogrom przestrzeni newtonowskiej, by spotkać nieznaną rasę obcych. Być może wkrótce przyjdzie im otworzyć puszkę Pandory.

Koniec końców, mogło dojść do użycia siły. Każda jednostka, która była uzbrojona i potrafiła przemieszczać się w normalnej przestrzeni, została włączona do zespołu wydzielonego, szybko ochrzczonego przez media „komitetem powitalnym”. W jej skład wchodził tuzin supermonitorów, kilka dreadnoughtów, garstka przestarzałych już krążowników liniowych i nawet orioński lotniskowiec, o którym Showaath robiła reportaż. Spora grupa polityków uważała, że wysłanie na spotkanie obcych dużej grupy uzbrojonych jednostek raczej trudno uznać za pokojowe powitanie. Zawiązała się nawet niewielka frakcja, która forsowała wysłanie pojedynczego komunikatu powitalnego, np. „Przybywamy w pokoju” albo jakiegoś innego ogólnikowego i bezsensownego frazesu we wszystkich aktualnie znanych językach.

Dzięki Bogu, mamy ludzi o większym wyczuciu, którzy po prostu zmiażdżyli ten pomysł, pomyślał Remko. Prowadzimy wojny międzyplanetarne już od stuleci, a ci idioci chcieliby wyruszyć na powitanie kogoś, kto może okazać się bezwzględnym mięsożercą, jak steki przybrane świeżą pietruszką. Na pomost flagowy dotarł energicznym krokiem, ale bez pośpiechu; uznał, że nie ma potrzeby wprowadzania nerwowej atmosfery. Podszedł do kapitana Gilforda, poczekał, aż ten wstanie, i zajął fotel admirałski. *Haida* była supermonitorem raketowym. Jego zadanie polegało na trzymaniu się poza zasięgiem dział energetycznych przeciwnika i nękanii go raketami. W skład komitetu powitalnego wchodziły również *Williamsburg*, *Nunavut* i *Dallas*. Wszystkie zostały zaprojektowane tak, by po przeczekaniu wymiany raketowej zbliżyć się na odległość pozwalającą na użycie broni

energetycznej, jeśli istniałaby jeszcze taka potrzeba. Choć miał nadzieję, że nie będzie to konieczne. Ale tak naprawdę nie wiedział, czego się spodziewać.

Obecna sytuacja była czymś absolutnie niezwykłym: obcy pojawili się w sposób, którego nikt nie brał pod uwagę. Musieli mieć diametralnie różne podejście do podróży kosmicznych. Najwyraźniej planowali przemieszczać się między systemami gwiazdowymi przez najnormalniejszą przestrzeń - innymi słowy, chcieli lecieć tysiące lat, by fizycznie pokonać każdy kawałek drogi. A to oznaczało, że od teraz wroga można się było spodziewać z każdego kierunku, a nie tylko od strony warpów. Chyba dziennikarze się zlitowali i nie chcąc wywoływać paniki, nie drążyli tego tematu. Dzięki Bogu. Jedyne, czego im teraz brakowało, to dwadzieścia trzy miliony dusz ogarniętych wizją zbliżającej się powtórki z ataku Pająków, przybywających z niemożliwego do przewidzenia kierunku. Siadając w fotelu, postanowił więcej czasu poświęcić na ćwiczenia, bo po szybkim marszu na mostek serce tłukło mu w piersi jak szalone. Nie jest dobrze, i to mimo że w końcu mam za sobą już połowę drugiej setki, pomyślał. Ale są przecież i inne powody podwyższonego tętna.

- Admirał na pomoście.

- Spocznij. Nora, raportuj, proszę.

Świeżo awansowana porucznik Nora Thompson niemal pisnęła, słysząc swoje imię, i zabrała się do dostrajania monitora.

- Dopiero co weszliśmy w zasięg, sir! Za sekundę obraz będzie wyraźniejszy... - Admirał opadł na oparcie fotela, czekając, aż porucznik Thompson skończy dostrajać czujniki. - Już, sir. Gotowe. - Mimo młodego wieku należała do ścisłej czołówki. - W jej rękach sensory posłusznie mruczały.

- Mam połączenie z admirałem Waldeckiem, sir - odezwał się spokojnym głosem oficer łącznikowy Jorge Miezaki.

- Dobrze, przełącz go do mnie.

- Tak jest, sir.

Waldeck siedział na pomoście flagowym swojego okrętu flagowego *Antietam*, supermonitora raketowego, które preferowała Marynarka Obrzeża, a Sean wyobraził sobie szczupłą, nobliwą postać admirała oczekującego na dane, które w końcu zaczną spływać.

- Admirale Remko, czy pan to widzi? - Waldeck jak zwykle mówił z silnym akcentem i niewyraźnie, do tego stopnia, że ktoś mógłby uznać to za oznakę lekceważenia. Sean zamyślił się na chwilę, przypominając sobie czasy, kiedy Cyrus był kapitanem jego okrętu flagowego i mimo że sprawował się nadzwyczaj dobrze, kręcił nosem, słysząc dookoła akcent z Pogranicza. Otrząsnął się i wzruszył ramionami, gdyż poczuł irytację, że ta drobna pamiątka z

Planet Korporacji wciąż budzi w nim niechęć.

Na głównym ekranie pojawił się obraz wyostrzony przez porucznik Thompson i przyciągnął wzrok wszystkich, mimo że usilnie starali się skupić na własnych monitorach. Podczas gdy dotychczas obraz przedstawiała pojedyncze punkty o różnych kolorach, oddalone od siebie na tyle, że aby zobaczyć je na jednym panelu, puste przestrzenie między nimi trzeba było znacznie zredukować, tym razem pojawiły się na nich statki obcych.

- Powiększenie - Thompson wydała komendę cichym głosem.

Obraz się zmienił i przybliżył pojedynczy obiekt.

- Tak, Cyrusie, też je widzę. - Sean mówił niepokojąco spokojnie, kiedy wpatrując się w obraz, uświadamiał sobie powoli, czego właściwie jest świadkiem.

Już i tak ciężką atmosferę pogorszyła sylwetka supermonitora, którą Thompson dla porównania umieściła tuż obok jednostki obcych.

- Miej nas w swojej opiece - szepnęła chorąży Perry znad konsoli artyleryjskiej. Sean w duchu powtórzył jej prośbę. To był potwór.

\* \* \*

- Ich najmniejsza jednostka ma dwanaście kilometrów długości, sir. - Głos Thompson wyraźnie drżał, kiedy przekazywała te dane. - Dwanaście kilometrów, sir.

- Sean... - Waldeck zająknął się, ale szybko wziął się w garść i dodał: - Admirale. - Był na tyle zszokowany, że wolał wrócić do formalnego tytułu.

Remko też wolał, by tak się do niego zwracać. Dość dużo wysiłku kosztowało go zachowanie kamiennej twarzy.

- Tak, Cyrusie. - Wziął głęboki oddech i opanował się.

- Nie sędzę, by była to kurtuazyjna wizyta. Nie przy dwudziestu sześciu jednostkach tej wielkości. Chyba że oni są jakimiś gigantycznymi stworzeniami i po prostu potrzebowali takich behemotów, co moim zdaniem jest raczej nieprawdopodobne, albo są ich tam tysiące.

- Też tak myślę. Jest ich za wiele, żeby założyć, że wpadli po drodze na kawę. Z drugiej strony nie możemy też zakładać, że będą zaraz wymachiwali bronią.

- Niemniej zalecam najwyższą ostrożność, Sean. Największy z nich ma wyporność... ponad czterystu miliardów ton.

Usta Seana ułożyły się do bezgłośnego gwizdu niedowierzania i podziwu. Boże, spraw, by nie przybyli tutaj prowadzić z nami wojny.

- I takie też jest twoje zadanie, Cyrusie. Bądź ostrożny. Ale mam nadzieję, że się mylisz. - Zwrócił się do oficera łącznościowego: - Miezaki, masz cokolwiek?

Jorge uniósł wzrok i pokręcił głową, a potem gestem tak starym jak archaiczne słuchawki uniósł palec i dotknął implantu wszczepionego pod skórę prawej skroni.

- Nie, sir. Wszystkie częstotliwości puste, a komputery dodatkowo śledzą pasma powyżej i poniżej słyszalnych.

- Dziękuję, Jorge. - Sean pokręcił głową. - Jeśli cokolwiek się pojawi, natychmiast daj mi znać. Tymczasem zabierzemy się do przygotowania powitania...

- Sir! Z jednego z nich startują mniejsze jednostki! Myśliwce? - Ostatnie słowo Thompson wypowiedziała, wyraźnie wąpiąc, czy ma rację, bo startujące obiekty, mimo że mniejsze, też były bardzo duże. - Jest ich bardzo wiele. Jak dotąd przynajmniej siedemdziesiąt pięć startów, sir. Są wielkości... - przerwała na chwilę - są wielkości superdreadnoughtów, sir. I mają normalne napędy.

- Panno Marcus, do wszystkich jednostek - zatrzymać się względem jednostek macierzystych. Nie mają innego wyjścia i muszą się zbliżyć, bo nie mogą przerwać wytracania prędkości i wyłączyć silników. Skorzystają więc z okrętów pokładowych, bo tylko one mogą normalnie manewrować, i na nich się skupimy.

Kolosalne przemieszczały się ze stałym opóźnieniem kursem na Bellerophon, a mniejsze jednostki ruszyły w kierunku jego okrętów, przypominając niewielkie robaczki odskakujące od ociężałego żółwia.

- Potwierdzony start wielu okrętów wielkości krążowników liniowych, sir.

Sean zawahał się, lecz na tak krótką chwilę, że nikt poza nim tego nie zauważył, i zaczął wydawać rozkazy.

- Cyrusie, zatrzymaj wszystkie jednostki. Nie chcę, byśmy niepotrzebnie sprawiali wrażenie agresywnych. Niech mały pazur Zteeffwiit'gahrnak będzie gotów do natychmiastowego startu, bo możemy potrzebować jego myśliwców. Czekać na mój rozkaz.

- Zrozumiałem. - Automatyczny tłumacz ogołocił odpowiedź oriońskiego dowódcy z wszelkich emocji, lecz wypowiedziana została równie oschle jak odpowiedź Cyrusa. Po chwili okręty Remki zwolniły i wyrównały szyk, tworząc luźną ścianę.

\* \* \*

- Jednostki obcych zwalniają, admirale. Rozpraszają się.

Torhok, na tyle, na ile był w stanie, wysłał (Wsparcie.).

- To może być początek manewru ataku.

Ankaht zaprotestowała, nie ruszając się ze stanowiska obserwatora. (Sprzeciw.)

- Admirale, jeśli mogłabym... to tylko przypuszczenia. Nie atakują nas.

(Złość.)

- Jeszcze nie, starsza. Może i zwalniają, ale nie przestają się zbliżać.

- Admirale, jest kontakt.

Obcy, który pojawił się na ekranie, był bardzo szeroki. Miał na sobie coś podobnego do narzut, które nosiły bezwzględne stworzenia z przechwyconych transmisji. Odezwał się, a Torhok spojrział wyczekująco na starszego technika komunikacyjnego Nerfiht. Ten pokręcił głową i wzruszył ramionami. (Strapienie, mdłości, strach.)

- Brak *selnarm*. Nic, tylko ten hałas.

- Admirale - odezwała się cichym głosem Ankaht. (Spokój i rozsądek, pokojowa harmonia.) - Mówią do nas, a nie strzelają.

(Tłumiona pogarda.)

- To rozumiałe, że starają się nawiązać z nami kontakt, starsza. Lecz moim zadaniem jest ochrona ludu. W nas cała nadzieja. I choćby nie wiem co, dowiozę ich wszystkich do nowego domu. Jestem *Destoshaz*, jestem wojownikiem i taka jest moja powinność. *Shaxzhu* czy nie, jeśli w dalszym ciągu będziesz się przeciwstawiała, uznam to za wyzwanie dla *matsokah*. (Wzbierająca wściekłość.) Pozbawię cię obecnego życia. Z wielkim żalem (Oczywiste kłamstwo.), ale zrobię to.

- Oni rzeczywiście porozumiewają się w ten sposób, ale nie wiemy, czy to nie jest jakieś ostrzeżenie. - Jego *selnarm* niemal przestała płynąć, zatrzymana przez wzrastającą furję i strach. - To może być szyk do ataku.

\* \* \*

- Admirale, eskadra oczekuje na rozkazy. (Strach.)

- To niech czeka. My też czekamy na rozkazy od starszego admirała Torhoka. - Młodszy admirał Vakelnar wyładował gniew na kapitanie. Na jego barki spadła odpowiedzialność za eskadrę, ale znacznie większa odpowiedzialność dotyczyła statków macierzystych, które pozostały z tyłu. Był młody jak na funkcję, którą piastował, a jego *shaxzhu* świadczyło, że jest młody również duchem, podobnie zresztą jak większość *Destoshaz*. Bardzo się bał o wszystkich tych, których ochraniał. *Hurusankham*, na którym znajdowali się ci, którzy go wychowali, a partnerka w *selnarm* przygotowywała się właśnie do startu, był zupełnie bezbronny. Jego okręt pokładowy *Rahrahmpaht* i pozostałe z tej grupy również nie stanowiły specjalnej osłony przed zbliżającymi się potworami.

Zacisnął macki w węzły i oparł je na oparciach w swojej niszy, czekając na rozkazy od Torhoka. Na pozwolenie obrony rasy. Zacisnął zwiacze i nerwowo mrugał wszystkimi trzema



oczyrna. Jego *selnarm*, stała się bardzo głośna i łączyła się z *selnarm* reszty obsady mostka. (Strach, wściekłość, podniecenie, mdłości.) Mimo że wszyscy koncentrowali się na swoich obowiązkach, powietrze pulsowało ich strachem, niepewnością i stukaniem szponów - pełnym złości i nieświadomym. W pomieszczeniu unosił się zapach bojowego podniecenia.

- Wchodzimy w zasięg czujników, młodszy admirale.

- Przełącz na ekran - I on, i jego towarzysz rozmnożyli się w oczekiwaniu na nowy dom, pozostawiając dzieci w gronie na statku macierzystym. Nie miało znaczenia, że nie znał jego dzieci - miał inne zadania. Jego obowiązkiem było chronić wszystkich, młodych i starych. Przełknął głośno ślinę, kiedy na ekranie pojawił się okręt obcych. Natychmiast go poznał. Zastanowił się, jakie podjąć działania.

- Admirale! Intensywność skanowania drastycznie spadła! Jesteśmy namierzani przez wiele źródeł energetycznych!

Zamarł na ułamek sekundy, zanim zaczął wydawać rozkazy.

- To sensory celownicze. Wystrzelić rakiety!

## ROZDZIAŁ IV

### STRZELAJĄ DO NAS!

W układach hierarchicznych, szczególnie tych militarnych, niekiedy dzieje się tak, że awansując ludzi, nie bierze się pod uwagę ich kompetencji, lecz często z konieczności przesuwa się ich dalej, na grunt całkowicie nieznanym, żywiąc nadzieję, że szybko nadrobią braki. Stratedzy wypisują niekończące się elaboraty na temat katastrofalnych skutków, jakie przynoszą decyzje podejmowane przez oficerów dobranych wedle takiego klucza. I nie ma znaczenia, czy chodzi o starszych, czy młodszych rangą - mechanizmy są te same, jednak jak na razie, w przeciwieństwie do Kociambrów, ludzie nie znaleźli właściwego rozwiązania.

Niezależnie od tego, czy decyzja wynika z braku potrzebnej w niektórych warunkach wiedzy o monsunach i skutkuje pozostawieniem armii bez żywności i wody na środku najniebezpieczniejszej pustyni w całym znanym świecie albo wysłaniem lekkiej kawalerii na spotkanie ciężkiej artylerii, czy też z braku porozumienia, co kończy się posłaniem krążowników liniowych do walki z superdreadnoughtami - ludzie nie protestują i nie kwestionują zdania dowódcy, preferując drogę prawną, która jeśli znajdzie swój finał, to po latach zażartej walki w sądach. Czasem jednak - ale naprawdę rzadko, gdyż oficerowie tego rodzaju dowodzą zazwyczaj zza pleców swoich żołnierzy - angażują się oni osobiście w prowadzone działania i usuwając swoje geny z ogólnej puli, oddają ludzkości przysługę.

\* \* \*

Przez dwadzieścia dwa dni *Montana* należała do niego. Kapitan James Hajii pochylał się do przodu, a na jego czole i górnej wardze perlił się pot. Te stwory, czymkolwiek były, nie odbiorą mu okrętu. Jego jednostka przeciwko nieznanym potworom z kosmosu. Jego piękny okręcik.

- Strzelają do nas, sir!

- Widzę przecież!

- Kapitanie, nasz system obrony anty... - Potężna salwa rakiet wystrzelonych z jednostek obcych wystarczyłaby, by zdmuchnąć *Montanę* i jej siostrzane jednostki. Kapitan Hajii, mimo że zawsze mógł służyć za przykład młodszego oficera, nie był przekonany o swoich umiejętnościach dowódcy, i co gorsza, zdawał sobie sprawę, że było to widoczne. Obawiał się stanowiska, na które został w pośpiechu awansowany i które zaakceptował w ogólnym rozgardiaszu przygotowań do kontaktu z obcymi. Postrzegał ich jako li tylko zagrożenie, ale był dość ostrożny, by nie mówić tego głośno, choć wiedział, że większość myśli tak samo.

Potężna presja przytłaczała go. Zażądał danych z aktywnych czujników, nie żeby zebrać informacje, lecz by udowodnić sobie, że coś robi... że cokolwiek robi. Ścisnął poręcz fotela. Obrona antyrakietowa *Montany* i siostrzanych jednostek *Novalis* i *Temuchin* była dobrym rozwiązaniem, lecz dywizjonowi brakowało doświadczenia wspólnej walki, mimo że lecąc do punktu przechwycenia obcych, spędzili wiele czasu na ćwiczeniach. Teraz spotkali się z salwą tak liczną, że nie dało się jej zatrzymać w całości.

*Montana* zatoczyła się, trafiona jedną rakietą, drugą, a potem trzecią, które prześlizgnęły się przez linię obrony antybalistycznej. Jej przeciążone systemy sterujące nie radziły sobie z olbrzymią liczbą celów. Kiedy doszło do uderzenia, zawyły alarmy i zatrzasnęły się przegrody grodziowe. Okręt gwałtownie przechylił się na burtę, przyprawiając wszystkich o mdłości. Ich życie zależało teraz od zachowania stabilności.

Kapitan James Hajii zagryzł usta i przez dłuższą chwilę milczał. Czuł, jak strach zaciska potężną pięść na jego wnętrznościach. *Montana* zadrzała, kiedy kolejny pocisk przedarł się przez pole siłowe i wbił w jej wnętrze. Eksplozja wcisnęła wszystkich w zabezpieczenia antyurazowe foteli.

- Odpowiedzieć ogniem! - wykrztusił.

- Kapitanie Hajii, wstrzymać ogień! Natychmiast wstrzymać ogień, to rozkaz! - usłyszał w uchu krzyk admirała Waldecka.

\* \* \*

- Sir! - Głos Thompson wypełnił mostek flagowy. - *Montana* uruchomiła aktywne sensory! - Odwróciła się i spojrzała na stanowisko dowodzenia, mimo że rozkazy Cyrusa usłyszała natychmiast przez komunikator.

- *Montana!* Natychmiast wyłączcie aktywne sensory! Kapitanie Hajii, do odwołania zezwalam jedynie na użycie pasywnych!

- Obcy odpalili rakietę, sir!

- Cyrusie, jedynie obrona antyrakietowa! - krzyknął Sean. - Wycofać się, sztyk obronny

Abel 2.

Mimo że wszyscy słyszeli rozkazy, *Montana*, *Novalis* i *Temuchin* zignorowały je.

- *Montana* trafiona, sir. Odpowiada ogniem, sir.

- Wycofać się, do wszystkich jednostek, wycofać się! - Remko czuł, że sytuacja wymyka się spod kontroli w sposób, którego nikt nie chciałby doświadczyć. Wciąż jeszcze istniała szansa, że uda się uspokoić sytuację i nawiązać kontakt. Wciąż jeszcze było to możliwe.

Po chwili koncepcja pokojowego spotkania z obcymi ostatecznie upadła.

\* \* \*

- Wsparcie, wiceadmirał *Vakelnar* - szczerknął *Torhok*, a *Ahknemakseht* i *Rahmehk* odpaliły rakiety. Dzięki niech będą *Illudorowi*, że dzięki herezji głoszącej istnienie obcych skonstruowaliśmy broń do „usuwania przeszkód”. W przeciwnym razie nie mielibyśmy czym się bronić przed tymi... morderczymi demonami.

*Ankaht* zamknęła oczy, by odciąć się od widoku wyświetlanego na ekranie, z całej siły powstrzymując (Gniew, przerażenie, wściekłość.), choć i tak jej *selnarm* została stłumiona przez gwałtowną reakcję *Destoshaz*. Wszystko źle, wszystko nie tak, pomyślała, zanim dołączyła do wspólnej *selnarm* Pierwszej Floty przygotowującej się do obrony rasy.

\* \* \*

- Wycofać się, wycofać się i nie odpowiadać! - *Sean* pochylił się do przodu. Widząc, jak cała flota obcych wystrzeliła w ich kierunku pociski, zrozumiał rozmiary swojej pomyłki. Gigantyczne statki macierzyste przybyszów również odpaliły salwę, zmuszając go do potraktowania ich jak celów taktycznych, mimo że siła ognia, jaką dysponowały, nie mogła się równać z siłą ognia *superdreadnoughtów*. Oceniając uzbrojenie z perspektywy ich rozmiarów, nie mieli się czym chwalić. Problemem pozostawała jedynie liczba wystrzelonych rakiet - była przytłaczająca.

- Sir, pociski... - Operatorowi sensorów zadrżał głos. - Około trzech tysięcy czterystu... Sir, za chwilę będę miał dokładniejsze dane... dokładnie trzy tysiące czterysta osiemnaście, sir.

Czego jak czego, ale braku kompetencji *Remce* zarzucić się nie dało. Należał do tych nielicznych ludzi, którym przez całe życie nie zdarzyło się znaleźć w sytuacji, która przekraczały ich siły i umiejętności.

- Do wszystkich jednostek, anuluję poprzedni rozkaz. Wszystkie jednostki do ataku. - Jeśli chciał wyciągnąć kogokolwiek z gówna, w które wdepnęli, musieli walczyć do...

Czekanie oznaczało zagładę. Statki obcych nie zatrzymają się - będą pędzić naprzód, w całości czy w częściach.

Wrogowie. Nie mógł skupiać się jedynie na ludziach znajdujących się na dowodzonych przez niego okrętach - przede wszystkim musiał teraz zacząć myśleć o mieszkańcach Bellerophona, dwudziestu trzech milionach ludzi na planecie, i o wszystkich pozostałych, o całej populacji. Behemoty obcych nie mogły dokonać tranzytu przez warpy, lecz ograniczenie to nie dotyczyło ich jednostek pokładowych. Zresztą nawet jeśli nie opanowali jeszcze tej metody, nie byli przecież głupcami.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę z prędkością błyskawicy; tak szybko, że nie przerwał wydawania rozkazów.

- Wszystkie myśliwce start! - polecił. - Sami ustalcie cele.

- Przyjąłem, Shaaanie Remmmko. Poczują nasze kły. - Nawet spłaszczający i pozbawiający emocji elektroniczny głos z translatora przepelniony był żądzą walki.

- Sir, ich rakiety są mniejsze od naszych, ale niewiele.

Nie wielkość pocisków była problemem, lecz ich liczba. Obcy wystrzelili w ich kierunku jeszcze dwie identyczne salwy. Porażający oczy błysk i promieniowanie pojawiły się w przestrzeni przed nimi, kiedy systemy antyrakietowe przechwyciły i zniszczyły pociski obcych, a nieliczne niedobitki trafiły w pola siłowe jednostek. Ale niezależnie od tego, jak wydajnie pracowały systemy obronne i jak skutecznie funkcjonowały generatory pól, nie było szans, by zatrzymać wszystkie rakiety wroga. Z głównego ekranu taktycznego pomostu flagowego zaczęły znikać symbole oznaczające kolejne jednostki.

- Sir, straciliśmy Etlę... sir... jeden z pancerników obcych właśnie ją staranował.

- Co zrobił? - Obrócił się i spojrzał z niedowierzaniem.

- Staranował, sir.

Połączenie rozbrzmiało głosem Waldecka.

- Sean, nie możemy koncentrować się na superdreadnoughtach. Zdecydowana większość pocisków leci od strony największych statków.

- Masz rację, Cyrusie. Bierz na cel tego. - Dotknięciem sprawił, że jeden z symboli na pulpicie dowodzenia zaczął pulsować. - Pomóż też Zteeffwiit i kapitan MacDonald. My będziemy was osłaniać z tej strony. Zatrzymamy ich. Nie mamy innego wyjścia. A jeśli nie pozostanie nam nic innego, będę w nich rzucał swoimi brudnymi skarpetkami.

- To, przyjacielu, mogłoby akurat przesądzić o wyniku bitwy. Wykonuję. - Z rzeczowego i niemal oschłego tonu nie dało się wyczytać żadnych emocji. Sean znał go jednak na tyle, by wiedzieć, że w duchu prosi go, by był ostrożny. - Sternik... - zawahał się na chwilę, kiedy

dotarło do niego, co się zaraz stanie - ... kurs na wroga.

\* \* \*

Ankaht w milczącym przerażeniu obserwowwała (Rozpacz.) kwiaty ognia wykwitające w wielu miejscach wzdłuż kadłuba statku macierzystego. Z bezsilności miarowo zaciskała i otwierała pazury. Nie należała do *Destoshaz* i nie potrafiła całkowicie oddzielić się od *selnarm*. Torhok wyszczeniwał cichym głosem kolejne rozkazy, a na ekranie rozbłyskiwały dziesiątki eksplozji. Miała wrażenie, że spadają w jakąś ognistą otchłań, która niespodziewanie otworzyła się tuż przed nimi. Widziała, jak *Maatsehnk* poświęcił się, by zniszczyć jednostkę przeciwników. Ich *selnarm* pełna absolutnego i bezwarunkowego poświęcenia dla przetrwania rasy - przetrwania Boga - sprawiła, że ogrom śmierci nie przytłaczał. Umarli na tyle szybko, że nie zdołali przekazać nic poza odrobiną bólu - do którego cała rasa zdążyła przywyknąć. Bólu, którego wszyscy się nauczyli. Strach przed nim spowalniałby przejście w stan śmierci i uniemożliwiał osiągnięcie *holodah*.

- Do wszystkich jednostek, do wszystkich jednostek! - Głos Torhoka przebił się przez zgiełk jak trzask bicia. - Statki macierzyste, otworzyć ogień! - Potężne baterie ożyły, kiedy obcy znaleźli się w ich zasięgu. Zaprojektowane, by chronić pokolenia tułaczy poszukujących nowego domu przed nieznanymi niebezpieczeństwami i obłokami Oorta, okazały się śmiertelnie skuteczne.

Zaledwie jedno lub dwa życia Ankaht przeżyła jako *Destoshaz* i dziś z wielkim trudem udawało się jej odnajdywać tamte wspomnienia. Zamknęła oczy i zanurzyła się w *selnarm*, podtrzymując swoje zastrzeżenia wobec przekazu emocji od *Destoshaz*, którzy nie znali niczego poza kosmosem, próżnią i stanem ciągłego zagrożenia. Tylko dzięki ciężkiemu i długotrwałemu treningowi udało jej się zachowywać własne myśli i własne zdanie. Walczyła, by odnaleźć pamięć o strategii i taktyce. Pomagała jej możliwość unoszenia się w *selnarm* innych. Choć wiedziała, że musi coś zrobić, została zmuszona do roli biernego obserwatora.

Jednostki obcych, zdecydowanie większe niż okręty pokładowe i mniejsze od statków macierzystych, zaczęły strzelać. Chmary wystrzelonych przez nie pocisków wyglądały jak żądne krwi muszki. Szyk obcych nie sprawiał wrażenia typowo ofensywnego. Czyżby jedynie reagowali? Ankaht aż trzęsła się ze złości. (Bezradność, strach, wściekłość.) To... w końcu jedno z żyć, które spędziła jako *Destoshaz*, oddało jej swoje wspomnienia. Najprawdopodobniej mamy do czynienia z nieporozumieniem podobnym do zniszczenia i spalenia Tel Mirmarnan. Wtedy miasto zostało zrównane z ziemią, bo żadna z walczących stron nie miała pojęcia, że wojna już się zakończyła. Tym razem było podobnie. To jakaś

katastrofalna pomyłka!

Jednostki obcych rozproszyły się i ruszyły do ataku na dwa najbliższe statki macierzyste, wykorzystując swą liczebność do zablokowania ognia z dział. Taktyka ta nie działała dobrze, jeśli chodzi o rakiety, ale wydatnie zmniejszała ich skuteczność.

Skąd mają tyle pewności siebie? Przecież i tak jest ich za mało, by pokonać Pierwszą Flotę. Nie ma cienia szansy, by nas powstrzymali.

\* \* \*

- Sir, straciliśmy *Novi Berkley*. - Thompson mówiła spokojnym głosem, choć obrazy wyświetlane na ekranach pogrzały cały mostek w ciszy i smutku. Jednostki obcych zbliżyły się na odległość uzasadniającą użycie dział energetycznych. *Berkley* walczył do końca, jego beamery przeszywały kadłub wrogiego okrętu jak szpada torreadora ciało atakującego byka. Tyle że śmiertelnie ranny byk wciąż może zabić swoją masą.

- Staranowali go. Nawet nie próbowali... nie próbowali... po prostu staranowali go. Sir, *Temuchin* informuje o...

- Widzę, *Noro*. - Remko opadł na oparcie z taką siłą, że zajęczały ograniczniki. Normalnie działały podobnie jak amortyzatory, ale nikt nie przewidział, że będą poddawane tak gwałtownym obciążeniom.

- Chorąży *Perry*, zakładając, że nie znamy budowy ich okrętów, proszę wybrać cele intuicyjnie - jednak ja sugerowałbym mniej więcej tutaj. - Piórem świetlnym dotknął schematycznego rysunku jednostki obcych tuż za kołnierzem gigantycznego silnika, z którego wystrzeliwał strumień gazów, oślepiający mimo zastosowania najlepszych filtrów. Z boku aż się roilo od znaków zapytania nabazgranych odręcznie przez analityków. Najwięcej wątpliwości budził rodzaj zastosowanego paliwa - to samo pytanie zapisał wcześniej w swoich notatkach, które leżały teraz w jego kabinie.

- Proszę przekazać moje sugestie artylerzystom.

- Aye, sir.

Chorąży *Perry* nie oderwała wzroku od swojego ekranu, automatycznie potwierdzając przyjęcie rozkazu. Jak on może być taki spokojny? Zaraz mieli się znaleźć w centrum wielkiego bałaganu. Nie potrafiła się opanować i waliła w klawiaturę zeszywniałymi z emocji palcami. Już nawet fizycznie czuła, że zaraz rozpocznie się bitwa, a adrenalina robiła swoje. Nawet najlepiej wyszkoleni ludzie w obliczu walki musieli zmagać się z własnymi słabościami. Remko spędził na wojnie znaczną część swego życia i miał nerwy ze stali. Choć tak naprawdę tylko on wiedział, ile kosztuje go takie opanowanie.

Mimo skutecznej obrony antyrakietowej *Dame Margaret* i jej siostrzane okręty ponosiły coraz większe straty. W końcu pojedyncza wiązka beamera wroga przeszła pomost flagowy i pośród rozbrzmiewających ze wszystkich stron sygnałów alarmowych i krzyku ludzi porucznik Thompson zalała się krwią i padła na podłogę trafiona w klatkę piersiową.

Właśnie wtedy Judith Perry uaktywniła beamery, a zespół wydzielony dowiedział się czegoś ważnego na temat paliwa wykorzystywanego przez obcych.

Arduanie nie wozili ze sobą wielkich ilości paliwa i nie męczyli się z kłopotliwymi napędami kumulacyjnymi. Głęboko pod niezliczonymi warstwami ochronnych pól siłowych i zamotana w sieci czujników, ukryta była czarna dziura wielkości łebka od szpilki. Do jej kontrolowania wykorzystywano 98 procent energii, którą produkowała. Problemem okazał się brak przygotowania jej do przetrwania w warunkach prawdziwej kosmicznej bitwy. Konstruktorzy ewakuacyjnych statków macierzystych, mimo założenia, że mają przewidzieć każdą niespodziankę, która może je czekać w kosmosie, ograniczeni byli wiarą w swoją wyjątkowość. Nie brali pod uwagę, że może dojść do starcia z innym gatunkiem istot żywych obdarzonych inteligencją. Teraz, po niemal tysiącu czterystu latach, misterny układ kontrolny zawiódł. Na *Ankseksumarnat* zniszczona została jedynie część czujników trzymających czarną dziurę w ryzach, lecz to wystarczyło, by cała jednostka wyparowała.

Z daleka wyglądało to tak, jakby słońce mrugnęło. Sto sekund świecenia gwiazdy skompresowane do zaledwie jednej. Czternastokilometrowy statek zniknął w ułamku sekundy, pociągając za sobą pół tuzina jednostek pokładowych. Remko, *Dame Margaret* i cała załoga oraz dwanaście siostrzanych okrętów, które miały pecha znajdować się w pobliżu, ulegli anihilacji w chwili tak krótkiej, że nikt nie zdążył o niczym pomyśleć. W czasie krótszym, niż trwa mrugnięcie powieką, zginęło sto tysięcy istot.

*Nefrexhat* miała swoje miejsce w szyku trzy sekundy świetlne od *Ankseksumarnat*, co przełożyło się na dodatkowe dwie pełne sekundy istnienia - dostatecznie dużo, by załoga pojęła swój los, zanim statek zniknął w kolejnym błysku, przenosząc do międzyżycia osiemdziesiąt tysięcy Arduan i pociągając za sobą pięć jednostek eskorty.

\* \* \*

(Szok, strach, wściekłość, wściekłość, wściekłość, wściekłość, wściekłość.) Fala *selnarm* przetoczyła się przez całą Pierwszą Flotę, zapoczątkowując śmiertelną reakcję. Torhok jako starszy admirał przejął kontrolę. Jego oficerowie pchani brakiem doświadczenia wsparli jego decyzje, dodając im mocy.

Powoli, z ociąganiem, szyk ich okrętów zaczął się rozciągać, by kolejne macierze nie



zagrozały sobie nawzajem. Jednostki eskorty pozostały rozproszone, tworząc formację obronną przypominającą wielką, spłaszczoną czerwoną krwinę.

Torhok odwrócił się od pulpitu, zostawiając na sekundę toczącą się bitwę samą sobie, spojrzął na Ankaht i warknął.

- *Shaxzhu*. Czy wciąż jesteś przekonana, że to wszystko było pomyłką? Chyba masz już dość dowodów na to, by zobaczyć, jak bezwzględne są te stworzenia. To szkodniki, które podburzyłyby pół wszechświata do walki z drugą połową. Nasz nowy dom zamieszkują wściekle zwierzęta, które przemocą zmusiłyby wszystkich mieszkańców wszechświata do deinkarnacji. Obronię rasę i nie życzę sobie słyszeć z twojej strony żadnych więcej nonsensów. Żadnych pacyfistycznych głupot. Tylko rozsądne porady! - Po czym, nie czekając na jej reakcję, powrócił do prowadzenia bitwy, która w tym czasie zmieniła się w galaktyczny odpowiednik bijatyki na gołe pięści.

Arduanie musieli odepchnąć wroga i wrócić do pojedynków raketowych, gdyż statki macierzyste okazały się zbyt podatne na atak. Mimo starań, zanim znaleźli się w bezpiecznej odległości, *Telalamrhat* i *Buvastash* zamieniły się w miniaturowe słońca.

Torhok pochylił się i zacisnął macki.

- Do wszystkich młodszych jednostek. Meldować o celach przed ich zniszczeniem. Ocalając flotę, zapewnianie sobie szybkie powtórne narodziny. Powitamy was w waszym nowym życiu, *Destoshaz*.

\* \* \*

- Wycofać się. - Waldeck mówił spokojnym głosem, jak zwykle zresztą, lecz stan jego emocji zdradzały zbiegające kostki dłoni zacisniętych na poręczach fotela. Cholera, Sean. Żal, który poczuł po stracie przyjaciela i wszystkich załóg zniszczonych okrętów, potrafił wyrazić tylko w tak mało właściwy sposób.

- Przygotować się do przywalenia... do odpalenia rakiet. - Nikt nie dał po sobie poznać, czy zauważył freudowską pomyłkę dowódcy.

Nie miał wystarczających sił, by pokonać i zniszczyć behemoty w pojedynku artyleryjskim, a nie chciał nikogo posyłać do akcji, która byłaby bez dwóch zdań samobójcza. Teraz nie czas na żal po stracie. Był świadom swoich obowiązków i wiedział, że najważniejszym zadaniem, z jakim przyjdzie mu się zmierzyć, będzie trzymanie tych kreatur z dala od Bellerophona i najnowocześniejszych stoczni planety. Na luksus żałoby będzie trzeba poczekać.

- Sir, straciliśmy trzydzieści osiem procent okrętów. - Kapitan flagowego okrętu Hodgson

mówił ledwie słyszalnym głosem.

Potem rozległ się okrzyk porucznik Pearson, który nie miał nic wspólnego z formalnym językiem wojskowych.

- O cholera, sir!

- O co chodzi, porucznik Pearson? - Ledwie Waldeck wypowiedział te słowa, sam zobaczył, co miała na myśli.

- Sir...

Obcy zdecydowali się na taktykę kamikadze. Do ataku ruszyły wszystkie okręty... Za cel obrały sobie supermonitory. Zaskakująca taktyka świadczyła o całkowitym braku instynktu przetrwania.

- Do wszystkich jednostek, stosować uniki! - rozkazał. - Zteeffwiit, MacDonald, wynoście się poza ich zasięg. - Ich okręty nie zostały zaprojektowane do walki na niewielkich odległościach, jednak tym razem musieli podjąć ryzyko, by przetrwać.

Supermonitory ciasnymi zwrotami umknęły ze zwarcia, odpalając całe chmary rakiet, by odepchnąć wroga na bezpieczny dystans. Pole bitwy o rozmiarach kilku sekund świetlnych było za małe na taką kumulację eksplozji. Najeźdźcy za to mieli kłopoty z koordynacją, atakując przypadkowe cele grupami i ignorując inne okręty, jak na przykład *Williamsburga*, *Antietam* i *Vicksburga*, jakby ich nie zauważały.

Przez dwadzieścia dwa dni, cztery godziny, dwie minuty i siedem sekund *Montana* należała do kapitana Jamesa Hajjiego. Po tym czasie przestała być jego pięknym okręcikiem i zmieniła się w rozszerzającą się kulę pogiętych i rozerwanych szczątków zmieszanych z resztkami jednostki obcych. Kapitan Hajji nie dowiedział się już, że ostatni pocisk wstrzelony z pokładu jego jednostki wybił dziurę w poszyciu *Turankatona*, jednego z największych okrętów macierzystych, i zdestabilizował jego napęd.

Kiedy szósty behemot obcych eksplodował wraz z kilkoma mniejszymi jednostkami pokładowymi prowadzącymi ataki samobójcze, Cyrus stracił nadzieję, że poradzą sobie z całą flotą obcych. Właściwie nie obcych; najwyższy już czas uznać ich za najeźdźców, pomyślał. Po ostatniej gigantycznej eksplozji bitwa zwolniła. Pojawiła się czkawka, którą każdy dobry dowódca powinien wykorzystać do przejęcia kontroli. W optymalnych warunkach taka sytuacja dawała szansę na zdobycie przewagi.

- Do wszystkich jednostek. Wycofać się. Powtarzam, wycofać się.

Dowódca floty obcych postąpił identycznie. Obie strony odskoczyły od siebie. Jednostki Federacji były przy tym znacznie szybsze, lecz żaden z dowódców nie miał dość sił, by atakować wroga w trakcie odwrotu, i żaden nie mógł wykorzystać przewagi, jaką by to dało.

- Analitycy! Chcę natychmiast wszystkich danych, jakie mamy! - Arystokratyczny akcent Waldecka stał się ostry. Jego głos przebił się przez nawałę raportów o uszkodzeniach spływających na pomost flagowy. Porucznik Pearson odchrząknęła i zaczęła meldować.

- Sir, straciliśmy czterdzieści osiem procent okrętów. To dane na tę chwilę, sir.

- Najbliższy warp i jego obrona to Pegasus. Tylko że obcy zmierzają w innym kierunku - dodał komandor Lawrence Nickle.

Waldeck w zamyśleniu pokiwał głową i dalej analizował dane z wyświetlacza. W mniej więcej równych odległościach na ekliptyce systemu znajdowały się cztery warpy, lecz bitwa, która miała miejsce przed chwilą, odbyła się sporo powyżej nich. W dodatku czwarty, Astria, znajdował się poniżej pola bitwy.

Posiłki nie dotarłyby na czas, by ich wspomóc w kolejnym starciu, mogli więc liczyć tylko na siebie. A forty... one mogą bronić tylko stoczni i siebie. Nie miałyby szans poprowadzić obrony całej planety.

- Ze strony obcych cisza, sir.

- Dziękuję.

Fortów broniących warpa nie można było ruszyć z miejsca. Były wyposażone jedynie w silniki manewrowe umożliwiające utrzymanie pozycji. To, co by zostało, mogło bronić przestrzeni wewnątrzsystemowej, jeśli się dostatecznie szybko wycofa.

Kilka dni wcześniej zakończono zamykanie kopalni w głównym pasie asteroidów. Decyzja została podjęta na wszelki wypadek, bo nikt nie przypuszczał, żeby było to konieczne. Zmarszczył brwi, kiedy uświadomił sobie, że jeśli w stocznich były jakieś jednostki bliskie ukończenia, będą musiały zostać zniszczone lub ukryte. Tylko jak schować coś tak wielkiego? Pewnie najlepiej na widoku. Zmienić je w asteroidy i odholować, mając nadzieję, że kiedy będzie po wszystkim, uda się je odnaleźć.

Ale zaraz, ich wielkie statki nie mogły dokonać tranzytu... lecz nie dotyczyło to jednostek pokładowych o mniejszych gabarytach. Te mogły skorzystać z przejść. Wygląda więc na to, że wiążąc nas obroną planet, sami będą mogli ruszyć dalej wzdłuż trasy przez warpy. W zamyśleniu zaczął masować nasadę nosa, a w głębi czaszki poczuł przybierający na sile ból. Mógł się go pozbyć jedynie w swojej kabinie, w prywatności przeżywając emocje, na które teraz nie miał czasu. Nikt nie miał prawa zobaczyć, jak traci kontrolę nad sobą. Nawet w takiej sytuacji. Zignorował swoje uczucia, układając w głowie plan dalszych działań.

- Możemy albo bronić planety, albo utrzymać Astrię. - Do bólu głowy dołączył nieznośny ucisk w brzuchu. Na szczęście nie należał do osób, które pozwoliłyby takim błahostkom wziąć górę nad rozsądkiem. Nawet lepiej, że wszystko odczuwał też w wymiarze fizycznym.

- Wiemy już, że posiłki są w drodze; jeśli będziemy mieć szczęście, dotarcie do nas nie zajmie im więcej niż trzy miesiące. Nie możemy przepuścić obcych. - To była gorzka konkluzja. Wiedział już, że nie obroni dwudziestu trzech milionów mieszkańców Bellerophona. Brak jakiegokolwiek odpowiedzi i bolesna cisza ze strony pozostałych oficerów oznaczały, że doszli do takich samych wniosków.

- Do wszystkich jednostek: wycofujemy się do warpa wiodącego do Austrii. Powtarzam: wycofujemy się do warpa wiodącego do Austrii.

- Sir, *Graf Spee* melduje, że nie będzie w stanie utrzymać naszej prędkości. Uratują za to pozostających przy życiu członków załóg *Yasuyoshi Maru* i *Indefatigable*. Po niezbędnych naprawach powinni dotrzeć do stoczni.

- Przyjąłem. Przekaż kapitan Sedore, by zrobiła, co może, a potem dołączyła do nas przy Austrii. Jeśli nie da rady... - przerwał na dłuższą chwilę - niech zostawi okręt w dokach i wesprze mieszkańców planety. Ma się zameldować u komandor Elizabeth Van Felsen w bazie Floty.

\* \* \*

- Starszy admirał. - Torhok odstawił kufel ze starannie odmierzoną siłą. W końcu. *Selnarm* była pełna wścieklej frustracji spowodowanej hamowaną gotowością do walki i chęcią zmiany tego stanu, wściekłością i strachem przekazywanym obficie dowódcem *Destoshaz*. Poczul słodki i dziki potok emocji zalewających jego zmysły, tożsamy z własnym pragnieniem walki, zniszczenia zagrożenia. Delektował się tym jak wykwinnym posiłkiem. Był gotów. Był gotów już wiele dni wcześniej, lecz wydał rozkaz oficerom, by odpoczywali przed kolejnym - i ostatnim już - wysiłkiem.

Wszystko mogło przecież potrwać znacznie dłużej. Kiedy obcy zaczęli się wycofywać do punktu oddalonego od wewnętrznych planet, stało się jasne, że musi znajdować się tam jedno z tych przejść do innych zamieszkałych systemów. Arduanie nie posiadali jeszcze technologii pozwalającej na wykorzystanie tych nieznanych im dotąd punktów transferowych, jednak usilnie pracowali nad jej stworzeniem, wykorzystując jako wskazówki fragmenty transmisji i przekazów, które udało im się wcześniej przejąć.

Statki macierzyste nadal wytracały prędkość. Wyjątkiem był *Kungankseht*, którego uszkodzenia okazały się bardzo poważne. Jakoś udawało mu się utrzymywać kontrolę nad źródłem napędu, ale poświęcano na to niemal całą wyprodukowaną energię, co z kolei nie pozwoliło na utrzymywanie tempa wytracania prędkości. Minie cel i będzie musiał zawrócić, albo, jeśli sytuacja zostanie do tego czasu opanowana, wyślą mu na pomoc jakąś inną

jednostkę.

Jeden z dowódców przekazał tabliczkę z ustawicznie malejącymi cyframi.

- Zostało jeszcze dwanaście przeniesień cywilów z *Hurusankham*. *Alamirinehk* zostanie również oczyszczony z *nie-Destoshaz* w pięciu kolejnych. *Kirru* będzie gotowy po jednym.

- Doskonale. Uczynimy ten system bezpiecznym dla nas, Huremhebie.

- Tak jest, sir!

\* \* \*

- Zbliżają się. - Waldeck pokiwał głową, słysząc miękki głos komandor podporucznik Huang.

Jego okręty schroniły się za fortami i polami minowymi otaczającymi warpa. Mimo utraty pięćdziesięciu trzech procent początkowego stanu istniała duża szansa, że uda się utrzymać przejście. Obcy podążyli za nimi. Behemoty z racji swoich gabarytów posuwały się powoli, a superdreadnoughty atakowały jego okręty w trakcie odwrotu.

- Przyspieszają, sir. Zbliżają się do 5,4 g. - Dziwnie było mówić o przyspieszeniu, które przy współczesnej technice stanowiło wielkość nieistotną, jednak behemoty posiadały inne napędy niż te, w które wyposażono mniejsze jednostki.

- Wygląda na to, że to wszystko, na co ich stać - stwierdziła Huang.

- Też tak myślę. - Waldecka bardzo kusiło, by potrząść twarzą dłońmi, jednak się powstrzymał. - Nasze jednostki są znacznie szybsze i wytrzymalsze. Jeśli będziemy mieli szczęście, nie unikną spotkania z naszymi minami.

Część okrętów Waldecka zaatakowała już behemoty w nadziei, że uda się je zatrzymać dalej niż o trzy sekundy świetlne od fortów, bo jeśli zostałyby zniszczone bliżej, siła eksplozji tak czy inaczej uszkodziłaby najbliższe forty.

Mały pazur Zteeffwiit dowodzący mocno uszkodzonym lotniskowcem wycofał się zgodnie z rozkazem do warpa prowadzącego do systemu BR-01, by wesprzeć wiceadmirał Ericę Krishmahntę, dowodzącą siłami broniącymi jego wylotu. Przywoził informacje zebrane podczas ostatniej bitwy i wiedział, jak je wykorzystać.

Kociambry przynajmniej słuchały i wyciągały wnioski, jednak ich ukochane myśliwce nie nadawały się do walki z największymi statkami wroga. Jedyne, do czego mogły się przydać, to zwalczanie mniejszych jednostek, których na szczęście nie było zbyt wiele. Choć nikt nie miał pojęcia, co zamierzali obcy, w oczy rzucało się jedno: swoją flotę zbudowali z rozmachem.

Kapitan Kirby-Hypher dowodzącą *Eldorado* wysłał przez warpa wiodącego do systemu

Andromeda, by przekazała wszystkie informacje siłom stacjonującym w tamtych okolicach.

- Jakaś próba nawiązania kontaktu? Cokolwiek? - Waldeck spojrzał na swoją oficer łącznikową.

- Nic, sir - odparła. - Co więcej, oni między sobą też nie wymieniają się żadnymi komunikatami. Próbowałam już wszystkich częstotliwości, nawet tych wykorzystywanych przez Pajaki. Nic, wszędzie cisza.

- Proszę nie przestawać próbować, Brooker.

- Tak jest, sir.

Wcześniej, w czasie, który mieli poświęcić na przygotowania, napięcie stawało się coraz bardziej nieznośne; wszyscy byli niczym cięciwy kuszy naciągane przed wypuszczeniem strzały. Teraz wyraźnie czuło się ich ulgę, że w końcu jest szansa na coś poza naprawami i uzupełnianiem strat, które bardzo podkopały morale załóg. Kiedy admirał floty Waldeck pochylił się, wiedzieli, że nadszedł czas zapłaty.

- Do ataku.

*Temuchin* i *Novalis*, które stały się częścią grupy kapitan Anderson, jako pierwsze wypadły z szyku, kiedy kilkanaście obcych rakiet z setek wystrzelonych w ich stronę osiągnęło cel.

Waldeck zaklął w myślach, kiedy się zorientował, że obcy unikają walki z jego supermonitorami. Omijali formację, by zaatakować bezpośrednio forty; najpewniej znów zechcą taranować. W najmniejszym stopniu nie szanowali swojego życia. Kiedy któryś z ich okrętów ulegał zniszczeniu, nie było widać kapsuł ratunkowych i żadnego sprzętu umożliwiającego przetrwanie załogom. Fort *Maenad* zamienił się w kulę ognia, kiedy dwa superdreadnoughty dały jasny dowód, że Waldeck się nie mylił.

*Williamsburg* i jej siostrzane jednostki przeszły na ogień ciągły, a Waldeck powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że nie uda mu się utrzymać nawet tej pozycji. Obcy omijali łukiem pola minowe i pędzili na spotkanie z nieruchomymi fortami, lekceważąc straty, a on nie miał wystarczającej siły ognia, by pokonać przeciwnika stosującego taką taktykę.

- Do wszystkich jednostek, wycofać się. Powtarzam, wycofać się. - Wyjątkowo gorzki smak miały te słowa, lecz teraz musiał zatroszczyć się o wyprowadzenie resztek floty z beznadziejnego położenia.

- Komandorze, wycofujemy się.

Odpowiedział mu dziwny, nieznany głos.

- Tutaj komandor Stokes, sir. Mały pazur poległ. Ratujcie wszystkich, których się da. Będziemy osłaniać wasz odwrót.

- Poddajcie się później, jeśli będziecie mogli.

- Tak jest, sir.

Razy, jakie zbierał teraz *Williamsburg*, wstrząsały nawet tak potężną masą.

- Wiadomość do Van Felsen. Zostaliśmy zmuszeni do odwrotu. Nie stawiaj oporu, Elizabeth. Poddaj się. To jest bezpośredni rozkaz. Natychmiast wysłać sondę.

- Natychmiast, sir.

- Dziękuję, poruczniku.

Okręty Waldecka zaczęły się jeden po drugim wycofywać, osłaniając się nawzajem. Kiedy ostatnie jednostki dokonywały tranzytu na drugą stronę warpa, ostatni strzał z *Ozymandiasa* jakimś cudem przebił się przez osłony czarnej dziury.

Całym behemotem zatrzęsło, kiedy nagle przestały działać zabezpieczenia kontrolujące źródło energii. W nagłym rozbłysku eksplozji *Williamsburg* z trudem dokonał tranzytu. Był ostatnim okrętem broniącym systemu. Ludzie i ich sprzymierzeńcy zniszczyli osiem największych jednostek, jakie kiedykolwiek widzieli. Nie mieli pojęcia, że pozbawili życia cztery miliony istnień, dla których nawet nie wymyślili nazwy.

Straciliśmy pięćdziesiąt osiem procent okrętów, niszcząc zaledwie osiem ich jednostek. Pyrrusowe zwycięstwo, pomyślał Waldeck.

## ROZDZIAŁ V

### NIE MOŻEMY JEJ NA TO POZWOLIĆ

Okręty Drugiej Floty zagubione w niewyobrażalnie wielkiej, czarnej przestrzeni sprawiały wrażenie pojedynczych elektronów. Amunsit, starsza admirał Drugiej Floty, rozprostowała szpony. Od zawsze lubiła niezgłębioną ciemność na zewnątrz; stąd też, kiedy medytowała, ściany jej kabiny pokrywała równie niezmacona czerń.

Druga Flota opuściła planetę, depcząc po piętach Pierwszej. Mieli poprawione napędy i osłony, gdyż cały świat skupiał się niemal jedynie na projektowaniu i budowie coraz doskonalszych jednostek, które miały zapewnić osiągnięcie Tau. Gdyby zmierzali do tego samego celu, Druga Flota zapewne wyprzedziłaby Pierwszą.

Jednak wybór tego samego celu był pozbawiony sensu i Amunsit, starsza admirał, której przez całe życie wpajano, że nie tylko najważniejszym, ale i jedynym jej zadaniem jest uniknięcie zagłady, zdecydowała się na punkt przeznaczenia, który najbardziej jej odpowiadał. Wybierała spośród tuzina różnych miejsc, w odległościach różniących się maksymalnie o pięćdziesiąt lat świetlnych, a kiedy podjęła decyzję, Druga Flota wyruszyła kierowana jej zdecydowanymi mackami. Pamiętam, jak opuszczaliśmy orbitę, pozostawiając za plecami coraz mniejszą, brudną i błotnistą planetę w kolorze ochry, pomyślała. *Shaxzhu* twierdzili, że wcześniej tak nie wyglądała, że pokrywały ją błękitne oceany, a niebo było czyste. Wyjaśniali, że to bezlitosne niszczenie biosfery doprowadziło ją do tego smutnego stanu. O ileż przyjemniej było mieszkać na orbicie, na statkach, które sami zbudowali.

Wbrew wszystkim obowiązującym wcześniej zasadom została starszą admirał, jeszcze zanim zmieniła polityczne podstawy działania Rady i pogrzyżyła się we śnie jak *shaxzhu*. Lecz w przeciwieństwie do nich co pewien czas się wybudzała, by zająć właściwe sobie miejsce. To ona zapewniała stabilność i trwałość flocie, a nie nieliczni *shaxzhu*. A na tych, którzy nie potrafili znieść międzygwiazdnej pustki, czekali najwyżsi kapłani, *holodah'kri*, oddani Illudorowi i oczywiście jej.



Kiedy została wybudzona po raz czwarty, jedna z młodszych admirałów zaprotestowała przeciwko objęciu przez nią funkcji starszej admirał. Właściwie dobrze się stało, że Veelahnt mnie wyzwała, pomyślała. To pokazuje, że *Anaht'doh Kainat* nie osłabli i nie wpadli w marazm. Na dodatek będę mogła wszystkim przypomnieć, że wiem, co robię, i robię to dobrze. Że jestem silna.

Uwielbiała ciszę i spokój, jakie panowały przed nastaniem dnia. Ciemność śpiących umysłów niemalże wykraczała poza ściany statku i łączyła się z ciemnością na zewnątrz. Ten czas przeznaczony był na oczyszczenie, lecz ona rzadko pozwalała sobie na taki luksus.

Z opowieści *shaxzhu* wynikało, że lud nie do końca pojmował pustkę między gwiazdami. Patrząc na wyświetlacze, można było zrozumieć, skąd u mieszkańców planety wzięło się to błędne spojrzenie. Projektory holograficzne pozbawiały wyświetlane obrazy właściwej skali, skupiając się niepotrzebnie na drobinach okrążających samą gwiazdę. A projektor, który mógłby właściwie odwzorować odległości między kilkoma planetami, musiałby mieć przynajmniej dziesięć kilometrów długości.

Pokręciła głową rozbawiona tą myślą i opuściła swoją niszę. Ostrożnie rozprostowała ramiona, nogi i plecy. *Shaxzhu* całkowicie bezsensownie ignorowali prawdziwą przestrzeń, bo zależało im tylko na planetach. Zatrzymała się na chwilę, by rozszedł się skurcz w nodze, a kiedy było już po wszystkim, wyszła z przyjemnie ciemnej kabiny. Najwyższy czas zabić Veelahnt.

\* \* \*

- Veelahnt, to bez sensu. Od samego początku wzrastaliśmy ze świadomością, że starsza admirał będzie powracać. Musisz wycofać wyzwanie. (Rozpacz.) - Jej partner w gronie, Pahtmuran, odczuwał fizyczny dyskomfort. Był wysoki i złoty, a to, w czym był naprawdę dobry, to okazywanie *selnarm*. Odpowiedziała, mu wysyłając (Determinacja. Uspokojenie.).

- Nawet jeśli, to gdzie są nasi *shaxzhu*? Amunsit nie zgodziła się na ich powrót. Kto ma więc mówić nam, kim i czym jesteśmy? Nawet jeśli uda nam się odnaleźć nowy dom, bez nich nasze dusze pozostaną na zawsze ciemne, prawda? A jeśli zaneguje istnienie Illudora, twierdząc, że tylko ona jest dla nas pamięcią domu? Nie możemy jej na to pozwolić. (Niesmak. Wściekłość.) - Veelahnt siedziała spokojnie, z zamkniętym środkowym okiem. - Poza tym jest już za późno na takie klótnie. Nadszedł czas na pojedynek. Dużo bardziej przyda mi się wsparcie niż strach. - Delikatnie go zganiła. (Miłość. Rozdrażnienie.)

(Wstyd. Zgoda.) - Oczywiście. (Miłość. Szacunek.)

\* \* \*

Zbliżający się pojedynek skupiał na sobie uwagę wszystkich. Głośno zapowiadany, stał się atrakcją ostatnich dni i wzbudzającym wielkie emocje przerywnikiem w monotonnej podróży. Okrąg *maatkah* pokazywany był w każdej transmisji. Obecnie stosowanego mechanicznego arbitra próżno by szukać w prastarej tradycji pojedynków, lecz była to jedyna zmiana. Jedyne postaciami, które znajdowały się w pomieszczeniu, były dwie wojowniczkki.

Obie wyglądały na bardzo zdecydowane, obie były wysokimi, złotymi *Destoshaz*. Klęczały naprzeciwko siebie, skąpane w ostrym świetle. Starcie *selnarm* trwało znacznie dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał, a jego zaciętość była tak wielka, że grona rodzinne włączały filtry, by ochronić oglądającą przekaz młodzież.

(Nieprzejednana wola.)

(Aktywny sprzeciw.)

(Silne przekonanie.)

(Przekonanie.) Kiedy Veelahnt poczuła słabszą reakcję *selnarm*, w końcu ruszyła się z miejsca. Złapała dwa sztylety *skeerba*, każdy o trzech ostrzach, i błyskając szponami, poderwała się do góry. (Wola latania.) Spotkały się z Amunsit nad matą. Zadzźwięczały ostrza uderzających o siebie sztyletów, a uzbrojone w kły szczęki zwały się w morderczym uścisku. Zazgrzytały przesuwające się po sobie zęby. Błysnęło ostrze.

(Wola latania) zaatakowała (Uniesiona brzytwa), obie wojowniczkki zatoczyły się i odskoczyły, krwawiąc. Z czoła Amunsit ciekła posoka, zalewając obficie całą twarz. Veelahnt nie mogła unieść jednego z ramion. Zwycięzca tej walki będzie musiał spotkać się z ratownikami albo nawet zostanie odesłany do międzyżycia, jeśli uszkodzenia okażą się zbyt poważne.

Stały i wpatrywały się w siebie. W końcu Veelahnt ruszyła w (Zwiewne zastanowienie), a Amunsit powoli zmieniła (Zew ciemności).

(Mroczny tancerz) wpadł w ciemności Amunsit. Odsunęła się od Veelahnt, zawracając na jednej stopie. Poruszała się w sposób, w jaki jeszcze nikt nigdy się nie poruszał, w *maatkah*. W miejscu, gdzie przed chwilą stała, widać było jedynie rozmytą błyskawicznym ruchem sylwetkę. (Przestrzeń jest) zatrzymała Veelahnt, przyszpiloną na samym końcu wyciągniętej lewej dłoni Amunsit. Sztylet *skeerba* tkwił w jej ciele głęboko, wbity z taką siłą, że szpony Amunsit znalazły się wewnątrz klatki piersiowej przeciwniczki.

W pomieszczeniu rozległo się głośne młaśnięcie, kiedy admirał wyszarpnęła z ciała

Veelahnt dłoń po łokieć pokrytą czerwoną mazią. Z rany w klatce piersiowej trysnęła krew. Veelahnt upadła na podłogę jak zmięta szmaciana lalka. Okrągła podłoga *maatkah* szybko zaczęła się pokrywać krwią.

Amunsit odwróciła się do kamer, unosząc czerwone szpony i broń.

- Jestem starszą. Czy ktoś się sprzeciwia? (Krwawa ekstaza. Zdecydowanie.)

Zapanowała przenikliwa cisza, gdyż wszyscy tłumili swój przekaz emocjonalny, a ona czekała tyle, ile nakazywała tradycja. W końcu maszyna dała znak.

- Pojedynek skończony. Brak nowych wyzwań.

(Posłuszeństwo.) Całej Floty.

Amunsit zawiesiła swoje *skeerba* na ścianie, w miejscu przeznaczonym dla zwycięzcy. Miały tam pozostać jakiś czas, bezustannie ukazywane przez jeden z kanałów, aż do chwili, kiedy wróci i je wyczyści. Potem sama się umyje. (Satysfakcja.) Tylko barbarzyńcy muszą podkreślać swą dominację, paradując przed załogami unurzani we krwi przeciwnika.

\* \* \*

Potężne hale hibernacyjne *Ptahtoranknefer* mógł zobaczyć każdy, kto tylko chciał. Najczęściej były to szkolne grona, prowadzone tam przez nauczycieli i mentorów.

Oczywiście komory hibernacyjne widać było jedynie z zewnątrz. Nikt nie życzyłby sobie przecież, by znaleźć się na wystawie niczym kawałek zamrożonego białka w automacie z żywnością. Wiadomo było, że są tam również *shaxzhu*. Ich świadomość. Zajmowali pierwsze rzędy.

W przeciwieństwie do Pierwszej Floty, w której kolejne pokolenia wydawały młode na świat, większość pasażerów Drugiej Floty pozostawała uśpiona. Amunsit była zadowolona z tej decyzji. Dzięki temu mieli właściwą opiekę i kontrolę. Hibernacja dawała bezpieczeństwo. Nigdy jednak nie przyznała się przed sobą, czy uważa ją za bezpieczniejszą dla nich, czy dla siebie.

Stanąła w głównym przejściu pokładu serwisowego, rezygnując z galerii widokowej. Dookoła niej rzędami stały grona śpiących, przypominając nieco plaster miodu w ulu. Wrażenie to potęgował cichy szum maszyn. O tej porze nocy nikt się tam nie pojawiał, wyjąwszy mechaników i serwisantów sprawdzających systemy i czuwających, by nawet krótka chwila nieuwagi nie zagroziła przetrwaniu rasy. Oświetlenie ustawione zostało w taki sposób, by odzwierciedlało planetę w chwili, gdy gwiazda Sekahmant była wysoko na niebie, a słońce schowane. Gładkie powierzchnie odbijały białe/mroczne światło i surową czerń. Uważała, że to uspokaja i wycisza. *Selnarm* była praktycznie niewyczuwalna - odnajdowała

jedynie techników i bardzo odległych mechaników. Tętno uspiętego statku.

Miejsce, w którym ona hibernowała, znajdowało się nieco z tyłu, po lewej stronie. Było puste i ciemne. Czekало na nią, aż skończy swoje zadania w obecnym cyklu, upewniając się, że przetrwanie rasy przebiega zgodnie z jej wizją. Stała zanurzona w chłodnym, przytłumionym świetle, szepcząc uspokajające zapewnienia do uszu, które nie mogły jej usłyszeć.

- Jesteście bezpieczni. Jesteście odbiciem Illudora, a ja jestem waszą strażniczką. To mój święty obowiązek i nie zawiodę. Będziecie bezpieczni.

Czuła ciemność zawieszoną dookoła całej Drugiej Floty; otaczała ich i chroniła ściany komory hibernacyjnej. Cała cywilizacja zamrożona, oczekująca chwili, kiedy w końcu trafią na planetę z atmosferą umożliwiającą przeżycie.

- Będziecie bezpieczni.

Wypowiedziane słowa odbiły się mechanicznym echem od chłodnych i zimnych komór, kruchych jak owadzie skrzydła, i stłumione wróciły do jej uszu jak delikatne płatki śniegu. (Przekonanie. Fanatyczna wola.)

## ROZDZIAŁ VI

### CO MA ZNACZYĆ: „PODDAJEMY SIĘ?”

Gwar w sali odpraw był nie do wytrzymania. Hałas robili nie tylko obecni Marines, ale także oficerowie, którzy uczestniczyli w spotkaniu z innych miejsc i z licznych monitorów głośno, jeden przez drugiego, wyrażali swoje zdanie. W samej sali odpraw nikt nie siedział. Wszyscy stali. Wszystko, co mówili, sprowadzało się do wspólnego „Nie!” Właściwie było to raczej: „Nie, do jasnej cholery, nie!”, a dotyczyło ostatnich rozkazów Cyrusa Waldecka.

Elizabeth Van Felsen przez dłuższą chwilę w milczeniu wsłuchiwała się w tę falę gniewu i strachu. Miała wrażenie, że z jednej strony nie ma chyba dobrego sposobu, by uciszyć zebranych, a z drugiej wiedziała, że niewskazane jest im przerywać. Zacisnęła zęby, by nie okazać zdenerwowania. Powściągliwość należała do jej wschodnioeuropejskiej natury, podobnie jak jasne włosy i niebieskie oczy w kształcie migdałów. Dopasowany, niemal przyciasny mundur Marynarki Federacji nie był w stanie ukryć kształtów silnie zbudowanego ciała i muskulatury. Kilka milimetrów wzrostu mniej i nie przyjęliby jej do Marines. Kuzynka Ulla zawsze się śmiała, że gdyby nie trenowała jak szalona, wyglądałaby pewnie jak korpulentna prapraprababcia Anzehla opatulona we wdowią czerń. Elizabeth rzucała się wtedy z pięściami, a Ullę ratował jedynie fakt, że była mistrzynią sztuk walki. W przeciwnym razie byłoby z nią krucho.

Kiedy hałas stał się zupełnie nie do wytrzymania, sięgnęła do przycisku uruchamiającego alarm bojowy w całej bazie. Ochryply ryk klaksonów wdarł się w świadomość wszystkich zebranych, przerywając ich krzyki. Widząc, że sytuacja uspokoiła się na tyle, żeby mogła zacząć mówić, Elizabeth wyłączyła alarm.

- Zakładam, że wykrzyczeliście wszystko, co wam leżało na wątrobie, moi państwo. Chciałabym wam zatem przypomnieć, że jesteście Marines, prawda? - Nagła cisza stała się wręcz nieznośna, kiedy jej słowa dotarły do zebranych. Była przy tym śmiertelnie poważna i spokojna.

- Jako Marines musicie przestrzegać rozkazów przełożonych, niezależnie od tego, czy się wam podobają, czy nie. - W miarę jak mówiła, jej głos stawał się coraz głośniejszy i mocniejszy. - I lepiej wbijcie to sobie do głowy! - Przesunęła wzrokiem po szeregu twarzy. Zatrzymała się na widok nieprzekonanej miny podoficer Wiese i groźnego wzroku porucznika Cheunga. - Chyba że chcecie zostać oskarżeni o bunt. Zrozumiano?

Wojskowi usiedli. Niektórzy gwałtownie, jak kapitan Peters, inni spokojniej, jak kapral Wismer i Li. Jako dowódca znała ich wszystkich; rezerwistów, żołnierzy w służbie czynnej i rezerwistów biorących udział w spotkaniu przez wideołącza. Porucznik Alessandro McGee miał naprawdę duże trudności z kontrolowaniem swoich emocji, kiedy się dowiedział, że otrzymali rozkaz poddania się bez walki.

- Jako Marines nie zawiedziemy, lecz... - przerwała na chwilę, by zwrócić na siebie uwagę wszystkich: - lecz nie będziemy bezkrytycznie wykonywali rozkazów, bez zapoznania się z sytuacją. Zrozumiano?

W sali rozległy się pokasywania i chrząknięcia, a potem przetoczyło się gromkie: „Tak jest!” Van Felsen kilkakrotnie puknęła palcem czerwonego smoka na kołnierzu, a na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

- Sierzancie Danilenko, jeśli dookoła waszego domu krąży wataha głodnych wilków, wyskakujecie pan, by samotnie z nimi walczyć? - Igor Iljicz Danilenko, którego rodzina prowadziła farmę na Madrasie, uśmiechnął się sucho.

- Tylko jeśli chciałbym umrzeć młodo. No chyba że miałbym obcisłe rajtuzy, zabawny płaszcz i robiłbym za Supermana.

W sali rozległ się chichot oficerów, którym przed oczyma stanął obraz kolegi w przebraniu bohatera z kreskówek. Zaczęło do nich docierać, że z regularnej armii stali się właśnie partyzantką.

- A teraz, panie i panowie, tylko godziny nas dzielą od spotkania z obcymi. Musimy więc szybko podjąć kilka decyzji i odpowiednio się przygotować. Przede wszystkim żaden z rezerwistów i połowa z was tutaj obecnych nigdy nie miała nic wspólnego z wojskiem. Macie zniknąć, rozmyć się w tłumie. Musicie być też gotowi w każdej chwili wykonać takie zadanie, jakie wam zlecimy. Opracujemy procedury dotarcia do każdego z rozkazami.

Westchnęła na tyle cicho, żeby mikrofon tego nie wyłapał i nie przekazał dalej.

- Flota musiała się wycofać. Nie mamy wsparcia, nie mamy kontaktu z komandor Wu i myśliwcami. Staramy się przywrócić łączność, ale wolno to idzie. Baza Acrocotinth też nie reaguje.

Wśród zebranych rozległy się szmery. Nie miała wątpliwości, że wszyscy wiedzieli o

wymianie zdań między nią a komandorem Wu przed odprawą. Burzliwej wymianie zdań, w trakcie której komandor Wu naprawdę się zdenerwował.

Van Felsen też była wściekła, a co więcej - czuła się zdradzona. Wiedziała jednak, że Wu robił tylko to, co sama by zrobiła, gdyby tylko mogła. Tyle że jej zadaniem było dopilnować, by wszyscy Marines i policja wykonali otrzymane rozkazy.

- Mamy zaledwie czterdzieści osiem godzin, zanim obcy się tu pojawią, sir. - Komandor Wu pokiwał głową, a potem dodał bardziej zdecydowanym tonem: - Cóż, zrobimy to, co do nas należy. - Przyjrzał się twarzom oficerów siedzących dookoła stołu, a potem przeniósł wzrok na ścianę za nimi, gdzie umieszczony został obraz satelitarny powierzchni jego planety. Planety, którą kochał. Sześć kontynentów, każdy otoczony wianuszkami wysp. Uwielbiał każdą zatoczkę i każdy kawałek skalistego wybrzeża. Malarz zmysłów wkomponował w obraz świeży zapach oceanu i odległe krzyki mew. Niektórzy uważali, że takie dzieło nie nadaje się do sali odpraw, lecz on twierdził, że pomaga się skupić na tym, co jest naprawdę istotne: na Bellerophonie i jego mieszkańcach.

Zdawał sobie sprawę, że łamie rozkazy, ale nie potrafił sobie wyobrazić, by jego działanie rzeczywiście było buntem. Nie należy wydawać rozkazów, kiedy z góry wiadomo, że nie da się ich wykonać. Twarze jego oficerów wyrażały całe spektrum emocji; chęć walki z tymi, którzy zabili ich towarzyszy broni, świadomość, że przeciwstawiają się woli głównodowodzących... byli posłuszni swojemu dowódcy. To dodawało im pewności siebie. Jeśli cokolwiek się stanie, on jest odpowiedzialny.

Baza Acrocotinth nie podda się bez walki.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

\* \* \*

- Z obcymi żołnierzami na pokładzie i z uszkodzeniami uniemożliwiającymi dalszą walkę nasz dumny okręt, wycofujący się zgodnie z rozkazem dowódcy obrony planetarnej, zamierza dokonać tranzytu i nawiązać kontakt z wiceadmirałem Ericą Krishmahntą. My będziemy kontynuowali transmisję, nawet jeśli stracimy kontakt z Kaazyorzza News. Z pola walki kolejnej bitwy o Bellerophon, mały pazur Showaath'sekakhu-jahr.

- Cięcie.

Zheelanak opuścił kamerę, kiedy tylko zgasło światelko sygnalizujące nagrywanie.

- Ponownie muszę wyrazić swoją dezaprobatę, Showaath. - Słowo, którego użył, można by przetłumaczyć na terrański jako „solidne uderzenie w nos”.

- Tak, wiem, co chcesz powiedzieć. Powinniśmy relacjonować wojnę z drugiej strony

warpa. Co to, to nie. Mój *theernowlus* - celowo użyła słowa, które oznaczało konieczność podjęcia zawodowego ryzyka dla honoru - mówi mi, że wtedy będziemy odcięci od informacji, Zheelanak. Naszym obowiązkiem jest pozostanie tutaj.

Warknął, pakując sprzęt, a później rzucił okiem w kierunku, w którym zniknął *Celmithyr'theaarnouw*.

- Zgodziliśmy się co do tego, że lepiej będzie, jeśli reszta ekipy znajdzie się po tamtej stronie, ale z tego, co widzę, ty chciałbyś do nich jak najszybciej dołączyć? - Poglądziła wąsiki na twarzy, przesuwając dłonią po jasnych pręgach i mrużąc oczy.

Złapał się na tym, że podświadomie zareagował na kobiecość w jej zachowaniu, i zdenerwowany spojrzał w drugą stronę. Umiejętność takiej manipulacji innymi pomogła jej w karierze w mediach i dała ogromną popularność pośród męskiej widowni w Chanacie.

- Znając twojego ojca - kontynuowała - jestem zaskoczona, że nie usiłujesz się dostać na pokład jakiegoś myśliwca i samotnie zaatakować wroga. To byłby w końcu największy honor, prawda?

Spojrzał na nią, unosząc brodę, i zaśmiał się, nie pokazując kłów.

- A ja nie jestem zdziwiony, znając twojego ojca, że masz zamiar chować się tutaj z ludźmi, zamiast ryzykować życie gdzieś w walce.

Pochyliła się, by pomóc mu w pakowaniu swoich mikrofonów. Ponieważ nie dysponowali pomocą reszty ekipy wiadomości, musieli zadowolić się minimalną ilością sprzętu... takiego, który dało się błyskawicznie ukryć.

- W Chanacie sporo będzie takich, którzy uznają nas oboje za *theermish*, bo nie podjęliśmy walki. - Powiedziała, nie mogąc powstrzymać odruchowego warknięcia.

Syknął, słysząc to słowo, i gwałtownie się odwrócił, by spojrzeć jej w oczy.

- Nie boisz się ryzyka i nie jesteś tchórzem. Nie wymagasz, by inni walczyli za ciebie. - Splunął na samą myśl, że ktoś mógłby tak twierdzić, odruchowo jeżąc futro. - Nie zadrećzaj się tym. Postępujemy zgodnie z kodeksem dziennikarskim. Najważniejsze są prawda i informacje.

Prychnęła miękko, słysząc zdecydowanie w jego głosie, zadowolona, że hormony nie sprawiły, iż popadł w protekcyjny ton.

- Masz rację. Prawo do prawdy.

Pokiwał głową i podniósł swoją skrzynkę ze sprzętem.

- Ojciec kiedyś wyjaśnił mi różnicę między prawdziwym honorem i zwykłą reputacją.

Showaath zaśmiała się.

- Mój też. Powiedział, że jeśli postąpiłeś honorowo, cała reszta to gówno chofaki.



- Zupełnie w jego stylu. Czas już na nas, mały pazurze.
- Oczywiście, młody chano.

\* \* \*

- Dowódco Mniejszego Grona, zbliżamy się do punktu manewrowego numer jeden.

- Dziękuję Ci, Pierwsza Macko SenAnkaht. Młody *Destoshaz* ze zdenerwowania nabrał kolorów, kiedy Daihd potwierdziła wcześniejsze informacje. Nikt się nie cieszył ze spotkania obcych stworzeń, a teraz, kiedy zbliżali się do planety, która miała się stać dla Pierwszej Floty nowym domem, okazało się, że te zamieszkują całą jej powierzchnię.

To, co miało się stać uświęconym powrotem dla rozproszonych, zostało przez nich zbrukane. Zaskakująca liczba *Destoshaz* zaczynała uważać tę sytuację za drogę do ustanowienia *Anaht'doh Kainat*, Gwiazdnych Tułaczy, wybraną przez Illudora. Daihd nie była pewna, co tak naprawdę czuje. Podobnie jak reszta przeżyła szok, kiedy dotarły do niej wiadomości o mieszkańcach planet, jednak szybko skupiła się na swoich obowiązkach.

Większe okręty zbliżały się z kierunku, w którym zniknęły jednostki obcych. Statkom macierzystym sporo czasu zajęła zmiana kursu, a żaden z naukowców nie chciał się zgodzić na wyłączenie silników, które przez ostatnie piętnaście wieków ani razu nie zawiodły, a nie mieliby pewności, czy później uda się je ponownie uruchomić. W takich warunkach Daihd objęła dowództwo Eskadry Szybkiego Reagowania po młodszym admirale Vakelnarze.

- Z powierzchni planet startują niewielkie jednostki, współrzędne ranteen na osiemdziesiąt sześć. - Planeta nie posiadała księżyca, a pas asteroidów krążących dookoła niej uniemożliwiał założenie bazy orbitalnej.

Zbliżyła macki i zastukała pazurami.

- Pozwólmy im się zbliżyć, naczelni Trumanhk i Ilrasenk.

- Zrozumiałem. - Obaj dowódcy dywizjonów potwierdzili przyjęcie rozkazu niemal jednym głosem, a ona poczuła satysfakcję, że tak doskonale współpracują. Niewielkie jednostki z planety znacznie przewyższały ich liczebnością, lecz nie martwiła się o to, co się wydarzy. Niezależnie od tego, ilu Arduan będzie zmuszonych do doświadczenia niewygody nazwanej przez jednego z jej znajomych „przejściowym stanem nieistnienia”, te potwory nie uniemożliwią im przybycia i zasiedlenia nowego domu - albo nowego Ardu. Bo mimo upływu niemal tysiąca pięciuset lat od opuszczenia rodzimej planety wciąż trwały zażarte kłótnie, jakiej nazwy powinno się używać.

\* \* \*

Porucznik William Chong dotknął implantu wszczepionego nad lewym uchem, ostro zadarł nos myśliwca i, balansując na granicy przeciągnięcia, przebił się przez ostatnie warstwy atmosfery. Jakiś czas temu poprosił, by mechanicy sprawdzili jego system łączności, bo w nieregularnych odstępach czasu wydobywały się z niego trzaski wyładowań elektrostatycznych. Wyglądało jednak na to, że nikt się jeszcze nie pofatygował.

Myśliwce stacjonujące na powierzchni planet były nieco cięższe niż bazujące na lotniskowcach. Nie były też przewidziane do walki na bardzo wysokich orbitach, lecz teraz nie mieli wyjścia i zmierzali do miejsca, w którym mógłby się znajdować księżyc planety, gdyby ta go posiadała. Obcy byli coraz bliżej i zanosilo się na to, że myśliwce będą dla nich jedyną przeszkodą. Chong nie łamał sobie głowy, co mogły oznaczać słowa rozkazu komandora Wu. Nie musiał - wiedział. Podobnie jak wszyscy pozostali piloci z maszyn przedzierających się przez coraz rzadsze warstwy atmosfery.

Przez sekundę pozwolił sobie na zachwyt błękitem na horyzoncie; błyszczące promienie słońca wynurzające się spoza widnokregu i świetliste punkciki miast i miasteczek w ciemnościach skrywających drugą część planety; miast i miasteczek, których teraz będzie bronił... aż... aż do śmierci. Szybko powrócił do rzeczywistości i skupił się na tym, co czekało na niego przed dziobem myśliwca.

- Eskadra Bogart - zameldował, kiedy ostatnia jednostka znalazła się w przestrzeni kosmicznej - wyszliśmy.

- Eskadra Lamar. - Stuknął dłonią w moduł łączności i w końcu usłyszał wiadomość bez zakłóceń: - Eskadra Brando, wyszliśmy.

Pozostałe eskadry również przeszły przez atmosferę bez żadnych kłopotów. W bazie zostały jedynie Streep i Zerephi, uziemione na czas przeglądu. Ale to nie miało znaczenia, bo gdy tylko będą gotowe, natychmiast wystartują i znajdą się czterysta tysięcy kilometrów nad powierzchnią planety, by walczyć z obcym najeźdźcą. Pewnie, że będzie to oznaczało sporo bałaganu i trudności w koordynacji, ale to i tak lepiej, niż gdyby miały całkowicie zrezygnować z walki.

Myśliwce uformowały szyk i ruszyły przechwycić obcych, zanim ci dotrą na orbitę. Po kilku godzinach lotu minęli ostatnie stocznie. Chong poczuł dreszcz, widząc puste podejścia do doków. Prywatni właściciele i wielkie korporacje wycofały wszystkie jednostki, które mieli w przestrzeni okołoplanetarnej. Przez chwilę nawet rozgorzała wielka polityczna kłótnia, kogo należy ewakuować. Stanęło na tym, że wywieziono ich kilka tysięcy, bo tylko tyle prywatnych jednostek można było zapakować do ładowni. Krótko mówiąc, wszystko, co było w stanie dokonać tranzytu, zniknęło z systemu Bellerophon. Było tak pusto, że nie była

potrzebna kontrola ruchu.

Porucznik Chong otrząsnął się z zamyślenia. Mieli bronić milionów mieszkańców planety, do której zbliżał się wróg. Jego przodkowie nie wierzyli w Valhallę, bo pochodzili z Japonii i Chin. Mieli za to we krwi *bushido*. Kodeks wojownika.

- Nadlatują rakiety! - Chong zmrużył złoto-zielone oczy i poprzez szum wyładowań w eterze usłyszał zdecydowanie nieregularne okrzyki Cappelli i Onehawka. Nie zwrócił im uwagi, bo rozpoczynała się walka. Do zobaczenia w piekle, skurczybyki.

\* \* \*

Jennifer Pietchkov nie mogła się skupić przez dźwięki włączonej telewizji dobiegające z sąsiedniego pokoju. I tak wiedziała, że jej praca nie będzie efektywna, ale to wciąż było lepsze niż siedzenie i czekanie, oglądanie starych seriali i nudnych teleturniejów w sytuacji, kiedy wrogie siły zbliżają się do planety. Dowiedziała się tego od Alessandra, który w pokoju obok maszerował tam i z powrotem, raz stąpając po płytkach, raz po dywanie. Na początku był wściekły, kiedy ewakuowali go z kopalni na jednej z asteroid, ale kiedy dowiedział się, że wojsko dostało polecenie poddania się bez walki, wściekłość zamieniła się w szal. To ta komandor Van Felsen. Na razie udało mu się nieco opanować i, wyężdżając wszystkie siły, kontrolować stuosiemdziesięciocentymetrowe ciało.

Miał rude włosy, pamiętkę po przodkach z niewielkiej wyspy na Ziemi. Jennifer, kiedy była w dobrym humorze, śmiała się z niego i nazywała swoim abisyńskim tygrysem. Kumple z rezerwy wołali na niego po prostu „czołg”.

- ...teorie dotyczące ilości energii zawartej w węzłach kwantowych czasoprzestrzeni. Energię tę można w najprostszy sposób zwizualizować poprzez obraz spontanicznego powstawania i natychmiastowego niszczenia par składających się z cząstek i antycząstek. Reakcje takie mają miejsce w środowisku skądinąd całkowicie normalnej próżni, ale ponieważ suma materii i energii biorących w nich udział pozostaje niezmiennie na zerowym poziomie, nie są one przez nas dostrzegane. Dzięki temu też wszechświat nie jest wstrząsany gigantycznymi ilościami energii pojawiającymi się znikąd.

Niektóre teorie zakładają, że za pomocą pewnych środków można zachwiać równowagę pomiędzy powstawaniem cząstek i ich niszczeniem. Działanie takie skutkować będzie pojawieniem się energii i materii w sposób sugerujący jej pojawienie się znikąd. Wielu wyznawców tej teorii mimo wszystko kurczowo trzyma się filozoficznych podstaw prawa zachowania masy i energii, charakteryzując nowo pojawiającą się energię i masę jako wynik powstania przerwy w materii czasoprzestrzeni.

Ilości powstającej w ten sposób energii są znaczące: pojedynczy centymetr sześcienny próżni zawiera, według różnych szacunków, więcej energii, niż wytwarza średniej wielkości gwiazda. Inni twierdzą z kolei, że te szacunki są zaniżone, i to o rząd wielkości wynoszący dziesięć do trzydziestej szóstej. Czołowi kosmologowie dla żartu robili nawet zakłady, kto ma rację, na wypadek gdyby kiedyś zniesiono zakaz eksperymentów na tym polu.

Mikroskopijnej wielkości przerwa w ciągłości materii wciąż mogłaby potencjalnie produkować niewiarygodne ilości energii, lecz w chwili, gdy dostawałaby się ona do naszego wszechświata, przybierałaby najprawdopodobniej formę promieniowania przenikliwego, a to z kolei prowadziłoby do powstawania cząsteczek, które nie występowały w naszym wszechświecie od czasów poprzedzających Wielki Wybuch. Mnogość form tych cząstek prawdopodobnie obejmowałaby od prostych neutrino do makrocząstek o tak wielkim zagęszczeniu, że mogłyby się zapadać w kwantowe czarne dziury o masie od przekraczającej miliard ton do równej masie niewielkich asteroid. Zdolny fizyk, albo nawet magistrant, wpadłby zapewne na pomysł, jak efektywnie wykorzystać tę energię, a mianowicie poprzez zdławienie jej wielkości do wielkości pewnie kilku długości plancków i dodatkowo filtrowania cząsteczek, które mogą przedostać się na naszą stronę.

Nawet gdyby przeznaczyć większość energii na zasilenie mechanizmu filtrowania, jej pozostała ilość byłaby wciąż ogromna. Wystarczyłoby jej do napędzenia największych jednostek, jakich projekt kiedykolwiek zrodził się w głowie człowieka, i przemieszczenia ich na sam skraj przestrzeni einsteinowskiej. Należałoby zatem przyjąć, że goście w naszym systemie wyhamowują swój lot właśnie z wykorzystaniem takiego rozwiązania, co tłumaczyłoby z kolei brak przypadków wykrycia jakichkolwiek niespotykanych cząstek, mimo że silniki obcych ustawione są dokładnie w naszym kierunku. Przyjąć należy zatem, że...

- Alessandro, czy mógłbyś to wyłączyć? Serwują jakichś teoretyków z uniwersytetów, którzy gadają o rzeczach bez znaczenia. - Odłożyła rylec na blat, oparła się na łokciach i skryła twarz w dłoniach. Przesunęła palcami po gęstych i błyszczących brązowych lokach. Jej skóra, podobnie zresztą jak większości mieszkańców planety, miała kolor kawy z mlekiem, a budowa ciała i fizjonomia zdradzały, że jej przodkowie pochodzili z Uzbekistanu na Ziemi. Opuszki jej palców pokrywały zrogowaciałe odciski powstałe w wyniku bezustannego używania dłut, rylców i emocjonerów. Pracowała z całych sił nawet wtedy, kiedy się okazało, że kontakt z obcymi przerodził się w katastrofę; to był jej sposób na ujarzmienie emocji. Na tyle intensywnie oddawała się temu zajęciu, że pracownia nie mogła pomieścić już kolejnych rzeźb, a wszystkie korytarze i przejścia były nimi zastawione. Część swoich dzieł musiała

wystawić na zewnątrz, zawijając je szczelnie w materiał izolacyjny.

Strach był niemal namacalny... choć może tylko ona tak się czuła? Zbliżające się nieznane w połączeniu ze zdobytą już wiedzą na temat zamiarów wroga wystarczyły, by odpędzać sen.

...jeśli udałoby się „dostroić” taką przerwę w ciągłości czasoprzestrzeni do wytwarzania konkretnych cząsteczek, z silnika jednostki emitowane byłyby strugi pozytronów i antyneutronów. Niestety, mimo że brzmi to obiecująco, nie byłbym przekonany do idei wyrzucania tych cząsteczek dokładnie przed siebie podczas hamowania. Ponieważ nie wykorzystują tego jako formy obrony, przyjmujemy, że albo nie wiedzą, że można, albo ja powinienem przejść na jakieś mocniejsze leki... Poza tym nie ryzykowałbym wykorzystywania tak niesamowicie delikatnego mechanizmu w warunkach bojowych, szczególnie biorąc pod uwagę to, że zdecydowana większość wyprodukowanej energii wykorzystywana jest do utrzymania całości w ryzach. Za nic nie chciałbym się znaleźć w pobliżu, kiedy dojdzie do jakiejś awarii.

Nie wolno nam nie doceniać, ale i przeceniać gości. Wszystkie ich jednostki funkcjonują w oparciu o dokładnie te same prawa fizyki, które odnoszą się do nas. Mniejsze okręty wykorzystują technologię, która w dużym stopniu przypomina naszą, choć w nieco innej skali. Jednostki pomocnicze nie korzystają z napędów stosowanych w największych okrętach. Być może gra tutaj rolę ekonomia skali...

Alessandro z parsknięciem wyłączył transmisję wywodów kolejnego eksperta, a potem wszedł do pracowni i objął ją.

- Masz rację, kochanie.

Wtulił twarz w jej szyję i trwali tak przez chwilę, dzieląc się swoją siłą i oddechem, jakby sama bliskość i oddanie mogły rozproszyć wzrastające napięcie.

- Znow mówisz z akcentem, kochany - powiedziała, podnosząc głowę. - Od dawna twierdę, że nie uciekniesz daleko od Ruari Mac Ruari - Jen udało się zażartować. Alessandro mocniej zacisnął ramiona.

- Myślisz? - zapytał cicho. - Pewnie masz rację. Jeśli kogokolwiek nam teraz potrzeba, to właśnie jego.

Mówili o postaci wymyślonej jeszcze na studiach, osiemnastowiecznym szkockim rabusiu. Jego imieniem nazwali bractwo studenckie, do którego należał Alessandro. Wymyślona postać stała się sygnałem, który rozumieli tylko oni. Wspominali ją z rozrzewnieniem, bo właśnie za jej sprawą się spotkali. Sandro był Ruari Mac Ruari, a ona Bess, córką angielskiego właściciela karczmy. Lata minęły, od kiedy po raz ostatni udawali te

historyczne postaci, lecz ilekroć stres sprawiał, że Alessandro mówił ze szkockim akcentem, Jen żartowała, że znów staje się Ruari.

- Wiem, że ciężko czekać. - Dotknęła dłonią jego policzka, czując delikatne drapanie zarostu. Mimo że golił się dwa razy dziennie, broda zdawała się zawsze wyprzedzać go o krok. - Dasz radę, zobaczysz. Twój dowódca to cwana bestia.

- Wiem. Ja tylko... - Odchrząknął, jej prawą dłoń położył na swojej - muszę się nauczyć cierpliwości.

- Musisz. - Oboje podnieśli wzrok, jakby potrafili przebić nim sufit i setki tysięcy kilometrów atmosfery i kosmosu, by zobaczyć, co się tam teraz dzieje. - Zaparzę kawę. - I moja zapewne znów wystygnie niewypita, pomyślała. - Potem poproszę cię o pomoc przy instalacji rzutnika holograficznego w pracy dla Galerii Thai.

Czuła, ile wysiłku kosztowało go rozluźnienie mięśni i uspokojenie się.

- Pewnie, z przyjemnością ci pomogę, mała. - Uniósł ją delikatnie i postawił na ziemi obok siebie.

Zrobił to zupełnie bez wysiłku, choć Jen nie była malutką kobietką. Westchnęła i zagryzła wargi. Darzyła go szczerą miłością, ale nie był to partner, którego mogła poprosić do łazienki, by patrzył, jak wykonuje test ciążowy. To był po prostu najgorszy z możliwych moment, by powiedzieć mu o ciąży. Do diabła, to był najgorszy czas, by zająć w ciążę!

\* \* \*

Porucznik Chong nie zwracał uwagi na wyjące alarmy i migające wściekłą czerwienią kontrolki. Był blisko, wewnątrz pola siłowego olbrzymiej jednostki, i doskonale wszystko widział. Skupiał się na celu swojej ostatniej rakiety. Nie tylko jego: wszystkich! Kątem oka zauważył kulę ognia, kiedy ostatni strzał eskadry Streep dosięgnął superdreadnoughta obcych, wyrывая dziurę w jego burcie. Nie jesteśmy w stanie ich dostatecznie mocno uszkodzić. My...

Położył myśliwiec w zbyt ciasny zwrot i natychmiast dotarło do niego, że nie powinien był tego robić; lufa beamera przebiła lewą burtę maszyny, doprowadzając do jej rozhermetyzowania. Kombinezon natychmiast wypełnił się powietrzem, a on sam zaczął rozpaczliwie mrugać powiekami, by nie stracić celu z oczu. Pociski wystrzelone. W jakiś sposób udało mu się wyprowadzić myśliwiec poza chmurę odłamków, a chwilę później zgasł mu silnik.

Ku jego zdziwieniu nastała cisza. Żył. Wskaźniki wciąż pokazywały czerwone pola. Silnik nie działał. To nie miało prawa się tak zakończyć. Każda walka była grą o pełną

stawkę. Nie oczekiwał, że przeżyje. Nie miał już amunicji. Pokładowy beamer był uszkodzony. I nie został zestrzelony. Czy ktokolwiek poza nim pozostał przy życiu? Puknął palcem w implant... ale nic nie usłyszał. Nie czuł, że po twarzy ściekają mu łzy.

Co jeszcze mógłby wykorzystać przeciwko obcym? Czym mógłby ich razić? Chyba już tylko obelgami, których i tak by nie usłyszeli. Pozostało mu tylko siedzieć i przyglądać się, jak ich jednostki zbliżają się, rosną z rozmiarów ogromnych do gigantycznych, mijają go i w końcu się oddalają, stając się coraz mniejsze i mniejsze. Zniknęły w mroku, zmierzając na niższą orbitę.

- Eskadra, zgłoś się. - Nie zestrzelili go, ale też nie zatrzymali się, by go uratować.

Cisza. Przekierował zasilanie części modułów i uruchomił system kontroli uszkodzeń. Dzięki nitiolinie i włóknom transpolimerowym zastosowanym w budowie myśliwca istniała szansa na otrzymanie pewnej ilości energii. Delikatnie poruszył drążkiem. Jeden ze wskaźników zmienił odczyt z czerwonego na żółty. Po chwili dołączył do niego kolejny. Odczyty z silnika podskoczyły z zera do stu procent, by szybko wrócić na sam dół skali, nie osiągnąwszy nawet pięciu procent mocy. Nie da rady dogonić tych... walczył, by nie poddać się emocjom. Obcych. Nie pozwolił nienawiści sobą kierować.

Pierwszym obowiązkiem pilota było sprawdzić, czy uda mu się powrócić do bazy. Tam złożyłby raport i natychmiast zameldował się do dalszej walki. Dotknął kieszeni na rękawie, w której trzymał zdjęcie Jeannie. Ta ulotna odrobina nadziei sprawiała wielki ból. Ale lepiej, kiedy boli, niż kiedy jest się martwym.

\* \* \*

Daihd rozprostowała szpony, walcząc ze skurczami po długim i nieruchomym wpatrywaniu się w monitory. (Skupienie.) Mostek *Nasanhkorat* wyglądałby w ludzkich oczach co najmniej dziwnie. Nie tylko światło było nie takie, jakie być powinno; wszystkie stanowiska ustawione zostały na planie koła, który odzwierciedlał kształt ich grona, ze sporą ilością wolnej przestrzeni dookoła. Z konieczności całość była większa niż pole niezbędne do obrony, lecz nie straciła niczego z właściwości oryginału uświęconego tradycją. Daihd dowodziła jednym ze starszych okrętów pokładowych, choć wolałaby nowsze konstrukcje, w których stanowiska ustawione są również pionowo. Na swojej jednostce nie utrzymywała minimalnej grawitacji wzorem innych, lecz wyłączyła ją na czas ćwiczeń i jak teraz - w czasie walki. Byłaby skończonym głupcem, nie wykorzystując przewagi, jaką dawało jej środowisko opóźniające zmęczenie i przyspieszające czas reakcji.

*Shaxzhu* mogli naciskać na zachowanie grawitacji na normalnym poziomie, w celu

późniejszego szybszego dostosowania się do życia na planecie, ale dopiero czterysta lat temu zyskali pierwszy poważny argument. Wtedy bowiem okazało się, że system, do którego zmierzają, posiada ogromne planety, na których Arduanie będą mogli się osiedlić. Wcześniej zakładano, że po dotarciu na miejsce zamieszkają na stacjach kosmicznych, które wybudują dookoła gwiazdy w centrum systemu. Daihd nie była przekonana, czy w ogóle ma ochotę zostać osadnikiem na planecie.

- Namierzyłem cel, komandorze kręgu. To ta wyspa. (Podniecenie, gotowość.)

- Coś nadają. Ponownie samą fonię. (Strach, niesmak.)

- Archiwizuj. Może później uda nam się coś z tego wydobyć. Przygotować się do bombardowania. (Satysfakcja, spełnienie.) Stosujemy broń kinetyczną. Nie chcemy przecież skażenia naszego nowego domu, prawda? - Przez pomieszczenie przebiegła fala wesołości. - Potem postaramy się jakoś porozumieć z tymi... z nimi. Po uderzeniu odpowiedzieć na transmisję. Będę mówić i zobaczymy, czy mnie zrozumieją.

Wyrzutnie opuściło kilkanaście pocisków. W mrocznej ciszy próżni ich oddalające się warkocze ognia z silników odrzutowych wyglądały jak niewielkie gwiazdki, potem błysnęły raz czy dwa razy przy korekcy kursu, by w końcu zgasnąć i spokojnie pędzić bez najmniejszego szmeru w stronę planety. Z ogromną siłą weszły w atmosferę, zostawiając za sobą świetlisty ślad. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez całe niebo, kilka sekund później.

\* \* \*

Alessandro ponownie włączył telewizję i stanął naprzeciw ekranu, na przemian zaciskając i rozprostowując pięści.

- Jen - zawołał ją głosem pozbawionym emocji.

Wyszła z pracowni i stanęła obok. Satelita informacyjny BRR pokazywał pociski wchodzące w górne warstwy atmosfery; czerwone rozbłyski stopniowo jaśniejące aż do poziomu, kiedy było trzeba zmrużyć oczy. Kamery były umieszczone w złym miejscu i nie pokazywały wszystkiego, co się działo, a brakujące obrazy przekazywała niezależna transmisja z żaglówki.

- Chryste, Hał, czy nie da się tej suki popędzić? Ożeż, kurwa, tam, leci. Dobrze... czy silniki by pomogły? Nie, do cholery. Okej. Do diabła. Już.

Obraz, podskakujący wraz z łódką, podążał za jednostką ewakuującą bazę myśliwców w kierunku nieba poznaczonego śladami pocisków, nagle zniknął na chwilę, skryty za brzegiem żagla. Zdawało się, że jest coraz ciemniej. W końcu kamera się zgubiła i pokazywała miejsce, w którym pociski weszły w atmosferę. Potem przesunęła się na błyszczący w oddali



Acrocotinth i przez chwilę nic się nie działo. Cisza dzwoniąca w uszach, która zalega zawsze przed katastrofą - jak pierwsze drobinki zsuwającego się bezgłośnie śniegu, za którymi runie lawina.

Alessandro objął Jen i przytulił ją do siebie. Na ekranie widać było serie pojedynczych błysków, jakby ktoś kilka tysięcy kilometrów dalej odpalił sztuczne ognie. Ekran nie był w stanie przekazać wszystkiego; tylko migotał na białą. Potężna kula pyłu, rozrastająca się gwałtownie wokół słupa ognia wznoszącego się ku niebu. Fala uderzeniowa dotarła do łódki, obraz zatańczył na ekranie, kamera się dziko zakołysała, a potem zakryła ją piana i płonący żagiel. Po chwili wszystko zniknęło.

\* \* \*

Na ekranie ustawionym na biurku Van Felsen w końcu pojawił się obraz z przesłaniem, nad którym automatyczny tłumacz wyjątkowo długo się biedził. Istota była wysoka, złota i miała troje oczu - jedno umiejscowione centralnie i dwa mniejsze po bokach. Z rąk wyrastały wijące się macki. Z pustym wyrazem twarzy kliknęła szponami jednej dłoni i powiedziała „### ##### przestańcie ### ##### walczyć”.

## ROZDZIAŁ VII

### NO TO MAMY WOJNĘ

Waterside była jedną z najstarszych dzielnic willowych Prescott. Rozciągała się wzdłuż ujścia Alph od siedziby rządu aż do falochronu, z którego widać było port. Powstała w czasie, kiedy miasto było jeszcze całkiem młode, świeżo wydzielone jako cywilna dzielnica mieszkalna przy instalacjach militarnych. Typowe wczesnokolonialne domy między gęsto rosnącymi drzewami zostały pobudowane z surowców dostępnych na planecie. Posiadały jeszcze jedną cechę charakterystyczną, a mianowicie domieszkę miejscowego stylu, który architekci tradycjoniści nazywali „neo-Tudor”, choć nikt na Xanadu nie rozumiał, skąd taka akurat nazwa.

Miriam Ortega pamiętała Waterside z czasów powstania. Wynajmowała wtedy niewielki domek, który podobnie jak pozostałe budynki dookoła doskonale wtapiał się w otoczenie lekko zaniedbanych, ale malowniczych domostw wyższej klasy średniej. Tam też dotarła do niej wiadomość o śmierci ojca w pierwszej bitwie o Zephraim. A jakiś czas później do drzwi zapukał będący już legendą admirał Trevayne - składając grzecznościową wizytę, która przerodziła się w coś zgoła nieoczekiwanego...

Odgoniła od siebie tę myśl i skoncentrowała na widoku za oknem pojazdu. Po pewnym czasie dzielnica została na nowo odkryta, a stare domy wyremontowane i rozbudowane. Ale niezależnie od tego, jak drogie było dziś Waterside, Ian Trevayne mógł pozwolić sobie na coś znacznie bardziej pretensjonalnego - apartament w jednym z najnowocześniejszych wieżowców w prestiżowej dzielnicy czy luksusową posiadłość na spokojniejszych obrzeżach miasta. Lecz kiedy pojawiło się ogłoszenie dotyczące domu nad rzeką, bardzo blisko morza, natychmiast polecił swemu agentowi, by go kupił.

Miriam zaparkowała i przez furtkę w niewysokim kamiennym murze przedostała się do ogrodu. Kiedy zadzwoniła, system sterujący domem błyskawicznie ją zidentyfikował i drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Weszła do ciemnego przedpokoju, z którego szklane drzwi

prowadziły na taras wychodzący na rzekę. Był ciepły wieczór na początku lata, więc przejście nie było zamknięte. Miriam znalazła się na zewnątrz i zachwyciła widokiem. Po prawej stronie, za przylądkiem, rozciągała się po sam horyzont błękitna płachta oceanu. Po lewej widać było część górnego biegu rzeki i w oddali najwyższe budynki centrum Prescott. Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie estuarium, domy podobne do tego wyrastały spośród zielonych gałęzi drzew przywiezionych z Ziemi - dębów i orzechów, wymieszanych gdzieś z rodzimymi gatunkami paproci.

Na tle rzeki i otaczającej ją roślinności odcinała się wyraźnie postać młodego mężczyzny stojącego przy balustradzie. Wyprostowany, z rękoma założonymi za plecami, przyglądał się w zamyśleniu przepływającej wodzie.

- Witaj, Ianie - Miriam przywitała się po cichu.
- Co... hm... Miriam... - Odwrócił się zaskoczony.
- Automat wpuścił mnie do środka - wyjaśniła, widząc jego zdziwienie.
- Oczywiście. - Pokiwał głową.

Zamilkli.

- Ładne miejsce sobie wybrałeś - powiedziała, by przerwać niezręczną ciszę. - Wciąż pamiętam te okolice. Myślisz, że dom, w którym mieszkałam, ciągle stoi?

- Tak, wciąż tam jest - odparł Trevayne i natychmiast się zorientował, jak szybko odpowiedział. - To znaczy zdarzyło mi się przechodzić tamtędy. Wiesz, spacer po okolicy. Oczywiście remontowali go od tamtego czasu.

- Tak, no pewnie.

Ponownie zapadła cisza.

Po raz pierwszy udało im się spotkać bez osób postronnych, których obecność zawsze łagodziła niezręczność takich sytuacji. Miała wrażenie, że rozumie to lepiej niż on - albo przynajmniej powinna z racji wieku.

Żadna para kochanków przed nimi nie znalazła się w sytuacji choćby zbliżonej do tej, z którą przyszło im się zmierzyć. Wspomnienia Trevayne'a były wciąż świeże - pamiętał tę miłość, jakby wydarzyła się ledwie kilka miesięcy temu. Przed oczyma miał Miriam Ortegę w wieku trzydziestu kilku lat, niemal piętnaście lat młodszą od siebie. Ale kiedy się obudził, okazało się, że jest już starszą kobietą, utrzymującą się w formie dzięki kuracjom odmładzającym, a jej wspomnienia przykryło osiemdziesiąt lat przeżyć, w których dla niego nie było miejsca... włącznie z...

- Jak się mają twoi synowie? - zapytał, by przerwać ciszę. - I ich rodziny?
- Dobrze im się powodzi. Aaron dostał profesurę na Aotearoa. Tam mieszka jego córka z

mężem. Kiedy się z nimi widzę, zawsze ostrzegam, żeby ustrzegli dzieci przed tamtejszym akcentem.

- Tym, który ci przypomina, albo raczej przypominał, mój akcent - zdobył się na żart.

Przez ulotną chwilę straciła ostrość spojrzenia. Przypomniała sobie ten niuans, którym go wtedy drażniła. Roześmiała się.

- Ramon dalej mieszka tutaj, na Xanadu. Został starszym wspólnikiem w kancelarii prawnej. Ma troje dzieci i tyle wnuków, że ja już straciłam rachubę!

- To wspaniale - powiedział delikatnie.

Przypominał jej synów, znacznie starszych od niego, jeśli brać pod uwagę czas przeżyty świadomie, i wnuki, które też były starsze od niego, lecz tylko fizycznie. Przypominał jej również ojca. Czy ktokolwiek potrafiłby coś takiego wymyślić? Miriam i...

- Joaquin Sandoval. - Kiedy się zorientował, że wypowiedział na głos imię młodego pilota myśliwca, swojego oficera operacyjnego, było już za późno. - Było mi bardzo przykro, kiedy dowiedziałem się o jego śmierci - dodał szybko.

Miriam pokiwała głową.

- Nawet kiedy został kapitanem i mimo protezy nogi, którą stracił w bitwie o System Zapata, nie potrafił przestać ryzykować. Ale ja wiedziałam, że tak będzie, a przynajmniej powinnam była wiedzieć, od kiedy... od kiedy my... - Głos jej zadrżał i przerwała. Nie przestała jednak patrzeć Trevayne'owi prosto w oczy, bez żalu i wyrzutów sumienia.

- Oczywiście - potaknął Trevayne. Tym jednym słowem powiedział o wiele więcej.

Kilka chwil później Miriam się uspokoiła i kontynuowała, siłąc się na rzeczowość.

- Ianie, gubernator mnie tu przysłał. Zapewne słyszałeś już najnowsze wieści?

- No pewnie. - Na jego twarzy ponownie pojawiła się melancholia, którą odgoniła swoją wizytą. - Zanim przyszedł, myślałem właśnie o Seanie.

- Jego śmierć jest dla nas niepowetowaną stratą. Rozumiem, co musisz czuć.

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby ktoś mógł to zrozumieć. - Jego słowa zabrzmiały brutalnie, ale głos mówił co innego. Myślał bowiem w takim samym stopniu o niej, jak i o sobie. - Według ciebie Sean miał za sobą długie i intensywne życie, i to nawet biorąc pod uwagę to, jak da się je dziś przedłużyć. Kiedy więc o nim myślisz, masz przed oczyma dodatkowe pełne osiemdziesiąt lat wspomnień, których nie mam ja. Dla mnie ten czas po prostu się nie zdarzył. W mojej świadomości on odszedł na samym początku drogi.

Podobnie jak nasza miłość, która zakończyła się w chwili pełnego rozkwitu, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

Patrząc jej w oczy, zrozumiał, że nie musiał.

- Ianie... - podjęła próbę.

- Nie musisz nic mówić, ja wszystko rozumiem - odparł, kiwając głową.

Bo tak naprawdę nie pozostało już nic do powiedzenia. Stali blisko siebie, patrzyli sobie w oczy ponad pustką, jaka nie stała się jeszcze nigdy dotąd udziałem człowieka. Kiedy Miriam znów się odezwała, zachowywała się tak, jakby wcześniejsza sytuacja nigdy nie miała miejsca.

- To nie tylko chodzi o stratę Seana, Ianie. To... no cóż, rząd wciąż jest w całkowitym szoku po tym, co się tam wydarzyło. Już sama wielkość ich statków jest po prostu porażająca.

- Rząd ma chyba inne, znacznie poważniejsze powody do strachu. Po raz pierwszy w historii ludzie spotkali wrogo nastawionych obcych, którzy przybyli tu w konwencjonalny sposób, pokonując przestrzeń kosmiczną. Zdajesz sobie sprawę, jaki szok wywołało odkrycie zamkniętych warpów?

- Poniękad tak - odpowiedziała zbity z tropu, bo nie widziała związku między tymi wydarzeniami. - Ale to się zdarzyło setki lat temu, a ja nigdy nie byłam takim maniakiem historii jak ty. Mimo to pamiętam, że wszyscy byli zaskoczeni istnieniem warpów z jakiegoś powodu, którego do dziś nie rozumiem, nie do wykrycia, dopóki ktoś nie dokona przez nie tranzytu.

- Właśnie tak. Zanim je odkryto, wszechświat i podróże międzygwiazdne wydawały się stosunkowo proste i bezpieczne. Korzystało się z warpa po to, by dostać się do innego systemu, który z kolei badało się pod kątem istnienia w nim warpów. I tak w kółko. Ale wtedy okazało się, że nieprzyjemne niespodzianki mogą pojawić się znikąd i bez zapowiedzi. Mimo że zamknięte warpy były bardzo rzadkie, i tak stanowiły gigantyczne zagrożenie. Ale teraz... - Trewayne zrobił ruch ręką w kierunku błękitnego nieba. - Teraz całe niebo stało się dla nas odpowiednikiem zamkniętego warpa! Jeśli oni przebyli normalną przestrzeń, by dotrzeć do Bellerophona, to znaczy, że mogą dotrzeć wszędzie, jeśli dać im dość czasu.

- Ianie, nie wierzę, żeby jakakolwiek cywilizacja ograniczona do jednego system była w stanie przygotować taką ekspedycję! Mój Boże, przecież te ich statki...!

- Może masz rację. Ale czy nie przyszło ci do głowy, że to wcale nie musi być ekspedycja, a przynajmniej nie w takim sensie, w jakim my pojmujemy to słowo? Może to... exodus.

Miriam Ortega wpatrywała się w młodzieńczą sylwetkę należącą do człowieka, który wiele, wiele lat temu zdobył jej miłość. Zaczynała sobie przypominać dlaczego.

Trewayne odwrócił się i oparł o balustradę, wbijając wzrok w punkt położony daleko za rzeką.

- Statki międzygwiazdne, wolniejsze niż światło - „statki pokoleniowe”, chyba tak się nazywały. Ludzie mówili o nich i pisali w różnych powieściach oraz opracowaniach naukowych, zanim odkryto warpy. Ale zawsze były z tym jakieś problemy - kwestie etyczne choćby. Przyjmijmy, że pierwsza załoga składałaby się z ochotników; co wtedy z ich dziećmi? I z kolejnymi pokoleniami? Z jakiego powodu i jakim prawem mieliby zostać skazani na egzystencję w takich nienaturalnych warunkach, i to bez świadomej zgody? Do tego dochodziła ekonomiczna niewykonalność takiego planu. Jakie społeczeństwo gotowe byłoby ponosić niewyobrażalne koszty związane z projektem czegoś, co nie miałoby prawa się zwrócić za życia praprawnuków podatników? - Znow spjrzał na nią oczami doświadczonego człowieka niepasującymi do ciała młodzieńca. - Nie. Takie przedsięwzięcie byłoby możliwe jedynie w przypadku braku jakiegokolwiek innych realnych alternatyw: tylko jeśli decydowałyby o przetrwaniu gatunku.

- Czyli zakładasz, że przed czymś uciekają? - Miriam z wrażenia nabrała głęboko powietrza. - Ale przed czym? Inwazją? - Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy zastanawiała się, co mogłoby zmusić rasę zdolną do zbudowania tak niewiarygodnie wielkich statków do ucieczki.

- Trudno mi spekulować, ale inwazja raczej nie pozostawiłaby im czasu na przygotowanie takiej armady.

- To trochę mi ulżyło. Ale w takim razie... co?

- Nie mam zielonego pojęcia. Może supernowa w pobliżu ich planety?

- Której światło jeszcze do nas nie dotarło. - Pokiwała głową.

- No właśnie. Ale zmierzam do tego, że mogli przygotować więcej niż jedną flotę. I prawdę mówiąc, jestem o tym niemal przekonany. Na wsi się mówiło, że nie należy wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka.

Miriam znow nabrała głęboko powietrza.

- No to dałeś mi materiał do przemyśleń. I najgorsze, że możesz mieć rację. Jeśli to gatunek, który został przyparty do muru, wówczas to, co przeraziło nasz rząd daleko bardziej niż rozmiary ich floty, staje się zrozumiałe. Chodzi mi o całkowitą pogardę dla swojego życia. Mówiąc między nami, to nie było przerażenie, ale panika.

- To akurat mogę sobie wyobrazić. Za moich czasów ataki samobójcze oznaczały jedno - Pająki. I wątpię, żeby to się zmieniło. Wojna z nimi wypaliła trwale piętno w psychice ludzi. - Trevayne pokręcił głową. - Ale też nie sądzę, żeby we wszechświecie mogło istnieć naraz więcej ras tego typu. I nie przemawia przeze mnie jedynie doświadczenie tego horroru na własnej skórze. Naukowcy są zgodni, że zaawansowana technologicznie rasa o wspólnej

świadomości była anomalią.

- Mam nadzieję, że się nie mylą. - Miriam znów poczuła ciarki na plecach. Sięgnęła do teczki i wyjęła z niej plik wydruków. - Przyniosłam ci analizę wywiadowczą dotyczącą ich taktyki. Jak zwykle biurokraci robili problemy, powołując się na kwestie bezpieczeństwa, ale ucieęłam te brednie, przypominając im, że skoro mówimy o tobie, to musisz mieć dostęp do wszystkich danych. - Na jej twarzy pojawił się paskudny uśmiech. - Znajdziesz tam szacunki dotyczące naszych strat. Nie puściliśmy tego do mediów. I tym razem uważam, że słusznie.

Trevayne szybko przekartkował materiały do tej części. Natychmiast zrozumiał, dlaczego to powiedziała. Poczł mdłości.

- Jest coraz gorzej - odezwała się ponuro Miriam.

Sięgnęła po przenośny komputer i postawiła go na balustradzie. Był to jeden z najnowszych modeli, sterowany głosem. Wypowiedziała komendę i w powietrzu pojawił się ekran holograficzny. Można było na nim zobaczyć mapę z zaznaczonymi warpami, która w żaden sposób nie oddawała jednak trójwymiarowości przestrzeni i rozmieszczenia gwiazd względem siebie. Przypominała przez to diagram jakiegoś archaicznego układu scalonego. Trevayne przyjrzał się obrazowi. Przedstawiał łańcuch Bellerophona.

- Zapewne zdajesz sobie sprawę - zaczęła Miriam - że jestem ostatnią osobą, z którą chciałbyś rozmawiać na tematy militarne...

- Jesteś dla siebie zbyt surowa. - Trevayne uśmiechnął się, bo szczerść, z jaką mówiła o swojej niewiedzy, zawsze go rozczulała, choć wiedział, że przesadza.

- ...ale nawet ja jestem w stanie dostrzec strategiczne implikacje tych wydarzeń. Zajmując system Bellerophon, odetną cały łańcuch - to jak odciąć drzewo od korzeni. Co gorsza, Bellerophon jest, a raczej był, główną bazą floty w okolicy. Marynarka twierdzi, że poza nią nie mamy żadnych znaczących sił...

- Może nie będzie potrzeba... - wtrącił Trevayne.

- ...więc lokalne systemy nie mają nawet co marzyć o jakimkolwiek oporze, kiedy te stworzenia się dowiedzą, do czego służą warpy, i ruszą przez nie.

- A zrobią to na pewno. - Trevayne nie miał wątpliwości. - O ile wiem, obserwowali, jak nasze jednostki dokonywały tranzytów. Każdy, kto podróżował konwencjonalnie między gwiazdami, szybko dojdzie do tego, co można w ten sposób zyskać. Nasi przodkowie nie byli nawet na podobnym poziomie technologicznym, kiedy w dwudziestym pierwszym wieku wpadli w jeden z warpów, lecąc ze stacji Europa na Neptuna. - Pokręcił głową, kiedy pomyślał o całkowicie nieprawdopodobnym przypadku, dzięki któremu ludzkość stała się znaczącym graczem na poziomie międzyplanetarnym.

Po kilku chwilach Miriam przerwała ciszę.

- Jak już ci wspomniałam, Ianie, to gubernator poprosił mnie, żebym tu przyszła. Zapewne pomyślał sobie, że najlepiej będzie, żebym to ja z tobą porozmawiała, bo... sam wiesz...

- Tak, coś wspomniałaś. - Trewayne pomógł jej się wykaraskać z kłopotliwej sytuacji, przybierając bardzo rzeczowy ton. - A ja właśnie sobie o tym wszystkim rozmyślałam... Bardzo ci dziękuję za te wszystkie informacje, z którymi mnie zapoznałaś. Nie rozumiem tylko, po co to zrobiłaś? Albo inaczej - czego ode mnie oczekuje gubernator?

- Nawet się nie domyślasz? Racja, byłeś zajęty przyzwyczajaniem się do współczesnego świata i nadrabiałeś zaległości, pewnie więc nie miałeś zbyt wielu okazji, żeby sobie dokądś wyjść i porozmawiać z ludźmi... Ianie, to, co się teraz liczy, to tęsknota ludzi za czymś, co mogłoby przeważać szalę, za osobą, która mogłaby to sprawić. A ty wydajesz się odpowiednim kandydatem.

Z początku tak go zamurowało, że stał, patrzył na nią i nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

- W tym, co czują, jest jakiś element mitu - kontynuowała. - Archetyp głęboko zakorzeniony w ludzkiej psychice: w szczególnie krytycznych chwilach pojawia się bohater, który wszystkich ratuje. Jak król Artur czy hrabia Ogier Duński. - Uśmiechnęła się, widząc jego zaskoczenie. - Wyobraź sobie, że przeczytałam kilka ziemskich legend, żeby zrozumieć mechanizm twojego stawania się bohaterem dla opinii publicznej. A na dodatek ty, w przeciwieństwie do tamtych, naprawdę wróciłeś! Wszyscy uważają cię za ojca założyciela Federacji Obrzeża, który powrócił do swojego ludu.

- Ale ja przecież byłem przeciwny powstaniu Federacji Obrzeża! Wszystko, co robiłem, robiłem po to, by utrzymać Obrzeże pod rządami Federacji Ziemskiej.

- Już dawno o tym zapomnieli. Ale zgadzam się, że jest trochę ironii losu w tym, jak cię postrzegają mieszkańcy Obrzeża.

- Ironii losu? To nie ironia losu, tylko absurd. Równie absurdalny jest pomnik, który mi postawiliście. Ojciec założyciel, dobre sobie. W takim razie ty jesteś matką założycielką.

- Jestem zbyt skromna na fałszywą skromność. - Uśmiechnęła się. - Ale czasy wymagają bohatera, który umie walczyć. Może ci się to podobać lub nie, ale wybrali sobie ciebie. Już porównują cię z Howardem Andersonem.

- Co?! Ale... ale...! - Trewayne znów stracił zdolność mówienia, bo to, co usłyszał, było dla niego bluźnierstwem.

Howard Anderson, człowiek legenda, który poprowadził młodą Marynarkę Federacji



Ziemskiej do zwycięstwa w dwóch pierwszych wojnach międzyplanetarnych, a potem, już jako prezydent Federacji, przeprowadził ją na trzecią...

- Cóż - oznajmiła Miriam z charakterystyczną złośliwością - jeśli spojrzeć na to z historycznego punktu widzenia, jesteś niemal w tym samym wieku co on, kiedy wracał z emerytury, żeby wziąć udział w wojnie z Thebanami. Poza tym jesteś najstarszym stopniem oficerem w całej Marynarce Obrzeża.

Trevayne wziął się w garść i nabrał głęboko powietrza.

- Miriam, przy całkowicie nieuprawnionym założeniu, że nie żartujesz, pozwól, że wyliczę wszystkie argumenty przeciw. Przede wszystkim nie jestem nawet na liście oficerów liniowych czynnej służby.

- To akurat da się łatwo naprawić.

- Nie ma sprawy, ale to rodzi drugi problem. Moje starszeństwo zostało wypracowane wylegiwaniem się w zamrażarce! Do cholery, Sean Remko był oficerem czynnej służby dwa razy dłużej, niż trwało całe moje świadome życie! Podobnie Cyrus Waldeck. Musicie przecież mieć innych oficerów o podobnym doświadczeniu jak oni. Jak będą się czuli, kiedy zmusicie ich do służenia pod reliktem z jakiejś powieści historycznej? I możesz mi wierzyć, iż czuję, że mój wygląd zewnętrzny nie będzie tutaj nic a nic pomocny.

- Sądzę, że część ludzi może odczuwać pewien dyskomfort - przyznała mu rację Miriam.

- To zastanów się nad tym: będą mieli do tego pełne prawo. Wciąż jeszcze jestem beznadziejnie zacofany, jeśli chodzi o współczesną technikę. I ta cała mityczna otoczka nie będzie miała absolutnie żadnego znaczenia, bo pytania będą dotyczyły tego, czy na tyle dobrze wiem, co robię, żeby utrzymać ich przy życiu. Jeśli teraz dacie mi dowództwo liniowe, nie będę niczym więcej niż... - Trevayne nagle pobladł, zdając sobie sprawę z tego, co musi teraz powiedzieć, i momentalnie zrobił się zły - ...niczym więcej niż tym, co sobie zaplanowali gubernator i jego doradcy: maskotką wystawianą na widok publiczny, by podbudować morale!

- Ianie, to nie fair... - Miriam nie dokończyła zdania, kiedy zobaczyła jego zimne i pełne wściekłości oczy.

Jako doświadczony polityk potrafiła zazwyczaj zaprzeczyć absolutnie wszystkiemu z pewnym sobie wyrazem twarzy. Ale nie tym razem. Nie przed tym człowiekiem. Nie pomogło też to, że ostrzegęła tych tępych biurokratów, żeby nie zapominali, o kim rozmawiają... a potem sama o tym zapomniała.

- Ianie, zastanów się - zaczęła od początku, przezornie odpychając od siebie wszystkie wątpliwości. - Jeśli byłoby coś, cokolwiek, co mógłbyś zrobić dla obrony Rim, choćby jako

żywy symbol, to czy masz prawo odmowy?

Może i nie przewidziałeś powstania Federacji Obrzeża i prawdopodobnie nie podoba ci się, że w ogóle powstała, ale tak, ona istnieje. I wyobraź sobie, że to wciąż jest to samo Obrzeże, którego broniłeś. Znow w niebezpieczeństwie.

- Miriam, zdążyłem już zaakceptować istnienie Federacji Obrzeża. I tak, zamierzam spełnić swój obowiązek. Ale na pewno nie będzie to służba w charakterze marionetki czy naganiacza dla rządu. Jeśli mam wrócić do aktywnej służby, to na pewno nie w tej roli. Albo wracam naprawdę, albo wcale. I... jeszcze nie jestem na to gotowy. Potrzebuję więcej czasu. Chryste, ja przecież powinienem wrócić do akademii!

- Rozumiem, Ianie. To co myślisz o tym: poproszę admiralicję o oddanie do twojej wyłącznej dyspozycji oficera - jakiegoś eksperta technicznego, będącego jednocześnie kimś bardzo kontaktowym. Ruszmy z kopyta. I ty sam wybierzesz dobry moment. Co ty na to?

- Niech będzie - pokiwał głową.

- Dobrze. Przekażę twoją odpowiedź gubernatorowi. - Zebrała swoje rzeczy i już miała wychodzić, ale się zatrzymała. - Tylko zbytnio tego nie przeciągaj. Admiralicja chce jak najszybciej rozpocząć kontrofensywę i dobrze by było, żebyś był gotowy równo z flotą.

- Przygotowanie floty może zająć trochę czasu, przynajmniej sądząc z tego, co wypisują w gazetach.

- Wiem i właśnie dlatego błagamy o pomoc Unię - przez Federację Ziemią oczywiście. Prawdę mówiąc - spojrzała na niego zamyślona - ...będę musiała skonsultować się z astronomami. Ale biorąc pod uwagę twoje dywagacje na temat powodów powstania floty obcych, jest całkiem możliwe, że Republika też będzie w to włączona. - Charakterystyczny grymas pojawił się na jej ustach, kiedy przyglądała się, jak zmienia się wyraz twarzy Iana. - A jeśli tak, to być może będziesz musiał odnowić swoją przyjaźń z innym, starym druchem - Pierwszą Damą Przestrzeni Li Han.

\* \* \*

Supermonitor przesuwiał się dostojnie, a światło pobliskiej gwiazdy odbijające się od potężnych burt i nadbudówek wylaniających się z gąszczu skomplikowanej zabudowy rzucało delikatne refleksy.

Trevayne, przyglądając się zagmatwanym wzorom na pokładzie, potrafił je zidentyfikować i przyporządkować im określone funkcje. Samą jednostkę rozpoznał jako okręt rakietowy, przystosowany do prowadzenia najcięższego możliwego ostrzału rakietowego, którego potencjał mógł w teorii zniszczyć każdego przeciwnika lawiną głowic z

antymaterią na długo przedtem, zanim sam znajdzie się w zasięgu jego dział energetycznych.

Przecież to oczywiste, że go poznawał. W końcu to on, kiedy przebił się do Zephraim, rozkazał rozpoczęcie prac nad pierwszymi supermonitorami i osobiście nadzorował badania nad nowymi raketami z napędem grawitacyjnym, które miały stanowić ich uzbrojenie. Spoglądał więc na ten okręt z pewną dozą ojcowskiej czułości. Supermonitory stanowiły obecnie podstawową siłę Marynarki Obrzeża.

Niestety, kolumny danych w różnych kolorach i liczby, które pojawiły się obok obrazu supermonitora, psuły cały efekt...

Podobnie jak głos oficera łącznikowego.

- Chcieli tej klasie okrętów nadać nazwę *Trevayne*. W końcu jednak zdecydowali, że człowiek musi być zdecydowanie martwy, jeśli cała klasa okrętów ma nosić jego imię.

- Chwała Bogu, że nie naciskali na doprowadzenie mnie do stanu, w którym spełniałbym ich wymagania - mruknął oschle *Trevayne*.

Skupił się i wydał bezgłośny rozkaz. Bezkresna przestrzeń, w której poruszał się supermonitor i w której on sam się przemieszczał, jakby był Bogiem, zniknęły, ukazując nagie ściany pomieszczenia treningowego.

*Trevayne* mógł wyłączyć holoprojekcje ręcznie, lecz wolał ćwiczyć posługiwanie się interfejsem nerwowym, który za jego czasów pojawiał się dopiero w śmiałych przewidywaniach konstruktorów fantastów eksploatujących ideę zrodzoną niemal czterysta lat przed jego urodzeniem. Jeszcze dziś rozwiązanie to należało do nowości. Jak się okazało, zaledwie niewielki ułamek procenta populacji ludzi (i jeszcze mniej Kociambrów) posiadał zdolność do osiągnięcia pełnej kontroli nad falami mózgowymi, czyniąc niejako komputery swoim przedłużeniem, choć samym maszynom wcale nie było bliżej do prawdziwego odczuwania niż osiemdziesiąt lat temu. *Trevayne* nie okazywał tego, jednak poczuł ulgę, kiedy usłyszał ostatnie zdanie. Wiedział też, że nie należy do promila utalentowanej mniejszości, lecz przy odpowiedniej dyscyplinie umysłowej, która zresztą od zawsze stanowiła jego cechę charakterystyczną, potrafił wydawać podstawowe komendy.

Oficer łącznikowy z uznaniem kiwnął głową. Komandor podporucznik Andreas Hagen pracował wcześniej w biurze konstrukcyjnym marynarki, lecz ostatnio został oddelegowany do Akademii Prescottta. Tam szybko zwrócił na siebie uwagę Genjiego Yoshinaki, który z kolei wspominał o nim Miriam Ortedze. Następnie został ponownie odkomenderowany, a kiedy dowiedział się, do jakich zadań, początkowo nie był zachwycony. Przerażała go myśl o niańczeniu żywej legendy, a strach mieszał się z protekcyjnalizmem charakterystycznym dla relacji opiekuna z podopiecznym. Fakt, że bohater, do którego został przydzielony, wyglądał

jak jego studenci z akademii, wcale nie ułatwiał mu zadania.

Obecnie czuł szacunek, którego nie zakłócały przesady związane z mityczną otoczką, wokół jego podopiecznego, co pewien czas wzmacniany przez szczere uznanie dla szybkości i bystrości, z jaką ten bądź co bądź bohater z podręcznika do historii pojmował skomplikowane współczesne zagadnienia.

Ponownie pokiwał głową.

- Doskonale opanował pan techniki koncentracyjne.

Trevayne puścił pochwałę mimo uszu. Z techniką dawał sobie zawsze doskonale radę, lecz nigdy tak naprawdę nie wzbudzała w nim żadnych emocji. Uważał, że to dziedzina, którą powinni zajmować się specjaliści, a jemu musi wystarczyć znajomość możliwości systemu. To, jak on działa, było dla niego sprawą drugorzędną. Poznał już Hagen na tyle, iż wiedział, że ten zacznie mu z zapalem opowiadać o wszystkich zawiłościach, szybko więc zmienił temat.

- O ile dobrze zrozumiałem, jednostki uzbrojone głównie w pociski raketowe stanowią dwie trzecie wszystkich supermonitorów Marynarki Obrzeża, tak?

- Tak. - Hagen potwierdził, rezygnując z należytą Trevayne'owi formy „sir”, lecz nie używał jej na wyraźną prośbę samego zainteresowanego. - Pozostała jedna trzecia jednostek to okręty artyleryjskie uzbrojone w działa energetyczne. Ich zadaniem jest zwalczanie jednostek wroga, które przedrą się przez zaporę pocisków dalekiego zasięgu. Ale główny nacisk kładziemy na HBM-y. Swoim studentom zawsze powtarzam, że ta strategia została zapoczątkowana przez pana.

- A teraz zostanie dokładnie przetestowana - powiedział Trevayne, nie czując się komfortowo z odpowiedzialnością, jaką mu przypisano. - A co z innymi flotami? Z tego co wyczytałem, prezentują inną filozofię wykorzystania supermonitorów?

- Tak, w rzeczy samej. Marynarka Republiki preferuje jednostki wyposażone w oba rodzaje uzbrojenia, które może prowadzić walkę w każdym dystansie. Marynarka Unii wykorzystuje natomiast supermonitory w konfiguracji lotniskowiec/jednostka uderzeniowa. Jest to filozofia podobna do tej praktykowanej przez Republikę, jednak poświęcono znaczną część wyrzutni rakiet, by upchnąć na pokładzie możliwie jak najwięcej myśliwców dalekiego zasięgu, pomimo że nie są to okręty zaprojektowane do takich zadań i do budowania pokładów hangarowych nastęrcza wielu problemów.

- To chyba wpływ Chanatu - zaśmiał się Trevayne. - Kociambry pokochały myśliwce, gdy tylko się pojawiły, bo dzięki nim mogą ryzykować swoje futerka w pojedynkach, a ich kodeks *theernowlus* mówi, że tylko to przynosi wojownikowi chwałę. Gdy jest się trybikiem

w wielkiej maszynie organizacyjnej, zamkniętym w milionach ton gigantycznego okrętu, nie da się poczuć wojownikiem.

- Tak, może być w tym ziarno prawdy. Ale mają też inne, racjonalne argumenty: pozwala im to przenieść dostateczną liczbę myśliwców, by w razie konieczności przeprowadzić udany atak na nowoczesną flotę. To także uzasadnia całkowite wycofanie lekkich lotniskowców eskortowych znanych w pana czasach. - Hagen zdążył się już nauczyć, że takie sformułowanie nie było odczytywane jako obraźliwe. - Myśliwców nigdy nie jest za dużo.

- Wie pan, dla mnie to jedna ze spraw, do których najtrudniej mi się przyzwyczaić: odejście od traktowania myśliwców jako broni dalekiego zasięgu. Dość długo tak funkcjonowały, od kiedy Rigelianie wprowadzili je do walki.

- Niemalże trzysta lat. - Hagen pokiwał głową. - Ale na to złożyło się kilka czynników. Jednym z nich jest znaczne ulepszenie techniki obronnej. Pamięta pan oczywiście generatory pól wprowadzone na początku przez Marynarkę Republiki.

- Jak dziś - odparł Trevayne, krzywiąc się. Nowe generatory pól, które automatycznie restartowały się w przypadku przeładowania, w przeciwieństwie do starszych typów, które się po prostu w takich sytuacjach przepalały, były niemiłą niespodzianką przygotowaną przez Li Han, z którą zetknął się w czasie bitwy o Zapatę. Na kilka minut przed początkiem wielkiej przerwy w jego życiu. - I, o ile dobrze zrozumiałem, współczesne generatory są dwukrotnie mniejsze.

- Tak jest. Ale znacznie ważniejsza modyfikacja polega na tym, że dziś nie przepuszczają energii na żadnej długości fal, włączając w to promieniowanie rentgenowskie. Okręty stały się więc znacznie odporniejsze na atak myśliwców, biorąc pod uwagę ich standardowe uzbrojenie. Znacznie ulepszono też uzbrojenie obronne. Nowoczesne systemy potrafią prowadzić walkę z sześcioma myśliwcami równocześnie na jedno stanowisko, a to wszystko dzięki wydajniejszym komputerom. Rakiety przeciwlotnicze są skuteczne na dużo większych odległościach - szczególnie najnowsza wersja *Hawka*, którą można związać walką myśliwce w promieniu do trzydziestu sekund świetlnych! A jeśli komuś uda się przebić, napotka chmury *flechette*, z których część wystrzeliwana jest przez myśliwce przewagi przestrzennej.

- Ach tak. Tak. Kolejny wynalazek bunto... Republiki. - Trevayne intensywnie myślał. - Oczywiście sama obecność myśliwców, których zadaniem jest znalezienie wrogich myśliwców, sprawia, że własnym jednostkom uderzeniowym też trzeba zapewnić osłonę. A ta zabiera dużo miejsca. Abstrahując więc od ich niezaprzeczalnej przydatności w niszczeniu myśliwców uderzeniowych, myśliwce przewagi przestrzennej ograniczyły skuteczność działania tych pierwszych, zmniejszając po prostu ich liczbę na poszczególnych

lotniskowcach. - Trevayne zamilkł na chwilę i spojrzał na Hagen, który stał z otwartymi szeroko ustami. - Czy mam rację? - zapytał łagodnie.

- Eee... tak jest, sir. - Hagenowi w końcu udało się wydukać odpowiedź. To, co usłyszał przed chwilą, odpowiadało dokładnie krótkiemu wykładowi, jakiego właśnie zamierzał udzielić swemu podopiecznemu. I planował przy tym używać jedynie prostych słów. - Na koniec jeszcze jedna informacja. Udowodniono, że nie da się zmniejszyć napędów grawitacyjnych do wielkości pozwalającej zastosować je w myśliwcach - a to oznacza, że w przestrzeni kosmicznej straciły przewagę prędkości.

- A tak, napęd Desai. - Trevayne wciąż nie mógł sobie wyobrazić, jak to jest w jednej chwili osiągać prędkość równą  $0,5 c$  w sposób, do którego przyzwyczyli ludzie zwykle napędy. Na wspomnienie wynalazku jednej ze swoich dawnych podkomendnych Trevayne pomyślał o życzeniach, które posłał jej bezzałogową kapsułą kurierską, kursującą przez warpy Republiki pomiędzy Obrzeżem i Unią.

- Ale ten napęd ma też swoje minusy - powiedział ostrożnie Hagen. - Niemalże nie da się nim manewrować, a z powodu sprzężenia harmonicznego nie będzie funkcjonował w granicach „limitu Desai” - niemal dwóch minut świetlnych od przeciętnej zamieszkałej planety i dwudziestu minut świetlnych od gwiazdy, wokół której krąży taka planeta. Myśliwce wciąż odgrywają więc znaczącą rolę w obronie planetarnej. Na dodatek poszerzono ich możliwości. Chodzi mi tutaj o system TSIM. - Hagen zatrzymał się na chwilę, nabrał powietrza i wyrecytował rozwinięcie skrótu: - Taktyczny system informacyjny dla myśliwców. - Trevayne wiedział już wcześniej, co on oznacza. - Pozwala on na objęcie większej liczby myśliwców wspólnym dowodzeniem, co skutkuje zwiększeniem liczebności eskadr.

- Tak. - Trevayne uśmiechnął się. - Sporo się zmieniło. Ale nie wszystko. Uzbrojenie pokładowe jest wciąż podstawą, o ile dobrze zapamiętałem. Rakiety też nieszczególnie się zmieniły.

- Przenoszone przez nie głowice są znacznie nowocześniejsze, co zostało wymuszone udoskonaloną obroną antyrakietową i nowocześniejszymi środkami prowadzenia walki radioelektronicznej. Założeniem było zwiększenie dystansu, z którego będzie możliwe uszkodzenie jednostki wroga. Torpedy laserowe na przykład i przypominające starsze modele pociski kumulacyjne z pułapką magnetyczną kanałującą siłę eksplozji i nadającą im formę wysokoradioaktywnej plazmy.

- Hm, ale w gruncie rzeczy rakiety, które je przenoszą, pozostały niezmienione. Podobnie ma się sprawa z pokładowymi działami energetycznymi. Mają oczywiście większą moc, co

wynika z ogólnego postępu technicznego, ale jest to raczej różnica w zaawansowaniu, a nie w rodzaju czy sposobie działania. To samo można by powiedzieć o beamerach, których używa się od czasu, kiedy nowe pola siłowe zmniejszyły znaczenie laserów. - Trewayne uśmiechnął się delikatnie. - Jest jeszcze oczywiście nowa torpeda energetyczna, ale za mało o niej wiem, by stwierdzić, czy to coś w rodzaju beamera, czy raczej pocisk pozbawiony materii.

- Mamy jeszcze coś. - Hagen się zawahał, ale szybko podjął decyzję. - Wciąż jeszcze nad tym pracujemy. Broń jest ściśle tajna, ale otrzymałem polecenie, by absolutnie niczego przed panem nie ukrywać i przedstawić panu nawet najtajniejsze informacje ze wszystkich dziedzin. Mam na myśli modyfikację napędu Desai, która zamienia go w broń o mocy wprost proporcjonalnej do mocy napędu. Wykorzystuje się do tego jednokierunkowe zawirowania w przestrzeni. Teoretyczny zasięg to jakieś dwadzieścia pięć sekund świetlnych. Podobnie jak w przypadku broni energetycznej, wraz z odległością zmniejsza się jej skuteczność, ale jeśli mam być szczery, to ze ściśle tajnych szacunków wynika, że jednostka wyposażona w taką broń będzie naprawdę przerażająco niebezpieczna, szczególnie na krótszych dystansach.

- Ucieszyłbym się, gdyby załatwił mi pan te dane. - Trewayne znów wyglądał na zamyślonego. - To jest, zdaje się, kolejny argument za budową coraz większych jednostek i rezygnacją z myśliwców, które, jak sam pan zauważył, nie mogą wykorzystywać napędu Desai. - Znów przypomniał sobie o Sonji Desai. I zastanowiło go, dlaczego nie dostał jeszcze od niej odpowiedzi, choć minęło już sporo czasu.

## ROZDZIAŁ VIII

### ZBROJENIA

Obraz unoszący się nad biurkiem był ucieleśnieniem piękna. Okręt nie różnił się od zwykłego supermonitora do chwili, kiedy jednostka tej klasy nie pojawiła się obok dla porównania. Wtedy można było zauważyć różnicę w wielkości. Okręt połyskiwał srebrzyście na tle mgliście błękitnej atmosfery poniżej, a po chwili kamera pokazała jego obraz na tle czarnego kosmosu z nielicznymi punkcikami gwiazd.

Gabinet Li Han był mocno oświetlony, ale nie tak sterylny jak zazwyczaj, bo na stoliku obok okna leżała otwarta teczka Li Magdy i do połowy opróżniona filiżanka kawy, a dookoła porozkładane były wydruki. Gospodyni pozwoliła sobie na westchnienie i pomyślała, że nawet po tylu latach jej córka wciąż potrafi zrobić bałagan, dysponując bardzo ograniczoną ilością rekwizytów. Potem wróciła do jednostki, którą oceniali.

Kiedy ponownie oglądały zapis testów potężnego okrętu liniowego nowej klasy dewastator, Li Magda - dla przyjaciół Mags, choć nigdy przy matce - myślała o tym, jak niewzruszona jest Li Han. Wydawało się, że niemal nie zwraca uwagi na osiągi i możliwości nowej jednostki - ale wiedziała też, że ta pozorna obojętność naprawdę przekonywała wielu ludzi. Li Han spoglądała tylko kątem oka, nieregularnie, skupiając się na przygotowywaniu kolejnych figurek origami, ale obie Magdy - kontradmirał Li Magda z Marynarki Obrzeża i admirał floty Magda Pietrowna Windrider z Marynarki Obrzeża (emerytowana - wiedziały, że nikt nie analizuje tak dokładnie wszystkich zebranych danych jak ona.

Li Han odstawiła na blat biurka kolejną figurkę, tym razem nie większą niż paznokieć.

- Dokładnie o sześćdziesiąt siedem procent większy?

Magda pokiwała głową.

- Tak. Około dwóch milionów ton. A to oznacza, że może przenosić znacznie więcej uzbrojenia. Jest dość miejsca na ECM-y i systemy maskowania nowej generacji.

Mags nie mogła usiedzieć spokojnie na miejscu. Chciała już dostać to cudo w swoje ręce.



- Ale - powiedziała Li Han - mimo sporej prędkości trudno będzie nim manewrować.

- Coś za coś. - Magda wzruszyła ramionami i założyła nogę na nogę. - Każdy chciałby mieć do dyspozycji nieograniczoną przestrzeń ładunkową, nieograniczoną prędkość, możliwość wykonywania zwrotów w miejscu, zmian kierunku i jeszcze zasięg pozwalający dolecieć wszędzie.

Li Han wyciągnęła z kupki wydruków pojedynczą kartkę, poprawiając całą resztę.

- Pięknie. Ładnie to wygląda. Widzę, że uwzględniłaś też ten fragment, że można dolecieć nim wszędzie.

Magda westchnęła.

- No nie do końca. Będzie go można wykorzystywać tylko w systemach, do których prowadzą odpowiednio duże warpy. Inne systemy... cóż, mamy przecież mniejsze jednostki. A wiesz przecież, że czas uderzenia bywa często znacznie ważniejszy niż siła. - Odstawiła filiżankę. - Poza tym będziemy potrzebowali takiej siły ognia, jeśli Tangri nie odpuszczą. Będę optować za wyposażeniem naszej ślicznotki w torpedy z głowicami laserowymi i kumulacyjnymi. - Mówiąc to, kiwnęła głową w stronę Li Magdy, która od jakiegoś już czasu zachęcała do uczynienia torped laserowych i dział grawitacyjnych głównym uzbrojeniem współczesnej floty.

Głowice kumulacyjne składały się z ładunku antimaterii umieszczonego naprzeciwko generatora pola siłowego. Na chwilę przed zaprogramowaną detonacją wytwarzał on pole w kształcie zwięzki Venturiego, które ukierunkowywało siłę wybuchu.

- Wygląda na to - oznajmiła Li Han, odkładając na stół kolejną figurkę origami, tym razem białą - że Sienfeld Starship sprawiło się lepiej, niż zakładaliśmy. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Pokój rozjaśniał się, w miarę jak Beaufort wznosił się coraz wyżej na niebie. - Ale chyba same to zauważyłyście.

- Jak mawia Pierwsza Dama Przestrzeni - oznajmiła Mags, wstając i przeciągając się. - Sienfeld odwalił dobrą robotę. I chociaż wołałabym zamezczać się w Zwiadzie, jak to pięknie ujęła moja matka, chętnie dostanę tę zabawkę w swoje ręce. - Zrobiła smutną minę. - W końcu kimże jestem, by sprzeciwiać się rozkazom?

Li Han spojrzała na Magdę i westchnęła.

- Proszę jej wybaczyć. Moja córka, choć pozostawała pod opieką szanownego ojca i kochających dziadków, nabrała złych nawyków.

Wszystkie trzy się roześmiały.

- Mamuś? - Mags zauważyła uniesioną brew Li Han: - Matko?

- Tak lepiej. Słucham cię, córko.

Mags wskazała dłonią na biurko i rząd figurek origami.

- Nigdy nie zapytałam... ale kiedy zaczęłaś je robić?

Li Han starannie zagięła kolejny fragment papieru.

- Jakież osiemdziesiąt lat temu, gdy byłam jeńcem wojennym. Czyli wtedy, kiedy musiała się poddać Ianowi Trevayne'owi. Miała spokojny głos i wzrok; czas zdążył złagodzić ból tamtej porażki. Koniec końców zwyciężyli.

- Tak - mówiła dalej, nie przerywając pracy. - Sto osiemnaście lat temu nauczyła mnie tego moja babcia. A moja matka uznała, że to w niczym nie przeszkadza, bo twierdziła, że i tak nie zachowuję się jak kobieta. - Odstawiła kolejną figurkę. - Po tym przez wiele lat nie chciałam się w to bawić. W niewoli mieliśmy dostęp jedynie do papierowych wydruków, a pierwszy żuraw, którego zrobiłam, był duży, szary i niezgrabny. Zabrałam się do tego, bo nie mogłam usnąć. Wtedy znów stało się to dla mnie ważne.

Li Magda pokiwała głową, słuchając matki. Magda milczała, bo nie spodziewała się, że ta część przeszłości nagle stanie się też jej udziałem.

- Wtedy też złożyłam ich pierwszy tysiąc. - Upiła łyk z filizanki i spojrzała na córkę i przyjaciółkę. - Właściwie to po tysiącu dla ciebie i twojego brata. - Wtedy myślała, że już nigdy nie będzie mieć dzieci.

Ona i Robert Tomanaga zdecydowali się jednak spróbować. Pobrano od niej jajeczka i zbadano pod kątem uszkodzeń genetycznych. Potem przeprowadzono zapłodnienie pozaustrojowe i wszczepiono embriony do macicy. Dzięki ogromnemu postępowi techniki udało się uniknąć wielu problemów. Całą operację powtórzono. Z sukcesem.

- Od tamtego czasu straciłam rachubę.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Tylko na hologramie unosił się majestatyczny okręt. Windrider zaczęła zbierać swoje wydruki.

- Musimy ustalić... - Nie dokończyła, bo zabrzmiał sygnał systemu łączności.

- Tak?

- Priorytetowa wiadomość.

- Dziękuję, łącz. - Ponieważ i jej córka, i przyjaciółka miały certyfikaty dostępu do tajnych informacji, przyjęła połączenie i obraz okrętu zastąpiła twarz Cyrusa Waldecka.

Mags zdziwiła się, jak źle wygląda. Nie wierzyła, by mógł stracić tyle na wadze przez ten krótki czas, kiedy widziała go po raz ostatni. Miał puste oczy i po raz pierwszy, od kiedy pamiętała, wyglądał po prostu staro.

- Panie prezydencie, prezydencie emeritusie, Pierwsza Damo Przestrzeni - przerwał, jakby z trudem przyszło mu wymienienie wszystkich adresatów wiadomości. Zupełnie nie w

jego stylu. Ze wszystkim potrafił brać się za bary. - Zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia systemu Bellerophon. Nasze straty wynoszą pięćdziesiąt osiem procent.

- O cholera. - Magda nie wytrzymała.

Li Han potaknęła, a Mags nie odezwała się, czekając na dalszą część.

- Wycofaliśmy się do Astrii. Będę się starał utrzymać system. Załączam nagranie z bitwy.

Mags z powrotem usiadła na fotelu i wszystkie w milczeniu oglądały przebieg bitwy o Bellerophon. W połowie Li Magda uruchomiła drugi terminal i wyświetliła trójwymiarową mapę Łańcucha Bellerophon.

Kiedy pojawił się komunikat o zakończeniu transmisji, odezwała się.

- Odcięli potężny kawałek Federacji Obrzeża.

Han pokiwała głową i wyświetliła tę samą mapę, ale znacznie wyraźniejszą.

- Mówimy o flocie inwazyjnej, której udało nam się zniszczyć ledwie trzydzieści procent, a która zajęła cały system. Zdobyli nasze stocznie. Na szczęście nie wiedzą jeszcze, jak używać warpów, choć są już świadomi ich istnienia i będą nad tym pracowali. Wiedzą też, jakie mają one dla nas znaczenie.

Magda przesunęła dłonią przez hologram.

- To wszystko tutaj... mówimy o odcięciu ponad czterech miliardów istnień.

Terminal Li Magdy zaskrzeczał.

- Cholera, chyba mam złą wiadomość.

Dwie pozostałe spojrzały na nią, czekając na ciąg dalszy. Na tyle dobrze się znały, że nie musiały zadawać niepotrzebnych pytań.

- Mam informację od astronomów. Uważają, że obcy przybyli z okolic mgławicy Bufo... jeśli nie z jeszcze dalszych okolic, choć Bufo jest najprawdopodobniejszym miejscem. Dlaczego zakładaliśmy, że wyruszyła tylko jedna flota? Popatrzcie.

Wyświetliła mapę, której nie mogły z początku ogarnąć. Nie był to zwykły i zrozumiały plan prostych połączeń między warpami, lecz jakby kłębek świetlistej włóczki zwiniętej bez żadnego ładu.

- Jeśli usunę z tego wszystkie szlaki przez warpy... - przez chwilę uderzała w klawisze. - Proszę, tak wygląda przestrzeń, tyle że po prostu nie jesteśmy przyzwyczajeni jej tak widzieć.

- Podświetliła terytorium Federacji Obrzeża, które wyglądało tak, jakby przenikało się z obszarem Republiki i terenami Ophiuchi i... i całość stała się zbyt zagmatwana, by mogły pojąć, do czego zmierza. Jedyne błyszczące punkty gwiazd były zrozumiałe.

- To są gwiazdy oddalone o około czterdziestu lat świetlnych od mgławicy. Znajdują się w Federacji Obrzeża. Jeśli planowałabym ewakuować cały system przed... hmm, przyjmijmy

supernową, wybrałabym te systemy, które nadawałyby się do kolonizacji... ale umiejscowione w mniej więcej tym samym kierunku. Tak jak te. - Podświetlenie na mapie zaczęło migać. - Nie możemy zakładać, że wysłali tylko jedną flotę.

- Czy mogłabyś zaznaczyć systemy zasiedlone przez sprzymierzonych? - Li Han pochyliła się i oparła na łokciach. Była skupiona jak kot obserwujący dziurę, z której w każdej chwili może wychylić się mysz.

- Nie jestem pewna, czy mój terminal ma dość pamięci - odparła Li Magda.

- To daj to na moje biurko. - Li Han wyprostowała się i zrobiła miejsce córce, nie odrywając oczu od wyświetlacza. Potem nacisnęła kilka klawiszy i nie bez problemów skonfigurowała holomapę, by miała odpowiednią postać.

- Już! - Wstała, kiedy komputer poradził sobie z opracowaniem hologramu. - Zazaczyłam je na niebiesko, zielono i złoto. - Wpatrywały się w chaotyczny mieszmasz kolorów.

Orion znajdował się pomiędzy trzema innymi systemami należącymi do Federacji Obrzeża; Unia zajmowała rozsypane spiralnie systemy w zaznaczonym obszarze; Federacja Ziemska była rozrzucona po obszarach Tangri, Rigelian i Ophiuchi, z Układem Słonecznym przesuniętym na bok, w miejscu zaskakująco pustym. Tak na przestrzeń nie patrzył nikt, poza astronomami korzystającymi z konwencjonalnych teleskopów i obserwującymi normalną przestrzeń.

- Część naszych systemów znajduje się w tym obszarze - odezwała się Magda cichym głosem. - W najlepszym wypadku moglibyśmy założyć, że mają tylko jedną flotę inwazyjną... ale w najgorszym... - Znów spojrzała na obraz. - W naszą stronę może zmierzać kilka, które upatrzyły sobie nie tylko Obrzeże, ale też obszary należące do nas.

Przez dłuższą chwilę żadna nic nie mówiła. Staraly się tak spojrzeć na obraz, by w końcu zaczął coś przypominać. Trudno było im zacząć myśleć o przestrzeni ustawionej w ten sposób, a nie jako sieci szlaków przez warpy.

- Spójrzcie tutaj. - Han wskazała palcem na Bellerophon, a potem przesunęła go na sąsiedni system oddalony o około sześciu lat świetlnych.

G1/K2 należał do Unii, a córka oznaczyła go jako potencjalny cel jednego z kursów z mgławicy. Przez dłuższą chwilę zastanawiały się, co począć z takim obrazem, aż w końcu Li Han klasnęła w dłoń.

- Musimy kończyć. Sienfeld ma moją zgodę, zadbam, by sekretarka wysłała wszystkie podpisy i certyfikaty.

- Tak jest. - Obie zbierały już swoje rzeczy. - Mam nadzieję, że zrobiliśmy jakiś błąd -

powiedziała po cichu Li Magda. - Ale plan musimy przygotować tak, jakbyśmy miały rację.

- Niestety. - Magda zatrzymała się, kiedy Li Magda w nagłym odruchu ją uścisnęła. - Cóż za uczuciowe dziecko - rzekła z delikatnym uśmiechem. - Twoja matka ma rację.

Mags poprawiła kołnierzyk i zebrała swoje wydruki.

- Niestety, już nie dziecko i nie tak impulsywne jak jeszcze dwadzieścia lat temu.

- Moje panie - Li Han spojrzała na córkę i przyjaciółkę, sięgając do interkomu - dziś wieczorem chcę z wami porozmawiać. Davidzie, wezwij, proszę, Drugiego i Trzeciego Lorda Przestrzeni na spotkanie sztabu kryzysowego.

- Tak jest, Pierwsza Damo.

## ROZDZIAŁ IX

### PO PROSTU SIEDZICIE CICHU

- ...spokój. Uchodźcy z Melancho zostali umieszczeni w salach widowiskowych i obiektach sportowych w Icariusie, Asphodel i Hallack. Gubernator Mackenzie i komandor Van Felsen wyrażają ulgę, że straty jak dotąd nie są zbyt wielkie, i zakazują cywilom stawiania oporu obcym. Pokażemy teraz obraz z Melancho, jak na razie jedyne miasta zajęte w całości przez wroga...

Jennifer wstała, słysząc dzwonek, podeszła do drzwi i wpuściła do środka kaprała Wismera.

- Cześć, Jonathanie - powiedziała nieobecny głosem, rozglądając się nad jego ramieniem, czy nikogo nie ma w pobliżu.

Ulica, przy której w równych rzędach przycupnęły stare domki, wyglądała pusto, nikt już przy niej nie mieszkał. Popołudniowy wiatr przyniósł słodki zapach drzew helibarbuse, którymi obsadzone były chodniki. Normalnie o tej porze dnia byłoby tu sporo ludzi spacerujących po podwieczorku. Dziś nikt nie odważył się wyjść na dwór, z wyjątkiem pani Jarvis, której miłość do ogródka nie pozwoliła zmienić przyzwyczajęń. Krzaczki najprawdziwszych róż z Ziemi miały pierwszeństwo przed inwazją. Nie chodziło wcale o to, że domy z cegieł i betonu miałyby szansę kogokolwiek ocalić, gdyby kosmici postanowili zmieść całą dzielnicę z powierzchni planety. Po prostu wszyscy czuli się bezpieczniej wewnątrz niż na zewnątrz. Z oddali dobiegał dziwny szum niewielkiej jednostki obcych odbywającej lot patrolowy nad miastem.

Jen zamknęła drzwi za młodym kapralem, który wszedł i zatrzymał się w przedpokoju.

- Napijesz się może kawy?

- Dziękuję, ale nie. Muszę jak najszybciej zameldować się w piwnicy. Żeby zwolnić Dianę.

Młody kapral nazywał się Narejko, a Jen podobały się staroświeckie maniery rodem z

Neopentu, choć sam fakt stacjonowania w jej piwnicy komórki wywiadowczej nie należał do najprzyjemniejszych. Westchnęła i poszła do kuchni przygotować dzbanek kawy. Była przekonana, że wojskowi z wdzięcznością przyjmą poczęstunek. Poza robieniem im picia zachowywała się tak, jakby ich nie było. Nie zwracała uwagi na ludzi wchodzących i wychodzących z piwnicy i podobnie jak reszta mieszkańców planety czekała na kolejny ruch obcych.

Znów westchnęła i poszła do garażu, by załadować na pick-upa rzeźbę, którą nazwała „Summer Day”. Zamówił ją właściciel lokalnej kawiarni, a ona starała się żyć tak, jakby nic się nie wydarzyło. Tak normalnie, jak normalnie by żyła, nie goszcząc w piwnicy komórki zorganizowanej naprędce siatki partyzanckiej.

Nie wymyśliła jeszcze ani jak, ani kiedy powiedzieć Alessandrowi. Po prostu czas nie był odpowiedni. Powie mu później. Poranne mdłości przybierały na sile, a że Sandro nie stacjonował już na orbicie, sam pewnie wkrótce zauważy. Wsiadła do kabiny i nie uruchamiając silnika, oparła głowę o kierownicę. Przecież nie spędzę tu całego dnia. Mimo że męczyła się szybciej niż zwykle, nie mogła sobie pozwolić na leżenie w łóżku w oczekiwaniu albo na powrót Alessandra, albo decyzję obcych, że nie podoba im się wygląd dzielnicy, lepiej więc będzie obrócić ją w perzynę. Dotknęła startera i ciężarówka ożyła. Na kołach wytoczyła się z garażu na ulicę, a potem delikatnie uniosła nad ziemię, zamieniając się w poduszkowiec. Jen nie chciała wzbijać się wyżej. To byłoby nierozważne.

\* \* \*

Lokalne centrum dowodzenia było jednym z kilkunastu rozsianych po całej planecie, funkcjonujących, od kiedy Van Felsen i reszta Marines opuścili główną bazę. Znajdowało się pośrodku krainy jezior, na Sisyphusie, a lokalizacja została wybrana całkowicie przypadkowo. Obcy najwyraźniej woleli zasiedlać nieosłonięte wybrzeża morskie i lasy tropikalne całej planety.

Na dworze, na wysokości, na jakiej się znajdowali, panowała już jesień, a drzewa porastające otaczające ich wzgórza zmieniły kolory z ognistych czerwieni na wyblakłe i szare i tylko co pewien czas widać było żywe, żółte liście modrzewi. Woda w jeziorach zrobiła się zimna i ciemna, a granatowe niebo wisiało nisko nad powierzchnią planety. Van Felsen silnie odczuwała chłód, mimo że wiedziała, że to jej mózg płata figle, bo najniższe poziomy bazy i sala konferencyjna, która się tam znajdowała, są klimatyzowane, by zapewnić mieszkańcom optymalne warunki do życia i pracy. Mimo to wetknęła dłonie pod pachy i przycisnęła ramionami, zanim uspokoiła obecnych na tyle, by rozpocząć odprawę.

Oprócz jej samej i kapitana Falco, szefa zespołu łączności, przy stole zasiedli jedynie młodszy oficerowie - porucznicy Heide, Adams i Kovyazin oraz chorąży Montano. Porucznik Heide, szczupły mężczyzna o przerzedzonych, siwiejących włosach i zgarbionych plecach, rozpoczął od omawiania wstępnej analizy. Wstał, by zaprezentować zebrane dane.

- Pani komandor, wszyscy widzieliśmy już, jak wyglądają obcy, przygotowaliśmy więc zestawienie odmian i różnic wewnątrz ich gatunku. - W powietrzu pojawiły się obrazy przedstawiające obcych w złotym i w ciemnym kolorze. - Ze zdjęć, którymi dysponujemy, nie da się odczytać jakichkolwiek zmian emocjonalnych, nie znajdujemy więc na tę chwilę żadnego rozsądnego wyjaśnienia dla zmian koloru ich zewnętrznej warstwy. Nie mamy też dość informacji i danych, które moglibyśmy dokładniej przebadać. Drużynie kapitana Falco nie udało się jak dotąd wypracować spójnego algorytmu tłumaczenia, a to również rzutuje na jakość i trafność przygotowywanych analiz na ich temat.

Niezrozumienie ich języka i sposobów komunikacji to znacznie ważniejszy problem niż wasze analizy. Van Felsen nie powiedziała tego głośno, a co więcej, powstrzymała się nawet przed uniesieniem brwi. Heide był zimny i całkowicie pozbawiony empatii, ale chwilowo nie mieli nikogo lepszego. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że właśnie z tego powodu nie awansuje, co zresztą ocaliło mu życie, bo jako młodszy oficer nie służył w bazie Acrocotinth. Falco nie zareagował, lecz widać było, że zagryza zęby. Wszyscy pracowali pod wielką presją, starając się przeciwstawić inwazji i jednocześnie ograniczyć do minimum straty w ludziach. I zniszczyć najeźdźców, kiedy tylko będą mieli dość informacji i znajdą sposób.

- Jednym słowem, mamy tylko ich pomruki i machanie ramionami.

- I egzekucje, podporuczniku - zauważyła cierpko Van Felsen. - Przypominam wszystkim, że kiedy obcy mówią, mówią tylko raz. Algorytm tłumaczący robi, co tylko może. Jeśli ktoś nie wykona ich polecenia, nie powtarzają go. Zabijają na miejscu. Nawet jeśli mają do czynienia z trzyletnim dzieckiem.

Wszyscy stężeli, zaciskając szczęki, a milcząca wściekłość stała się niemal namacalna. Nie dotyczyło to jedynie porucznika Heide'a. Nie wyglądał nawet na zdenerwowanego czy zbitego z tropu, że ktoś przerwał mu prezentację. Niezrażony kontynuował z delikatnością i wyczuciem słonia w składzie porcelany.

- Pani komandor, nie pozostaje mi nic innego, jak postawić tezę, że istnieje ogromne podobieństwo między obcymi a Pająkami. Z nimi również nigdy nie udało się nam porozumieć.

Nie było przy stole nikogo, kto nie zareagowałby na te słowa gwałtownym napięciem mięśni, wysiłkiem, by powstrzymać złowrogi grymas, czy zaciśnięciem szczęk. Van Felsen



sama poczuła nieprzyjemny ucisk w brzuchu, gdy usłyszała słowa o Pająkach. Nie miało znaczenia, czy obecni mieli doświadczenie bojowe, czy nie; zareagowali tak wszyscy na wspomnienie najgroźniejszego i najbardziej obrzydliwego gatunku spotkanego w kosmosie przez człowieka. Tym bardziej przerażającego, że dotykał głęboko zakorzenionych, atawistycznych odruchów: jego przedstawiciele byli całkowicie niemi, cisi, owłosieni, mieli liczne odnóża, umięśnione ciała, poruszali się szybko i bezszelestnie jak ziemskie pająki, a ich wielkość sprawiała, że jako pożywienie preferowali krew i wnętrzności ludzkich dzieci.

Samo wspomnienie przejęło wszystkich grozą i wywołało mdłości. Porucznik Heide z całym swoim wdziękiem całkowicie przeoczył reakcję na swe słowa.

- To wszystko, co przygotowałem, pani komandor.

- Dziękuję, poruczniku. - Kiedy usiadł, poczuła ulgę. Zwróciła się do młodego mężczyzny po swojej lewej stronie: - Chorąży Montano.

Chorąży Nicholas Montano był zadziwiająco spokojny podczas swojej prezentacji, lecz Van Felsen nie dała się zwieść pozorom, bo widziała, ile razy wcześniej przeglądał notatki i przygotowywał się do zdania raportu. Wiedziała też, że kiedy obecny kryzys minie, Montano będzie miał do czynienia z przynajmniej równie wymagającą publicznością, po obronie doktoratu z ksenopsychologii. Wielu rezerwistów równocześnie studiowało.

Heide, nie dając dojść do głosu kolejnemu prelegentowi, musiał jeszcze raz przypomnieć wszystkim o swojej tezie.

- Pamiętajcie proszę, że z Pająkami też nigdy nie udało nam się nawiązać kontaktu.

Van Felsen miała wielką ochotę osobiście wymierzyć mu solidnego sierpowego, bo ta uwaga wywołała jedynie kolejną falę strachu, co fatalnie wpłynęło na morale żołnierzy. Odchrząknęła.

- Mam wielką nadzieję, poruczniku, że tym razem to zupełnie inna sytuacja. Pająki, według wszelkich badań i analiz, były anomalią. I dzięki Bogu. Żywię również przekonanie, że w końcu uda nam się nawiązać kontakt z najeźdźcami. - Kiwnęła głową w kierunku chorążego Montano, który cierpliwie czekał, aż uciszy Heide'a. Kiedy zapadła cisza, przełknął ślinę, prezentując pod napiętą skórą szyi wydatne jabłko Adama.

- Na planecie osiedliło się jak na razie około trzech i pół miliona obcych. Budują odpowiednie dla siebie domy i potrzebną infrastrukturę. - Wyświetlił mapę z zaznaczonymi na żółto obszarami zasiedlonymi przez najeźdźców i miastami ludzi na niebiesko. Na szczęście zielonego koloru nie było zbyt wiele, gdyż obcy preferowali mniejsze wyspy i wybrzeża, a od siedlisk ludzkich trzymali się względnie z daleka.

- Mają całą infrastrukturę? Już? - odezwał się z drugiego końca stołu podporucznik

Adams. Miasta obcych wyrastały wzdłuż wszystkich wybrzeży na planecie w ciągu kilku dni.

- Tak, poruczniku. - Montano przerwał na chwilę i przesunął dłonią po gęstych brązowych włosach. - Jeszcze nie zauważyli naszych ukrytych kamer...

- Albo uznali, że nie warto ich niszczyć - wtrącił się Falco.

- Albo. Tak, to możliwe. Wygląda na to, że rozebrali swoje gigantyczne statki i wykorzystali je do zbudowania mniejszych jednostek oraz jako surowiec do budowy domów i miast. Zupełnie jakby stworzyli je na kształt zabawek, które można rozłożyć na najprostsze elementy i ponownie wykorzystać.

- Czyli chcą tutaj zostać na stałe.

- Tak jest, sir. Też tak uważam. - Chorąży zawahał się na ułamek sekundy. - Melantho jest jak dotychczas jedynym miastem w całości zajęтым przez obcych. Tam też ponieśliśmy większość wszystkich strat. Tam i... - Głos mu zaczął drżeć i nie udało mu się dokończyć zdania.

Przerwał i poprawił wskaźnik laserowy leżący przed nim na stole, wyraźnie wzdragając się przed tym, co miał teraz do zakomunikowania. W końcu podniósł wzrok i kontynuował.

- Obcy są bardzo skuteczni w usuwaniu ciężko rannych i martwych. - Znów przerwał i przełknął głośno ślinę. - Wygląda na to, że ich służby medyczne zajmują się jedynie lekko poszkodowanymi, a każdy ciężiej ranny traktowany jest jak martwy. Tłumacz jeszcze nie dał sobie z tym rady, ale ogólny sens tego, co mówią, jest taki, że ich ranni są dobijani i spalani. Naszych rannych traktują w ten sam sposób.

W pomieszczeniu zapanowała cisza, którą przerwał podporucznik Adams, odsuwając gwałtownie krzesło.

- Proszę mi wybaczyć, sir. - powiedział trzęsącym się głosem, po czym odwrócił się plecami i ukrył twarz w dłoniach.

Komandor Van Felsen zrobiło się niedobrze, gdy usłyszała potwierdzenie przerażających plotek, które dotarły nawet do niej. Kiwnęła głową, dając znak chorążemu Montano, który odchrząknął, i poluzowując delikatnie kołnierzyk, mówił dalej.

- Mają kogoś do sprzątnięcia... resztek. - Nawet zminiaturyzowane krematoria obcych nie były w stanie spalić ciał tak, by nie został po nich ślad. Kiedy zastrzelona została kobieta i jej trzyletnie dziecko, a potem ojciec próbujący ochronić ich ciała przed spalaniem, wybuchły zamieszki. Obcy zostali zmuszeni do schronienia się w swoich statkach, gdzie podjęli decyzję o zastosowaniu rozwiązania, które analitycy nazwali „stanowczym ostrzeżeniem”. Całe miasto zostało zmiecione z powierzchni planety. Tysiąc pięciuset cywilów zabito, ot tak. Sytuacja zrobiła się bardzo napięta, a obcy kolonizowali dalsze tereny i ściągali na planetę

kolejne statki, lecz nie popełniali na razie zbrodni przeciwko ludzkości.

- Są jak maszyny. W ich języku nie ma modulacji głosu, a kolor zmieniają, jak zauważył porucznik Heide, bez związku z czymkolwiek.

- Dziękuję, pomyślimy, jak wykorzystać te informacje.

- Tak jest, sir. To wszystko. - Usiadł, a Van Felsen milczała, dając podporucznikowi Adamsowi czas na wzięcie się w garść.

Kiedy w końcu usiadł przy stole, wypła trochę wody i uśmiechnęła się.

- Mam też dobre wiadomości. Kapitanie Falco, ekipa wiadomości z Chanatu zaoferowała nam swoją pomoc. Uznali, że w obecnej sytuacji powinni oddać się pod rozkazy, gdyż mają stopnie wojskowe - wprawdzie jedynie honorowe, ale mniejsza o to. Nie będę przecież wybrzydzać, kiedy chodzi o specjalistów od obcych języków. O ile wiem, Showarth'sekakhu-jahr - zakasłała, kiedy przy próbie wymienia oriońskiego imienia zbuntowały się jej nadwyreżone struny głosowe - jest również doktorem ksenopsychologii.

Falco kiwnął głową, jednak wyraz jego twarzy świadczył o tym, że najchętniej krzyknąłby coś w rodzaju: „O cholera, to genialnie!” Na tyle, na ile go znała, nie miał nic przeciwko Kociambrom, powinno im się więc dobrze współpracować.

- I kolejna dobra wiadomość: jeden z naszych myśliwców bezpiecznie wrócił na ziemię.

- Dobra nasza! - Montano odchylił się, wznosząc radosny okrzyk, a zawtórowała mu reszta towarzystwa siedząca dookoła stołu.

- Mimo że takiej reakcji nie opisuje się w podręcznikach wojskowych, rozumiem pańską radość - powiedziała po cichu. - Niestety, sama maszyna jest całkowicie zniszczona i nie nadaje się do naprawy. Jednak my naszych rannych traktujemy w diametralnie inny sposób niż obcy, więc porucznik Chong, kiedy tylko się wykuruje, natychmiast wróci do służby. Kiedy zapanuje już spokój, nie wątpię, że postawią mu pomnik: będzie wpatrywał się w niebo, a za plecami miał wrak swojego myśliwca. Cóż, panowie, tak naprawdę jest w takim stanie, że nie ustałby na nogach.

Wyłączyła ekran nad blatem, który jakiś czas temu przeszedł w stan uśpienia.

- Dziękuję wam, panowie. Kontynuujcie swoją pracę. Jeśli nie dostaniecie innych rozkazów, będziemy kontynuowali nasze spotkania. Rozejść się.

\* \* \*

Ankaht delikatnie pchnęła wieko szkatuły wspomnień, która przy akompaniamencie syku usuwanego ze środka powietrza samoczynnie się domknęła i uszczelniła. Potem umieściła ją we wcześniej przygotowanym dołku i zasypała ziemią. Wybrała dobre miejsce na kopiec.

Pierwszy kopiec w nowym domu. (Tłumiony żal, akceptacja.) Nikt już nie odnajdzie szkatułek ze wspomnieniami, które ukryła na planecie Ardu, i to mimo że część znalazła się tak głęboko, że nawet eksplodująca gwiazda Sekahmant ich nie zniszczyła. Prorocy Illudora wciąż debatowali, czy planety mają duszę i czy w związku z tym odradzają się wciąż na nowo.

Wstała i otrzepała macki z ziemi, a potem drapiąc pazurami o siebie, usunęła z nich wilgotny brud. Biała glina pokrywała całe wzniesienie, z którego widać było klify i falujące w oddali błękitne morze. Było to znacznie lepsze miejsce do schowania szkatułki wspomnień niż to, w którym zakopała poprzednią. Tutaj nie wróci przez kilka najbliższych żyć, a kiedy już będzie musiała, to choćby morze rozmyło plażę i pochłonęło granitowe klify, gliniaste wzniesienie pozostanie nietknięte. Słońce przyjemnie ogrzewało jej kark. Rozłożyła ramiona, rozkoszując się otwartą przestrzenią. Jako *shaxzhu* obce jej były kłopoty, z którymi borykali się pozostali, przyzwyczajając się ponownie do życia na powierzchni planety. Kłopoty. Dla mnie to sama przyjemność. Szczególnie że moje biuro jest po prostu brzydkie, pomyślała. Usiadła na trawie, zamknęła oczy i pozwoliła, by wiatr głaskał ją po twarzy. Cudownie. (Głębokie zadowolenie, delikatny cień zmartwienia.) Przypomniała sobie plażę w pobliżu domu jej ówczesnego ojca. Nagle poczuła, jak bardzo tęskni za poprzednim domem. Po niebie przesunęła się chmura, zasłaniając na chwilę słońce. Wróciła tęsknota za czerwonym światłem gwiazdy, która dawała życie jej planecie i która w końcu o to życie się upomniała. Tutaj światło było przytłumione, a niektóre kolory nigdy nie nabiorą właściwej barwy i intensywności, jednak to wciąż stanowiło niewielką cenę za możliwość opuszczenia statku. Tylko grawitacji nie dało się zmienić. Zaciśnęła jedną dłoń w pięść i uderzyła nią w ziemię, tylko po to, by ją fizycznie poczuć i delektować się nią. Znaleźli prawdziwy dom. (Szczęście.)

Przesunęła wzrok z nieskazitelnie białego piasku, spojrzała na miasto Punt i jej *narmata* momentalnie ogarnął smutek. Przez ponad tysiąc trzysta lat wprowadzano kolejne modyfikacje i ulepszenia, by ułatwić rozłożenie statków na części oraz wybudowanie miast i domów, lecz rozproszenie się zmieniło i wszyscy jak jeden mąż odmówili mieszkania w tak wielkich odległościach od siebie. W miejsce istniejących planów obszernych i wygodnych domów trzeba było szybko tworzyć nowe, w których mieszkania leżałyby znacznie bliżej siebie. Osadnicy porzucili nawet kilka nowych siedzib i pobudowali się ciasno obok siebie, jak w gronach. Ankaht uważała, że te budowle są brzydkie. Wszystkie ogrody zostały wyłożone twardym, gładkim podkładem. Nikt poza specjalistami od przeniesienia rodzimych gatunków z Ardu nie znajdował w sobie chęci do zmierzenia się z problemami prawdziwej hodowli roślin w ziemi. Ziemia. Brud. Wszyscy, poza pamiętającymi, jak było naprawdę, bez

przerwy narzekali na brud.

Problemem okazało się też robactwo. Najmłodszy wybierał dwie drogi radzenia sobie z nim - albo uciekali, albo zdeptywali niewinne stworzonka. Mimo że jeszcze na statku odbywały się szkolenia na holograficznych symulatorach planet, na miejscu okazało się, że warunki w nich były zbyt kontrolowane. Ze wszystkich stron słychać było narzekania na unoszący się w powietrzu kurz. Na wiatr. Od chwili, kiedy zaczęło powstawać Punt, cztery razy spadł deszcz. Za każdym razem panowało powszechne oburzenie, że nikt ich nie ostrzegł!

Kiedy satelity meteorologiczne zaczną działać, będą mogły pomóc jedynie wypracować pewne schematy przewidywania pogody, ale zbieranie sporo potrwa, zanim będą w stanie przygotować takie opracowania na planecie, która nie posiada księżyca, a pływy morskie powodowane są grawitacją słońca. Sód zawarty w wodzie, gryzące i kłujące morskie stworzenia, nowe materiały i smaki. Sporo powodów dla narzekania i skarg, nerwów w *narmata* i emocjonalnych burz w *selnarm*.

Admirał miał pełne szpony roboty z obroną przed atakami *griarfeksh*. Byli przerażająco podobni do prawdziwych ludzi, lecz w żaden sposób nie potrafili się komunikować.

Przysłoniła dłonią oczy i spojrzała na drugą stronę zatoki, gdzie mieściło się miasto *griarfeksh*. Podobało się jej w sposób, którego zupełnie się nie spodziewała. Było zgrabne, miało delikatne bulwary i budynki obłożone różowym granitem. Leżało wciśnięte między klifowe wzniesienia. Ankaht potrzęsła głową i spojrzała w innym kierunku. Niezależnie od tego, jak dopracowane i finezyjne będą ich budynki i miasta, to nie uczyni z nich ludzi.

Kiedy okazało się, że *Anaht'doh Kainat*, Gwiazdny Tułacz, mają tyle problemów z życiem na powierzchni planety, ona i wszystkie grona *shaxzhu* zdecydowały o zmniejszeniu prędkości osiedlania się. Ale z czasem u coraz większej liczby pojedynczych osobników i całych gron zaczęto zauważać objawy *xen-narmatum*; choroby psychicznej, która mogła rozprzestrzeniać się wśród zdrowych poprzez *selnarm*. Uznano więc, że identyfikacja zarażonych i usunięcie ich z głównej populacji jest priorytetem, zanim wszyscy zachorują. Przez stulecia przed rozproszeniem nikt nie cierpiał na tę przypadłość, przyjęto więc, że została wyeliminowana. Pomocne były skłonności, które wywoływała choroba, gdyż zarażone nią grona i makrogrona dążyły usilnie do samozagłady. Teraz ona musiała się zmierzyć z tym problemem.

Wysoko na niebie zauważyła latające stworzenie. Kontemplowała jego lot, zamykając centralne oko oślepione słońcem. Jak przekazać szanownemu admirałowi, rozważała, że ostatnio cały statek jednogłośnie odmówił zejścia na planetę? Twierdzą, że potrzeba nam

również kolonii orbitalnych, jednocześnie odmawiając lądowania na powierzchni. Kiedy skończyła się walka, Daihd skontaktowała się ze mną i przekazała, że wielu młodych było gotowych do pojedynku w obronie tego postanowienia. Czasem myślę, że wszyscy *Destoshaz* cierpią na *xen-narmatum*.

Wstała, podniosła przyrząd do kopania i umieściła go w futerale przy pasku, a potem ruszyła w dół, do transporterka powietrznego. Spędziła tu więcej czasu, niż mogłaby usprawiedliwić ćwiczeniem *sohkata*. Pora wracać do niewielkiego i brzydkiego biura.

\* \* \*

- Na macki i szpony Illudora, Torhok, przecież nie można im pozwolić panoszyć się po całej planecie jak dotychczas!

Starszy admirał nie przerwał rozciągania, słuchając jednocześnie słów starego przyjaciela, komandora grona. Sala ćwiczeń pulsowała. (Wściekłość, chęć przekonania.) Taki po prostu był, a gwałtowne argumentowanie należało do jego sposobów podgrzewania atmosfery przed *maatkah*. Błyskawiczne uderzenia *selnarm* w połączeniu z atakiem sztyletów *skeerba* były zabójcze dla przeciwników; w ułamku sekundy wytrącały ich z równowagi.

*Skeerba*, których używał, były pasem z trzema ostrymi zębami, które przymocowywał jako dodatkowe szpony; na statku była jedna czy dwie pary prawdziwych, starodawnych *skeerba*, które zabrali ze sobą jako wzór. Wątpliwe było, czy ktokolwiek będzie chciał na nowej planecie odtworzyć tak zabójczą broń; choć właściwie mogłyby być wykorzystywane przez grona hodowców dzikich zwierząt. Ale o tym też trzeba będzie pomyśleć. Teraz tradycyjne sztylety *skeerba* nie były już robione z kości, tylko z plastiku o wysokiej gęstości i twardości.

Sala ćwiczeń wyglądała jak wszystkie inne na *Hurusankham*, na orbicie Nowego Ardu. O tej porze dnia była pusta, tym bardziej że na pokładzie nie pozostało wielu mieszkańców. Pomieszczenie było na tyle duże, że niemal udanie zastępowało prawdziwą okrągłą matę do *maatkah*. Nie było tam rogów, a wyposażenie leżało starannie zwinięte w niszach w ścianach. Światło, włączone na maksimum, miało odwzorowywać jasność, jaka panowała na starym Ardu w południe.

Torhok w tej chwili znacznie bardziej potrzebował tego ćwiczenia niż snu. Zignorował wściekłość Iakkuta, którą wywołały ochraniacze założone na szpony. Dzięki nim mózg będzie rejestrował każde dotknięcie i zliczał punkty. Dawniej starodawnym zwyczajem smarowała się ochraniacze kolorem, który pozostawiał wyraźny ślad na skórze przeciwnika. (Skupienie, świadomość celu, koncentracja.) Zwiększył swoje *selnarm*, by ochronić się przed atakiem, i

zdystansować od *narmata*, które dzielili.

- Doskonale wiesz, że są szkodnikami! Walczą jak zwierzęta. Bronią się przed śmiercią, jakby nigdy nie mieli z niej wrócić.

- Starczy już, Iakkucie. Niezależnie od tego, kim czy czym są, winniśmy im wdzięczność za ogromne ilości doskonałego materiału, którego potrzebujemy, i to już na orbicie. - Podszedł na skraj koła zaznaczonego na macie wyściełającej podłogę, rozciągając macki, by ochraniacze się dobrze ułożyły. Dopiero wtedy sięgnął po *skeerba*.

- To chyba trochę za mało, żeby zrekompensować nam wysadzenie niemal połowy instalacji produkcyjnych! - Iakkut był hybrydą, łączył w sobie ciemną skórę z wysokim wzrostem i masywnym ciałem *Destoshaz*.

Mówiąc, przesuwał się w stronę swojego miejsca na macie. Zatrzymali się obaj i zamilkli, zanim uklęknęli naprzeciwko siebie. Potem przed kolanami ułożyli na podłodze *skeerba*. W ciszy rozległ się pojedynczy sygnał mechanicznego mózgu arbitra.

Trwali nieruchomo, lecz walka już się toczyła. Na początku natarli na siebie w tradycyjnym otwarciu *selnarm*, dążąc do zepchnięcia przeciwnika do defensywy. Walki *maatkah* między dwoma mistrzami czasem nie wykraczały poza ten etap i nie przybierały formy fizycznego starcia. Jedyną oznaką zmagania była drżąca powieka czy ścisk żwaczy.

Torhok runął (Zwycięstwo.) przeciwko (Wygrana.) Iakkut, która przeszła płynnie w (Wola.) by w końcu stać się (Obrona.).

(Wola, siła, skupienie, chęć.)

(Opór, nieugiętość, powolność, granit.)

(Woda.)

Iakkut porwał z ziemi *skeerba* i przetoczył się przez matę płynnym ruchem, wykorzystując *selnarm* Torhoka do nabrania jeszcze większej mocy. Chciał przygwoździć jego broń do podłogi, zanim zdąży ją podnieść przeciwko niemu. Torhok był jeszcze szybszy. Sztylet nie wiadomo kiedy znalazł się w jego zaciśniętych mackach. Iakkut został zmuszony do przerwania ataku, uniku i wycofania się. (Wznosząca się fala.) Wstał, lecz ciągle się cofał. Torhok zrobił salto i zablokował jego ruch, lecz on poruszył się (Czoło klifu), od którego Torhok się odbił i upadł na matę.

(Padający mur) Iakkuta zakończyłby pojedynek, lecz (Trzęsienie ziemi) odrzuciło go w tył i admirał zyskał chwilę, by zerwać się na nogi i jednym susem znaleźć się na jego klatce piersiowej z ostrzami *skeerba* przy szyi. Dwa z trzech zębów drasnęły skórę.

Mechaniczny mózg dał sygnał.

- Świetna walka! - Iakkut wysłał wiadomość. (Zadowolenie, zaskoczenie.) - Ale pamiętaj,

że najlepszy wynik to cztery do dwóch dla mnie.

- Tyle że ostatni raz ci się to udało, kiedy byliśmy w gronie niemowlaków, pokrako. (Ulga, jasność.)

Torhok pomógł wstać przyjacielowi i zanim rozpoczęli ponowne starcie, rozprostował macki.

Kiedy skończyli szóstą, ostatnią rundę, obaj byli mokrzy ze zmęczenia i zdecydowanie spokojniejsi.

- Dzięki za pomoc. - Głos Torhoka zagłuszał szum suszarek, pod którymi stali, opływani przez strugi ciepłego powietrza.

- Nie ma za co. Jestem ci winien obiad, daj znać kiedy. (Humor, rozbawienie.)

Torhok zamknął oczy. (Spazm śmiechu.)

- Jeśli wygospodarujesz nieco więcej czasu na ćwiczenia, nie będziesz musiał znosić mojego gustu kulinarnego.

- To nie tak, przyjacielu. - Iakkut zamknął futerał ze *skeerba*. - Ty masz znacznie większą świadomość potworności dokonywanych przez te istoty i to ci daje przewagę. (Odraza, wściekłość.) - Powinienem być to przewidzieć i nie wspominać ci o nich przed walką.

Kiedy Iakkut mówił, Torhok stał bez ruchu, oparty o ścianę i słuchał.

- Może masz rację, przyjacielu. Ale jestem przekonany, że na jakiś czas mamy z nimi spokój. Nie mam większego celu niż uczynienie tej planety bezpieczną dla dzieci Illudora. Jeśli będę musiał przebijać się przez skały gołymi szponami, by dostać się do miejsca, w którym się ukryli, zrobię to. (Nieugiętość.) Jak widzisz, nie musisz mnie motywować.

- Tak jest, starszy admirale! (Rozbawienie, ulga.) W razie czego wyślę ci na pomoc grono inżynierów, co ty na to?

(Granitowa ściana.)



## ROZDZIAŁ X

### OPÓR

Gwiazda Astria należała do tych wyjątkowo rzadkich żółto-białych karłów, które nie były zbyt młode, by zrodzić planety, na których możliwe było życie. Życie, które do czasu przybycia człowieka osiągnęło poziom zielonawej zawiesiny w oceanach. Lecz i to wystarczało do produkcji tlenu i warstwy ozonowej, które w połączeniu z wyhodowaną przez genetyków czarną jak noc skórą kolonizatorów chroniły przed promieniowaniem ultrafioletowym nowego słońca.

Teraz promienie migotały odbite od burt okrętów z posiłkami, które przybywały, ciesząc zimne oczy Cyrusa Waldecka.

O ile pokochał Marynarkę Obrzeża, od kiedy został do niej odkomenderowany, o tyle jej odejście od tradycyjnego, ziemskiego systemu nadawania nazw klasom jednostek było gorzkim afrontem dla jego uporządkowanego umysłu. Jak na ironię, po raz pierwszy wyszli z tym pomysłem całkiem niedawno, zarzucając wprowadzony przez Iana Trevayne'a zwyczaj nadawania imion na pamiątkę bohaterów floty morskiej Ziemi, na chwilę przed powrotem admirała. Po prostu na Obrzeżu nikt nie wiedział, kto nosił wcześniej te imiona.

Waldeck nie poddał się. Dzięki cierpliwości i taktowi, przymiotom, które posiadał pomiędzy ósmą a jedenastą dekadą życia, udało mu się przekonać innych do powrotu na właściwą drogę. Pierwszy sukces odnotował przy chrzcie nowej klasy supermonitorów, będącej najdoskonalszym ucieleśnieniem filozofii rozwoju jednostek raketowych. Były dumą Marynarki Federacji, a Waldeck dysponował sześcioma - jeszcze nie pełną grupą bojową połączoną siecią taktyczną według najnowszych standardów, lecz przy założeniu, że cztery wakujące miejsca zajmą krążowniki eskorty, całość dawała potężną obronę antyraketową. Obserwował przybycie ostatniej jednostki. Przesuwała się przez ekran dowódcy na mostku jego okrętu flagowego należącego do klasy RFNS *Zephraïn*. Wszystkie zostały nazwane zgodnie z jego zaleceniami na cześć systemów Obrzeża. Przyszło mu do głowy, że Ian

Trevayne byłby dumny.

Pomyślał o tym, przypominając sobie sprzeczne uczucia, jakie nim targały, od kiedy dowiedział się o cudownym powrocie swojego byłego dowódcy. W czasach rebelii (nawet zrozumienie, które przyszło z upływem czasu, miało swoje granice, a jedną z nich było uznanie, że to jednak było powstanie, a nie bunt) czuł tak przemożną urazę do Trevayne'a, że dziś nie potrafił sobie tego nawet wyobrazić czy pojąć. Długo nie miało to dla niego żadnego znaczenia - dokładniej tyle, ile trwało kiedyś przeciętne ludzkie życie. Dziś musiał się poważnie zastanowić, jak zareaguje na widok dawnego dowódcy, który według opisu Seana Remki wyglądał jak młody chłopak.

Odsunął od siebie te rozmyślenia i spojrzął na członków swojego sztabu. Decyzja o przeniesieniu się na *Zephrain* wywołała pewne perturbacje, bo musiał zgrać się z zupełnie nową drużyną. Jej członkowie siedzieli teraz w pełnym szacunku milczeniu dookoła projektora holograficznego, który pokazywał system Bellerophon. Z tyłu, na podwyższeniu, widać było holograficzne obrazy pozostałych kapitanów okrętów flagowych, którzy u siebie wpatrywali się w obraz transmitowany z tej jednostki. Hologram kontradmirała Rachel Dumont, kapitan supermonitora, która właśnie przybyła, zamigotał i się uspokoił.

W dawnych czasach holoprojektory były zbyt wielkie, by wykorzystywać je na okrętach, podczas odpraw więc albo stosowano okropnie niewygodne płaskie ekrany, albo starano się, by wszyscy byli obecni osobiście. Waldeck cieszył się z postępu technologicznego... choćby dlatego, że dzięki niemu nie musiał się spotkać twarzą w twarz z siedemnastym małym kłem chana Zhaairnow'ailaaion.

Po kilku nieudanych próbach Marynarka Unii zaprzestała prób narzucenia swoim członkom zunifikowanej struktury rang i stopni wojskowych. I tak Zhaairnow był małym kłem, a nie wiceadmirałem (podobnie zresztą jak Waldeck nie został admirałem floty, tylko wielkim kłem) i nosił na uprząży bogato zdobione drogimi kamieniami tradycyjne insygnia Chanatu należne tej randze. Na miejsce przybył przed kilkoma standardowymi dniami, prowadząc ze sobą grupę wydzieloną - szybkie jednostki, w większości oriońskie. W skład grupy wchodziło sześć lotniskowców uderzeniowych, dziewięć lotniskowców floty, dwanaście krążowników liniowych i trzydzieści krążowników ciężkich oraz lekkich. Waldeck z radością obserwował ich przybycie. Ucieszył się nawet na widok Zhaairnowa, z którym miał już okazję służyć. A najbardziej cieszył go fakt, że dzięki technice nie będzie musiał się zmierzyć z kłopotliwą w tej sytuacji alergią.

Byłby już zupełnie wniebowzięty, gdyby zobaczył jeszcze okręty liniowe Marynarki Unii, lecz te jako wolniejsze jednostki dopiero zmierzały w stronę Astrii. Jednak...

- Szanowni państwo - zaczął spotkanie, korzystając z tradycyjnej formułki. Nie lubił poprawnej politycznie nowomowy i dziwacznych zwrotów stosowanych przez pseudointelektualistów. Uznał, że tak przekaże wszystko, co najważniejsze, a automatyczne algorytmy tłumaczące oddadzą to w odpowiedni sposób w językach odbiorców... Poza tym Zhaairnow był jedynym przedstawicielem obcej rasy. - Przywitajmy właśnie przybyłą admirał Dumont. - Pomruk pozdrowień zagłuszył na chwilę wszystko inne. - Rachel, po twoim przybyciu nasze siły się zmieniły, a dane, jak wyglądamy w tej chwili, widzicie na swoich monitorach. Trochę wyprzedzam fakty, ale z przyjemnością informuję, że właśnie osiągnęliśmy, a nawet lekko przekroczyliśmy minimalny poziom konieczny do rozpoczęcia kontrofensywy. Tak w każdym razie wynika z obliczeń. - Waldeck spojrzał na komandora Nathana Koleszara, oficera operacyjnego, oczekując na potwierdzenie.

Wszyscy zobaczyli na hologramie *Ordre de bataille* floty biorącej udział w operacji: piętnaście supermonitorów, dwanaście monitorów (uważanych za nieco przestarzałe we współczesnej wojnie manewrowej, lecz przydatnych w przypadku szturmów przez warpa), dwadzieścia dwa superdreadnoughty, trzynaście lotniskowców uderzeniowych, siedemnaście lotniskowców floty, ponad pięćdziesiąt krążowników liniowych i całą masę lżejszych jednostek, nie wspominając o bardzo licznych jednostkach wsparcia. W głowie zaświtała mu myśl tak śmiała, że niemal bluźniercza - dysponował siłami większymi niż Ian Trevayne w czasie ostatniej bitwy, i to biorąc pod uwagę jedynie same dane obrazujące liczbę jednostek i ich tonaż, a nie postęp w technice zabijania, która została znacznie ulepszona podczas ostatnich osiemdziesięciu lat.

A teraz...

Koleszar odchrząknął.

- Jesteśmy wystarczająco silni, by wrócić do systemu Bellerophon. Osiągnęliśmy poziom, który według szacunków i analiz pozwala zakładać sukces operacji.

- W takim razie, komandorze, czy jest coś, co nie pozwala nam rozpocząć? - Waldeck naciskał.

Oficer operacyjny odpowiedział głosem, który wyrażał ostrożne, niepewne przyzwolenie.

- Nie, sir. Może z wyjątkiem... prawdę mówiąc, jestem nieco zmartwiony brakiem rozpoznania, bo nasze sondy nie zdobyły potrzebnych informacji.

Waldeck nie odpowiedział od razu, bo sam był tym znacznie bardziej zmartwiony niż tylko „nieco”.

Sondy zwiadowcze zrewolucjonizowały działania wojenne - albo raczej ich najniebezpieczniejszą część, czyli atak przez silnie bronione warpy. (Ian Trevayne nazwał

kiedyś sieć warpów „niekończącą się serią cieśnin Surigao”, nawiązując do najcięższej bitwy morskiej w historii Ziemi. Jedynie Genji Yoshinaka uśmiechnął się na te słowa.) Wizja zmaterializowania się pośrodku linii obrony nie była szczególnie zachęcająca, tym bardziej że nikt nie wiedział, jakie niespodzianki przeciwnik przygotował. Automatyczne sondy zwiadowcze zmieniły to. Tyle że... w obecnej sytuacji niewiele to dawało.

- Dobrze - powiedział. - Musimy zatem przyjąć, że obcy poczynili wszystkie możliwe kroki, by zablokować warpa. Mieli w końcu pełne trzy miesiące na przygotowania. A sondy zawsze ponosiły bardzo duże straty przy tranzycie nawet przez dobrze zbadane warpy. Co więcej, wysyłanie wielu naraz w dłuższej perspektywie może mocno nam zaszkodzić. Pamiętajcie proszę, że sondy dokonujące równoczesnego tranzytu ulegają często samozniszczeniu w wyniku materializacji w tym samym miejscu. Przeciwnik może zauważyć wybuch, który temu towarzyszy, a to z kolei wyeliminuje skuteczność maskowania stosowanego w sondach drugiej generacji. Myślę, że te wszystkie czynniki w różnych kombinacjach doprowadziły do tego, że nie mamy wystarczających informacji.

- Mimo to, sir, za pańskim pozwoleniem - Koleszar naciskał - uważam, że powinniśmy zebrać więcej danych na temat tego, co czeka na nas po drugiej stronie. Szczególnie martwią mnie pola minowe. Nasze własne miny rozmieszczone wokół warpa mogły im podsunąć pomysł zabezpieczenia przestrzeni, jeśli sami by o tym nie pomyśleli. A jestem przekonany, że pomyśleli.

- To prawda - odezwała się kapitan Julia Monetti, szefowa sztabu. - Lecz oni nie przewidzieli, że mamy Ambammy. Nawet my sami nie liczyliśmy się z takim wynalazkiem, kiedy rozmieszczaliśmy tam nasze miny.

Wszyscy pokiwali głowami. Ambammy były nowym systemem, po którym wszyscy wiele sobie obiecywali. Zasada jego działania zasadzała się na użyciu bezzałogowej jednostki wielkości fregaty, zbudowanej dookoła potężnej głowicy na antymaterię. Ogromne ilości min zostawały unicestwione w jednej sekundzie, kiedy brutalna eksplozja uwalniała falę zabójczego promieniowania.

Rachel Dumont odezwała się z wahaniem, bo po pierwsze przybyła tu jako ostatnia, a po drugie taki sposób leżał w jej naturze. Waldeck zapamiętał ją z jakiegoś wcześniejszego spotkania jako zrównoważoną i ostrożną osobę, na której można było polegać.

- Admirale, zapoznałam się z raportami dotyczącymi bitwy o Bellerophon i, nie obrażając komandora Koleszara i jego ludzi, nie mogę przestać się wahać, czy w tym wypadku możemy stosować nasze standardowe kryteria oceny koniecznych sił. - W tym miejscu porzuciła formalny ton. - Na Boga, widzieliście przecież wielkość ich statków!

Algorytm tłumaczący nie poradził sobie z warkotem, jaki wydobył się z gardła Zhaairnowa.

- Wielkość! Czym jest wielkość dla prawdziwego wojownika! Te ich statki z silnikami odrzutowymi...!

- Może i tak. - Dumont się nie ugięła, czym momentalnie zyskała szacunek Waldecka. - Ale napędów fotonowych używają dlatego, że w przeciwieństwie do współczesnych napędów ich teoretyczna prędkość maksymalna jest niewiele mniejsza od prędkości światła, choć możliwości pól siłowych przeciwradiacyjnych i przeciwcząsteczkowych ją bardzo ograniczają. Przy tych prędkościach i masie nie mogą manewrować, a przynajmniej nie na tyle, żebyśmy mogli uznać to za manewry. Ale przenoszą - Chryste, oni przenoszą całe superdreadnoughty tak jak my pinasy!

- No i? - Zhaairnow z pogardą nastroszył wąsiki. - Te ich całe superdreadnoughty są powolne. Z analizy taktycznej danych zebranych w walkach z nimi wyraźnie wynika, że nie mają napędów Desai. Są tak podatni na ataki myśliwców jak największe jednostki naszej floty przed pięćdziesięcioma laty. Spasłe świnię zdane na łaskę chmary głodnych krwi *zegetów!* - Celowo użył nazwy dość przerażającego drapieżnika z Chanatu.

Waldeck powstrzymał uśmiech cisnący mu się na usta. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak czuły się Kociambry. Wraz ze zmierzchem dni chwały myśliwców stawali się coraz bardziej zgorzkniali. A dziś mieli szansę stanąć naprzeciw wroga niedysponującego techniką, która ich ukochane myśliwce odesłała do lamusa. Wracaly stare dobre dni.

Cyrus przypomniał sobie wymianę zdań, która miała miejsce kilka godzin temu, a którą słyszała większość sztabowców. Musiał pochylić się nad biurkiem, nos w nos z Zhaairnowem, który zapomniał się i uderzył pazurami w blat.

- Nie będę dwa razy powtarzał, mały kle!

Waldeck z wdzięcznością pomyślał o technice, dzięki której nie zaczęły mu łzawić oczy, kiedy wpatrywał się w pysk Kociambra z minimalnej odległości. Przyzwyczyił się do widoku obnażonych kłów, mimo że wciąż tego nie lubił. Były długie jak jego palce. Wykrzywił twarz w grymasie, który też nie przypominał uśmiechu.

- Wystartujecie i uderzycie w miejscu i o czasie, o którym ja zdecyduję, niezależnie od tego, jak bardzo byście chcieli szarżować w pierwszej linii!

Zhaairnow z trudem się kontrolował. Schował kły, ale nie mógł opanować warkotu, z którym nie dawał sobie rady algorytm tłumaczący.

- Rozsądniej byłoby...

Cyrus przerwał mu gwałtownym ruchem obu rąk.

- Nie. To nie ma sensu. Chyba że chcecie dać się zabić w imię honoru. To moje ostatnie słowo, mały kle!

Zhairnow przez długą, bardzo długą chwilę milczał, zbierając siły na odpowiedź. Dwie wojny z ludźmi przekonały Chanat, że dobra taktyka jest skuteczniejsza od walki w pojedynkę. Mimo to na karku i ramionach miał nastroszone futro, a dookoła niego unosił się zapach piżma.

Cóż, były czasy, kiedy i ja się pościłem, pomyślał Cyrus.

- Tak jest, admirale. - Zgodnie z oriońskimi zasadami zaszalutował pazurami, lecz nie poczekał na komendę: „spocznij”. Najwyraźniej był zbyt nadąsany, by trzymać się tych wszystkich formalności, a trzaskanie drzwiami na statku kosmicznym było fizycznie niemożliwe.

Cyrus wrócił do pozostałych.

Troska Koleszara związana z brakiem danych była bardziej uprawniona, niż Waldeck był gotów publicznie przyznać. Wysyłanie lotniskowców, które potrzebowały czasu na ustabilizowanie się po tranzycie, by uruchomić katapulty elektromagnetyczne do wystrzeliwania myśliwców, byłoby bardzo ryzykowną decyzją i nie miał zamiaru jej podejmować w obecnej sytuacji. Druga strona warpa wciąż pozostawała dla nich tajemnicą. Lepszym rozwiązaniem będzie wysłanie przodem grupy supermonitorów raketowych i monitorów z bronią artyleryjską.

- Sir - odezwał się Koleszar, przerywając jego rozmyślenia. - Zgadzam się z admirałem Dumont. Myślę, że przyjęliśmy niewłaściwe założenia. Z całym szacunkiem, sir, sugerowałbym czekanie na dalsze posiłki, zanim ruszymy do ataku.

Zhairnow przez chwilę wyglądał, jakby miał eksplodować, lecz jakimś cudem udało mu się zachować w miarę spokojny głos.

- A czy kolejne opóźnienie nie da przeciwnikowi więcej czasu na przygotowania i wzmocnienie obrony, komandorze?

- Z całą pewnością. Ale pamiętajmy, że mają tylko to, co przywieźli ze sobą i co złupili w systemie Bellerophon. Nie korzystają z żadnych innych zasobów. Natomiast za nami stoi Unia. Dlaczego nie mielibyśmy więc czekać na cięższe, wolniejsze jednostki, które są zresztą już w drodze? Zbliżają się tym samym szlakiem, co wasza grupa wydzielona, przez przestrzeń Republiki... - Koleszar zamilkł z nieszczęśliwą miną, bo mówiąc o Republice Ziemskiej, uświadomił sobie, dlaczego jego pomysł jest całkowicie nierealny.

Polityka, psiakrew. Waldeck poczuł odrazę.

Grupa wydzielona Zhairnowa do Astrii przybyła tylko dzięki temu, że Republika wydała

zgodę na skorzystanie z jej warpów. Ale słyhać też było plotki, że ich pomoc może przyjąć bardziej namacalną formę. Rozmawiano już o posiłkach z Marynarki Republiki, a w obecnej sytuacji rząd Federacji nie mógł jednoznacznie odrzucić oferty. Ale też jej nie chciał, żeby nie zaciągać długu u tych, których starsi oficerowi i tradycjoniści wciąż nazywali „rebeliantami” czy „buntownikami”. Tajemnicą poliszynela była presja, jakiej poddany został Waldeck, by odbić system Bellerophon tylko z pomocą jednostek Marynarki Obrzeża (z których ostatnie dotarły właśnie z Dumont) oraz wsparcia ze strony Unii, które przybyło pod dowództwem Zhaairnowa.

- Pańska sugestia zostanie rozważona, komandorze. - Waldeck zakończył dyskusję, wiedząc z góry (jak zresztą wszyscy), że nikt nie będzie sobie nad tym łamał głowy. - Tymczasem, oczekując na ostateczną decyzję, przejdziemy do następnego punktu i ustalimy dokładne plany awaryjne w oparciu o pierwotny harmonogram działań, rozpoczęty wraz z przybyciem admirał Dumont. Skupmy się teraz na tym.

\* \* \*

Arduańska sala odpraw była ciemna, by zapewnić najlepsze warunki dla *narmata*, kiedy zebrani wypełnią przestrzeń w trzech wymiarach, bo pozwalała na to wyłączona grawitacja. Wiernie oddane zostały warunki panujące w kosmosie, na wypadek gdyby ktoś chciał odpocząć od ciężenia. Przewodnicy gron i wiceprzewodnicy unosili się w pozycji siedzącej, ze skrzyżowanymi dolnymi odnóżami i kolanami podwiniętymi pod ciało za pomocą specjalnych pasków.

Iakkut siedział obok pustego miejsca, które za chwilę zajmie... o, już się zjawił. Torhok był na planecie. Uznał, że jest to konieczne w sytuacji, gdy kolonizacja napotyka takie trudności. Nie miało znaczenia, że szczerze nie cierpiał tutaj bywać.

Starszy przewodnik grona zignorował obraz Ankaht, kiedy zobaczył przyzwolenie w jego oczach. Ta *shaxzhu* denerwowała go bardziej niż żałosne stwory zamieszkujące ich nową planetę.

- Ludzie (Satysfakcja, chęć walki, napięcie.) - rozpoczął Torhok. - Muszę was poinformować, że nasze grona badawcze opracowały metodę wykrywania niewielkich jednostek wroga, które zgodnie z naszym przypuszczeniem są urządzeniami do zbierania danych wywiadowczych. Sparowane generatory pól siłowych naruszają pola maskujące, za którymi się ukrywają. Nasi wrogowie będą usiłowali doskonalić maskowanie, ale nie mam wątpliwości, że za każdym razem ich zauważymy.

(Fala satysfakcji.)

- Nie jesteśmy jednak w stanie przewidzieć, jak szybko zorientują się w sytuacji i zareagują na nią, będziemy więc mieli tylko jedną szansę, by wykorzystać przewagę zaskoczenia - i będzie to bitwa, co do której nie mam wątpliwości, że się zbliża. - Torhok nie potrafił ukryć delikatnego zgorzknienia, bo to Ankaht i jej grono przedstawiły analizę tego faktu. *Shaxzhu* - i to każdy z nich, stracili rozeznanie, kim naprawdę jesteśmy. Mieli być dla nas przewodnikami, a to, co robią teraz, to wchodzenie w drogę *Destoshaz*, pomyślał.

- Jak wynika z raportów, dotychczas udało nam się zniszczyć każde urządzenie szpiegujące, które przedostało się do nas przez wir w przestrzeni w miejscu, gdzie zniknęli nasi wrogowie. - (Gwałtowna chęć walki - jednogłośnie.) (Satysfakcja - jednogłośnie.) - Starszy przewodnik grona - Torhok zwrócił się do swojego zastępcy, który wysyłał (Uwaga, kierunek.) do swoich oficerów, którzy przygotowywali raporty i opracowania. Ludzie uznaliby, że bezruch w pomieszczeniu budzi grozę, podobnie jak brak jakichkolwiek emocji. Wszystkie kanały, którymi homonidzi zbierają informacje o otaczającym ich świecie, były całkowicie wolne od jakiegokolwiek przekazu.

- Uzbroiliśmy przestrzeń dookoła własnymi minami i bojami uzbrojonymi w działka energetyczne zwane beamerami. - Złożył macki. (Oczekiwanie.)

- Starszy przewodnik grona, czy mogę? - odezwała się trzecia przewodniczka grona, Nefret. (Ciekawość.)

- O co chodzi, Nefret?

Kolor młodej *Destoshaz* stał się nieco głębszy pod badawczym spojrzeniem grona przewodników.

- Sir, jeśli w tej okolicy istnieje jeden punkt, przez który wrogowie uciekli, to niewykluczone, że są tam również inne, o których jeszcze nie wiemy. I co powstrzymuje ich przed powrotem przez punkty rozmieszczone w innych miejscach, które udało nam się odnaleźć?

- Na razie możemy jedynie dywagować, dlaczego skupiają się jedynie na tym jedynym wirze, ale kiedy tylko statki macierzyste zostaną rozłożone i rozpoczniemy regularne patrole w całym systemie, pozostałe punkty zostaną od razu zabezpieczone.

- Tak jest, sir. (Gotowość.)

Iakkut dopiero po chwili kontynuował.

- Wydaje się, że mamy przewagę, którą daje nam sprawniejsza i pewniejsza praca sieci naszych komputerów. Po przeanalizowaniu danych wiemy, skąd się to bierze; maszyny obcych nie posiadają najmniejszych możliwości komunikacji na poziomie *selnarm*. (Odraza.)

- Starszy admirał, oddaję głos.



(Uznanie.)

- Przewodnicy gron. Bitwa jest coraz bliżej. Wiemy to, bo te stworzenia do działania popycha szaleństwo. Wycofując się, zostawiali na orbicie ogromne ilości cennych surowców gotowych do wykorzystania. Statki macierzyste staną się naszą nową flotą, kiedy tylko zakończymy przeobrażenia i kolonizację. Jeśli jeszcze nie jesteśmy gotowi do walki, będziemy wkrótce. Pracujmy jak dotychczas, a nie mam wątpliwości, że obronimy Nowe Ardu przed ich atakami. (Duma, gotowość do walki.) (Uznanie, oczekiwanie.)

\* \* \*

„Rakiety!”

Okrzyki ze stacji sensorów na mostku jednostki flagowej Marynarki Republiki *Aotearoa* jeszcze dobrze nie przebrzmiały, kiedy supermonitor zatrzęsł się po salwie trafień, wciskając Rachel Dumont w oparcie fotela z taką siłą, że zrobiło jej się ciemno przed oczyma. Ze złością potrzęsła głową, by nawet na chwilę nie stracić kontroli... mimo że prawdopodobnie nie zostało jej wiele życia.

- Łącznościowy! - krzyknęła, kiedy tylko ucichł piekielny hałas. Zignorowała migające wskaźniki informujące o kolejnych uszkodzeniach i Kod Omega z jednego z jej okrętów. - Skończyliście programować kapsułę?

- Już prawie, ma'am.

- To się pospieszcie, na Boga! Admirał Waldeck musi wiedzieć, że znaleźli sposób na unieszkodliwienie naszych systemów maskowania elektronicznego.

To było jedyne wytłumaczenie koszmaru, w którego centrum się znalazła wraz ze swoją grupą wydzieloną. I uznała, że ta wiedza będzie jedyną rzeczą, jaką być może uda się jej ocalić z rzezi.

Rozpoczęli kontrofensywę w tradycyjny sposób, od zmasowanego tranzytu *Hawków*, które po ustabilizowaniu systemów natychmiast odpaliły rakiety. Zasobniki te używane były od stuleci i trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś zrewolucjonizowały pole walki. Dziś wykorzystywano je przy każdym szturmie przez warpa jako przygotowanie artyleryjskie. Waldeck zażądał dostarczenia ich w ogromnych ilościach, jeszcze zanim zaczął opracowywać plany kontrofensywy. Kiedy nadszedł czas ataku, wysyłał je falami, razem z nowymi Ambammami, a tuż za nimi sondy zwiadowcze, by zebrać informacje na temat skuteczności operacji. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie wracały na ich stronę, jednak nikt nie miał wątpliwości, że po takim ataku niewiele mogło się ostać. Wtedy ruszyły okręty liniowe.

Trafiły wprost w otchłań piekła.

Gęstość pól minowych była pierwszym zaskoczeniem. Nikt nie przypuszczał, że po ataku Ambammami mogło zostać ich aż tyle. Znacznie większy szok wywołało to, co czekało za nimi - pola... nie, to złe słowo - chmury boi laserowych, które same w sobie nie były niczym nowym, lecz ludzkość i jej sprzymierzeńcy (i nie tylko) uznali, że miny samonaprowadzające są znacznie tańsze. Założono więc, że wróg będzie myślał tak samo, i Ambammy zaprogramowano do usuwania pól minowych z przestrzeni bezpośrednio przylegającej do warpa... Okazało się, że nawet tutaj nie udało się osiągnąć zaplanowanego efektu. Boje pozostały nietknięte i monitory uzbrojone w broń energetyczną eskortujące jednostki rakietowe admirał Dumont momentalnie znalazły się w morzu ognia.

Potem pojawiły się obce superdreadnoughty. Pozostając poza zasięgiem monitorów artyleryjskich, bezkarnie raziły je kolejnymi salwami pocisków. Gdyby udało się zmniejszyć dystans, z wroga niewiele by zostało, lecz na to nie pozwalały gęste pola boi uzbrojonych w beamery. Błyskawiczna analiza porównawcza jednostek przeciwnika i informacji z pierwszej bitwy była jednoznaczna. Wróg naprawił wcześniejsze uszkodzenia i stawiał się w pełni gotów do walki. Ale zidentyfikowano też świeże uszkodzenia, sugerujące, że *Hawki*, zaprogramowane do szukania celów wielkości superdreadnoughtów, osiągnęły znacznie więcej niż Ambammy. A to z kolei oznaczało...

- Prędkość *Hawków* przyniosła nam więcej korzyści niż maskowania Ambammów. - Dumont słyszała głos jednego z oficerów analityków, który zgodnie z jej rozkazem nagrywał swój raport, by wysłać go wraz z kapsułą. - Idąc dalej tym tropem, okazuje się, że systemy maskujące sond zwiadowczych też na niewiele się przydały. Najwyraźniej mamy do czynienia z rozwiązaniami technologicznymi neutralizującymi nasze systemy maskowania elektronicznego.

Dumont przestała go słuchać i skoncentrowała się na kolejnej fali rakiet pędzących w ich stronę. Jeśli nawet były większe od tych, którymi sami dysponowali, to tylko nieznacznie, co przekładało się na niewiarygodną liczebność każdej salwy. Różnica polegała na tym, że wystrzelivano je z odległości zarezerwowanych dla rakiet taktycznych - spoza zgrupowania superdreadnoughtów, z ostatniej linii diabelskiej obrony warpa.

Statki pokoleniowe. Razem osiem, przy czym największy miał ponad dwadzieścia kilometrów długości. Zhaairnow się nie mylił: nie mogli nimi manewrować, a w każdym razie nie w taki sposób jak oni własnymi okrętami. Tyle że nie miało to znaczenia. Wystarczyło, że były. Nie musiały się ruszać z miejsca, by razić ich nieprzerwanym strumieniem pocisków. Dumont mogła przynajmniej odpowiedzieć ogniem rakiet dalekiego zasięgu, w które wyposażone były jej supermonitory. Potężne głowice z ładunkiem antymaterii eksplodowały,

robiąc wyrwy wielkości lekkich krążowników bojowych; normalnej wielkości okręt przestałby już istnieć, ale te giganty nawet nie odczuwały uszkodzeń.

- Kapsuła poszła, ma'am! - zameldował oficer łącznościowy.

- Doskonale. - Dumont odetchnęła.

Nikt nie usłyszał jej odpowiedzi, bo pomost flagowy wypełniło wycie alarmów uszkodzeniowych. Tym razem salwa ze statków pokoleniowych okazała się znacznie celniejsza.

Systemy obrony przeciwrakietowej połączone siecią koordynującą ich pracę zatrzymywały zdecydowaną większość rakiet przeciwnika, sprawiając, że przestrzeń wokół *Aotearoa* wyglądała jak wielka kula eksplodująca bez przerwy stroboskopowym blaskiem. W końcu przeciążone generatory pól siłowych przestały działać. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła admirał, był potężny błysk. Potem przyszyła ciemność.

\* \* \*

Pierwsza przewodnik grona obronnego Anubhat uszczelniła hełm, walcząc z zawirowaniami grawitacji, zanim uruchomi się system awaryjny. Po ostatniej salwie niewielkich, ale zwinnych pocisków z jednostki obcych odcięto dopływ powietrza. Kilka z nich dotarło do celu tuż obok stanowisk grona Ahniram.

- Komandorze! - (Dziki podniecenie, strach.) Ze strony młodszego pierwszego Fehnakk.

- Systemy podtrzymywania życia nie działają. Dehermetyzacja kadłuba w sekcjach drugiej i piątej oraz poważne uszkodzenia w części rufowej. Zespoły naprawcze w drodze!

- Doskonale. Melduj na bieżąco. (Spokój.) - Zwróciła się do pierwszego Ahniram. - Ahn, masz już analizy?

(Koncentracja, błysk euforii.) - Poważnie uszkodzili nasze superdreadnoughty, lecz systemy zaczęły się już do nich dostosowywać. Używają rakiet mniejszego typu, bardzo zwinnych. Komputery je rozpracowały i jeśli nie urodzili się pod szczęśliwą gwiazdą, nie wyrządzą nam już żadnych szkód. Z takim wyposażeniem, oczywiście.

- Doskonale. Z uszkodzeniami i stratami da się żyć, pod warunkiem że wygrywamy.

\* \* \*

W chwili, kiedy wróciły pierwsze kapsuły z Kodami Omega, Cyrus Waldeck zdał sobie sprawę, że nie ma już zbyt wielkiego pola manewru w bitwie, która potomnym będzie znana jako druga bitwa o Bellerophon.

Między Bogiem a prawdą, nie zostało mu nic innego, jak starać się uniknąć większej

klęski niż pierwsza bitwa.

- Admirale - odezwał się kapitan Monetti - kiel Zhaairnow błaga... to znaczy prosi o pozwolenie na tranzyt lotniskowców.

- Odmawiam! - warknął Waldeck. - Lotniskowce są znacznie delikatniejsze niż supermonitory, które właśnie zostały całkowicie zniszczone. Nie zdążyliby nawet wystrzelić myśliwców. - Spojrzał Monettiemu w oczy z takim wyrazem twarzy, że szef sztabu skurczył się ze strachu. - Teraz liczy się już tylko przetrwanie floty. Natychmiast zaprzestać ataku. Nie życzę sobie bezsensownego poświęcenia.

- Tak jest, sir! - Monetti zaczął nerwowo wydawać stosowne rozkazy, by powstrzymać kolejne fale jednostek uderzeniowych zbliżających się do warpa.

Waldeck przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran z Kodami Omega. Znalazł wśród nich ten, który mówił, że Rachel Dumont już nie wróci z systemu Bellerophon. Potem zwrócił się do swoich oficerów, z wielkim wysiłkiem kontrolując emocje.

- Komandorze Koleszar, myślę, że ta ofiara nie pójdzie całkowicie na marne. Zdobyliśmy bardzo cenne informacje.

- Tak jest, sir. - Koleszar potwierdził jego słowa. - Zebrane dane zostaną przeanalizowane przez wywiad najszybciej, jak się da, ale już teraz możemy wyciągnąć pewne wnioski. Chodzi o napędy ich rakiet i to, że mają jakiś rodzaj dekodera maskowania elektronicznego. Tak chyba można by to nazwać.

- W rzeczy samej. Ich poświęcenie nie poszło na marne. To chyba jedyna dobra wiadomość dzisiaj, prawda? - Waldeck mówił nieobecny tonem, nie zważając nawet, że się powtarza.

Potem odwrócił się i opuścił pomost flagowy, ostrożnie i powoli stawiając kroki. Jak stary człowiek.

## ROZDZIAŁ XI

### DŁUGA I KRWAWA WOJNA

Blade, jesienne słońce sprawiało wrażenie równie zużytego i zimnego jak zachmurzone, szare niebo nad Prescott. Mimo to rozświetlało delikatną mgiełkę pchaną przez wiatr od strony morza prosto w twarze zgromadzonych na Cenotaphem. Panował dostateczny chłód, by wielu spośród milionów oglądających transmisję lub biorących udział w uroczystościach po prostu marzło. Ale mogło być gorzej. O tej porze roku nikogo nie zdziwiłby przenikliwy, zamarzający deszcz.

Wiatr nie miał szans, by zagłuszyć muzykę wygrywaną przez setki kobziarzy, maszerujących rząd za rzędem przed Cenotaphem, kolumną wzniesioną z miejscowego kamienia, ustawioną na postumencie z polerowanych części niklowo-stalowych asteroid. Muzycy mieli na sobie wyblakłe ubrania w szkocką kratę, noszone na pamiątkę tych, którzy ginęli, i tych, którzy zwyciężali przed setkami lat, zanim ludzkość opuściła swoją rodzimą planetę. Kobzy zawędrowały z ludźmi do nowego świata i stały się częścią tradycji. Wygrywały swoje lamentsy ku pamięci poległych pod obcym niebem i pod obcymi gwiazdami. Pięćdziesiąt werbli, kilkanaście kotłów i trzysta kobz zagrzmiało po raz ostatni. Cisza, która teraz zaległa, wydała się głębsza niż zwykle. Trwała długo, tak długo, że zanim kobziarz solista rozpoczął smutną i tęskną melodię *Flo wers of the Forest*, wiatr znad oceanu zdążył wcisnąć się pod każde palto i pod każde nakrycie głowy. A muzyka, błaganie o łaskę i chwałę, stare jak historia ludzkości, pozbawiła chłód przenikliwej mocy.

Na podwyższeniu stał Ian Trevayne i mrużył oczy, chroniąc się przed wiatrem i widokiem wszystkich starych twarzy dookoła. Czuł niestosowność sytuacji, będąc jedynym młodym człowiekiem wśród starych wyg. Gdyby jego losy potoczyły się inaczej, zniknąłby po prostu w tłumie. A tak każdy natychmiast dostrzegał właśnie jego; jędrne i gładkie policzki, ciemne włosy i rzędy wstążek orderowych na piersi. Mimo powszechnie stosowanych kuracji antystarzeniowych po oficjelach stojących dookoła niego widać było

lata. Nie ustępował im w niczym, ale roztaczał wokół siebie blask młodości. I choć wszyscy znali jego historię, wciąż spotykał się z reakcjami sugerującymi, że młodość nie dotyczy jedynie ciała. Był już gotów, by w razie potrzeby bezwzględnie wykorzystać taki nietakt.

Kobziarz stał daleko, na cyplu wychodzącym w morze, a jego sylwetka wyraźnie odcinała się na tle nieba. Z tej odległości nie było za to widać niewielkich kamer, które transmitowały obraz na całą planetę i nagrywały go, by później przesłać we wszystkie miejsca zamieszkałe przez ludzi. I do Chanatu, oczywiście. Kociambry uwielbiały kobzy, co samo w sobie było dość dziwne, Ian zaś za nimi nie przepadał (choć nigdy się do tego nie przyznał). Czekał za to na trąbkę, której kolej zaraz miała nadejść. Przy *The Last Post* nadal nie potrafił powstrzymać łez, a w tym roku miał wystarczająco powodów do żałoby i wspomnień.

Kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki, stał pogrążony w nich i nic nie było w stanie wytrącić go z tego stanu. Nie zauważał powoli przeredzającego się tłumu i nie czuł przenikliwego zimna. W końcu ktoś delikatnie położył dłoń na jego ramieniu.

- Ianie - odezwała się Miriam Ortega głosem, którym zazwyczaj budzi się ze snu kochanka.

Spojrzał na nią. Wyglądała na zmarzniętą mimo sztucznego futra, w które była opatulona. Nie ma się co dziwić, pomyślał. W końcu jej ciało jest znacznie starsze niż moje. Zmusił się do uśmiechu.

- Tak, tak. Wiem. Czas ucieka. Myślałem...

- Nie poganiam cię. Ci wszyscy, którzy odeszli... zrobili wszystko, co mogli i czego od nich oczekiwano w konkretnej sytuacji.

- Szkoda tylko, że część osób z rządu myśli inaczej. - Pożałował tych słów, jeszcze zanim skończył zdanie.

- Jest pewien gatunek polityków - powiedziała ze ściśniętym gardłem - którzy potrafią tylko jątrzyć i wyzywać się na żołnierzach, zapominając, że oni przelewają krew i umierają, by szumowiny takie jak oni nie musiały się nigdy wziąć do uczciwej pracy. I są też jeszcze dziennikarze, którzy z niejasnych powodów poświęcają im nieproporcjonalnie dużo uwagi. Czasem wręcz myślę, że już tylko tacy zostali. Ale zapewniam cię, że żaden z ważnych członków rządu, żaden, który ma dość rozumu, by mieć własne zdanie, nie wierzy w te bzdury.

- Wiem - powiedział. - Jeśli ktoś czytał analizę raportu Cyrusa, musi zdawać sobie sprawę, że w obliczu takiej siły ognia nic nie można było zrobić. Tym bardziej że zneutralizowali nasze maskowanie. Najgorsze, że niezależnie od tego, którego warpa wybierzemy, trafimy na taką samą sytuację... Zapowiada się długa wojna.

- Taka prognoza nie przysporzy ci popularności - zauważyła z przelotnym uśmiechem.

- Chrząnąć to. Ludzie muszą to od kogoś usłyszeć i przyjąć do wiadomości. Tym razem będzie to najgorsza z możliwych wojen, bo nie da się jej prowadzić inaczej niż serią frontalnych ataków. Jedynym sposobem odzyskania Łącucha Bellerophon jest zbudowanie wielkiej floty, która będzie zdolna do dalszego działania niezależnie od ponoszonych strat. Nie, nie mam wątpliwości, czy damy radę, biorąc pod uwagę połączony potencjał ekonomiczny i przemysłowy Obrzeża, Unii i Republiki. Tyle że musimy zapamiętać o idiotycznych próbach odrzucania pomocy, bo nadchodzi nie z tej strony, z której byśmy chcieli. Pamiętaj, że obcy mają tylko to, co ze sobą przywieźli, plus surowce i sprzęt zdobyty w podbitych systemach. Mimo to musimy się liczyć ze stratami, których nawet Kociambry nie zaakceptują.

- Jest jeszcze jeden, najgorszy gatunek polityków - powiedziała, a w jej głosie nie dało się odnaleźć nawet najmniejszego śladu po beztrosee. - To ci, którzy trzymają się stołków jedynie dzięki mówieniu ludziom tego, co ci chcą słyszeć: że każdy problem da się rozwiązać szybko, łatwo i przyjemnie i że ci, którzy twierdzą inaczej, są źli.

- Ich infantyizm i zwodzenie społeczeństwa mogą mieć jedynie taki skutek, że długa i krwawa wojna będzie jeszcze dłuższa i jeszcze krwawsza.

W milczeniu obrócili się i wolnym krokiem ruszyli przed siebie, pozostawiając Cenotapha i jego duchy samym sobie.

\* \* \*

Kiedy skończyła się transmisja uroczystości, Mags uniosła kieliszek w stronę wyświetlacza w niemym geście szacunku. Dzień Pamięci Marynarki Obrzeża nie mógł się równać z Dniem Weterana Marynarki Republiki czy Dniem Niepodległości, lecz dziennikarze z Arc News uczynili z niego obowiązkowy punkt dla wszystkich związanych z siłami zbrojnymi, niezależnie od tego, jakie sympatie polityczne reprezentowali. W dzisiejszej sytuacji nikt nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, że wszystko inne trzeba odsunąć na bok, bo ludzkość i jej sprzymierzeńcy muszą stanąć ramię w ramię przeciwko nowemu zagrożeniu z kosmosu.

- Wypijmy za nich - odezwał się Sam z drugiego końca stołu.

Sam Hollinger był jednym z przyjaciół Mags, co do których Li Han nie miała wątpliwości, że wywierają na nią zły wpływ. Studiował na jednym z najlepszych uniwersytetów na Sqwonk. Był też bardzo przystojnym mężczyzną. Niestety, Mags w ogóle przestała zauważać takie rzeczy, od kiedy przyłapała George'a z kochanką. Mama czasem

miała rację, gdy chodziło o jej przyjaciół.

George'a spotkała w spokojnym i niezbyt popularnym nadmorskim kurorcie, który wybrała z pełną premedytacją. „Niezbyt popularny” oznaczało przede wszystkim mniejsze tłumy. On trafił tam ze względu na świetne warunki do parasailingu. Doskonale się rozumieli, albo przynajmniej ona tak myślała, i to mimo jego niemal patologicznego perfekcjonizmu - we wszystkim, z wyjątkiem siebie samego. Aż do chwili, kiedy niespodziewanie wróciła wcześniej do domu i znalazła go pod prysznicem z własną przyjaciółką.

Odsunęła od siebie myśl o George'u i Lisie i przepiła do Sama. Nie zmarnuję sobie wieczoru przez wspomnianie złych ludzi. Znosi się na to, że przez dłuższy czas nikt nie będzie miał wolnych wieczorów. A matka i tak nie opuści okrętu.

Pierwszy oficer wysłał ją do City of Gold na koncert zorganizowany z okazji uroczystości na Beaufortie, a Sam z przyjaciółmi zorganizowali jej czas po części oficjalnej. Phillip i Amity, czyli pozostała dwójka, pobiegli zarezerwować stół do nieważkiego bilarda (którego z tradycyjnym stołem nie łączyło nic poza nazwą, bo miał kształt sfery z unoszącymi się wolno bilami), jeszcze zanim przebrzmiały ostatnie dźwięki trąbki, zupełnie ignorując oficjalne przemówienia. Bar Slippery Men był miejscem, które upodobały sobie i flota, i naukowcy, a właściciel, bardzo rozsądnie zresztą, wbrew obowiązującym trendom zrezygnował z tworzenia wielkich otwartych wnętrz. Mags uważała tę modę za pomyłkę, szczególnie na planecie tak niewielkiej i odległej jak Sqwonk. Sama ustawiała zawsze temperaturę w mundurze na najwyższy poziom, a mimo to czuła chłód.

Na szczęście bar pozostał wierny tradycji; kontuar i podłogę wykonano z prawdziwego drewna, a stoliki oddzielono przegrodami z pola magnetycznego, które wprawdzie nie blokowały widoku, ale sprawiały, że wszystko wyglądało jak przez zalaną deszczem szybę. W całym pomieszczeniu błyszczały jedynie krany i wielkie, zabytkowe lustro za barem. Slippery Men było miejscem, gdzie można było usiąść w ciepłe, z przyjaciółmi i poudawać, że na zewnątrz nie czeka żadna krwawa i długa wojna. Transmisja telewizyjna uroczystości z Beauforta tylko na chwilę zmieniła tę atmosferę. Smutna cisza po chwili ustąpiła przyjemnemu gwarowi rozmów.

- Opowiadaj, jak ci leci? - Sam uśmiechnął się, wskazując kciukiem w stronę nieba. Nie oczekiwał od niej konkretnych informacji, bo i tak wiedział, że nie puściłaby pary z ust.

Przeprowadzała testy nowej klasy okrętów w Mothball, systemie o bardzo małym natężeniu ruchu i pozbawionym zamieszkanymi planet. Prowadził do niego jeden warp, a słońce okrążała pojedyncza planeta Sqwonk. Chowanie najnowszego tajnego wyposażenia marynarki było ze wszech miar uzasadnione, a w systemie zamieszkanym jedynie przez



wojskowych jedna maszyna w tę czy w tę nie robiła różnicy.

- Poza tym, że wszyscy zaharowują się niemal na śmierć? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, dokończyła: - Poza tym to całkiem normalnie.

- Che, che, niby tyle roboty, a ty wciąż zadowolona z życia jak kot karmiony kanarkami. - Spojrzała na niego zdziwiona, a on odstawił kufel z piwem i unióśł ręce w obronnym geście. - Nie, to nie tak. Po prostu osoby o orientalnej urodzie są zawsze takie nieprzeniknione. - Poprawił włosy i się uśmiechnął. - Drocę się z tobą i tyle.

Uspokoiała się, zaskoczona tym, że słowa Sama ją tak spięły. Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się zdradzić informacji na temat tajnych projektów, w których brała udział.

- Przygotowujemy się do ćwiczeń i tym razem mamy zamiar dać mamie solidną nauczkę.

- Auć. - Pokiwał głową, w mig chwytając, o co chodzi. Sekretów się nie zdradza, ale można czyjaś uwagę skierować w inną stronę, by sami sobie dopowiedzieli resztę. Sama misja nie była przecież tajna - manewry zdarzały się często. To, że akurat w czasie ćwiczeń testować będzie najnowszy rodzaj okrętów, nie powinno nikogo interesować, a tym bardziej ona nie zamierzała się wygadać. Nawet gdyby zasypiała co wieczór w czyichś ramionach, i tak nie zdradziłaby mu tajemnicy.

- A potem politycy się dogadają i pójdziemy w teren - uprzedziła dalsze pytania.

- Ja tak sobie myślę, że czekają nas jeszcze inne manewry. - Uśmiechnął się, a ona odwróciła wzrok. Jakikolwiek związek z Samem byłby zbyt oczywisty.

- A ty co porabiasz? - Zrewanżowała się pytaniem.

- Nic nowego, same stare śmieci. - Machnął lekceważąco dłonią. - Dopijmy piwo i chodźmy rozruszać tych sztywniaków. - Kiwnął głową w kierunku stanowisk ze stołami do bilarda. Miał dar zdejmowania z niej napięcia. Kiedy był w pobliżu, wszystko wydawało się dużo prostsze. Trochę zainteresowania, ale tylko tyle, by dać znać, że go nie stracił. A na ujawnienie prawdziwych zamiarów przyjdzie mi jeszcze poczekać. Uśmiechnęła się i opróżniła kufel.

- Brzmi nieźle. A potem wirtualny pojedynek łuczniczy.

- Przegrany stawia.

Kiedy szli w kierunku sekcji z gramami, przez głowę przemknęła jej dziwna myśl. Sam jest jedyną osobą z mojego otoczenia, którą lubi mama. Chociaż udaje, że wcale nie. Gdyby tak nie było, nie zaproponowałaby, bym zaprosiła go na Nowy Rok.

Nowe okręty sprawowały się wspaniale. Były wprawdzie nieco wolniejsze, niżby chciała, lecz przytłaczająca siła ognia mogła wystarczyć, by powstrzymać obcych.

\* \* \*

Li Han złożyła staromodną kartkę papieru i wsunęła ją do jeszcze bardziej archaicznej koperty. Śmieszne, jak bardzo przywiązujemy się do starych zwyczajów, szczególnie kiedy chodzi o takie sytuacje. Całość włożyła do wewnętrznej kieszeni munduru. Wysyłanie takich rozkazów kurierem nie wchodziło w rachubę, bo choć Magda miała już ponad sześćdziesiąt lat, Han wciąż pamiętała męczarnie, które przeżywała na myśl, że pewnie nie będzie już nigdy miała dzieci. To wspomnienie sprawiało, że niektóre gesty zyskały ogromną wartość i nie chciała z nich rezygnować.

Wyjęła kopertę i tłumiąc w sobie służbowe wyrzuty sumienia w związku z nieregulaminowym zachowaniem, wetknęła do środka jeszcze niewielką figurkę origami. Na pewno nie zaszkodzi. A może nawet w jakiś niewytłumaczalny sposób pomoże.

Magda wróciła po serii testów nowych okrętów, w czasie których, używając słów Roberta, cisnęła je, aż się zesrały z wysiłku. Miały się spotkać na Beauforcie.

Zapięła kurtkę mundurową, wyprostowała kołnierz i strzepnęła z ramienia niewidoczny pyłek. Właśnie tak. Kiedy pojawił się jej kierowca, była już gotowa stanąć twarzą w twarz z nieprzyjaznym.

Najbliższe spotkanie będzie mieszaniną dumy i bólu. Jak wszystkie tego typu spotkania. Po raz pierwszy od powstania Pogranicze, Obrzeże i Centrum staną ramię w ramię ze wszystkimi dotychczas poznanymi obcymi rasami. Obowiązujące obecnie deklaracje współpracy militarnej i wzajemnej obrony zostały uzgodnione w rekordowym tempie, dzięki czemu kolejne rundy negocjacji uniknęły losu medialnej pożywki dla różnej maści demagogów i manipulatorów, którzy chętnie potrzęsają dłońmi i podpisują archaiczne papierowe układy, byleby tylko zaistnieć w telewizji.

Han była szczęśliwa, że obyło się bez tego cyrku. Na szczęście prezydent Gibbons i prezydent emeritus Illyushina zajęli się politycznymi uzgodnieniami. Zdawali sobie sprawę, że Li Han jest zbyt zajęta, by chodzić i błagać o podjęcie rozsądnych decyzji. Polityczne ramię Marynarki Republiki nie zapomniało, dlaczego wybuchło powstanie, ale nie miało dość czasu, by dać się skorumpować.

Li Han rozparła się wygodnie na miękkim siedzeniu, lecz nie z próżności, ale z konieczności. Jej „samochód” należał raczej do pojazdów do przemieszczania się w atmosferze i w kosmosie na krótkich dystansach - takie pojazdy zyskały sporą popularność na księżycu. Niemniej jednak dla osób mających więcej niż dziesięć krzyżyków na karku starty i przeloty były dość uciążliwe.

Na chwilę skupiła się na pięknie planety, którą widziała pod sobą, w przerwach między ciężkimi chmurami; na cudnej mieszaninie zielonej i błękitnej barwy, gdzieś tam przeplecionej czerwienią. Na południowej półkuli formował się potężny sztorm. Chmury płynęły majestatycznie w tamtą stronę, by połączyć się w jedną białą masę przypominającą wielką puchową pierzynę. Wiedziała, że spokój panujący w górnych warstwach atmosfery był tylko złudzeniem. Podobnie myślał kierowca, głośno wyrażając zadowolenie, że nie musi przebijać się przez zawieruchę na dole.

Krzywa horyzontu zmieniała się, w miarę jak wytracali wysokość. Wspomnienia nie opuszczały jej przez całą drogę do biura córki.

Kiwnęła głową na powitanie swojej dziewczynki - choć trudno było dalej nazywać ją dziewczynką. Ma w końcu sześćdziesiąt cztery lata. Ile razy widziała ją zapracowaną, miała pionową zmarszczkę pośrodku czoła. Tym razem prowadziła rozmowę z kimś w bardzo odległym zakątku wszechświata. Mimo że ludzie wymyślili sposoby na efektywne skracanie odległości koniecznej do przebycia, sama skala odległości między systemami planetarnymi spowalniała komunikację do trudnego do zniesienia poziomu. Nikt jeszcze nie wpadł na coś równie fantastycznego jak kiedyś komunikatory kwantowe, musiała więc teraz cierpliwie czekać na spłynięcie odpowiedzi aliantów na wiadomość rozesłaną przez Marynarkę o powstaniu zupełnie nowej klasy okrętów liniowych, które Magda testowała w Mothball.

Li Han usiadła na miejscu wskazanym gestem dłoni przez córkę i otworzyła teczkę. Jeśli byłabym hazardzistką, zastanawiała się w duchu, to chyba wiem, jak obstawiałabym odpowiedzi, których teraz oczekuje. Podniosła głowę, słysząc szum otwieranych drzwi. Do pomieszczenia wszedł starszy człowiek, który spokojnym krokiem zbliżył się do niej i zajął miejsce obok.

Twarz Kevina Sandersa nie zdradzała jego wieku, a on sam nigdy nie pochwalił się nikomu, ile ma lat. Jediną pewną informacją było to, że przekroczył już dwieście. Uśmiechnął się beztrudnie i machnął dłonią w geście, w którym połączył formalny salut i przyjacielskie pozdrowienie. Nie musiał być formalistą, bo na emeryturę przeszedł już wiele lat temu, pomyślała.

No oczywiście. Przewidział to, więc zadbał, by znaleźć się w miejscu, gdzie się jeszcze do czegoś przyda. Jak zwykle przed wszystkimi, w przeciwieństwie do wojskowych, którzy z konieczności musieli działać zachowawczo.

Odpowiedziała na powitanie przyjacielskim skinieniem głowy. Miła była świadomość, że w zbliżającej się wojnie, która zapowiadała się na równie krwawą jak wojna z Pająkami, wciąż jeszcze znajdują oparcie w sprycie tego człowieka. Udała, że wraca do swojej teczki, lecz

wciąż skupiała się na nim. Sanders siedział w milczeniu, wyprostowany, i choć nawet nie drgnął, sprawiał wrażenie zwartego i gotowego do działania. Nagle przypomniała sobie jedno z szeregu dziwnych powiedzeń swojego pradziadka: jeśli stoisz, stój, jeśli siedzisz, siedź. Ale na Boga, nie kiwaj się na boki. Wiek Sandersa dało się określić w przybliżeniu jedynie po dłoniach. Okrywała je pomarszczona, przezroczysta skóra skrywająca błękitne pasemka żył. Nigdy się nie trzęsły i nie znalazłoby się na nich nawet jednej plamy wątrobowej.

Nie nosił żadnego sprzętu transmitującego czy nagrywającego, mimo że ludzie von Rathenaua, aktualnego szefa Agencji Wywiadu Unii, bardzo nalegali. Niemniej byli zachwyceni, że stary mistrz chciał wciąż brać czynny udział w ich działaniach, choć nie zgadzał się na formalne włączenie się w ich struktury. Po prostu uznał, że to nie jest mu potrzebne.

Li Magda zamknęła oczy i przerwała połączenie, a po krótkiej chwili powitała oboje gości.

- Dziękuję wam za przybycie. Pazur chana Jiilhaarahk'ostakjo nie dotarł na czas, więc połączy się z nami ze swojego pojazdu.

Li Han potaknęła, dając Sandersowi znać, że zgadza się na takie rozwiązanie. W następnej chwili rozległ się delikatny szum głośnika, kiedy została podłączona do linii komunikacyjnej pojazdu z Chanatu. Wciąż jeszcze czuła delikatne ukłucie wyrzutów sumienia na myśl o tym, że ma słuch doskonalszy niż zdecydowana większość społeczeństwa, która nie usłyszałaby tego dźwięku.

- Chciałbym podziękować Pierwszej Damie Przestrzeni za zorganizowanie tego spotkania tutaj, w moim biurze, zamiast zapraszania nas do siebie. - Han skinęła w milczeniu głową. Bardzo miło, że to zauważyli. - Czy zechce pani zabrać głos? - zapytała matkę.

- Dziękuję. - Nie wstała. Niezależnie od tego, jak ważne było to spotkanie, nie chciała wprowadzać przesadnie pompatycznej atmosfery. Niemniej poprawiła się w fotelu, by nie siedzieć bokiem do Sandersa, który się natychmiast uśmiechnął. - Chciałam was poinformować, że stworzyliśmy nową klasę okrętów liniowych, które chcemy wykorzystać w tej wojnie. - Podała Magdzie na biurko materiały prasowe, które już po chwili pojawiły się na hologramie. - Wszystkie związane z tym informacje osobiście przekażę naszym sprzymierzeńcom.

- Oczekuję ich zatem. - Głos Kociambra brzmiał nieco płasko, zniekształcony przez tłumacza.

- Oto nowa klasa okrętów. Nazwaliśmy je dewastatorami. Są o ponad pięćdziesiąt procent większe od supermonitorów i mają proporcjonalnie większą siłę ognia.

Kevin Sanders wychylił się do przodu, nie odrywając łokci od oparcia fotela.

- Zatem muszą być od nich wolniejsze - stwierdził z poważną miną.

Han kiwnęła głową, dając znać córce, by kontynuowała.

- Owszem, ale poza tym mają same zalety, które rekompensują ten niedostatek. Z jego wielkością związany jest natomiast jeszcze jeden problem. Około jednej piątej znanych nam warpów nie nadaje się do wykorzystania. Nie będą w stanie dokonać przez nie tranzytu - Magda wyjaśniła wątpliwości. Jedyne lekkim drżeniem powieki zdradziła, że ma pewne zastrzeżenia dotyczące decyzji matki. - Ale jeśli chodzi o walkę, to cokolwiek stanie im na drodze, długo na niej nie postoi.

Z głośników wydobył się przytłumiony warkot. Prawdopodobnie ich rozmowę rozsmieszyło tłumaczenie którejś z użytych fraz. Nie dał tego jednak poznać po sobie.

- Czy to sensowny pomysł? Czy te *zegety* naprawdę są tyle warte, żeby je masowo budować? - Jak najwłaściwsza nazwa dla tych jednostek, pomyślała Li Han.

- Zdecydowanie. - Nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią. - Zresztą już rozpoczęliśmy produkcję pierwszych egzemplarzy.

Cisza, jaka zapanowała po jej ostatnim oświadczeniu, wiele mówiła. Sanders w żaden sposób nie zareagował. Li Han przyszło do głowy, że ktoś mógł zdradzić ten sekret... chociaż pewnie nie; stary lis potrafił sam wyciągać wnioski. I to by tłumaczyło brak reakcji.

- Waldeck strzeże systemu Astria, a my, jak sądzę, zostaniemy wysłani najszybciej, jak to możliwe, by go wesprzeć. Kiedy zgromadzimy dość sił, ponownie uderzymy na Bellerophon. To sugerował Waldeck, a my się z nim oczywiście zgadzamy. - Znów zapadła cisza, kiedy wszyscy zaczęli określać w myślach przybliżone straty, jakie będzie trzeba ponieść. Co najdziwniejsze, pierwszy odezwał się orioński oficer.

- To nie będzie proste, lecz bez wątpienia honorowe.

- W rzeczy samej - potwierdził Sanders. - „Dzieci wojowników muszą podążać śladami ich pazurów”. - Spointował cytatem z chana Hiranow'zarthana. Chan był ważną postacią dla Kociambrów, więc znajomość jego słów na pewno została doceniona. Bulgoczącego warkotu, który był odpowiedzią Jiilhaarahk, algorytm tłumaczący nawet nie próbował przekładać na język zrozumiały dla reszty. Li Han powstrzymała się, by nie wymienić z córką spojrzeń. A miała ochotę zapytać, co - u licha - mogło to oznaczać.

- Muszę was poinformować - kontynuował Sanders - że starałem się wysondować zachowanie Korsarzy Tangri, zwłaszcza że lubią dobrze zjeść, ale nie lubią płacić za jedzenie. Byliby zadowoleni, widząc nas osłabionych długą wojną, choć osobiście nie sądzę, by przyłączyli się do obcych i walczyli przeciwko nam, bo oni z zasady z nikim się nie

sprzymierzają.

Li Magda zachichotała.

- Nie sprzymierzają, bo wolą podgryzać, kogo tylko się da.

- Właśnie. - Uśmiechnął się do nich. - A mówię o nich tylko po to, żebyście mieli świadomość, że o nikim nie zapominamy.

Li Han westchnęła.

- Zdecydowanie. Są jak wrzód na tyłku. - Wzruszyła ramionami. - Będziemy na nich uważać. Jak zwykle zresztą.

- Co racja, to racja.

Magda przerwała tę wymianę zdań.

- Szanowni państwo - rzekła, chcąc się upewnić, że algorytm właściwie przetłumaczy jej słowa - jeśli nie macie nic przeciwko, powinniśmy udać się do doków, gdzie będę w stanie pokazać wam pierwszą jednostkę klasy dewastator.

Kevin spojrzał na obie kobiety, po czym z gracją wstał z fotela.

- Naturalnie. Jiihaarhk, zatem do zobaczenia w stoczni?

Z głośników znów popłynął nieprzetłumaczony warkot, a zaraz potem potwierdzenie.

- Do zobaczenia, Sanders.

Magda skinęła z zadowoleniem głową.

- Panie Sanders.

- Mów mi Kevin.

- Oczywiście. A ty mi Magda. - Uśmiechnął się, a Han westchnęła. - Zaraz tam będziemy.

Sanders nie odpowiedział, tylko wykonał ten sam wieloznaczny gest, którym wcześniej się przywitał, i opuścił salę. Kiedy drzwi zamknęły się za jego plecami, a Li Han usłyszała delikatny trzask oznaczający zakończenie połączenia z Kociambrem, uniosła dłoń, by upредить pytania córki.

- Kochanie, jest powód, dla którego budujemy taką liczbę dewastatorów. - Z teczki wyciągnęła wydruk i podała go Magdzie. - Po lekturze tego dokumentu powinnaś zrozumieć dlaczego. Chodzi o coś, co naukowcy nazywają efektem Kasugawy. To oczywiście ściśle tajne.

Magda wzięła kartkę do ręki, ale nie odrywała wzroku od matki.

- Przeczytam to oczywiście, ale czy mogłabyś powiedzieć mi szybko coś więcej?

- Oczywiście. Najprościej mówiąc... - przerwała na chwilę, by zebrać myśli - na dwóch okrętach umieszczają się dwa generatory, a pomiędzy nimi otwiera się połączenie przez warpa.

Magdzie odebrało mowę. Stała i wpatrywała się w matkę.

- Przenośne warpy?

Li Han potaknęła.

- Oczywiście jeden z generatorów musi się znaleźć w miejscu docelowym, ale jeśli dewastatory mają dokonać tranzytu, to nie będzie innego wyjścia.

Magda gwizdnęła przez zęby, spoglądając na kartkę.

- Ściśle tajne. Spalić przed przeczytaniem.

- Wolałabym żeby moja córka miała więcej oleju w głowie - powiedziała Li Han i sięgnęła do wewnętrznej kieszeni munduru, gdzie trzymała kopertę. - Proszę, oto twoje rozkazy - rzekła, a kiedy Magda sięgnęła po nie, dodała: - Jesteś dowódcą grupy wydzielonej, którą wysyłamy do Astrii. - W jej oczach widać było błysk dumy przemieszanej ze strachem. Zanim się opanowała, jej twarz wyrażała obawę wspólną dla wszystkich matek, których córki ruszają w strefę walk. Li Magda zawsze była bardziej impulsywna od niej. Pochyliła się i mocno ją objęła, przyciskając do ciała wszystkie papiery, które trzymała w rękach. Dopiero po chwili zrobiła krok w tył i uroczyście zasalutowała.

Li Han w pierwszej sekundzie zeszywniała, ale szybko odwzajemniła uścisk, a jej odpowiedź na salut córki była równie uroczysta.

Odchrząknęła, ale Magda nie czekała, aż zacznie mówić.

- No już, mam, przestań się zadrezczać. Chodźmy lepiej obejrzeć naszą nową zabawkę. - Mówiąc to, wskazała pustą dłoń na drzwi.

- Pewnie masz rację. - Li Han uśmiechnęła się nieśmiało i ruszyła do wyjścia. Ojciec byłby z ciebie taki dumny, gdyby mógł cię zobaczyć, córeczko. Zawsze był z ciebie dumny. Ale nie powiedziała tego głośno.

Li Magda zamarudziła jeszcze chwilę przy biurku, by zabezpieczyć ich tajemnice. No, w końcu.

## ROZDZIAŁ XII

### W ZĘBACH TANGRI

Mieszkaniec Ziemi z czasów poprzedzających erę lotów kosmicznych na pierwszy rzut oka pomyślałby, że spogląda na parlament centaurów.

Ale to tylko na pierwszy rzut oka, bo Korsarze Tangri z racji poziomego tułowia wspartego na czterech potężnych nogach i wyprostowanego torsu o dwóch ramionach nie byli podobni do żadnej z form życia obecnych na Ziemi. Szczególnie obco wyglądały ich głowy z kostnymi koronami chroniącymi czoło, płaskimi, niemal małpimi nosami i oczkami, których miniaturowość była wynikiem ewolucji, gdyż rasa ta żyła w przenikliwym świetle żółtobiałego słońca. Ich ciała pokrywało krótkie, szczeciniaste futro, występujące w znacznej mnogości żywych kolorów, dla których język ludzki nie znał odpowiedników. Choć można było uznać, że wszystkie są pochodnymi kasztanowobrazowego, mahoniowego i henny i wszystkie mają w sobie coś z połyskującej czerwieni.

Znacznie celniejsze było określenie „parlament”, gdyż Tangri znajdowali się w pomieszczeniach *arnharanaks*, czyli „najwyższych władców”, gdzie spotykali się *anak* wszystkich hord na neutralnym gruncie (w ich języku nie było określenia odpowiadającego ludzkemu „uświęcona ziemia”). A ponieważ kształt zazwyczaj podąża za funkcją, jaką pomieszczenie ma pełnić, człowiek uznałby, że to miejsce wygląda właśnie jak sala zgromadzeń parlamentu: potężne, wznoszące się coraz wyżej kręgi z ustawionymi dziwnymi rusztowaniami, które służyły za siedzenia. Z każdego miejsca widać było doskonale okrąg znajdujący się pośrodku, na najniższym poziomie.

Lokalne zwyczaje dotyczące prowadzenia obrad i wypracowywania wspólnych ustaleń byłyby już trudniejsze do zrozumienia dla Ziemianina...

Wspaniały gmach został zaprojektowany tak, by możliwie jak najlepiej łagodzić spory i napięcia. Do środka nie wolno było wносить żadnej broni, z wyjątkiem tej zupełnie naturalnej, a wszyscy *anak* - którzy zdawali sobie sprawę, że są równi - byli oddzieleni od pozostałych



ozdobnymi barierkami. Tutaj znów człowiek zobaczyłby coś znajomego, barierki te bowiem do złudzenia przypominały bramki startowe na hipodromach. Spełniały swoje zdanie, gdy chodziło o przemoc, nie temperowały jednak werwy w prowadzeniu dyskusji.

Wyglądało na to, że *anak* Nowej Hordy Daroga imieniem Hrufely brał właśnie straszne cięgi w walce, która rozgrywała się na arenie pośrodku pomieszczenia. Fyctucz, *anak* powstałej przed wieloma wiekami Hordy Sirhogan, wyrznął Hrufely'ego ramieniem w twarz i wybił mu ząb.

- Dość! - Dominujący (w języku ludzi „przywódca”) wpadł na ring i rozkładając ramiona, stanął, jakby osobiście chciał powstrzymać walczących. Bijący od niego autorytet zatrzymał wojowników w miejscu, by po chwili odsunęli się od siebie, ciężko dysząc i brocząc krwią. - Zwycięzcą został Fyctucz, zyskując szacunek dla siebie i całej Hordy Sirhogan. Powróćcie na swoje miejsca, zanim zmusimy was do tego.

Najwyraźniej Fyctucz nie potrzebował zachęty. Splunął różową śliną i ruszył przed siebie, mijając Hrufely'ego, który nie mógł zapanować nad ciężkim oddechem. Obaj byli wysocy, ale nikt nie przypuszczał, że Sirhogan wytrzyma na ringu ze znacznie cięższym i bardziej umięśnionym Daroga dłużej niż trwa mrugnięcie okiem. Pokręcił głową i wycofał się na miejsce, a na ring weszła służba, by posprzątać. Wszyscy byli jeszcze młodymi wojownikami, żaden nie zdobył zaszczytnych blizn. Wszyscy należeli oczywiście do rasy Tangri. W miejscu, gdzie skupiała się ich władza, i w jego pobliżu nie miał prawa znaleźć się żaden przedstawiciel obcego gatunku. Manifestowali w ten sposób swoją paranoję rasową, która nie tylko im nie szkodziła, ale też wywoływała frustrację każdego, kto choćby pomyślał o szpiegowaniu ich.

Odświeżające zakończenie wieczoru wypełnionego kłótniami. Ustalenia podjęto na drodze poszanowania tradycji i zasad hord, rezygnując z niekończącego się głędzenia, intryg i przekonywania, które mieli w zwyczaju przedstawiciele obcych ras. Ludzki parlament działał w oparciu o prawa, które prawdziwym Tangri jawiły się jako tchórzliwe wymuszanie porządku, godne pogardy i oszukańcze.

- Fyctucz dziś tryumfował, a my nie zaakceptujemy przymierza z bestiami. - Wymawiając słowo „przymierze”, dominujący sprawiał wrażenie, że chce nim splunąć. - Ale też nie zaatakujemy ich w czasie wojny. Skupimy się na zbadaniu nowych bestii w ich świecie i kiedy tylko oni i ludzkie bestie znajdą się na skraju wyczerpania, uderzymy. - Pochylił się do przodu i pokazał imponujące, ostre zęby, a potem zacytował Viztarza Mądrego: - „Drapieżnik, który nalega, by polować na silnych i zdrowych, jest w istocie martwym drapieżnikiem”. Przyjaciele *anak*, czy wyraziłem się dość jasno?

W jednej chwili trybuny zaroily się uniesionymi brodami - pokazanie gardła przewodnikowi było oznaką poddania dominującemu. Dopiero potem *anak* mogli opuścić izbę, przepychając się i tratując, kiedy tylko nie dosięgał ich wzrok przewodnika.

Kiedy sala opustoszała, dominujący odetchnął ciężko - gest, na który nigdy by sobie nie pozwolił w obecności *arnharanak*. On był Ultraz, *anak* Todenfaz, hordy o historii dłuższej niż pamięć, która wraz z Hordą Delanden jako pierwsza opuściła planetę. Według ludzkiego czasu stało się to już ponad sto lat temu. Starzał się - niedługo już uda mu się utrzymać pozycję *primus inter pares*, pierwszego pośród równych. I wcale nie miał zamiaru popełniać powszechnego błędu trzymania się stołka na siłę. Ale postanowił, że zanim ustąpi, doprowadzi *anak* do podjęcia właściwej decyzji, choćby i wbrew ich woli.

Za plecami usłyszał szelest i głęboki gulgot śmiechu.

- Wspaniała taktyka. Doskonały pomysł z ustawieniem tego pojedynku z Fyctuczem.

- Wiedziałem wcześniej, że jest wytrawnym wojownikiem - wyjaśnił Ultraz jakby od niechcenia.

- Wiedziałeś także, że dla Sirhogana pokonanie Darogi będzie takim zaskoczeniem, że nie będzie już miejsca na dalszą kłótnię.

Ultraz robił, co mógł, by nie okazywać zadowolenia, że ktoś zauważył i potrafił docenić jego spryt. Poszczególne hordy spoglądały na siebie przez pryzmat stereotypów - takich na przykład, że członkowie Hordy Sirhogan są ucywilizowanymi słabeuszami, a członkowie Hordy Daroga to sami potężni wojownicy (choć niezbyt bystry). Ultraz nie po raz pierwszy skorzystał z przewagi, jaką dawała mu moc tych przekonań, by zmanipulować *arnharanak*. Ktoś w końcu musiał wiedzieć, jak je udatnie wykorzystać.

Potężny samiec za nim był doskonałym przykładem tego, jak silne są uprzedzenia. Scyryx należał do Hordy Korvak, przypisywano mu więc skłonność do zdrady, nieczne intencje, knowania i zniewieściaość tak, by obrazić, ale jeszcze móc uniknąć natychmiastowej walki na śmierć i życie. Ultraz nie mógł więc publicznie przyznać, jak blisko ze sobą współpracowali i jak dalece polegał na jego radach.

- Muszę się imać każdego sposobu, który ma szansę przynieść skutek, Scyryksie - powiedział. - Ci głupcy sami nie zrobiliby niczego sensownego. Trzeba ich do tego popchnąć, jak zwykle zresztą. Gdyby pozwolić im decydować, mogliby nawet podchwycić pomysł tępaków z Hordy Daroga i zaatakować nowych obcych od tyłu.

- Tak naprawdę nigdy nie było niebezpieczeństwa, że ktoś zacznie realizować ten pomysł. Każdy widzi przecież, że najpierw musielibyśmy wywalczyć sobie drogę przez ludzi z Obrzeża, którzy zostali uwięzieni w Łańcuchu Bellerophon. Poza tym nikt nie traktuje

Darogów jak strategów.

Ultraz mu przytaknął.

- Racja. Ale niektórzy byli gotowi z wyrachowania poprzeć przymierze z ludźmi z Obrzeża, które zaproponowała Horda Hurulix. Nie wiem, skąd się bierze przekonanie o ich inteligencji! (Ultraz sam nie był w pełni odporny na stereotypy.) - Czy oni nie zdawali sobie sprawy, że wymagałoby to przepuszczenia Marynarki Obrzeża przez naszą przestrzeń?

Scyryx znów zarżał śmiechem.

- Ależ oczywiście, że zdawali sobie sprawę. Wiedzieli i już snuli plany napadów na te floty! Ale nawet oni domyślali się, jak ludzie zareagowaliby na taki atak. Poza tym pamiętają, że ludzie z Republiki też są wśród sprzymierzonych. - Tangri rzadko zadawali sobie trud rozróżniania poszczególnych członków gatunków, na które polowali. Lecz była jedna osoba, której imię i nazwisko znali aż za dobrze. Li Han. - W każdym razie nie sądzę, by ta propozycja kiedykolwiek mogła zyskać poklask. Sama idea sprzymierzania się z naszymi potencjalnymi ofiarami... nie, to nienaturalne. My na nich przecież polujemy. Jediną niebezpieczną propozycją, która miała realną szansę na realizację, był pomysł Hordy Hragha, by udawać przymierze z nowymi bestiami.

- Typowe dla Hordy Hragha. Oni polują na ludzi, a szczególnie upodobali sobie tych z Obrzeża i z Federacji, czy jakoś tak, bo już nie nadążam za ich pomysłami na nowe nazwy, od kiedy utoczyliśmy im krwi jakieś sto osiemdziesiąt lat temu. Jednak część *anak* była naprawdę pod wrażeniem tego, czego dowiedzieliśmy się o przybyszach. Nie zachowują się jak potencjalne ofiary.

- Ależ to, jak się zachowują, nie ma żadnego znaczenia. - Ultraz machnął lekceważąco ręką i odwołał się do fundamentalnej prawdy, na której opierała się logika Tangri: - Ponieważ nie są nami, mogą być jedynie zwierzyną. Poza tym z praktycznego punktu widzenia to było niemożliwe. Skoro ludzie nie dali sobie rady z nawiązaniem z nimi komunikacji, a trzeba im oddać, że mają do tego talent, to jak niby my mielibyśmy z nimi negocjować? - Ultraz rzucił głową ruchem, w którym człowiek dopatrzyłby się końskich cech. Chyba tylko w oparciu o to zachowanie wymyślono pejoratywne przezwisko „Końskie Łby”. - Teraz to już zresztą nie ma znaczenia. Podjęliśmy właściwą decyzję, a co najważniejsze, wystarczyła do tego jedna jedyna walka. Chodźmy do dowództwa floty. *Arnhaorrax* już czeka.

Wyszli z sali zgromadzeń i przecięli szeroką promenadę zalaną jaskrawym światłem gwiazdy klasy F. Daleko, aż po horyzont, ciągnęły się potężne równiny charakterystyczne dla ich planety, na której mniej niż pięćdziesiąt procent powierzchni stanowiły morza. Na części lądowej, która nie była pustynią, utrzymywało się życie jedynie w postaci *khunillatis*, czyli

mięsożernych roślin z gatunków *zikkilatti*, *osamhhoru* i jeszcze kilku podobnych. Żadna z form życia na planecie nie była bogata w substancje odżywcze.

I właśnie to sprawiło, że historia Tangri wyglądała tak, jak wyglądała, pomyślał Ultraz w nagłym przypiływie refleksyjności, która była dla niego tak samo nienaturalna jak dla pozostałych przedstawicieli jego rasy.

Studiował życie i zachowania ludzi oraz innych gatunków zwierzyzny, która posiadała zdolność do aktywnego przeprowadzania procesów psychicznych w jakiś sposób podobnych do inteligencji - którą z kolei z definicji dysponować nie mogły, bo również z definicji była ona przymiotem tylko i wyłącznie ludu Tangrii. Większość kolegów nie widziała potrzeby, by interesować się czymkolwiek poza możliwościami militarnymi obcych ras (bo tylko to pozwalało ocenić, na ile są niebezpieczne... no, w każdym razie na tyle, na ile stadko pędzących i spanikowanych zwierząt może być niebezpieczne) oraz ich strukturami politycznymi (bo to dawało możliwość znalezienia słabego punktu). Ultraz zagłębiał się w ich historii. We wszystkich przypadkach było tak, że postęp techniczny i naukowy miał swój początek wśród osadników zajmujących się uprawą ziemi (*zemlixi*, pomyślał z parsknięciem). Społeczności nomadów stopniowo wymierały i znikwały, wypierane przez społeczności zaawansowane technologicznie.

Tutaj, pomyślał, przyszłość należy do nomadów. Dla większości społeczeństwa taki styl życia był jednocześnie wynikiem i potwierdzeniem wyjątkowości rasy jako jedynej posiadającej prawdziwą zdolność odczuwania. Chociaż jeśli chodziło o niego samego, to czasem zastanawiał się, czy na pewno tak jest. Rolnictwo - które dla rasy czystych mięsożerców mogło oznaczać jedynie hodowlę roślin, by karmić nimi zwierzęta rzeźne - było wyjątkowo słabo rozwinięte i od zawsze sprawiało wrażenie nieprzystającego do stworzeń odczuwających wieczną potrzebę przestrzeni i mobilności, którą inne rasy, nauczone używania narzędzi, mogły osiągnąć jedynie za pomocą zwierząt wierzchowych. W ten sposób *alherratogont'aloixis*, inaczej „hordy”, wykształciły swoje podejście do życia i przeniosły tradycję napadów i rabunków w gwiazdy.

Ultraz przestał o tym myśleć, kiedy tylko wraz ze Scyryksem znaleźli się przed potężnym gmaszyskiem przypominającym fortecę i nie zatrzymując się, przeszli przez kontrolę bezpieczeństwa. W końcu wkroczyli do dużej, ośmiokątnej sali, w której pod ścianami rzędami stały najnowocześniejsze urządzenia do komunikacji, gromadzenia i analizy danych. To nie one stanowiły najważniejsze wyposażenie; uwagę przykuwał okrągły stół zajmujący cały środek pomieszczenia. W jego centrum znajdował się holoprojektor pokazujący mapę Łańcucha Bellerophon, przyległe systemy należące do Tangri i warpy zaznaczone

kolorowymi kodami systemu, do którego prowadziły. Obsługa techniczna centrum stała nieco z tyłu, okazując szacunek przybyłym. Szare uprząże i delikatne różnice wskazywały na ich etniczne pochodzenie, sugerując *zemlixi*. Męskie osobniki o ugruntowanej pozycji zgromadziły się dokoła stołu. Kiedy Ultraz wszedł do środka, natychmiast wstali i uczynili gest oznaczający uznanie jego zwierzchności.

- Witaj, o dominujący - odezwał się samiec o najwyższej pozycji: Heruvycx był szefem dowództwa Floty Konfederacji, co wynosiło go ponad któregokolwiek z *horraksów* hord czy przywódców wojennych. Należał do Hordy Hragha, ale bardziej z urodzenia, dowództwo Floty Konfederacji z biegiem czasu stało się bowiem czymś na kształt nadhordy dla wojskowych, przejmując ich lojalność wobec wcześniejszych grup, co bardzo się nie podobało tradycjonalistom. Powstanie Heruvycx's Hragha miało w sobie coś rewolucyjnego, horda ta bowiem naciskała na rozdział struktur władzy zamiast bezwarunkowej akceptacji dowództwa Floty Konfederacji w wypadkach przeciwko ludziom. Ich starania zakończyły się fiaskiem, dyskredytującym tradycjonalistów i umożliwiającym wielkiemu Lorvycksowi realizację jego wielkiego marzenia budowy połączonej floty. Obecnie, kiedy tylko pojawiała się konieczność poniżającego tłumaczenia się przed zwierzyną, flota skrywała się za plecami „Nowych Hord”, które istniały jedynie jako wymówka. Ultraz mimo sceptycyzmu musiał przyznać, że łatwowierność i naiwność okazywana przez polityków ludzi potwierdzała jedynie, że te stworzenia nie są zdolne do pełnego myślenia i odczuwania.

- Bądź pozdrowiony, *arnhahorrax*. - Ultraz odpowiedział na powitanie i zajął miejsce w honorowym boksie dla najważniejszych gości, który zazwyczaj stał pusty. Scyryx zatrzymał się kilka kroków za nim, z dala od stołu, mimo że samce z dowództwa Floty Konfederacji nie kierowały się stereotypami w takim stopniu jak reszta społeczeństwa. - Decyzja została podjęta, a orędownicy innych rozwiązań upokorzeni. Będziemy zatem postępować zgodnie z wytycznymi, któreście wcześniej opracowali.

- Dzięki ci, dominujący. - Heruvycx mówił głosem pełnym ulgi wspólnej dla większości zawodowych wojskowych, którzy zawsze z wielkim niepokojem i nieufnością spoglądali na pomysły wysoko postawionych amatorów. Po chwili uniósł ramię i wskazał na hologram: - W oczekiwaniu na decyzję *arnharanak* przygotowaliśmy bardziej szczegółowe plany operacyjne.

Ultraz dał znak, by kontynuował. Na obrazie rozświetliła się linia łącząca warpa prowadzącego z przestrzeni Tangri do systemu Tisiphone będącego we władaniu ludzi Obrzeża. (Tangriański wywiad był doskonały na tym niewielkim polu, którym się zajmował, i miał doskonałe rozeznanie w nazwach nadawanych przez zwierzynę swoim światom.)

- To, dominujący, najlogiczniesz droga ataku. Zakładając, że ludzie Obrzeża przerzucili wszystkie siły, jakimi dysponują, w kierunku systemu Bellerophon, system Tisiphone, pozbawiony stacjonujących tam sił, stanie się bezbronny. Stamtąd moglibyśmy zabezpieczyć wszystkie otwarte przejścia łańcucha. Co więcej, umożliwiłoby nam to dalsze podboje wzdłuż łańcucha.

- Po zajęciu Tisiphone natychmiast wzmocnią obronę kolejnego systemu... no... Treadway.

- Lecz tylko w granicach swoich możliwości, dominujący. Zwróć również uwagę, że z Treadway będziemy mieć jeszcze jedno połączenie, przez słabo broniony warp prowadzący do pustego systemu. Możliwość zaatakowania systemu Treadway z dwóch stron przysporzy im problemów taktycznych. A poza tym nie zapominaj o naszej najważniejszej przewadze - ludzie Obrzeża nie będą mieli pojęcia, że to się dzieje, gdyż nowo przybyła zwierzyna łowna odcięła komunikację między łańcuchem i resztą Obrzeża, zajmując Bellerophon.

- Jeśli ludzie zwyciężą - wtrącił Scyryx - staniemy w obliczu poważnych konsekwencji za ten atak.

Heruvcyx zlekceważył jego głos.

- W razie czego zwalimy winę na Nowe Hordy i tyle. - Dookoła stołu przetoczyła się fala rubasznej wesołości. Ultraz odruchowo dołączył do towarzyszy, choć jako jeden z niewielu zdawał sobie sprawę, że nie można bezgranicznie wierzyć w łatwowierność ludzi. Koniec końców, te małe zwierzęta były nieprzewidywalne.

- A najlepsze jest to - kontynuował Heruvcyx - że do tego czasu tak umocnimy nasze pozycje w systemie Treadway i w okolicach, że ludzie uznają, że nie opłaca im się kolejna wojna o odzyskanie łańcucha. Z drugiej strony, jeśli nowe zwierzęta utrzymają Bellerophon, ludzie nigdy się o nas nie dowiedzą.

Ultraz zaczął się zastanawiać. Całość trzymała się kupy, nawet pomijając zapal Heruvcyxa i jego tendencję do dostrzegania jedynie jasnych stron swojej strategii.

- A więc zgoda. Niech się tak stanie. Lecz... - kontynuował z wyrazem twarzy zapewniającym mu posłuszeństwo i szacunek, na który pracował przez dziesięciolecia - będziemy działać bardzo ostrożnie. Nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów, dopóki nowe zwierzęta nie wykażą chęci podboju dalszych systemów łańcucha, skupiając na sobie uwagę sił ludzi Obrzeża. Dopiero wtedy zaatakujemy. A kiedy przyjdzie ten czas, uderzymy jednocześnie na Tisiphone i pusty system, który otworzy nam drogę do Treadway, zyskując możliwość dalszych podbojów. Równocześnie poinformujemy Obrzeże i jego sprzymierzeńców, którzy oczywiście nie będą mieć pojęcia, co się dzieje, że zachowujemy

neutralność w ich wojnie z nowymi zwierzętami, co wymaga od nas zamknięcia granic dla wojsk obu stron konfliktu. Utrzymamy ich w ten sposób w niewiedzy. Czy to jasne?

Heruvycx i pozostałe samce wykonały uproszczony gest poddania, dając znać, że w pełni akceptują mądrość przewodnika.

# **KSIĘGA DRUGA**



## ROZDZIAŁ XIII

### KAMIEŃ Z ROSETTY

Alessandro w końcu zauważył jej poranne nudności i spadek apetytu. W czasie kolejnego ataku mdłości czekał pod drzwiami łazienki, a kiedy wyszła, podał jej szklanę wody.

- Albo jesteś w ciąży, albo bardzo ciężko chora - powiedział bardzo cichym głosem.

- To pierwsze. - Jen uznała, że dalsze udawanie nie ma już żadnego sensu.

Stali u szczytu schodów i patrzyli na siebie.

- Od jak dawna wiesz? - zapytał.

- Od inwazji. Wcześniej nie miałam jeszcze pewności.

- Co ty sobie, do ciężkiej cholery, myślałaś, nie mówiąc mi ani słowa?! - ryknął dostatecznie głośno, by zatrzęsły się meble. Jennifer zatkała uszy, a kiedy odważyła się je odetkać, odgryzła się tak, jak umiała, zupełnie nie zwracając uwagi, że ludzie schowani w jej piwnicy prawdopodobnie słyszeli każde słowo.

- Jeśli zamierzasz zachowywać się jak neandertalczyk, którym bądź co bądź jesteś, to nie dziw się, że nie chciałam ci powiedzieć, że zostaliśmy rodzicami! - Nie powiedziała „że jestem w ciąży”, jakby on nie miał z tym nic wspólnego. Nie powiedziała też, „że zostaniesz ojcem”, jakby z kolei to ona nie miała nic wspólnego. Powiedziała wyraźnie „zostaliśmy rodzicami”.

Kiedy mówiła, Sandro otworzył usta, żeby jej przerwać, lecz zamilkł na dźwięk magicznego słowa „rodzic”.

- Wolałbyś, żebyś była jednak chora? - kontynuowała.

Oparła się o drewniany słup, na którym wspierały się schody - Alessandro był z nich strasznie dumny, kiedy budowali dom. Czowała w ustach smak żółci i chciała jak najszybciej usiąść.

Milcząc, potrząsnął głową, po czym odwrócił się, na przemian zaciskając pięści i prostując palce. Jennifer miała nadzieję, że znów na nią spojrzy, złapie ją i przytuli, ale on stał

tyłem, a szerokie plecy sprawiały wrażenie masywnej, ceglanej ściany nie do przebycia. To było poniżej pasa. Nie powinnam była tego mówić.

Bolało, bo mimo że czas nie był odpowiedni na dzieci, gdyż wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo, mógł okazać choć trochę radości i entuzjazmu.

- Sandro, przecież nie tylko ja chciałam mieć dzieci. - Dlaczego ją obwiniał? Przecież zanim pojawili się obcy, razem zdecydowali, by spróbować, i razem mieli nadzieję, że się uda. - OK, rzeczywiście, nie pomyślałam, żeby się zabezpieczyć, kiedy przybyli obcy, ale przecież ty też ani słowem o tym nie wspomniałeś.

Dalej stał nieruchomo i milczał. Jen w końcu nie wytrzymała, odwróciła się i wbiła wzrok w schody.

- Powiedziałam to, co musiałam powiedzieć. Teraz idę na dół, na herbatę. Nie bój się, taką specjalną, którą przepisał mi lekarz. Mdłości powinny już ustąpić, ale wydaje się, że wszystko jest zupełnie dobrze. To na wypadek, gdyby cię to interesowało. A jeśli poczujesz, że chcesz mi coś powiedzieć, będę w kuchni walczyła z sucharkami, żeby nie wracały.

Alessandro słuchał jej oddalających się kroków i nie znajdował w sobie dość siły, by się odwrócić. Powinienem był coś powiedzieć, rozważyć, powinienem był coś zrobić. Teraz już nie tylko nam grozi niebezpieczeństwo, ale też naszemu dziecku. Ależ ze mnie hipokryta. Zrobiłbym wszystko, by móc walczyć, a kiedy okazuje się, że mam dla kogo walczyć, nagle tchórzę przed konsekwencjami. Zrobiłbym dla niej wszystko, ale dlaczego czuję się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w plecy. Zapomniałem. A potem oślepiłem i ogłuchłem, gdy ona starała się coś mi przekazać. Nic nie widziałem.

Nie potrafił stanąć teraz przed nią. Nie z tym, co planował. Nie mógł już dłużej czekać na Van Felsen. Skontaktował się z Wismerem i Narejko i zaplanowali akcję na pojutrze. Nadszedł czas, by pokazać tym wielkogłowym, że ludzie nie dadzą sobie w kaszę dmuchać.

Zrobię to, bo muszę, a jej nie mogę powiedzieć, dlaczego jestem taki zdenerwowany. Teraz mam dobrą wymówkę, by kilka nocy spędzić poza domem. Wszedł na balkon i korzystając z zewnętrznych schodów, zszedł do ogrodu. Przez okno zobaczył Jennifer przy stole śniadaniowym i poczuł, że powinien wejść i ją przeprosić. Odwrócił się jednak i podszedł do furtki z tyłu. Miał silne postanowienie zrobić to, do czego się zobowiązał. Mimo to czuł się paskudnie. Zrobię to dla niej i dla naszego dziecka. Zostanę ojcem. Nie chcę, żeby moje maleństwo wychowywało się w okupowanym świecie. Ma być wolne.

Słyszając trzask furtki, Jen opuściła głowę i rozplakała się.

\* \* \*

Ankaht nie uczestniczyła w ceremonii. W nowym Wielkim Mieście, Urkhot, najwyższy kapłan, *holodah'kri*, jednoczył się z Illudorem, a jego *selnarm* i *selnarm* zgromadzonych gron wypłynę z nowej świątyni, zbudowanej ze specjalnie zaprojektowanej części statku.

Ludzie, widząc jej spiralną formę, dostrzegliby inspirację pewnym gatunkiem głowonoga zamieszkującego oceany, łodzika z Ziemi, lub po prostu muszlą ślimaka. Budynek miał bowiem kształt coraz wyższego, spiralnego rożka. W rzeczywistości konstruktorzy oparli swój projekt na morskim zwierzęciu ze starego Ardu, *Threem*. Zadbali też, by podobnie jak muszla *Threem* zewnętrzna warstwa świątyni została gładko wypolerowana. Mieniła się przy tym wszystkimi kolorami tęczy, wyraźnie kontrastując z czerwonymi, piaskowymi barwami otoczenia i reszty miasta.

Ankaht stała się odludkiem, a Thutmus martwił się, że nie chciała brać udziału w ceremonii obcowania. Siedziała teraz sama w swoim domu, w pokoju odcięty od przepływu *selnarm*. Każdy dom był wyposażony w takie pomieszczenie, bo niezależnie od tego, jak ważne było zjednoczenie z grupą, integralność każdego żywego członka społeczeństwa również była istotna.

Tak naprawdę *selnarm* całego pokolenia rozdrażniała ją, kiedy tylko usiłowała się skupić na codziennej medytacji. Ale nie tylko to, również *selnarm holodah'kri* nie pomagała w osiągnięciu spokoju i skupienia. Zdawała sobie sprawę, co sobie myślał.

Ekranowane ściany pokoju na szczęście zatrzymywały fale uczuć i emocji wpływających ze świątyni - skrajnie ekstatyczne doznania i bezwarunkowe poparcie, które admirał Torhok ze swoimi wojownikami *Destoshaz* bez zmrużenia oka przekuwali na akcje militarne. Krąg śpiących był ucieleśnieniem spokoju, patrząc w kategoriach obecnej sytuacji, a jej zadaniem jako starszej było zapewnienie rozprzestrzeniania się tego spokoju. (Nieugiętość.) *Selnarm* Tułaczy, osadników ze statku, choć z technicznego punktu widzenia byli całkowicie nowymi bytami, przypominała jej życie w czasie wielkich wojen na starym Ardu. Ta *selnarm* też usilnie łaknęła chwały i przemocy. Była całkowicie odporna na cierpienie innych stworzeń zdolnych odczuwać. Prowokowała pojedynki i walkę w obronie honoru, co w jej opinii nie miało już nic wspólnego z tradycją i kulturą.

A Urkhot wraz z admirałem Torhokiem zajmowali miejsce w radzie zarządzającej. Ta dwójka przyciągnęła do swojego obozu wszystkich ekstremistów, a kilkoro bardziej stonowanych członków trwających dotychczas przy Ankaht zaczynało się wahać. Teraz musiała się przygotować na spotkanie rady po ceremonii obcowania, bo utarło się, że to najlepszy moment na jakiegokolwiek spotkania czy negocjacje. (Złe nastawienie, determinacja.)

Położyła dłoń na rzeźbie, która przeraziłaby większość jej pobratymców. Po raz pierwszy

zobaczyła ją w parku, w mieście zbudowanym przez *griarfeksh*. Przemówiła do niej. (Nadzieja na radość.) Dzieło było tak delikatne i ładne, że gdyby nie wiedziała, iż jego autorem jest *griarfeksh*, mogłaby pomyśleć, że wykonał ją Arduanin: bezpłciowa głowa, dwunożna postać z prostymi ramionami, uchwycona w tańcu. Doskonale oddany ruch. Wykonano ją z błyszczącego kawałka skały i ustawiono na postumencie z tego samego materiału. Jej dotyk sprawił, że poczuła spokój wyłaniający się z otaczającego chaosu i nadzieję, że problem *griarfeksh* zostanie rozwiązany na innej drodze niż poprzez eksterminację gatunku.

\* \* \*

W innym pomieszczeniu, również wolnym od przepływu *selnarm*, w przygaszonym świetle, konferowały głowy dwóch gron.

- Nie jestem przekonany, czy powinniśmy zaprezentować ten raport admirałowi (Zmartwienie, zakłopotanie.) - oznajmił płaczącym głosem Hurnefer, starszy lingwista grona, całkiem niedawno przeniesiony ze stanowiska biologa. - Ich język posiada regularną strukturę, jednak wydaje się, że łamią jej zasady za każdym razem, kiedy mówią, co sprawia, że nie da się zrozumieć ani ich, ani ich języka. - Z nerwów zaciskał i rozprostowywał macki, obawiając się spotkania z admirałem, który (Nacisk, presja.) był coraz bardziej niecierpliwy.

(Spokój.) Tornat, przewodnik grona, westchnął głęboko.

- Musi zrozumieć, że tłumaczyć możemy jedynie to, co jest całkowicie zrozumiałe i jasne. Przynajmniej dajemy sobie jakoś radę z pisaną wersją ich języka.

- Niby tak... ale przecież nie ma już wątpliwości, że ten gatunek korzysta również z innych języków. Obok tego ich „angielskiego” są jeszcze setki innych. - Przerwał, zbyt zdenerwowany, by kontynuować. - I jeszcze słowa, które mają identyczny zapis, ale różną wymowę - *tough, cough, dough, plough* - a to nie wszystko! Są jeszcze całe grupy fonemów tak zbudowanych! (Zagubienie, irytacja.) Jak, mając taką mieszankę, można ułożyć z nich cokolwiek sensownego?

Tornat nie odpowiedział, za to sięgnął myślami do swojej części raportu.

- Jeśli pozostaniemy jedynie przy wersji pisanej i prostych komendach, będzie mniej zamieszania; tam mamy silne struktury, które nadają się do przekazu danych. I chyba tylko w taki sposób uda nam się dostać do ich materiałów, które tak pieczołowicie gromadzą w swoich maszynach i *bibliotekach*, na *uniwersytetach* i w *urzędach*. Wydaje się, że to miejsca przechowywania wiedzy pod różnymi postaciami.

Zmienił barwę na szarą. (Złość, irytacja, zniechęcenie.)

- Bóg zachęcający do wojny i wychwalający niszczenie całych miast nazywany jest „Bogiem miłości”. Słowo, które teoretycznie oznacza „uczucie, zainteresowanie”, użyte jest więc w kontekście zniszczenia, przemocy, zazdrości i żądzy mordy. Ich emocje są całkowicie pozbawione jakiegokolwiek *selnarm*, a słowa, które je opisują, to bełkot, i to całkowicie niezrozumiały bełkot.

Hurnefer wstał i odwrócił się, zmniejszając presję na drugiego lingwistę, który się zrewanżował tym samym. Po chwili napięta *selnarm* rozluźniła się i Hurnefer wrócił do rozmowy.

- Nie możemy przerwać. Nasz raport musi być rzetelny, a jeśli admirał uzna nas (Bezsens działania.) za winnych niezrozumienia *griarfeksh*, to najwyraźniej tak po prostu miało być.

(Akceptacja, rezygnacja.)

- Masz rację. Możesz go już wysłać, a potem wrócimy do (Bezcelowość.) wspinaczki na urwiska ich języka. Czy udało ci się uchwycić jakieś okazy do obserwacji?

Hurnefer ponownie zmienił kolor. (Złość, irytacja.)

- Kilka zaledwie. Mam wrażenie, że to starsze osobniki, złapane w miejscach gromadzenia wiedzy, o których ci wcześniej wspominałem. Młodsze samce i samice prezentowały zazwyczaj agresywną postawę na próby odłowu na cele badawcze. Wiemy już, że do młodszych lepiej się nie zbliżać, i to nawet do tych osobników, które wydają się porzucone, niechciane czy odepchnięte, jak na przykład grona bardzo starych osobników.

(Smutek, agresja.)

- W budynkach, w których walczą o przedłużenie obecnego życia, często stosują naprawdę drastyczne, żeby nie powiedzieć okrutne środki. Nie jestem w stanie pojąć, co oni musieli zrobić, żeby spotkała ich taka kara... - Przerwał, wyraźnie zatroskany. - Jakie zbrodnie popełnili, że na siłę podtrzymuje się ich przy obecnym życiu, w strasznej agonii? - Wstrząśnięty i zszokowany na moment zamknął wszystkie oczy.

Tornat potaknął.

- Zachowują się tak, jakby ci członkowie społeczeństwa byli cenni, a kiedy zostawiamy ich w spokoju, ignorują ich, nie mówiąc już o zabiegach, które wyglądają na standardowe.

- Udaje nam się odłowić tylko zupełnie odrzucone, samotne jednostki - bezdomne, nienależące do żadnego grona. (Wzbierający niesmak.) Tyle że te jednostki wydają się być bardziej uszkodzone niż reszta grupy... (Skóra swędząca od wewnętrznego wstrętu.) I brzydko pachną.

(Współczucie.)

- Udało nam się przejść dwa tego rodzaju miejsca - kontynuował. - Ale zostaliśmy też

zmuszeni do strzelania do osobników, które z własnej woli postanowiły się do nas zbliżyć. Jednostki te albo usiłowały nawiązać kontakt za pomocą dźwięków o dużym natężeniu, wymachując różnymi przedmiotami w jednej ręce, a w drugiej książką, albo przynosiły ze sobą materiały wybuchowe przyłączone do ciała, i poświęcając swe aktualne życie, wysadzały się w powietrze razem z częścią przejętych budynków.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli, dzieląc zmieszanie i zagubienie. Tornat pierwszy przerwał ciszę, taktownie zmieniając temat, dzięki czemu nie musieli się obracać dla odstresowania.

- Straciłeś kogoś z powodu szoku planetarnego?

(Troska.)

- Tak, czterech z mojej grupy. - Hurnefer był niemal swojej naturalnej barwy i stuknął szponami w blat stołu. - Filtenata spotkało to w pracy. Strasznie stresująca sprawa z odgroźeniem się od jego panikującego *selnarm*, zanim pojawił się ktoś z kontroli zdrowia psychicznego i odizolował go. Krzyczał, że coś go całego pokrywa, drapał się po całym ciele, najwyraźniej usiłując zrzucić to z siebie. Było bardzo nerwowo, nikt więc nic nie mówił.

Filtenat był jednym z niewielu szczęśliwców, których dało się jeszcze umieścić w warunkach mikrogravitacji i sterowanej atmosfery. Inny członek grupy Hurnefera wybrał ponowną inkarnację, podejmując próbę pokonania grawitacji - zaatakował ją z dachu jednego z wyższych budynków.

- A ty?

Tornat zacisnął macki, zatrzymując ich nerwowe ruchy. (Uspokojenie.)

- Tylko dwoje. Jest coraz mniej przypadków, w miarę jak przyzwyczajamy się do życia tutaj. Kolejne pokolenia uznają tę planetę za swój dom.

- Z wyjątkiem tych wszystkich, którzy odmówili lądowania. (Troska.)

(Ukłucie ironii, humor.)

- A więc podzielimy się na dwa obozy - kosmicznych tułaczy i planetarnych osadników. Zgodnie z tym, jak ułoży się nasze życie.

(Zdecydowanie.) Hurnefer uderzył w przycisk i wysłał myśl do komputera. Ich raport został natychmiast spakowany i wysłany do wiadomości biura admirała.

- Wysłane.

- Może wymoczymy się w ciepłej wodzie, zanim wrócimy?

- Z przyjemnością. (Oczekiwanie ulgi.) Każdy ma prawo do krótkiej chwili relaksu.

\* \* \*

- Sir. - Szept kaprala był ledwie słyszalnym trzaskiem w słuchawce umieszczonej w uchu. Alessandro rozpląszczył się na ziemi, schowany pod prywatną półciężarówką, którą ktoś zaparkował na wzgórzu ponad szkołą. Wybrał to miejsce, bo było doskonałym punktem obserwacyjnym. Podczołgał się do przodu, by nic nie zasłaniało mu widoku ogrodzenia, które obcy ustawili dookoła szkoły z internatem. Samochód zaparkowano nieco ponad godzinę wcześniej, a on miał na sobie skafander maskujący naturalną ciepłość ciała, na wypadek gdyby najeźdźcy użyli bioskanerów.

Lampy uliczne rzucały żółtawy blask, rozpraszając mrok letniej nocy. Nawierzchnia, na której leżał, oddawała ciepło zgromadzone w ciągu dnia. W nos wwiercał mu się kurz i zapach oleju, niemal zmuszając do kichnięcia. Wzmagająca się bryza nie pomagała, choć z całą pewnością ułatwi ukrycie ich ruchów.

Krzaki i drzewa skrzypiały i szeleściły, ich cienie na ziemi tańczyły dziwaczne tańce, tworząc obrazy światła i ciemności, które nigdy się nie powtarzały. Doskonałe warunki do zmylenia czujników. Sandro niemal się cieszył, że to nie on musi bronić terenu.

Szczękął zębami, żeby się upewnić, czy połączenie nie szwankuje.

- Kapralu?

- Zajęliśmy pozycje, gotowi do odpalenia ładunków.

- Dobrze, czekać na rozkaz.

Wismer i Narejko udowodnili, że doskonale opanowali przystosowywanie dziecięcych zabawek do nowej roli. Każdy z ich trójki miał ze sobą sześć zdalnie sterowanych samochodzików przygotowanych do przenoszenia ładunków wybuchowych. Nadajniki zmodyfikowali, zwiększając ich pierwotny zasięg.

Mieszkańców stojących w pobliżu domów ostrzeżono wcześniej, że coś może się wydarzyć. Wszyscy wiedzieli, że obcy zajęli szkołę i planują wywieźć dzieci i nauczycieli. Większość domów została opuszczona, choć w niektórych zostali ludzie, którzy postanowili, że choćby nie wiadomo co się miało dziać, oni się stąd nie ruszą. Przez jakiś czas Sandro żałował, że jego akcja nie ma błogosławieństwa Van Felsen, bo gdyby była firmowana przez ruch oporu, mógłby kazać im się wynosić... Cóż, co ma się stać, to się stanie.

Wcześniej przez anonimowy komunikator skontaktowali się z jednym z nauczycieli. Okazało się, że obcy najprawdopodobniej nie mają pojęcia, do czego służą te małe urządzonek, dzięki czemu wszyscy przetrzymywani w szkole wiedzieli, co się szykuje, i byli gotowi, by działać.

Alessandro wysłał pierwszą ze swoich zabawek pod zaparkowanymi samochodami, prowadząc ją zygzakami i zatrzymując co pewien czas, by w razie czego oszukać czujniki. W

końcu nie mogli przecież strzelać do wszystkiego dookoła, kiedy tylko w zasięgu rażenia pojawiała się jakaś wiewiórka. Samochodzik, a właściwie samobieżny ładunek wybuchowy, przyspieszał, zwalniał, zawracał jak węszący pies czy szop pracz, których sporo kręciło się po okolicy. Gdyby nie utrzymywał maszyny w zasięgu wzroku i nie wiedział dokładnie, na co patrzeć, szybko by ją zgubił gdzieś w cieniu zaparkowanych aut. A tak udało mu się dostać do przyszkolnego ogrodu.

Kiedy pierwsza zabawka znalazła się za linią krzaków okalających budynek, zatrzymał ją i po kolei przeprowadził tą samą drogą drugą, trzecią i czwartą. Łysole musieli mieć naprawdę dobre czujniki, bo zauważyli coś niepokojącego i uruchomili światła jednego z wozów bojowych, niecałe pięć metrów od podjazdu do szkoły. Reflektory przesuwwały się po krzakach i drzewach, roztaczając jaskrawą poświatę. Sygnał musiał trafić do wszystkich wozów dookoła, bo już po chwili boisko wyglądało jak poligon skąpany w jaskrawym świetle, gdzie nawet znajome wyposażenie sportowe wyglądało wrogo.

- Pozostać na miejscach - wydał rozkaz.

- Ta. - Narejko i Wismer potwierdzili otrzymanie rozkazu, unikając nawet dźwięku pełnego słowa „tak”. Cisza i bezruch miały trwać do czasu odwołania alarmu. Żaden z obcych nie popełnił błędu i nie opuścił opancerzonego wozu, lecz nie było wątpliwości, że skryci starannie skanują całe otoczenie. W szkole, w oddali, rozległ się płacz dziecka, które ktoś szybko uspokoił.

Część mieszkańców pobliskich domów pozostawiła włączone systemy sterujące oświetleniem, muzyką i rozrywką, które uruchamiały filmy, lampy i radio o różnych porach. Alessandro miał nadzieję, że to zasieje choć trochę zamętu w odczytach sensorów łysoli.

Alarm pozwolił mu dojrzeć samochodziki, które wprowadził na teren szkoły. Dokładnie zapamiętał ich pozycje.

- Dziesięć minut - szepnął przez laryngofon. - Jedyńka, zdejmiesz obu łysków przed wejściem, dwójka, wschodnia i północna strona.

- Ta. Ta.

Surrealistyczna wizja ataku na zajęty budynek, przeprowadzonego za pomocą armii sterowanych zabawek sprawiła, że Alessandro niemal pokręcił w niedowierzaniu głową. Nie przerwał jednak programowania dalszej trasy dla swoich samobieżnych, śmiertcionośnych niespodzianek.

Dobrą chwilę zajęło mu ustawienie ich na właściwych pozycjach. Zaczął się pocić w chwili, kiedy w miniaturowej słuchawce w uchu usłyszał sygnał oznaczający dwie minuty do rozpoczęcia akcji. Pojazd, którym miał się zająć, stał w otwartym terenie, co utrudniało



ustawienie drugiego ładunku na właściwej pozycji. Zatrzymał autko obok znieruchomiłego siedzenia jednej z huśtawek na placu zabaw. Mimo to obcy zauważyli zabawkę i zniszczyli ją wraz z ładunkiem wybuchowym i huśtawką. Kiedy ich wóz ruszył, Alessandro odpalił drugi ładunek.

Maszyna obcych zniknęła w kuli eksplozji, by po sekundzie opaść na ziemię, przetoczyć się dwa razy i zatrzymać na pniu starego neoklonu. Ten wybuch w połączeniu z pozostałymi po północnej i wschodniej stronie budynku rozświetliły noc i zamieniły okolicę w strefę wojny pełną dymu, ognia i furkoczących odłamków.

Oślepiiony Sandro zamrugał. Górą przetoczyła się potężna fala uderzeniowa, wstrząsając samochodem, pod którym leżał, i wypalając zielen z otoczenia. Zapanowała cisza, w której słyhać było tykanie stygnącego metalu i głucho uderzenia o ziemię ostatnich kawałków rozerwanych maszyn.

Wewnątrz szkoły rozległy się strzały; to nauczyciele, słysząc eksplozje, z więźniów zamienili się w zabójców. Przy pomocy zorganizowanej naprędce broni chronili dzieci oddane im pod opiekę. Nawet nie chciał myśleć, co dla cywilów oznaczała taka walka. Ale zapewnili go wcześniej, że chcą i będą walczyć, i nie rzucali słów na wiatr. Przypomniawsobie, że różnica między cywilami i żołnierzami polegała na wyborze, którego dokonali. Wielu żołnierzy uważa, że cywilny świat, z którego się wywodzą, jest pozbawiony odwagi i heroiczności. Ale prawda jest taka, że w chwili zagrożenia czy wojny każdy człowiek staje się granatem z wyrwaną zawleczką. Wystarczy, że coś zagraża jego dzieciom lub rodzicom.

Ze szkoły, która zajęła się ogniem po eksplozji pierwszych ładunków, zaczęły wybiegać dzieci, poganiane przez nauczycieli. Alessandro uznał, że już najwyższy czas wprowadzić do gry pozostałe dwa samochodziki. Na tle płomieni widział sylwetki uciekających ludzi. Zgodnie z planem zaczęli się dzielić na mniejsze grupki i rozbiegać w różne strony. Ze środka wytoczył się łysol wciąż jeszcze ogłuszony wybuchem. Kiedy jego wysiłki, by zatrzymać jeńców, spełzły na niczym, uniósł broń.

Alessandro podjął błyskawiczną decyzję i jeden ze zdalnie sterowanych samochodzików podjechał pod same nogi obcego. Ten miał zaledwie ułamek sekundy, by zareagować, ale zamroczony wcześniejszym wybuchem nie wykorzystał okazji. Tym razem eksplozja była zdecydowanie słabsza, lecz wystarczająca, by zamienić go w poszarpane kawałki i zwalić z nóg ostatnią grupę dzieci.

Na szczęście żadnemu z nich nic się nie stało, pomyślał z ulgą Alessandro. Wszystkie wstały i po chwili już ich nie było.

- Dobra robota, chłopaki. Znikamy.

- Do jutra.

Obaj kaprale mieli udać się do domów, każdy drogą, którą sobie wcześniej opracował. Pomocny będzie tłum ludzi uciekających przed walkami i niechybną zemstą obcych. Podobny schemat ucieczki przygotował sobie zawczasu Sandro. Nie mogli zapomnieć o jak najszybszym wyrzuceniu manipulatorów do koszy na śmieci, które automatycznie rozkładały wszystko na surowce do odzysku.

Oni po prostu nie mają pojęcia, z kim zadarli, pomyślał zadowolony z siebie. Dzieciaki są już bezpieczne, a oni jeszcze nie wiedzą, co się właściwie zdarzyło. Otrzepał się z kurzu i szybkim krokiem zaczął się oddalać z miejsca akcji. Pierwsza przecznica, kolejne budynki za plecami, następna przecznica. Był coraz dalej od szkoły.

Nie zwalniając kroku, wysunął rękę i do pojemnika na odpady wrzucił sterowniki autek. Ostatniego nie wykorzystał. Czekają uzbrojone, z aktywowanym zapalnikiem zbliżeniowym. Doskonały sposób na niespodziankę dla jeszcze kilku najeźdźców.

Miał dobry pomysł, by pójść piechotą, bo metro zostanie zamknięte, a tak nie będzie miał kłopotu z dotarciem do wypożyczonego samochodu, który zostawił w pobliżu. Obcy na pewno zablokują cały ruch w dzielnicy w ciągu kilku minut, ale do tego czasu będzie już daleko, a co więcej, będzie wjeżdżał do tej dzielnicy, a nie uciekał z niej. Z ludźmi nie próbowałby takich forteli, jednak w przypadku łysoli sprawy wyglądały inaczej, gdyż wykazywali wyraźne niezrozumienie ludzkiej logiki. I właśnie to zamierzał wykorzystać. Każdy ich błąd.

Muszę jak najszybciej wrócić do domu i przeprosić Jen. Mimo że wolałby iść wolniej, posuwał się cały czas tym samym tempem, by nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Jeśli tego nie zrobię, pomyśli, że jestem skończonym idiotą, a nie że zachowałem się tak, by ją chronić. Ostatnich kilka nocy spędziłem poza domem - musi wiedzieć, że to dla jej bezpieczeństwa. Czuł się paskudnie, że musiał podtrzymywać stan skłócenia między nimi, by zniechęcić Jen do szukania go. Ale tak było lepiej. Ufał jej, ale nie chciał ryzykować ani jej życia, ani życia dziecka.

Wsiadł do pojazdu i ruszył przed siebie, zastanawiając się, jak da sobie radę ze zjedzeniem tej żaby. Jednostki wsparcia obcych przemknęły w górze w tym samym kierunku, całkowicie go ignorując.

\* \* \*

W sali spotkań Rady Arduańskiej na Bellerophonie panowała cisza pełna wzburzenia. (Strach, złość, nieufność, żądza mordy, szok.) Zebrani podzielili się na dwa przeciwne obozy,

a fale *selnarm* rozbiły się o fale wysyłane przez oponentów, *Destoshaz Anaht'doh Kainat* i *shaxzhu* mieli bowiem odmienne zdania.

Admirał Torhok przejął kontrolę nad *selnarm* wsparty potężnym przekazem Urkhota. Nadał jej kształt. (Wściekłość, żądza zniszczenia.) Lecz Ankaht i Thutmus z Treknat, Felnarmaht i Nukurhat - którego z równowagi wyprowadzała niezgoda z duchowym przywódcą - dzielnie walczyli z zalewem (Złość, żądza zemsty.) ze strony pozostałej ósemki, dwóch kapłanów, Urkhota i piątki *Destoshaz*.

- Admirale, nie ma potrzeby niszczenia wszystkich *griarfeksh* zamieszkujących planetę. - Ankaht wysłała najsilniejsze (Rozsądek, spokój.), jakie umiała. - Nie mamy jeszcze wiedzy co do przyczyn, dla których nie zarzucają walki. Nie wiemy, dlaczego robią dziewięćdziesiąt procent rzeczy, które robią.

- Zabijając naszych badaczy i niszcząc ich trud, sami stają się powodem swojej zagłady! - Przekaz Torhok był na tyle dziwny, że Ankaht musiała chwilę pomyśleć, zanim go rozpoznała. Chęć mordy połączona z gorliwością, która tak zniekształciła obraz. Zamrugła przerażona. (Chęć zniszczenia opozycji. Chwała. Satysfakcja z wyśnionego zwycięstwa).

Wątpiła, czy którykolwiek z pozostałych *Destoshaz* dał sobie radę z odczytaniem pełnego przekazu admirała. Oni - wszyscy oni, przyszło jej do głowy - zareagowali na to na poziomie tak głęboko ukrytym, że niemal wymykał się klasyfikacji. Jej reakcją był natomiast automatyczny sprzeciw wobec pochwał, szacunku i uwielbienia, którego Torhok tak bardzo pragnął.

Na rozpoznanie i zrozumienie tego miała ledwie ułamek sekundy; zamrugła powiekami i przyjrzała się swoim sprzymierzeńcom. Tak, miała rację: po jej stronie również nikt nie rozumiał powagi sytuacji. Nie posiadali głębi pojmowania *shaxzhutok*, którą dysponowała ona, a część z nich, jak na przykład Nukurhat, poparła ją tylko dlatego, że wyczuwała nieprzyjemne zmiany w *narmata* i z przekory uznała, że nie wszystko, co obce i niezrozumiałe, musi natychmiast zostać zniszczone.

- Wroga nie trzeba rozumieć! - Urkhot zagrzmiał jednocześnie w dwóch wymiarach - werbalnym i *selnarm*. (Zaprzeczenie, negacja.) - Nie mają prawa bytu! Są obrazą Illudora i naszej rasy. Zniszczyć ich! Wyczyścimy planetę z tego robactwa, ze zgnilizny, którą reprezentują w obliczu Boga! (Dobre chęci.)

Nukurhat (Zdecydowanie, determinacja.) odezwał się cichym głosem:

- *Holodah'kri* - Zwracając się do najwyższego kapłana, użył zwrotu oznaczającego dosłownie „O, Urodzony Wielokrotnie” lub „Strózu Drogi” - *holodah'kri*, może Illudor postawił nam ich na drodze dla naszego *holodah*?

(Niedowierzenie.)

- Śmiesz podważać mój osąd? (Nienawiść, szyderstwo.) Pod wpływem chłosty *selnarm* wymierzonej przez Urkhota Nukurhat cofnął się, zwinął macki, schował szpony i zamknął oczy, lecz nie ustąpił.

- Tak, *holodah 'kri*. Podaję go w wątpliwość, bo to mój obowiązek. A skoro tak, to wróć do pytania. Żaden *'kri* nie stoi ponad innymi. Nikt żywy nie jest nieomylny.

(Poparcie.)

- Rzeczywiście - Thutmus przerwał mu. - Admirale, czy ta rasa naprawdę nam zagraża? Jak bezpieczni jesteśmy? (Neutralne pytanie.)

Niech będzie chwała Illudorowi, pomyślała Ankaht i stłumiła nagły przypływ uczucia. Nie powinna nikogo rozpraszać. Ten mężczyzna jest inteligentny i pomysłowy. Illudor, niech Mu będą dzięki, sprawił, że mam dobry gust.

Torhok, który ledwie wspierał swoją *selnarm* emocjonalny przekaz Urkhota, wydawał się ostrożniejszy w osądach. Połączył macki w węzeł i zamyślił się.

- Rasa jest na tyle bezpieczna, na ile udaje się mi i pozostałym *Destoshaz* zapewnić jej bezpieczeństwo. Jestem przekonany, że utrzymam system, niezależnie od tego, co zostanie przeciwko nam wysłane. (Żywa radość, chęć walki.) Te potworki o jednej parze oczu dały nam ogromną ilość informacji, które w tej chwili ciężko zanalizować ze względu na gwałtowność procesu. Poza tym mamy problemy ze zrozumieniem ich. (Samozadowolenie.) Jestem im za to bardzo wdzięczny. (Ironia.) Zapewniam was, że system jest właściwie broniony, potężne ilości oczyszczonych i przygotowanych surowców, które pozostawili w stocznicach, pozwolą nam wyprzedzić harmonogram budowy nowych i przezbrajania starych jednostek obronnych. (Ostrożna czujność.) Naukowcy pracują nad tym, jak wykorzystać te ich dziwaczne dziury w przestrzeni, których *griarfeksh* użyli, by zniknąć. Przewiduję też, że przyjdzie nam się jeszcze z nimi zmierzyć. (Żądza krwi.)

To pragnienie krwawego finału połączone z nadzieją na jak najszybsze zakończenie sprawiło, że Ankaht poczuła mdłości. Wyłowiła również cień zgody w przekazie Thutmusa. (Chęć niszczenia, sześcioro za, dwoje niezdecydowanych, pięcioro przeciw.) Zgoda na poziomie *selnarm* trwała, na całe szczęście, dzięki niezdecydowaniu dwójki obecnych - wahaniom Nurukhata i jego niechęci do bycia wodzonym za nos, neutralności Thutmusa i niesłychanej krwiożerczości Torhoka. Czowała to wszystko w ustach i nosie. Nie mogła swobodnie myśleć. Była przekonana, że wszyscy w pomieszczeniu odbierali tę walkę podobnie, choć zapewne większości bardziej to odpowiadało niż jej.

*Selnarm* Ankaht była coraz mocniejsza. Przygotowywała odpowiedź dla frakcji

*Destoshaz'kri*. Wyjątkowo rzadko zdarzało się jej „odkrzyknąć” admirałowi czy *holodah'kri*, lecz czasem było to naprawdę potrzebne, by przypomnieć im, że posiada moc sprzeciwu, której może użyć wtedy, gdy uzna to za stosowne.

(Przeczenie, odrzucenie żądzy krwi, spokój, cierpliwość.) Torhok sprawiał wrażenie, jakby ktoś łupnął go z całej siły młotem między dwoje dolnych oczu.

- Nie będziemy podejmowali żadnych akcji, dopóki nie zbierzemy więcej informacji. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, jak bardzo dzieli nas ten temat, lepiej więc póki co utrzymać *status quo*. Dajmy naszym naukowcom tyle czasu, ile potrzebują. (Srogość.) To nie jest rękawica rzucona admirałowi, w każdym razie jeszcze nie, niezależnie od tego, gdzie wraziłabym chętnie jeden ze szponów w miejsce, które rozwiązałoby wiele naszych problemów. - Nie pozwoliła sobie na okazanie choćby cienia pragnienia użycia przemocy ani zniesmaczenia tą akurat formą przyjemności. Trzymała je głęboko w sobie, by w przyszłości móc je wykorzystać.

Przez całe lata po przebudzeniu nie trenowała *maatkah*, lecz wcześniej dzięki medytacji była mistrzynią. Czas do tego wrócić, zdecydowała. Musi uczynić to, co jest właściwe i konieczne. (Zapał.)

## ROZDZIAŁ XIV

### SZCZĘKI, KTÓRE KĄSAJĄ

Ze świecą trzeba by szukać kogoś, kogo bawiłaby służba przy warpach prowadzących do systemów pozbawionych gwiazd i planet. W takim miejscu wachty spędzało się na obserwacji instrumentów pokładowych i czujników, bo to było i tak lepsze niż wpatrywanie się w nieprzenikloną ciemność dookoła. Ludzie mieli tendencję do obsadzania mroku tabunami wściekłych potworów. I tak było od zawsze - czy chodziło o podróżnych biwakujących przy ognisku, czy załogi statków kosmicznych. Wojna z Pająkami pokazała, że one rzeczywiście mogą tam mieszkać. To, co czaiło się w ciemności, poza kręgiem światła obozowego, było przerażające i lepiej było mieć pod ręką jakąś broń.

Kiedy odkryto przejścia między poszczególnymi systemami, podróżujący przyzwyczaili się do myśli, że kiedy znajdą się po drugiej stronie, powita ich światło gwiazdy znajdującej się w pobliżu, oddalonej nie więcej niż o kilka godzin świetlnych. Wielu doświadczonych wędrowców, wojskowych i handlowców zwykło nazywać okazjonalnych podróżnych kierujących się światłem gwiazd „ćmami”. Prawda jednak wyglądała nieco inaczej, istniały bowiem warpy prowadzące do obszarów zanurzonych w całkowitej pustce przestrzeni kosmicznej - nazwano je więc pustymi systemami. Naukowcy łamali sobie głowy, żeby wymyślić odpowiednią teorię grawitacyjną, która uzasadniłaby taki stan rzeczy. BR-01 był jednym z takich punktów. Rzadko się o nim mówiło, bo wspomnienia z tranzytu, i tak bezbarwne, całkowicie traciły powab i romantyzm, nie wytrzymując konkurencji ze wspomnieniami z reszty podróży przez system Bellerophon do systemu Misty. Pradawni podróżni na Ziemi w końcu też zasłaniali okna, by nie musieć spoglądać na każdą mijaną dziurę na trasie.

Statki handlowe uciekające z systemu przed inwazją przynosiły wieści składające się na rozmyty, niedokładny i pełen nieścisłości obraz sytuacji w Bellerophonie, lecz jedno było oczywiste: zostali odcięci. Wiceadmirał Erica Krishmahnta przygotowywała do walki każdą

jednostkę, która wpadła jej w ręce, lecz Marynarka Federacji nawet przez chwilę nie rozważała ataku przez tego warpa. Oczekiwano raczej, że w niedługim czasie nadejdą posiłki, bo chwilowo mieli zbyt małe siły, by utrzymać Łańcuch Bellerophon.

Kapitan jednego z frachtowców wcielonych do floty, Hustapyzuk, zostawiła kilka sond zwiadowczych, jeszcze zanim wycofała się przez warpa, lecz żadna z nich nie dokonała tranzytu. Mimo braku informacji wywiadowczych dotyczących najeźdźców Krishmahnta robiła, co było w jej mocy.

Doskonale zdawała sobie sprawę z poziomu morale swoich ludzi. Wiedziała też, jak ciężko oczekiwać w ciemności na atak, który nieuchronnie się zbliżał, choć nikt nie miał pojęcia, kiedy właściwie nastąpi. Pewny był tylko kierunek, z którego nadejdzie; czas pozostawał tajemnicą. W takiej sytuacji całą wachtę można przesiedzieć, nic nie robiąc, można zmęczyć oczy wpatrywaniem się w czernią przestrzeni kosmicznej, ze świadomością, że w promieniu lat świetlnych nie ma żadnych gwiazd i że ciemność dookoła gęstnieje i osiada na pancerzach okrętów jak śnieg. Jedynie ćwiczenia i musztra utrzymywały wszystkich w pełnej gotowości bojowej i było tak przynajmniej do chwili, kiedy zaczęli cierpieć na przypadłości, na które nie pomagały tabletki i zastrzyki.

Równie trudną decyzją był wybór miejsca stacjonowania okrętu flagowego w pobliżu BR-01 zamiast okolic Pegasus, a na jej podjęciu zawazyło tak morale jej ludzi, jak i względy taktyczne.

Erica zagryzła wargi, siedząc w czterech ścianach kabiny na *Gallipoli*. Odruch, którego nie lubiła i jednocześnie nie potrafiła się pozbyć, bo ilekroć pojawiał się stres, tylekroć do niej wracał. Jej zielone oczy przepelniała troska, nasilająca się, w miarę jak przesuwiała piórem świetlnym od jednego systemu do kolejnego. Już dawno wezwwała wszystkie jednostki uwięzione w łańcuchu, dzięki czemu w ciągu ostatnich miesięcy dowodziła coraz większymi siłami. Założyła, że te jednostki, które dotychczas nie dotarły, były po prostu nieprzydatne. Większość planet łańcucha zajmowała się rolnictwem, a ciężki przemysł skupiał się jedynie w systemie Tilghman, a i to w ograniczonym zakresie. Teraz całe bogactwo systemu i zasoby surowców pozostawały oddalone o miesiące drogi.

Spojrzała na zestawienie swych sił. Na pierwszą po południu dysponowała dwunastoma supermonitorami - a właściwie będzie dysponować, bo *Passhendale* i *Temuchin* jeszcze nie dotarły z Raiden. Dwadzieścia dwa monitory, trzydzieści sześć superdreadnoughtów i zbieranina lotniskowców uderzeniowych i lotniskowców floty.

Behemoty obcych były zdecydowanie zbyt wielkie, by móc dokonać tranzytu przez warpa, ale liczba superdreadnoughtów, którymi dysponowali, była przytłaczająca. Zakładała,

że dodatkowo je zmodyfikowali, by mogły podróżować przez warpy. Nie ma mowy, żebyśmy byli w stanie ich zatrzymać, jeśli postanowią wybrać się na wycieczkę przez warpy, rozważała, a już na pewno nie tutaj. Ale jeśli uda mi się odciągnąć część ich jednostek, to osłabię siły wroga pozostające w systemie, co z kolei umożliwi przeprowadzenie ataku. Musimy ich rozdzielić, żeby byli słabsi.

Ofensywa się zbliżała i zdawał sobie z tego sprawę kapitan każdego okrętu. Nie mogli jednak zrobić nic poza wysyłaniem sond zwiadowczych, mając nadzieję, że któraś z nich wróci z cennymi informacjami. Fakt, że nie wracały, też był swego rodzaju informacją, tyle że nie potrafiła jej jeszcze zinterpretować.

W zamyśleniu stuknęła piórem o blat biurka. W końcu uruchomiła moduł komunikacyjny.

- Liam, czy mógłbyś wezwać Yoshiego, kiedy tylko skończy spotkanie z panią Obriko? Niech tu przyjdzie, chcę z nim porozmawiać. - Nadszedł czas, by wspólnie z kapitanem jej okrętu flagowego podjąć jakieś decyzje na podstawie danych z symulacji.

Między żołnierzami krążyły plotki, że obcy lecą wprost na nich przez normalną przestrzeń. Musiała wyjaśnić wszystkim, że to było raczej niemożliwe. Nawet komputery miały problem z rozważeniem tak hipotetycznej sytuacji. System BR-01 leżał na tyle daleko od Bellerophona, że nie udało jej się znaleźć mapy, na której oznaczone zostałyby oba punkty w odpowiedniej skali.

Kapitan Yoshi Watanabe był błyskotliwym oficerem, który do perfekcji opanował technikę opracowywania takich założeń, by wszyscy dochodzili do oczekiwanych wniosków.

- Oczywiście, ma'am.

Była pewna, że natarcie, kiedy już się rozpocznie, nastąpi właśnie przez warpa. Tymczasem wołała jednak utrzymywać załogę w pogotowiu. A groźba ataku dojrzewała w ciemnościach za burtami ich okrętów.

Arduanie przygotowali sześć eksperymentalnych sond, przy czym w każdej znalazło się miejsce dla Strzelca i pilota. Kołysały się teraz w przestrzeni, między polami minowymi otaczającymi dziwaczne zawirowania przestrzeni, które *griarfeksh* nazywali warpami. Żeby zobaczyć śmiercionośne okruszynki rozsypane dookoła warpów, trzeba było użyć powiększenia, gdyż prezentowały się nadzwyczaj mizernie na tle otaczającej je nieskończonej przestrzeni. Pięć fortów miało kolor *vrelish* niedostrzegalny dla ludzi; mieniły się pięknie, kontrastując z otaczającą je czernią. Nie przypominały niczego, co wcześniej broniło tego miejsca. Widok był zaiste piękny i zarazem przerażający.

\* \* \*



Arduanie nie mogli wykorzystać umocnień warpa uszkodzonych przez wycofujących się ludzi, lecz dzięki materiałom, które udało im się odzyskać, znacznie skrócił się czas budowy własnych fortów. Zamiast zwalistych kształtów z umieszczonymi centralnie wyrzutniami rakiet i działami energetycznymi zaprojektowano je i wykonano, nadając formę arduańskiej dłoni. W czasie skanowania długie, mackowate palce falowały rozczapierzone. W module centralnym umieszczono wyrzutnie rakiet, a wystające z niego macki naszpikowane były czujnikami i bronią energetyczną. Jediną cechą odróżniającą je od prawdziwej dłoni była liczba szponów. Naturalna dłoń posiadała tylko dwa, a te wyposażono aż w dziesięć. Każdy szpon miał ograniczony zakres ruchu, dopóki był częścią całości. Gdyby doszło do uszkodzenia i zostałby oddzielony, mógłby działać dalej bez ograniczeń, choć przez niezbyt długi czas.

W czasie skanowania macki poruszały się bez przerwy jak anemony w płytkiej wodzie, to kurcząc się i cofając, to wydłużając. Nieustannie też zmieniała się skanowana przestrzeń, na dodatek więc cały fort obracał się wokół własnej osi. Jeśli zauważony zostawał jakikolwiek obcy obiekt, macki zbliżały się do siebie, wskazując kierunek, lecz nigdy nie dochodziło między nimi do kontaktu. Gdyby tak się stało, zrujnowałoby to efektywność działania całego mechanizmu, którą zapewniały właśnie osobno rozmieszczone czujniki.

Admirał Narrok widział, jak *griarfeksh* wypuścili dwa urządzenia rozpoznawcze z drugiej strony warpa. Był bardzo zadowolony z reakcji na ich pojawienie się. Trzy forty natychmiast namierzyły cel, a eksplozja, która nastąpiła ułamek sekundy później, doprowadziła do przeładowania i restartu filtrów transponderów obrazu. Z samej planety płynęły sygnały, że na niebie w ciągu dnia pojawiły się zielonkawe płomienie.

Kiedy przeglądał później nagranie, na tle eksplozji widać było sylwetkę stacji Obrzeża.

Warpy w systemie Nowego Ardu znajdowały się na tyle daleko, że planety oglądane z tej odległości wyglądały jak niewielkie, błyszczące gwiazdy. Dla wielu z ostatniego pokolenia widok ten miał w sobie coś kojącego; cieszyła świadomość, że nowe kolonie są zaledwie o kilka godzin drogi.

Wiadomo było, że wrogo nastawieni *griarfeksh* wycofywali się przez wszystkie trzy dostępne warpy. Można było więc założyć, że po ich drugiej stronie też mają swoje siedziby i kolonie. Ale nie to wprawiało w zdziwienie - zaskakująca była sama idea istnienia warpów, czyli przejść skracających podróże międzygwiazdne do kilku godzin. Było to coś zgoła innego od znanych im wypraw, podczas których dokonywało żywota kilka kolejnych pokoleń. Anahfdoh Kainat i wolontariusze, którzy zasiedli w sondach, wciąż nie mogli sobie wyobrazić, jak to działało.

Jeśli lingwistom udało się właściwie zrozumieć język pisany, *griarfeksh* byli rozsiani na przeogromnej przestrzeni, zasiedlając dziesiątki czy nawet setki planet. Opanowanie ich technologii wykorzystywania warpów sprawiłoby, że nieskończone trwanie Illudora nie byłoby już nigdy zagrożone, a ograniczenia wynikające z charakteru przestrzeni przeszłyby do historii. Możliwości, jakie nagle znalazły się w zasięgu, przemawiały do wyobraźni nie tylko teologów i strategów, ale całego społeczeństwa, bo dzięki nim można byłoby tak zwiększyć populację, że okres oczekiwania na inkarnację skróciłby się niesamowicie. Narrok, któremu przypadło zadanie gromadzenia informacji na temat warpów, musiał wybrać sześciu najlepszych spośród tłumu wolontariuszy, którzy chcieli brać udział w próbach. Na każde przejście przypadało po sześć próbników obsadzonych załogą złożoną ze Strzelca i pilota. Oni mieli stanowić pierwszą falę podboju nowych terytoriów.

Narrok martwił się, jak jego ochotnicy postrzegają swoją misję. Z jednej strony był on, który wymagał bezwzględnej dyscypliny i posłuszeństwa, a z drugiej oni, tak ciekawi niezbadanych przestrzeni. Co pewien czas musiał przywoływać ich do porządku, bo w swoim zapale byli gotowi niepotrzebnie ryzykować. Bał się, że cywile posłuchają raczej własnego *shotan*, niż poświęcą wszystko, by powrócić z każdym, choćby najmniejszym skrawkiem informacji, który udałoby im się zdobyć po drugiej stronie.

Śmierć byłaby zbyt prosta. W tym wypadku „*Destolfi rahk montu shilkiene*” - „Śmierć to nie błahostka!” (Podkreślenie.) On i podlegający mu bezpośrednio przewodnicy gron wielokrotnie powtarzali tę maksymę, by wbić wszystkim do głów, że tym razem przeżycie dla rasy było większym heroizmem niż śmierć dla rasy, a jedynym, co się liczyło, było dokonanie tranzytu i powrót.

Ludzie wysyłali bezzałogowe sondy, by nie ryzykować życia pilotów. Arduanie prezentowali inne podejście. Jeśli ktoś umierał w pogoni za wiedzą, jego *holodah* wzrastało, a od czasu lądowania, kiedy zniesiono ograniczenia inkarnacji, zwiększała się liczba oczekujących na ponowne narodziny - czymże więc była śmierć?

Próbniki były w istocie przerobionymi, dużymi, silnie uzbrojonymi myśliwcami, bo nie spodziewano się po drugiej stronie niczego poza natychmiastowym atakiem. Nie prezentowały się lekko i kształtnie jak przypominające rekiny myśliwce *griarfeksh*; były dużo bardziej pękate, co ułatwiało montaż dział energetycznych, które Arduanie uważali za bardzo skuteczne. Ale swoją drogą, czy kształt orki jest mniej groźny od sylwetki rekina? Oba drapieżniki są równie niebezpieczne i potrafią zabijać.

Na stanowisku dowodzenia, w którym siedział admirał Narrok, grawitacja ustawiona była na połowę mocy. Admirał oparł się wygodnie, odrywając wzrok od obrazu próbników, i z

dumą rozejrział się dookoła. Podobnie jak pozostali biorący udział w projekcie, był podniecony wizją nowych możliwości. Starał się, by uczucie to znalazło odzwierciedlenie w jego *selnarm*, a troski wolał ukryć. Robił to oczywiście tylko dla *Destoshaz*, bo sam nigdy nie oceniałby nikogo po zdolnościach do kontroli przekazu emocjonalnego, a już na pewno nie swojej koleżanki admirał Lankhi.

Nowa jednostka obrony systemowej, *Neferhurukor*, powstała z jednej trzeciej statku macierzystego jego *Ahknemakseht*, a co za tym idzie, była zwalista i niezbyt piękna, ale i Narrok był przekonany, że świetnie się sprawdzi.

Wyglądało na to, że gigantyczne statki macierzyste będą musiały pozostać w systemie, lecz przebudowane stocznie, które z pewnej odległości sprawiały wrażenie kręgów dookoła Nowego Ardu, przygotowywały dziesiątki superdreadnoughtów, a niedługo ich liczba sięgnie setek. Nastął czas wojny, a wrogowie byli liczni.

*Selnarm* zafalowała, kiedy ostatni próbnik zajął miejsce, a admirał Narrok bez słów dał im zgodę na rozpoczęcie misji.

- Ruszajcie.

Wszyscy potwierdzili gotowość.

- Dobrze. Teraz się przekonamy, czy udało nam się rozgryźć ten sposób podróżowania. (Radosne oczekiwanie.) (Napięcie.)

- Tak jest, sir. (Gotowość do walki.)

Kłótnia w pomieszczeniu Rady na Nowym Ardu zachwiała *selnarm* osadników, choć niektórzy uznali, że przetoczyła się przez nie fala tsunami. I nieważne, czy ktoś należał do *Destoshaz*, czy nie, i czy znajdował się na planecie, czy na pokładzie któregoś z okrętów - wszyscy to poczuli. Historia o starszej *shaxzhu*, która przeciwstawiła się jednocześnie starszemu admirałowi i *holodah'kri*, zdominowała plotki i stała się kanwą dalszych spekulacji, które powtarzali sobie osadnicy i robotnicy pracujący nad przebudową jednostek na wojenne.

Narrok doskonale o tym wiedział, ale nie był pewien, jakie powinien mieć na ten temat zdanie. Z jednej strony odczytywał *selnarm* starszego admirała i admirał Lankhi. Była ulepiona z tej samej gliny co Torhok - należeli do tych, którzy po spotkaniu z wrogiem z lubością widzieli siebie jako *Destoshaz* wiernych tradycji dawnych dni, jak dawnych przywódców, którzy męstwem i walecznością wywalczyli sobie takie przydomki jak „Wspaniały” czy „Krwawy”. Ich *selnarm* nie przypominała niczego, co pojawiło się w ciągu ostatnich kilkuset lat. Miała moc uwodzenia. Przemawiała, szczególnie w obliczu oczywistego wroga.

Dla niego wszystko było proste i jednoznaczne wówczas, gdy przemierzali spokojnie ciemną i oddaloną głębię przestrzeni międzygwiazdnych. Teraz na każdym kroku napotykał zawieruchę i zniszczenie. I wszechobecny hałas. Teraz była szansa, że wszystko się zmieni; postanowił, że poczeka i nie będzie wyciągał pochopnych wniosków. Nie czuł się dobrze, udzielając wymijających odpowiedzi. Godzinę świetlną od niego, przy warpie, admirał Lankha wysłał przygotowane jednostki na drugą stronę. Pod warunkiem że przyjęły właściwe parametry. Przepływ *selnarm* z grupy przygotowanej do wypełnienia tego zadania był trudny do odczytania - ich uczucia mieszały się z ogromną ilością przekazów z innych źródeł - lecz kiedy już się udało, wyróżniało się niecierpliwe wyczekiwanie na start.

Przy każdym z trzech warpów pierwsze jednostki badawcze rozpoczęły tranzyt, a kiedy zniknęły, Narrok bezwiednie wstrzymał oddech. (Oczekiwanie, ciekawość.)

\* \* \*

Porucznik Thomas przetarł palcami oczy i przeszedł do masażu nasady nosa. Było późno, trwała trzecia wachta i nawet najpilniejszy obserwator miał problemy z obroną przed ciężką i gęstą mgłą powoli wkradającą się do mózgu i swędzącymi, łzawiącymi oczyma. Kiedy znów spojrzął na ekran, zobaczył pierwsze delikatne zawirowania ruchu - koncentryczną falę energetyczną wzbudzoną przez obiekt przechodzący przez warpa. Wyćwiczone odruchy w ułamku sekundy wzięły górę nad zmęczeniem, kiedy nie zastanawiając się wiele, łupnął całą dłońią w przycisk uruchamiający alarm.

- Atak! - wrzasnął zachrypniętym głosem. - Zostaliśmy zaatakowani!

Ostatnie słowa zagłuszył alarm uruchomiony przez komputery, które przeszły w tryb bojowy.

Członkowie załogi zeskakiwali z łóżek piętrowych i pędzili na stanowiska, wkładając w biegu mundury, zataczając się, kiedy automatyczne salwy rakiet wstrząsały nawet najpotężniejszymi jednostkami.

Pierwsza jednostka obcych nie zdążyła w pełni ustabilizować się po tranzyście, gdy mimo błyskawicznego uniku dosięgły ją pociski z *Gallipoli* i *Gallaway*. W ułamku sekundy, gdy okręt trwał po bronionej stronie warpa, udało mu się odpalić jedną, najwyżej dwie wiązki beamerów. Broń energetyczna jest szybsza niż jakiegokolwiek pociski, bo osiąga prędkość światła. Jednostka obcych, zamieniając się w gorejącą kulę powyginanych blach i stopionych fragmentów wyposażenia, zabrała więc ze sobą kilkanaście min.

\* \* \*

Młodszy przewodnik grona kapitan Eraphis przełknął głośno ślinę, czekając, aż odzyska zdolność ostrego widzenia, którą stracił w chwili, gdy wstrząsnął nimi tranzyt przez warpa. To w połączeniu z nagłym zerwaniem kontaktu z *selnarm* z okrętu dowodzenia i pojawieniem się w nowym świecie, pełnym zawirowań energetycznych i promieniowania, niemal pozbawiło go przytomności. Walcząc z mdłościami, wykonał unik (w myślach ochrzcił okręt imieniem *Lahatas*; dowództwo uznało, że jednostki badawcze nie potrzebują imion), a uruchomione czujniki zaczęły zbierać dane, które były niezbędne dla przetrwania. Trzecia jednostka zmaterializowała się gdzieś z tyłu, rozsiewając zdezorientowane *selnarm*, od której Eraphis musiał się szybko odciąć. W morzu rozbłysków i eksplozji prowadził maszynę chaotycznym, urywanym kursem, tańcząc z cieniem Illudora, gdy jednostki strzegące przejścia odpaliły pierwsze rakiety.

Pilot trzeciej jednostki stosunkowo szybko odzyskał przytomność działania i runął w drugą stronę kursem równie poszarpanym i chaotycznym. Leciał zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Byli nawzajem świadomi swojego napięcia, nerwów i strachu, ale się nie poddawali. W jakimś odległym zakątku umysłu Eraphis zastanawiał się, dlaczego on i strzelec, Sehtsurankh, wciąż jeszcze żyli. Przyczyna była prosta - jego pilotaż. Nie mógł sobie pozwolić nawet na milisekundę utraty koncentracji. Seht dzielnie wystrzeliwał drogę przez miny i wirujące dookoła fragmenty żelastwa.

Nagle rozległ się sygnał oznaczający, że namierzyły ich rakiety. Kiedy Eraphis gwałtownym manewrem uniknął zestrzelenia, usłyszał i poczuł przekleństwa Sehta. Ciała rzucane siłami bezwładności zawisły w uprzęzach, by za chwilę boleśnie wcisnąć się w żelowe fotele.

- Trzymaj się, przyjacielu. Może uda nam się wrócić. - Razem pakowali się w kłopoty od czasu grona przedszkolnego i choć żaden z nich nie należał do *shaxzhu*, a więc nie mógł potwierdzić tego z całą pewnością, byli przekonani, że znają się już co najmniej od kilku żyć.

- Nie marudź, tylko patrz, dokąd lecisz - warknął Sehtsurankh przez system łączności, nie zmieniając przepływu *selnarm*, mimo że był bardzo spięty.

Musieli pozostać w nowym systemie przez określony czas, zanim wolno im będzie, podjąć próbę powrotu. Czy zegar na pewno nie jest uszkodzony? Co jeśli...

Kliknięcie w słuchawkach oznaczało, że czas wiać - jeśli był jeszcze w stanie. Teraz jego obowiązkiem stał się bezpieczny powrót do domu.

- Wiedziałeś, że mruczysz pod nosem, jak to siedzimy po uszy w gównie? - zapytał Seht. Nigdy jeszcze nie brali udziału w prawdziwej walce, nie mógł więc tego wcześniej zauważyć. Eraphis uśmiechnął się do siebie.

Dzięki niech będą Illudorowi, że nasze napędy pozwalają zatrzymać się i ruszyć w mgnieniu oka, pomyślał. Nagle maszyna przechyliła się na burtę i dziwnie zajęczała, ale ze środka nie dało się zobaczyć, co spowodowało przechył. W sumie nie był pewien, czy został trafiony, czy znalazł się już w kolejnym życiu. Kontrolki sygnalizujące uszkodzenia rozbłysnęły czerwienią na całej szerokości panelu sterowania. Eraphis gwałtownie zacisnął macki na drążkach sterowniczych i zapierając się, z całej siły nimi szarpnął, obracając maszynę. Przemknął przez chmurę śmieci, która sekundę temu była drugą jednostką, zacisnął zwoje, broniąc się przed silnym podmuchem emocjonalnym wywołanym śmiercią dwójki towarzyszy, i wykorzystując falę uderzeniową eksplozji, wpadł z powrotem w korytarz warpa.

\* \* \*

Admirał Torhok zacisnął w pięści macki ułożone na kolanach i zamknął oczy, by uwolnić się od (Wściekłość.), nienaturalnie pobudzony jak na *Destoshaz*. Mógłbym ich zmieść. Mógłbym zniszczyć wszystkich *griarfeksh* na ich własnej ziemi i zapewnić Illudorowi bezpieczeństwo. Mógłbym rozślawić swoje imię, mógłbym osiągnąć *holodah*, gdy tymczasem te tchórzliwe *flixity* zmuszają mnie do pozostania tutaj! Nie pozwalają stanąć w pierwszym szeregu walczących! Opanował się wielkim wysiłkiem woli i powoli zamrugnął powiekami, odwracając wzrok, by nie musieć patrzeć na starszego przewodnika. (Zgoda 18, Sprzeciw 1.) Nie wstając z krzesła, obrócił się lekko w lewą stronę i spojrzał na nową rzeźbę. Surowa bryła granitu wielkości jego torsu, z przypadkowo rozmieszczonymi polami o różnej fakturze, stała na podstawie ze szkła barwionego na kolor *vrel*. Zerwał się na nogi z gwałtownością, która zaskoczyła starego Tefhutta-sheriego i wcisnęła go w oparcie jego fotela.

W pomieszczeniu rozległ się delikatny szum, kiedy członkowie Rady siedzący wzdłuż krętego stołu przyłączyli się do uprzejmego podziwiania dzieła sztuki. Dzięki łasce Illudora zyskali całą planetę, którą mogli uczynić swoim domem. Torhok przesunął rękoma po polach zagłębionych w kamieniu, rozkoszując się przyjemnym dotykiem chropowatej powierzchni pod mackami. Rozkołysana *selnarm* zaczęła się uspokajać.

Kiedy znów obrócił się twarzą do niewysokiego stołu, celowo unikał wzrokiem *shaxzhu* Ankaht. Jej widok ponownie by go zdenerwował i osłabił argumenty, które przygotował na to spotkanie; nerwy zawsze pozbawiają dyskutujących oręża.

Mimo że Ankaht się nie odzywała, domyślał się, że to ona stoi za tym wszystkim. Od kiedy dowiedzieli się o istnieniu obcych, na każdym kroku starała się blokować jego decyzje.

Spojrzał na *holodah'kri*, który wydawał się kontemplować puchaty gobelin na ścianie, choć nikt nie wątpił, że skupia się na pomieszczeniu za sobą. Zamiast sprzymierzeńca, Torhok coraz bardziej znajdował w nim wroga, bo nie mógł już liczyć, że poprze jedyne sensowne rozwiązanie. Wzruszył w duchu ramionami. Gdy chodziło o zachowanie obecnego życia, co samo w sobie było dość dziwaczne, kapłan zawsze wybierał taką drogę. (Zgoda.)

- Zaakceptuję ten kompromis. (Posłuszeństwo.) Jestem przekonany, że waleczni admirałowie dadzą nam zwycięstwa, których potrzebujemy. Moi admirałowie będą moimi *holodah-ra-nekt* - będą walczyli o mój honor.

- A chwała zwycięstw będzie nierozzerwalnie złączona z twoim imieniem, starszy dowódco - dodała Ankaht cichym głosem. (Współczucie, zrozumienie.) Choć nie potrafiła znaleźć zrozumienia dla jego pragnienia podbojów i walki do zwycięstwa, potrafiła je uszanować.

Torhok cały zeszytniał z wściekłości i obrzydzenia, lecz odsunął te uczucia od siebie (Woda spływająca zboczem góry.) techniką mentalną, do której coraz częściej uciekał się w jej obecności. Jak ona śmie mi współczuć! W jego odczuciu, ba, w jego przekonaniu, Ankaht bardziej broniła *griarfeksh* niż własnego ludu. Jedynym rozwiązaniem, jakie wchodziło w rachubę, była walka i zwycięstwo nad obcymi.

- Zaakceptuję słowa wypowiedziane przez starszą. (Ironia. Złość.) - Jednocześnie delikatnym cieniem *selnarm* dał do zrozumienia, że to ostatnia rzecz, na jaką by przystał, gdyby mógł wybierać. - Jestem potrzebny tutaj, na miejscu, w tym systemie. - Potwierdził decyzję Rady i opuścił pomieszczenie gwałtowniej, niż nakazywała etykieta. Mogli go tutaj zatrzymać, zmusić do pozostania na Nowym Ardu, ale nie mogli zrobić z niego jednego z wielu, uwiązanego do swego grona robotnika, bo doskonale wiedział, co potrafi robić najlepiej - walczyć. Narrok i Lankha będą potrzebowali wsparcia z jego strony, skoro nie będzie mógł prowadzić wojsk do ataku. Ta decyzja komplikowała jego plany, a nowa sytuacja będzie wymagała od wszystkich wysiłku, by się dopasować do nowych warunków.

Od kiedy wiedzieli, że warpy można wykorzystywać do podróży między systemami gwiazdowymi, sam czuł się bardziej wolny niż kiedykolwiek wcześniej. Opanowaliśmy technologię podróży między układami, a przyciasne umysły niektórych przywódców na siłę starają się mnie przywiązać do zaledwie jednego? Bredzą, że bitwa i aktywna obrona rasy to działania „pochopne” i „przesadzone”, a niektórzy posuwają się do stwierdzenia, że są „niepotrzebne”. Na macki i szpony Illudora, jeśli *shaxzhu* będą dalej forsować swoją drogę, rasa stanie się tępym i bezbronny pożywieniem dla pierwszego lepszego drapieżnika, który zakończy jej istnienie i istnienie Illudora. Czy naprawdę chcą, by wszechświat zniknął, choć

znamy sposób na ocalenie?

Lankha zajmie się warpem, z którego wrócili piloci. Pozostali zginęli po drugiej stronie, choć to akurat nie było zaskoczeniem. Przygotowano nawet kolejną grupę jednostek na wypadek, gdyby z pierwszej nikt nie wrócił z informacjami.

Jeśliby Eraphisowi nie udało się przedostać z powrotem przez warpa, nikt by nie wiedział, czy zginęli w trakcie transferu. Nie można było przecież zakładać, że wszystko zadziało zgodnie z wyliczeniami, a maszyny zostały rozniesione raketami *griarfeksh*. Ale udało się i jedna załoga powróciła. Owszem, była wykończona testami sprawdzającymi wpływ transferu na jej organizmy i pytaniami, co znalazła po drugiej stronie, ale mimo to zdawała dokładne relacje.

Narrok zajmie się kolejnymi. Delikatna rywalizacja, którą Lankha podtrzymywała (choć Narrok traktował te gierki, jak na to zasługiwały, czyli jak gierki), da im chęć do prowadzenia wojny z *griarfeksh*. Kiedy zajmą dodatkowy system czy nawet dwa, ich przestrzenie staną się lepszym zabezpieczeniem niż sama flota okrętów.

Wpadł do swego biura, prowadząc przed sobą *selnarm* tak pełną wściekłości, że pomniejszych pracowników zwałowało z nóg, jeszcze zanim on sam się pojawił. Ten idiotyzm miał też dobrą stronę, bo ujawniał słabych. Tych, którzy wykonali całą przypisaną im pracę czy nawet jeszcze więcej, a więc mieli czyste sumienie, nic nie dotykało. Wiedzieli, że jego gniew nie jest wymierzony w nich.

- Wywołaj Narroka i Lankhę, konferencja za kilka minut. (Wytrzymałość.)
- Tak jest, sir! (Posłuszeństwo. Uwielbienie.)



## ROZDZIAŁ XV

### SZPONY, KTÓRE SIĘ ZACISKAJĄ...

Gdy rozpoczął się atak, obrońcy nie byli tak znużeni oczekiwaniem jak poprzednio. Jednostki zwiadowcze obcych wstrząsnęły nimi, bo wróg nagle stał się namacalnym celem - skończyło się więc męczące wpatrywanie się w ciemność. Tylko jedna maszyna przetrwała ostrzał i powróciła na drugą stronę warpa, ale to wystarczyło. Teraz oczekiwanie nabrało innego wymiaru; skoro obcy mają już informacje, których potrzebują, ile czasu im zajmie przygotowanie do ponownego ataku poza systemem?

Porucznik Thompson znów pełnił służbę. Tym razem był środek pokładowego dnia, nie czuł więc takiego znużenia i ośpienia jak w czasie tamtej wachty w środku nocy. Mimo to komputer go ubiegł i wcześniej wszczął alarm.

Jako chorąży Krishmahnta wyznawała zasadę, że na sygnał alarmu należy dosłownie rzucić wszystko i pędzić na swoje stanowisko. Dziś prezentowała zupełnie inne podejście. Nikomu bowiem nie służyło, gdy oficer pojawiał się na mostku rozczochrany, nieubrany i generalnie sprawiający wrażenie, że po drodze stoczył zaciętą walkę o mundur z *zegetami* czy starym, dobrym ziemskim tygrysem. Miała kiedyś kapitana, który właśnie tak postępował, i to niemal za każdym razem, gdy ogłaszano alarm bojowy. Merytorycznie nie dało mu się niczego zarzucić - był dobrym oficerem. Jednak nauczyła się, że takie zachowanie fatalnie wpływa na morale załogi. Mimo to znalezienie się na pomoście flagowym *Gallipoli* zabrało jej mniej niż minutę.

- Tranzyt dużych sił!

Po przejęciu dowodzenia nie usiadła. Była tak podekscytowana tym, co się dzieje, że wolała stać, zamiast zająć miejsce w wygodnym fotelu dowódcy. Mimo to działała metodycznie, nie wytwarzając wokół siebie atmosfery chaosu. Splotła dłonie za plecami i skupiła się na głównym ekranie taktycznym, na którym nieprzerwanie pojawiały się czerwone symbole sygnalizujące transfer kolejnych jednostek. Niektóre zamigotały i zgasły, kiedy

wpadły na pole minowe, lecz nieprzerwany strumień kolejnych okrętów dokonujących skoku zaczął zmuszać obrońców do wycofywania się. Przestrzeń wokół warpa BR-01 stała się puchnącą sferą pulsującą kolejnymi eksplozjami, promieniowaniem i odłamkami. Ekran z trudem dawał sobie radę z kompensacją nieprzerwanych błysków, a Krishmahnta i jej zespół ledwie mogli obserwować, co tam się dzieje. Nagle obraz zafalował i zgasł.

Taktyką wroga była brutalna siła oraz brak jakichkolwiek zahamowań i strachu o własne życie i jednostki. Podejście obcych było tak odmienne, że budziło strach i przywoływało koszmary, które dotychczas kryły się w ciemnościach. Min dookoła warpa było za mało, a kiedy ostatnia zniknęła w eksplozji, zabierając ze sobą superdreadnoughta, nic już nie powstrzymywało obcych przed szybszą ekspansją. Obrońcy zostali zepchnięci co najmniej kilkanaście sekund świetlnych w tył.

- Zerwana łączność z komandorem Williamsem, ma'am.

Cholera. Cholera. Cholera. Bez sieci taktycznej pozwalającej na koordynację działań wszystkich jednostek większość jej ludzi zginie.

- Do wszystkich: wycofać się. - Powtarzam, wycofać się do punktu Alfa.

Myśliwce z *Celmithyr'theaarenouw* rozpoczęły wykonywanie rozkazu jako ostatnie - piloci Kociambrów kochali ryzyko. Jednak zanim opuścili pole walki, udało im się zniszczyć jeszcze jednego superdreadnoughta obcych. Niestety, eksplozja dosięgła też część myśliwców uciekających przed falą uderzeniową. Krishmahnta starała się utrzymać *Celmithyr'theaarnouw* z dala od walki, by zgodnie z rozkazem wycofać lotniskowiec przez warpa, kiedy tylko wrócą wszystkie myśliwce; wszystkie, które się ostały. Ale utrzymanie dowódcy Kociambrów z dala od walki było nie lada wyzwaniem.

Dość leciwy lotniskowiec przechodził akurat modernizację, lecz musiał ją przerwać, by móc dołączyć do sił broniących warpa. Stoczniovcy nie zaprzestali pracy nawet po opuszczeniu doków. Jako dowódca była bardzo zadowolona, że Kiiraathra'ostakjo już wcześniej nauczył się ścisłej współpracy z ludźmi, co procentowało szczególnie w obecnej sytuacji. Szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczała obecność w zespole dwóch oriońskich lotniskowców; dwóch, bo policzyła również poważnie uszkodzoną jednostkę, która przywiozła wieści o fiasku pierwszej próby odbicia systemu Bellerophon.

Większość uważała, że myśliwce tylko irytują wroga ukrytego za potężnymi burtami okrętów, lecz nie była to do końca prawda. Beamery tych niewielkich jednostek budziły grozę, szczególnie gdy całymi chmurami atakowały istoty, które nigdy wcześniej nie spotkały się z takim przeciwnikiem. Ich akcje przypominały atak roju rozwścieczonych os na zakutego w stal rycerza - jedna czy dwie mogły go najwyżej zdenerwować, ale kiedy pojawiały się

setkami, bezlitośnie zabijały. Erica mogła sobie wyobrazić zwycięskie ryki Kociambrów, choć oczywiście nie były one transmitowane przez system łączności.

Usiadła i przyglądała się zwartej grupie prowadzonej przez komandora Williamsa. Patrzyła, jak powoli rozluźnia się szyk, jak kapitanowie pozbawionych łączności jednostek podejmują wysiłek zachowania układu, dzięki któremu byli tak skuteczni w ataku i obronie... jak próbują i jak im się nie udaje.

\* \* \*

Mały pazur Kiiraathra'ostakjo zgodnie z rozkazami, lecz wbrew sobie, wycofał *Celmithyr'theaarnouw*. Z całych sił starał się uciszyć walące serce, kiedy oriońscy inżynierowie pospołu z ludźmi gorączkowo szukali usterki, która stała się przyczyną zerwania sieci taktycznej łączącej wszystkie jednostki. Ostry smród spalonej izolacji unoszący się w powietrzu sprawił, że wszyscy odsłonili kły, marszcząc nosy. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Ignorowali też techników, walcząc, by utrzymać ogień z wyrzutni lotniskowca na tyle skoordynowany z resztą formacji, na ile było to możliwe.

- Udało się! Udało! Komunikacja działa. Komandor William na linii, sir!

- Doskonale. Tutaj, Kiiraathra'ostakjo.

Tłumaczenie nie było płynne, lecz wszystko dało się zrozumieć.

- Przegrupowanie zgodnie z rozkazami. Świetna robota. Straciliśmy *Arbalesta*. Wysłałem *Longbowa*, żeby osłaniał cię z flanki.

- Wykonuję, sir. - Kiiraathra'ostakjo obserwował ekran, na którym widniał strumień kolejnych jednostek obcych dostających się przez warpa do systemu. Smród izolacji tym razem nie miał nic wspólnego z jego obnażonymi kłami.

\* \* \*

Obcy nieprzerwanie przierzucali kolejne okręty. Szlag by ich trafił, pomyślała Krishmahnta. Skąd oni się wzięli? I jak udało im się zbudować tyle jednostek? Superdreadnought za superdreadnoughtem... pojawiały się z taką prędkością i tak blisko siebie, - że kilkanaście eksplodowało, materializując się w tym samym miejscu. Przedzierały się przez ścianę pocisków raketowych, które zaczęła wystrzeliwać natychmiast po ogłoszeniu alarmu. Napięcie wśród obrońców warpa znacznie wzrosło, od kiedy pojawiły się jednostki zwiadowcze obcych; wiedzieli, że nie wszystkie zostały zniszczone. Teraz musieli dać z siebie wszystko.

Obcy, co było niepojęte, traktowali superdreadnoughty jak myśliwce. Wysyłali je na

drugą stronę w takich ilościach, że obrońcy powoli zaczynali mieć wrażenie, że ich starania nie mają żadnego znaczenia. Bo jak niby zatkać palcem pęknięcie w dnie oceanu, kiedy z drugiej strony naciska nieskończona masa morskiej wody?

Kiedy pierwsze wrogi jednostki dokonały tranzytu, pomyślała, że wołałaby pilnować Pegasus, zamiast stacjonować tutaj - ale nie mogła sobie pozwolić na wycieczkę przez cztery systemy gwiazdne i dookoła kolejnych czterech tylko po to, żeby się lepiej poczuć.

Musiała przyjąć, że skoro obcy nauczyli się korzystać z warpów, zaatakują przez oba naraz. Miała jedynie nadzieję, że wiceadmirał Yoshikuni lepiej daje sobie radę przy obronie Pegasus. Ludziom się wydawało, że jakakolwiek byłaby wojna, którą przyjdzie im prowadzić, będą rozumieli jej zasady, nawet jeśli wielu przywodziła na myśl bezgraniczne okrucieństwo Pająków.

Zagryzła zęby, ale starała się skupiać na tym, co akurat było ważne - dowodziła przecież całą bitwą... która coraz bardziej przypominała jatkę. Delikatne drzenie, a właściwie jego przecucie, świadczyło o tym, że jej okręt wystrzelił kolejną salwę pocisków.

- Wciąż pojawiają się nowe jednostki. - Transmisję na chwilę przerwało buczenie wyładowań elektrostatycznych, lecz po chwili znów miała połączenie. Głos mówiącego był na tyle pozbawiony emocji, na ile pozwalała powstrzymywana panika. - Oni mają wszystko w dupie, sir. - Mimo kilku minut świetlnych dystansu oficerowie na *Gallipoli* doskonale widzieli, co się dzieje. Superdreadnoughty obcych pojawiały się taśmowo, zupełnie nie zważając na własne bezpieczeństwo. Kolejne czerwone sygnatury wrogich okrętów rozbłyskiwały z taką prędkością, że wypełniały już szczelnie całą przestrzeń dookoła warpa i przesuwały się coraz dalej.

Nie dało się ustawić min w samym wylocie warpa, bo w panujących tam warunkach natychmiast uległyby rozerwaniu, znalazły się więc kawałek dalej. I tę właśnie niedogodność wykorzystali obcy, by wysłać i ściągnąć z powrotem niewielkie maszyny zwiadowcze z informacjami, których potrzebowali do inwazji.

- Pani admirał... - Sygnatura *Norfolka* na wyświetlaczu zaczęła mrugać na żółto.

- Widzę, Aetlanie, dziękuję. - Pochyliła się bezwiednie, jakby mogła pomóc im samą siłą woli, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, w miejsce symbolu okrętu pojawił się Kod Omega.

Gdzieś z boku usłyszała przytłumione mruknięcie, które mogło być przekleństwem.

Jeśli obcy zastosują tę samą taktykę co wcześniej, nie będą ratowali rozbitków z kapsuł ratunkowych czy unieruchomionych jednostek.

- Do wszystkich: wycofywać się. Powtarzam, wycofywać się. Ratować ocalałych w miarę

możliwości. Potwierdzić przyjęcie rozkazu.

Zielone symbole jednostek obrońców zaczęły grupami oddalać się od środka ekranu, na którym po chwili niemal niepodzielnie zapanowała czerwień.

Przewidzieli taką sytuację i wiedzieli, jak się zachować. Ćwiczyli odwrót walką z zadaniem wrogowi jak największych strat. Pomyślała o Misty z nadzieją, że uda im się powstrzymać tę powódź, ten przejmujący trwogą strumień okrętów. Sygnatury kolejnych jednostek wyświetlane na ekranie były jednoznaczne - wróg wciąż przedostawał się do jej systemu. Okręt za okrętem. Cholera. Cholera jasna. Na szczęście nie dysponował niczym porównywalnym z napędem Desai, nie miał więc szans dogonić ich podczas odwrotu do kolejnego warpa.

\* \* \*

(Samozadowolenie.) Torhok przesunął wzrok po twarzach zebranych wzdłuż stołu, nie hamując przekazu pełnego nieskrywanej dumy. Jego poplecznicy siedzieli w pobliżu i zwielokrotniali tę transmisję, choć nie mieli pojęcia, co znajduje się w raportach, na których trzymał dłoń z zaciśniętymi szponami.

Dla członków ludu rzeczą niemożliwą było całkowite lub niemal całkowite ukrycie uczuć, lecz starsza Ankaht posiadała tę sztukę. Bardzo go to poirytowało. Nie ma co dywagować, zaraz zobaczymy jej prawdziwe oblicze. Kiedy usłyszy nowiny, będzie musiała zareagować, a reszta tych twardogłowych tępaków zrozumie jej motyw.

- Admirale - powiedziała cichym głosem. - O ile zrozumiałam, przygotował pan dla nas raporty z działań, czy tak? (Przyjacielskie pytanie. Zmęczenie.)

- Tak, starsza. - Sprawnym ruchem rozłożył płytki krzemowe z zapisanymi informacjami i podał je *holodah'kri*, by wziął swoją, a resztę przekazał dalej, wzdłuż stołu. Członkowie ludu umieścili je w czytnikach, a po chwili nad stołem pojawił się diagram, którego jeszcze nigdy nie widzieli; wyglądał trochę jak drzewo, a każde rozgałęzienie opatrzone zostało obrazem innej gwiazdy. - Proszę o dokładne zapoznanie się z tym materiałem. - Przerwał na chwilę, eksponując zwaćce, co znacznie zwiększyło moc jego *selnarm*. - Admirał Narrok przejął kolejny system planetarny, w którym znajdują się przejścia zwane warpami. Nie posuwa się dalej ze względu na opór *griarfeksh*, którzy blokują jeden z nich. Pozostałe już zbadano. Lud ma dziś otwartą drogę do sześciu kolejnych gwiazd. (Silna satysfakcja.)

- Admirał Lankha zajęła i utrzymuje siedem następnych systemów planetarnych, w których wciąż napotyka jednak silny opór. Zasłużyła na *holodah*. (Osobisty żal.)

Amunhershepeshef zastukał szponem w blat stołu, prosząc wszystkich o uwagę. (Troska.)

- Admirals Lankha straciła tam wiele przyuczonych dusz.

Torhok z wielkim trudem się hamował. Najwyraźniej to ona działała na rzecz unicestwienia jego wysiłków podejmowanych dla ludu. Ale to nie miało znaczenia. Większość Rady wierzyła w słuszność drogi *Destoshaz*. Oto w końcu staliśmy się prawdziwymi Gwiazdnymi Tułaczami, a chwala Illudora doda nam sił i wspomże *sokhata*.

- Jestem zadowolony z działań admirałów. - Torhok mówił po cichu. - Lecz uważam, że właśnie Lankha działa z większym... jak to powiedzieć... rozmachem. (Podziw.) Narrok jest zdecydowanie bardziej zachowawczy. (Delikatna dezaprobata.)

Amunhershepeshef ponownie zastukał szponem.

- Tak, oczywiście. (Aprobata.) Ale póki co, nie możemy zasiedlić tak wielkich przestrzeni, bo jest nas za mało. Jeszcze raz podkreślę - chodzi o wyszkolonych członków rasy. Dużo czasu wymaga przygotowanie kogoś, nawet przeznaczonego tylko na wojownika *Destoshaz*. (Zgoda 5, Sprzeciw 10, Niepewność 4.)

Tym razem to Ankaht zastukała w blat, skupiając uwagę Rady na sobie.

- Twój raport, admirale, wspomina również o kilku planetach, na których jest możliwe osadnictwo, lub takich, na których znaleźć można wielkie złoża surowców. Wiem, że potrafimy szybko budować, ale czy aż tak szybko? (Stonowana ciekawość.)

- Tak, starsza. Dostatecznie szybko. Wielu pracuje cały czas na orbicie - często rozwiązując problemy, z którymi wy borykacie się na planecie. Wielu również byłoby chętnych do powrotu w przestrzeń. (Szyderstwo.)

- Czy znalazł pan czas, admirale, na osobistą wizytę na powierzchni? - Pytała dalej, niewzruszona jak rzeźba, obok której siedziała. Niczego w jej zachowaniu i *selnarm* nie można było potraktować jako zaczepki.

- Nie, starsza. Jeszcze nie znalazłem czasu na wycieczki dla przyjemności. (Tajony gniew.)

Grzecznie odwróciła wzrok.

- Dziękuję, admirale. (-.)

Torhok i pozostali członkowie Rady wyczuli zakłopotanie, lecz nie skomentowali ambiwalencji jej uczuć.

\* \* \*

Raiden należała do żółtych gwiazd typu G, a krążąca wokół niej planeta - Polixenes - była bardzo sucha. Na tle ciemnego kosmosu widać było błyszczące punkty osad świadczące o kolonizacji. Skupiska ludzi wyglądały jak klejnoty rozrzucone na czarnym jedwabiu na

wystawie u jubilera.

W sali odpraw nikt nie zajmował się podziwianiem panoramy planety, wszyscy natomiast z napięciem wpatrywali się w unoszącą się nad stołem holomapę szlaku przez warpy. Fragmenty pomiędzy Raiden, Andromedą i systemem Bellerophon miały złowrogi kolor czerwieni oznaczający obecność wroga.

Zebrani milczeli, a ich twarze stężały, kiedy kapitan Watanabe Yoshi ponownie nabrał powietrza i kontynuował:

- Pozostało nam jedynie siedem supermonitorów zdolnych do dalszej walki. Mam też nadzieję, że w ciągu tygodnia skończą się naprawy *Temuchina*... jeśli będziemy mieli tyle czasu.

- Innymi słowy, straciliśmy niemal dwadzieścia dwa procent naszych sił? - zapytała Krishmahnta cichym głosem.

- Tak jest. - Watanabe usiadł, a Krishmahnta spojrzała na hologram Kiiraathra'ostakjo's po swojej lewej stronie.

Kiedy poczuł na sobie jej wzrok, zaczął mówić, a z głośników wydobył się zakłócany transmisją i tłumaczeniem głos Kociambra.

- Myśliwcy, których przejęliśmy z Zteeffwiifgahrnak po zniszczeniu *Norfolka* i *Anne's Revenge*, świetnie się u nas zaaklimatyzowali. Wygląda na to, że piloci myśliwców są do siebie podobni, niezależnie od gatunku, jaki reprezentują. - Czarny humor mówiącego niewiele stracił w tłumaczeniu.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy są zdrowo stuknięci? Nie obrażając twojej rasy, mały pazurze...

- Och, nie jesteśmy aż tak przewrażliwieni na swoim punkcie. - Pokiwał głową i przyglądał wężom.

- Ciesz się, że się dogadujecie - lotniskowców pozostało zbyt niewiele, by móc dalej utrzymywać podział na obsadzone ludźmi i Kociambrami.

Przyjęto zasadę, że jeśli któryś z nich został zniszczony, myśliwce lądowały na tym, na którym było akurat miejsce. Są sytuacje, kiedy nie można wybrzydzać. Oczywiście co pewien czas zdarzały się napięcia: jedzenie, które serwowano, było niesmaczne, a temperatury w pomieszczeniach załogi nie do zniesienia, ale zawsze to lepsze niż skrócony kurs oddychania w próżni czy powolnego dryfu w nieznaną, bo obcy nie mieli w zwyczaju ratować rozbitków. Nie był to zresztą pierwszy raz, gdy różne rasy dzieliły jeden okręt - nieprzyjemna reminiscencja z wojny z Pająkami.

- Komandor Mackintosh, analiza obecnej sytuacji? - Podniosła filiżankę, by napić się

kawy, i szybko ją odstawiła, bo wcześniej wysączyła cały płyn, zostawiając jedynie fusy na dnie.

Samantha Mackintosh przez chwilę milczała, lecz nikogo to nie zdziwiło - nigdy nie odzywała się bez zastanowienia, z wyjątkiem oczywiście sytuacji kryzysowych.

- Analizy nie są optymistyczne. Mamy zbyt małe siły, by móc obronić łańcuch. Już teraz jesteśmy rozrzućeni na zbyt wielkiej przestrzeni, a admirał Yoshikuni wprawdzie nie oddał Andromedy, ale utrzymuje się tam ostatkiem sił.

- Czy ktoś chciałby to jakoś skomentować? - Erica rozejrzała się dookoła stołu, lecz nikt nie dał znaku, że chce zabrać głos. A więc została z tym sama. Dobrze więc. Niech będzie i tak.

Przewidziała taką sytuację, choć miała nadzieję, że wypłyną informacje, o których nie miała dotychczas pojęcia, a które pozwoliłyby jej wyciągnąć królika z kapelusza... mimo że nie mogła dojść do tego, na co byłby jej królik.

- Panie i panowie, na tę chwilę jedno jest pewne: mamy problem i osobiście widzę tylko jedno rozwiązanie. - Mówiąc to, pochyliła się i oparła dłońmi o stół. - Musimy się wycofać i skoncentrować wszystkie dostępne siły. Broniąc po kolei każdego systemu wzdłuż szlaku, wykrwawimy się na śmierć i niczego nie osiągniemy. - Schemat połączeń między systemami lśnił przed nią w powietrzu jak absurdalny pokaz sztucznych ogni. Prześladował ją już nawet w snach. - Chociaż wolałabym utrzymać szlak Bellerophon i Hotspur - wskazała na hologram, gdzie w miarę jak przesuwała palcem, kolejne systemy zmieniały kolor: Andromeda, Charlotte, Demeter, Hera, Atena, i w końcu Hotspur - nie utrzymamy niczego na południe od Treadway - stwierdziła cicho komandor Mackintosh. - Bylibyśmy zbyt narażeni na atak z Mangus-Zhi. - Piórem świetlnym wskazała na przypuszczalny kierunek ataku.

Kiwając głową, Krishmahnta dała znak, że zgadza się z jej zdaniem.

- Tak, dziękuję, Sam. Tutaj nie ma już dobrych wyborów. Jeśli będziemy w stanie, postaramy się utrzymać systemy wysunięte najdalej na zachód. Wycofamy się bez walki do systemu Suwa. Yoshikuni otrzyma rozkaz, żeby wycofać się do Charlotte i tam zająć pozycje. Niech ubiegną w ten sposób atak z BR-01 przez Polo. Jeśli nie uda im się utrzymać systemu, kolejnym etapem będzie wycofanie się do Beaumonta, gdzie my będziemy osłaniać ich flankę.

Przerwała na chwilę, by przemyśleli jej propozycje, choć czuła wewnętrzny żal. Zmusi Miharę do wycofania się i pozostawienia bez jakiegokolwiek ochrony mieszkańców Cetusa, jedynej zamieszkałej planety systemu Andromeda. Na pastwę najeźdźcy zostaną wystawieni również mieszkańcy systemu Raiden - łącznie jakieś dwieście milionów ludzi.



- Porzucamy na pastwę losu trzysta milionów ludzi - podporucznik Wells, jeden z adiutantów Samantha, powiedział głośno to, co ona myślała. Był blady jak ściana.

Krishmahnta powoli pokiwała głową.

- Rzeczywiście, tak to wygląda. Jednak nie mamy możliwości ich obronić. Pozostanie tutaj oznacza samobójstwo, a tego nie wolno nam zrobić. - Nabrała głęboko powietrza. - Musimy przegrupować i skoncentrować siły, i ocalić to, co jesteśmy w stanie. Biorąc pod uwagę siły wroga, o jakich wiemy, powinniśmy dać sobie radę z obroną wylotu pojedynczego warpa.

Nikt nie był zachwycony, ale po szybkiej analizie wiedzieli, że nie mają w tej chwili lepszej opcji. Komandor La Mar siedząca z nieobecną miną podarła na drobne kawałki wydruki, które miętoszyła między palcami.

- Samantho - poleciła Krishmahnta - ty i twoi ludzie będziecie najbardziej zajęтым zespołem na pokładzie. Potrzebuję planów największej wykonalnej ewakuacji.

Mackintosh pojaśniała, a na jej twarzy pojawił się jednocześnie wyraz rezygnacji. Porucznik Wells jeszcze bardziej zbladł.

- Rozpoczęłabym zatem od frachtowców, które uciekły z Bellerophona - powiedziała. - Trzeba wykorzystać wszystkie, które jeszcze nie pochowały się albo nie uciekły.

- Dafey. Proszę zlokalizować i ewakuować każdą instalację przemysłową, na jaką pani tutaj trafi. Doskonale zdaję sobie sprawę, że większość planet para się rolnictwem, ale przecież ktoś musi się zajmować na przykład produkcją i naprawami ciężkiego sprzętu polowego. To wszystko musi stąd zniknąć i znaleźć się w systemie Tilghman. Jeśli pomoc jeszcze nie nadeszła, nie należy się jej spodziewać w ciągu najbliższych miesięcy.

Jeśli wcześniej w sali panowała cisza, to teraz zamieniła się w martwą ciszę. Warkot Kiiraathra'ostakjo wyrwał wszystkich z zamyślenia.

- Mamy więc przed sobą długą przeprowadzkę, ma'am.

Spojrzała na niego.

- Tak, długą i skomplikowaną - jej słowa zabrzmiały echem w głośnikach. - Zostaliśmy odcięci i musimy utrzymać nasze pozycje. - Odgłosy unoszące się dookoła stołu świadczyły o atawistycznej gotowości do walki. Takiego ryku nie powstydzilyby się nawet Kociambry. Obcy zmusili ich do odwrotu, zabijali ich przyjaciół, kochanków i znajomych. Najwyższy czas, by położyć temu kres.

Erica symbolicznie narysowała palcem linię na blacie przed sobą.

- Nie cofniemy się dalej.

## ROZDZIAŁ XVI

### JAK DZIURA W MOŚCIE

Pomieszczenia obserwacyjne znajdowały się na orbicie, ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów nad Nową Rodiną, dzięki czemu panorama planety zapierała dech w piersiach. Białoturkusowa sfera cudownym lśnieniem odcinająca się od otaczającej ją czerni, z chmurą drobnych iskier statków kosmicznych i satelitów oddalających się i okrążających ją na niższych orbitach. Samo obserwatorium sprawiało wrażenie spłaszczonej kuli, z pasem obserwacyjnym biegnącym po całym jej obwodzie, przez środek dachu i podłogi, z tym że zamiast okna konstruktorzy zastosowali tu potężny projektor holograficzny, który udawał tradycyjną szybę.

Pomiędzy planetą a obserwatorium znajdowały się stocznie, choć nie były widoczne zza nieprzezroczystych ekranów zasłaniających trzy czwarte okien w pomieszczeniu. Obrotowe fotele skierowane były bez ładu i składu w różne strony, oczekując na ludzi, którzy zajmą w nich miejsca. Jedyny, który już teraz był zajęty, stał z przodu. Siedziała w nim Li Han, ubrana w galowy mundur ze wszystkimi wstążkami i naszywkami, by ułatwić delegacji Unii Międzygatunkowej zrozumienie, do której roli przywiązuje obecnie większe znaczenie - żołnierza czy dyplomaty. Kobieta siedziała nieruchomo, zamyślona, stopy trzymała płasko na podłodze, ze złączonymi piętami, jedną dłoń luźno położyła na kolanach, drugą oparła o blat stolika po prawej stronie. Miała zamknięte oczy i spowolniony oddech, gdyż czekając na swoich gości, praktykowała medytację zen. Magda Windrider odstawiła kubek z chińskiej porcelany tuż obok jej dłoni wspartej o blat, a para z gorącego napoju spokojnie poszybowała w górę.

- Masz jakieś dziesięć minut, zanim pojawi się tutaj delegacja - Magda odezwała się dopiero, kiedy wygodnie usiadła obok niej.

Kolejny głęboki, spokojny oddech i Li Han otworzyła oczy. Rozejrzała się dookoła. Sięgnęła po kawę, dziękując jednocześnie skinieniem głowy.

- A znam cię na tyle, żeby wiedzieć, że coś planujesz - dokończyła Magda.

- Podejrzewasz mnie o przebiegłość? - zapytała niewinnie Li Han.

- Żeby tylko o to - prychnęła Magda.

Syknęły siłowniki drzwi i w progu stanęła wysoka, elegancka kobieta o twarzy zdradzającej mieszankę genów pochodzących od przodków z północy Europy i Indii na Ziemi. Miała jasną twarz bramina. Niektórym mogłaby się wydać surowa, ale wszyscy musieliby przyznać, że należała do tego rzadkiego gatunku twarzy, którym upływ lat dodaje godności. Ciemne włosy przeplecione kosmykami siwizny opadały swobodnie na plecy gościa.

Admirał Sonja Desai z Marynarki Federacji Ziemkiej/Marynarki Unii (w stanie spoczynku) uśmiechnęła się delikatnie i skinęła głową w kierunku kobiet obecnych już w sali.

- Panno Windrider, ma'am.

Li Han wstała na powitanie Desai, przypominając sobie jednocześnie jej znacznie młodsze oblicze. Widziała ją wtedy na ekranie, w skafandrze próżniowym poplamionym krwią. Przez moment poczuła się tak, jakby te osiemdziesiąt lat między tym a tamtym ich spotkaniem nie istniało.

- Z prawdziwą przyjemnością czytałam pani listy, admirał Desai - powiedziała.

Dzięki pokojowi, który zapoczątkowała bitwa o Zapatę, mogły przez te wszystkie dziesięciolecia korespondować. Obie były zaskoczone, że wypracowane wyobrażenie o sobie nawzajem było aż tak podobne: niesamowita kobieta. I uparta.

- Mów mi Sonja. Chyba zdążyliśmy się już dość dobrze poznać, nie sądzisz?

Przez moment Li nie była pewna, czy ich kontakt nie będzie zbyt nieformalny. Windrider niemal wyczuła jej ulgę, kiedy podjęła decyzję. - Miło cię widzieć, Sonju. Mów mi Han.

- Pomyślałam, że wpadnę nieco wcześniej, by zamienić z tobą kilka słów, zanim zbiegnie się tutaj cała zgraja - wyjaśniła Desai.

Li wskazała dłonią na fotel i wszystkie trzy usiadły.

- Zgraja? - zapytała Windrider. - Myślisz, że młodzi będą mieli tyle energii, że będzie nam ciężko cokolwiek przeprowadzić? Prawdę mówiąc, sama czasem tak myślę, a potem wyrzucam sobie, że się niepotrzebnie postarzam.

Desai uśmiechnęła się.

- Ja jedynie twierdzę, że młodzi ludzie w większości poświęcają zbyt dużo energii na rzeczy błahe. Niemalże pulsują nią, nawet kiedy siedzą bez ruchu. - W sali pojawiła się obsługa, podając wodę, przestawiając fotele i sprząając wokół stolika z kawą, robiąc przy tym więcej hałasu, niż było to konieczne. Szum zakłócał naturalny spokój pomieszczenia.

Kobiety wymieniły spojrzenia, rozbawione tym niespodziewanym argumentem potwierdzającym wypowiedziane przed chwilą słowa.

- Zapomniałabym - odezwała się Magda - doktor Desai, bardzo się cieszę, że możemy się spotkać twarzą w twarz.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Bardzo się ucieszyłam z zaproszenia, choć prawdę mówiąc, Daniel wolał załatwiać wszystko tak formalnie, jak się tylko dało. Ponieważ może go to zdenerwować, proszę, mów mi Sonja.

- W takim razie musisz mi się zrewanżować. Jestem Magda.

- Z przyjemnością. - na twarzy Desai pojawił się uśmiech. - Mam nadzieję, że ściągnięcie mnie tutaj nie pokrzyżowało wam planów. Choć nie ukrywam, że ciekawi mnie, dlaczego zależało wam na tej wizycie. - Spojrzała na Li Han z wyrazem uprzejmego oczekiwania na twarzy, lecz w jej głosie słychać było wyraźne żądanie odpowiedzi. - Myślę, że jestem tu zbędna. Poza tym jestem teoretykiem, a nie technikiem.

Li mówiła głosem, który niczego nie zdradzał.

- Sonju, na razie zdradzę ci tylko tyle, że miałam swoje powody. Ale przyrzekam, że jeszcze dziś je poznasz.

- To dobrze. Poza tym kilka minut czekania mnie nie zabije. - Rozejrzała się dookoła. - Młodzież - wykonała nieokreślony ruch ręką - będzie patrzyła na mnie spode łba. Zawsze się boją, że zaraz zacznę wykład z fizyki, robiąc z siebie wyrocznię.

Wszystkie trzy doskonale wiedziały, jak zachowuje się ta tak zwana młodzież, i to włącznie z sekretarkami, które uważały się za byty przewyższające rangą bohaterów wojennych. Już teraz, kiedy personel pomocniczy przygotował salę i zaczęli schodzić się członkowie delegacji, zaczęły się również ukradkowe spojrzenia rzucone w ich stronę.

Li roześmiała się i pokręciła głową.

- Nie przejmuj się. Niektórych onieśmiela to, że kierujesz katedrą fizyki.

Windrider, krztusząc się ze śmiechu, zamachała dłońmi.

- Kierujesz katedrą fizyki, świetnie to ujęłaś. Zupełnie jakby to była pierwsza lepsza katedra fizyki. Przecież to jest Katedra Einsteina na Uniwersytecie Ateńskim! Że jesteś skromna, to wiemy doskonale, ale nie możesz przesadzać.

Li zignorowała tę uwagę i wstała, choć przy jej wzroście nie robiło to wielkiej różnicy. Do sali weszła reszta delegacji Unii Międzygatunkowej prowadzona przez Daniela Bortollottiego.

Zbliżył się i wyciągnął dłoń, a członkowie jego zespołu zajęli wyznaczone miejsca.

- Witajcie, Pierwsza Damo Przestrzeni i dyrektor Windrider. Doktor Desai, wcześniej pani

przybyła. - Bez dwóch zdań, miał świetnego krawca, ale nawet najlepszy krawiec w całej galaktyce nie sprawiłby, żeby Daniel prezentował się porządnie. Wyglądał, jakby zamiast eleganckiego kwadratu kieszeni na piersi przyczepił sobie plastikowe etui na długopisy; ubranie leżało na nim niby dobrze, ale zawsze było pomięte i poprzekrzywiane.

Kącik ust doktor Desai uniósł się w grymasie, który zapewne miał symbolizować uśmiech.

- Drogi Danielu, wiesz przecież, że sama ustalam sobie plan dnia. - Wskazała na porcelanowy kubek. - Nie masz chyba nic przeciwko herbatce ze starymi przyjaciółkami.

W jego spojrzeniu można było znaleźć iskierki ironii, bo we wszystkim zawsze doszukiwał się głębszego sensu, co wynikało z jego wewnętrznego przekonania, że jako przewodniczący delegacji powinien być bardziej politykiem niż inżynierem. Był przy tym bardzo młody jak na pełnią funkcję: dopiero co skończył pięćdziesiąt osiem lat.

- Szanowne panie. - Ukłonił się z kurtuazją i zaoferował ramię doktor Desai. - W żadnym wypadku nie chcemy opóźnić prezentacji. - Sonja z uśmiechem dotknęła ramienia, lecz nie skorzystała.

- Jeszcze nie jestem aż tak zniedołężniała, bym nie potrafiła sama wstać, panie Bortollotti. - Zaczerwienił się i cofnął rękę.

Kiedy w końcu zajęli swoje miejsca w fotelach, Li Han włączyła holoprojektor, nie zdradzając najmniejszym gestem, co myśli o swoim gościu. Windrider opadła na oparcie. Wiedziała, że Li Han ma w zanadru coś poważnego, ale nie zmusiła jej do zwierzeń. Ponieważ jednak znała swoją przyjaciółkę dobrze, z niecierpliwością oczekiwała na gwóźdź programu.

- Panie i panowie - Pierwsza Dama Przestrzeni rozpoczęła spokojnym i cichym głosem, przerywając na pół sekundy, by delegaci przestali gadać. - Zostaliście zaproszeni, by uczestniczyć w prezentacji nowej klasy okrętów liniowych, którą nazwalismy dewastatorami. - Po dotknięciu palcem jednej z plansz, które stały zasłonięte, zniknęło maskowanie, a obecni zobaczyli po raz pierwszy RNS *Taconic* o masie dwustu milionów ton. Obraz był tak wielki, że okręt wydawał się być na orbicie, tuż za oknami. Wzdłuż brzegów ekranu połyskiwały setki pomniejszych zdjęć przedstawiających nową jednostkę. Na sali nie było nikogo, kogo nie zachwyliłaby swoimi proporcjami i liniami.

Nie mając punktu odniesienia, nie dało się wywnioskować, jakiej była wielkości - choć sprawiała wrażenie, że jest niewielka i zwinna; zachwycała pozorem ruchu, choć stała przycumowana.

Doktor Emil Roberts, inżynier badawczo-rozwojowy z Gallaway, wstał i jako pierwszy

zabrał głos.

- Pierwsza Damo Przestrzeni, dyrektor Windrider, to naprawdę piękna i potężna jednostka - przerwał, by jeszcze raz nasycić oczy widokiem technicznego cuda. Dopiero potem głośno wyraził to, co go niepokoiło: - Tyle że chyba zbyt masywna, by móc sprawnie manewrować.

- To prawda. Latanie nią będzie przypominać parkowanie basenem pełnym wody - mruknął ktoś na sali.

Doktor Roberts poszukał wzrokiem właściciela głosu, ale uznał, że porównanie było trafne.

- Tak, powiedzmy, że będzie ociężała. Ale zastanawia mnie zupełnie inna sprawa. Skąd tyle wysiłku na rzecz budowy jednostki, która i tak nie będzie mogła korzystać ze wszystkich szlaków warpów?

- Z szacunkowych danych wynika, że będzie dla niej niedostępne około dwudziestu procent wszystkich warpów - doprecyzował ktoś z zespołu.

- Ale zobaczcie - wtrąciła Nora Ishisu odpowiedzialna za projektowanie nowych rodzajów broni - jaką ma siłę ognia.

- Tyle że to akurat psu na budę się zda, jeśli nie dotrze w miejsce, gdzie będzie potrzebna.

Bortollotti uciszył ich.

- Jestem przekonany, że jeszcze długo moglibyście przerzucać się uwagami o zaletach i wadach dewastatorów, ale pozwólcie, że przerwę wam i zadam pytanie Pierwszej Damie Przestrzeni. Dlaczego Republika zamierza wybudować tak wiele jednostek tej klasy? Biorąc pod uwagę oczywiste wady tej konstrukcji?

Li Han przez wiele lat trenowała różne miny, aż w końcu udało jej się wypracować taką niemalże całkowicie obojętną, która przywodziła na myśl porcelanową chińską lalkę. Minę nieprzeniknioną, lecz tylko dla tych, którzy jej dobrze nie znali. Windrider aż uniosła głowę, widząc, że coś jest na rzeczy. Pomyślała, że Han wygląda jak zadowolony kocur, który właśnie połknął kanarka.

Li Han przekrzywiła głowę, a na jej ustach wykwitł uśmiech.

- Naprawdę cieszę się, że pańska ekipa nie składa się z Kociambrów czy Ophiuchi, bo musiałabym odpowiadać na pytania o liczbę myśliwców, które można by upchnąć w środku - usłyszała śmiechy, na które liczyła, i spojrzała na doktor Desai.

- Wracając do państwa pytań... czy w ramach odpowiedzi mogłabym poprosić doktor Desai o wyjaśnienie w kilku słowach, na czym polega efekt Kasugawy?

Niespodziewane pytanie zaskoczyło Sonję do tego stopnia, że siedziała nieruchomo i nie wiedziała, co powiedzieć. Jak, do diabła, udało im się dowiedzieć o tym fenomenie? Zebrani

w pomieszczeniu spoglądali na nią wyczekująco i z ciekawością, bo poza nią nikt nie miał zbyt wielkiego pojęcia, co to w ogóle jest. A przynajmniej tak myślała jeszcze kilka sekund temu. Spory błąd, jak się okazało.

- Hm. - Zamknęła usta i ponownie je otworzyła. - Cóż. Nie chciałabym, żeby zabrzmiało to zbyt skomplikowanie...

Spojrzała na Li Han, która na razie tylko ją obserwowała. Mój Boże, ależ bym ci dała popalić za to, co mi zrobiłaś, ty przebiegła kobieto!

- Jest to... - Uniosła ręce i zamilkła.

Gdybyśmy żyli w dawnych czasach, a ja miałabym na podorędziu trzcinkę, oj dałabym ci nią po łapskach, pomyślała.

- Doktor Desai, może troszkę pomogę - odezwała się Li Han w końcu. - Wprawdzie nie mam odpowiedniej wiedzy technicznej, ale posłużę się słownictwem przystępnym dla laika. - Oparła się o stół, łącząc palce obu dłoni. Desai wciąż nie mogła pozbierać rozbieganych myśli. Wszyscy wpatrywali się w nią z zaciekawieniem, przeczuwając, że uczestniczą w czymś bardzo doniosłym, choć nie mieli pojęcia, co to może być. Sonja Desai zacisnęła usta, kiedy Li Han zaczęła wyjaśniać.

- Generator Kasugawy jest, można powiedzieć, produktem ubocznym napędu Desai, stąd obecność wśród nas wynalazczyni tej technologii. - Sonja zmrużyła oczy, ale nic nie powiedziała. - Generator tworzy potężne zawirowanie grawitacyjne w czasoprzestrzeni... efektem jest powstanie bardzo krótkotrwałej czarnej dziury. Jeden z moich analityków o niespożytych pokładach czarnego humoru wyjaśnił mi, że gdyby tylko udało nam się znaleźć wroga dość głupiego, żeby się zbliżył do takiego generatora, mielibyśmy cudną broń. Ale ponieważ grawitacja jest odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości, nie sądzę, żebyśmy próbowali czegoś równie samobójczego. - Inżynierowie roześmiali się, słysząc branżowy humor; nawet Sonja Desai uniosła kąćki ust. - To tyle technicznych zawiłości, ile w tej chwili jest potrzebne, bo najważniejszy jest jeden z efektów działania generatora, a mianowicie możliwość poszerzania istniejących przejść na tyle, żeby nasze maleństwo mogło przedostać się przez każdego znanego nam warpa.

Na sali zapanowała martwa cisza, a po chwili wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

- ...niesamowite... ale zużycie energii... o potencjalnych za...

Li Han pozwoliła im przez chwilę rozmawiać między sobą, po czym uruchomiła dzwonek, po którym zapanowała cisza.

- Co więcej - kontynuowała - jeśli użyjemy dwóch generatorów, powstanie między nimi warp.

Bortollotti przeżegnał się w milczeniu.

- Matko Boska - wyszeptał.

Li Han potaknęła.

- To oczywiście oznacza, że jeden z generatorów musi się znaleźć w miejscu, do którego chcemy się dostać, ale myślę, że jest to do zrealizowania.

Desai siedziała wyprostowana jak trzcina, ze złączonymi piętami i dłońmi ułożonymi płasko na udach. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, kiedy usłyszała ostatnią nowinę Li Han.

- Pewnie są jeszcze inne skutki działania generatorów Kasugawy, ale jako laik chciałam przedstawić tylko najważniejsze dla nas aspekty. - Uśmiechnęła się i uczyniła gest, który mógł oznaczać, że oddaje Sonji pałeczkę. - Sonju - rzekła z iskierkami w oczach. - Pamiętasz zapewne, kiedy ostatnio kreatywnie zinterpretowałyśmy wydane nam rozkazy.

Niemal wszyscy pamiętali. Osiemdziesiąt lat wcześniej, w czasie bitwy o Zapatę, obie wspólnie zmieniły historię wszechświata.

Sonja Desai, najwyższy rangą oficer Marynarki Federacji, który nie odniósł ran, i Li Han z Republiki Ziemskiej starły się w krwawej bitwie. Li, po jednej stronie, właśnie straciła trzeci okręt flagowy i przyjaciela, admirała Tsing Changa, a Sonja Desai po drugiej zakładała opatrunek uciskowy z kawałka kabla na nogę Joaquina Sandovala, usiłując ratować mu życie.

Desai zasygnalizowała Li gotowość do pertraktacji, które pośród wściekłego, krwawego i morderczego piekła stały się początkiem drogi do pokoju.

Miałam wtedy na głowie umierającego Trewayne'a, jedyne człowieka, który pokonał i pojmał Li Han, pomyślała Desai. Nie potrafiła się przemóc, by się z nim przywitać, choć dostała od niego wiadomość. Tyle dla niej znaczył, że nie potrafiła znaleźć się w roli „starszej pani”.

W tamtej wojnie nikt nie mógł zwyciężyć. Nikt. Teraz znów pojawił się front, ale na szczęście obie były po tej samej stronie. Nie chciała nawet myśleć, co musiała poczuć Li na wieść o powrocie do życia człowieka, który zgotował jej najgorsze z możliwych poniżenie.

Desai wciąż nie mogła powiedzieć ani słowa. Dopiero po chwili pokręciła głową i zeszło z niej napięcie.

- Powinnaś była przewidzieć, że dla niektórych nie istnieją żadne sekrety. - Powiedziała z szacunkiem podszytym nutką ironii. Wzięła głęboki oddech i kontynuowała. - Tak, Han, w najważniejszych sprawach masz rację. Dzięki temu wynalazkowi uda nam się przeprowadzić to cudo przez każdy warp. - Uśmiechnęła się w końcu do Li. - I dlatego budujecie ich mnóstwo.

Li już nie siedziała. Stała i z uśmiechem kiwała głową, spoglądając na swoją obecną przyjaciółkę i dawnego śmiertelnego wroga.



- Będziemy potrzebowali wszystkich. I już je mamy.

## ROZDZIAŁ XVII

### MÓJ BOŻE, ILEŻ ICH TAM JEST!

W systemie Zarzuela krąży nadzwyczajna ilość materiału z komet, wypełniając obłok Oorta, co stało się przyczyną, dla której trzydziesty piąty wielki pazur Howaarmaiis'jothar'kriana wręcz kochał prowadzić tam ćwiczenia, a miłość ta nabrała nowego wymiaru, kiedy Federację zaatakował nowy gatunek obcych. Był młody jak na swoją rangę, a na dodatek poczuwał się do podtrzymywania tradycji kilku pokoleń wojskowych w rodzinie. Można też uznać, że jak na Kociambra był bardzo wyważony - nie zaszedłby tak daleko, gdyby było inaczej. Kiedy ta część terytorium Unii została uznana za zagrożoną atakiem, uznał, że to szczęśliwy zbieg okoliczności, bo jakaś jego część rwała się już do walki. System Zarzuela też znalazł się na tej liście, lecz ustalono, że zagrożenie nie jest aż tak wielkie, w związku z czym ogłoszono pomarańczowy alarm.

- Mało ważny cel! - Howaarmaiis mruknął pod nosem. Jego futro było kremowego koloru, z delikatnie zaznaczonymi ciemniejszymi i szarymi cętkami, przywodząc na myśl futro śnieżnej pantery. Poglądził imponujące wąsy. - A ja się mam niby cieszyć, że inne systemy mają większe szanse stać się celem ataku.

Pochylił się, wyciągając pazury, i skupił z powrotem na czerwonej eskadrze komandora Simmonsa, która pojawiła się w holoprojeksji taktycznej. Jeśli mały pazur Thraaiewlahk'gahrnak nie będzie pilnował swoich tyłów, była szansa, że zaraz wpadnie w pułapkę, którą sam zastawił na Simmonsa, a ten wykorzystał ją przeciwko niemu. Jako dowódca miał dostęp do wszystkich informacji z ćwiczeń i widział, jak postępuje realizacja strategii każdego zespołu - Thraaiewlahk, który grał wroga, przygotował atak z zaskoczenia z błyskawicznym odwrotem, stosując przy tym skanowanie w poszukiwaniu potencjalnych zasadzek, zapożyczone z ludzkiej strategii pola walki.

Mały pazur przygotował dobrą pułapkę, lecz Simmons zorientował się odpowiednio wcześniej, i na chwilę przedtem, zanim Thraaiewlahk odpalił rakiety, jego eskadra wystrzeliła

naprzód całą mocą silników. Część myśliwców zaczęła kluczyć, by ściągnąć na siebie ogień, a reszta zbiła się w grupę, by wspierać się ogniem. Przestrzeń, w której doszło do potyczki, pełna była kosmicznych śmieci, co Simmons skrzętnie wykorzystał.

Goniąc za Simmonsem wśród gęstych chmur odłamków skalnych, Thraaiewlähk stracił w końcu trop Czerwonej Eskadry, a Howaarmaiis zauważył, że Niebieska i Zielona rozluźniły szyk, by ukryć, że Czerwoni schowali się wśród dryfujących asteroid. Wyglądało na to, że myśliwce Simmonsa udawały nie tylko kawałki skał; kilka z nich maskowało się tak, by zmylić sensory, sugerując, że są bryłami lodu. Jeśli to zadziała, muszą zapytać, kto tak prędko wpadł na tak genialny pomysł. Typowa ludzka przebiegłość, lecz czasy się zmieniły i pułapki pospołu z krótkimi wypadami stały się częścią drogi wojownika.

Simmons bezlitośnie wykorzystywał skłonność małego pazura do zauważania tylko tego, czego się spodziewał, stosując ludzką strategię wzbogaconą przypadkowym bogactwem odłamków skalnych. Minuta dwadzieścia dwie sekundy i komandor Simmons... zaraz, co ludzie mówili w takich przypadkach? A tak, racja, spierze przeciwnika na kwaśne jabłko. Mały pazur będzie na mnie wściekły. Howaarmaiis obnażył zęby w uśmiechu. Prowadzenie skoordynowanej obrony nie było łatwe i nadszedł czas, by Thraaiewlähk to zrozumiał. Simmons był właściwą osobą, by go do tego skłonić.

Eskadry Thraaiewlähka, Złota, Biała i Brązowa, zatoczyły łuk w kierunku miejsca, w którym zaczęły się myśliwce Simmonsa. Nie pilnowały nawet skrzydeł szyku, bo dowódca uznał, że to niepotrzebne. Za trzydzieści sekund dojdzie do zwarcia. Dwadzieścia sekund. Już.

Eskadra Czerwona ujawniła swoją obecność potężną salwą, która poszła w rufy myśliwców Thraaiewlähka, a eskadry Niebieska i Zielona zawróciły i zaatakowały od frontu. Piętnaście sekund później 82 procent maszyn Thraaiewlähka zostało „zniszczonych”. Okrzyki pilotów, zwycięzców i pokonanych, były podobne u ludzi i wojowników z Chanatu. Biała Eskadra zabrała ze sobą dwadzieścia procent grupy Simmonsa, zyskując szacunek pozostałych.

Zastukał pazurem w ekran i zastrzygł uszami, słysząc denerwujące trzeszczenie algorytmu tłumaczącego, który się automatycznie uruchomił. Pomyślał, że musi poprosić techników o sprawdzenie go.

- Odprawa za godzinę, na pokładzie *Heavyside*. Bez odbioru.
- Przyjąłem.

Mimo wyeliminowania ładunku emocjonalnego z przetłumaczonych maszynowo odpowiedzi wciąż dało się wyczuć satysfakcję Simmonsa i niezadowolenie Thraaiewlähka.

\* \* \*

Sala odpraw znajdująca się na pokładzie supermonitora *Heavyside Layer*, będącego połączeniem okrętu liniowego i lotniskowca, została przygotowana przez inżynierów z Oriona w duchu kompromisu - niewiele to jednak pomogło, bo gdy dla jednych była zbyt jasna, inni narzekali na brak światła. Pod wieloma względami cała jednostka była eksperymentalna, bo zaprojektowano ją dla mieszanej, ludzko-oriońskiej obsady. Jak na razie wszystko działało nadzwyczaj dobrze, włącznie z siecią interfejsów tłumaczących, rozsianych w wielu miejscach w ścianach sal i korytarzy, by wszyscy mieli wrażenie, że niezależnie od tego, gdzie i z kim rozmawiają, używają tego samego języka. Jeśli zaś chodzi o oświetlenie, ludzie musieli przyzwyczać się znów do archaicznych okularów przeciwsłonecznych, by chronić wzrok; ktoś nawet wykopał nazwę, stosowaną dla nich jeszcze na Ziemi - pilotki.

- Sir - komandor Simmons odezwał się w chwili, kiedy Howarmaiis wszedł do pomieszczenia.

W ocenie Kociambrów jego czupryna była słaba i rzadka, a brak brody dość problematyczny. Jego twarz wyrażała zmartwienie, co zaskoczyło Howarmaiisa, który był przekonany, że potrafi lepiej odczytywać ludzkie uczucia.

- Słucham, komandorze Simmons. - Usiadł w fotelu. - Czy coś się stało? - Zastanawiał się, czy przypadkiem Thraaiewlahk nie przeżywał swojej porażki ciężiej, niż powinien. Położył po sobie uszy i pomyślał, że nawet mały pazur wyglądał na zaskoczonego powagą Simmons.

- Nie chodzi o ćwiczenia, sir.

- Więc o co?

Simmons stuknął palcem w blat stołu, sprawiając, że pojawił się na nim obraz - nieco rozmyty, niewyraźny i słabej jakości, pochodzący najprawdopodobniej z któregoś z czujników pokładowych myśliwca.

- Mai Shi Hui była jednym z pilotów biorących udział w zasadzce. Kiedy miała wyłączone zasilanie, pasywne sensory wychwyciły ten obraz. Na szczęście nie uznała tego za błąd odczytu i natychmiast po ćwiczeniach zgłosiła mi ten fakt. Z innych myśliwców uzyskaliśmy podobne odczyty... - zademonstrował kolejne obrazy, przynajmniej tak samo rozmyte. - Ten pochodzi z czujników w myśliwcu Shi Han. Nikt więcej tego nie zarejestrował, ale jestem pewien, że to nie pomyłka.

Obrazy połyskujące nad stołem wyglądały jak pojedyncze punkty świetlne. Komandor Simmons sprawiał ponure wrażenie.

- Komputery potwierdzają, że zidentyfikowaliśmy ślady torowe charakterystyczne dla napędów obcych - mimo warkotu Thraaiewlahka kontynuował. - Jeśli to przedstawiciele tej samej rasy, która zajęła Bellerophon, to mamy jeszcze jakieś osiemdziesiąt dni, zanim się tu pojawią.

\* \* \*

Zgodnie z rozkazem starszej admirał Amunsit stanowisko dowodzenia na statku pokoleniowym Drugiej Diaspory *Ptahtoranknefer* było pogrążone w bezruchu, a oficerowie nie ważyli się drgnąć, by nie ściągać na siebie uwagi.

- Na kły i macki Illudora! (Wściekłość.) Czy ja muszę za każdym razem powtarzać rozkazy po kilka razy? Nie rozmrażać, powtarzam, nie rozmrażać śpiących! (Wstręt złamany determinacją.)

Zajęła miejsce w swojej niszy i groźnie spojrzała na nieszczęśliwego starszego medyka, który czekał nieruchomo w pomieszczeniach przeznaczonych do wybudzania.

- Spokój powrócił, starszy medyku. Nie potrzebuję uwagi uzdrowiaczy *narmata*. W mojej ocenie odkrycie stworzeń markujących inteligencję jest raczej kwestią do rozwiązania przez *Destoshaz*, a nie przez *shaxzhu*. W obecnej sytuacji muszę przejąć kontrolę, by zapewnić bezpieczeństwo rasi. Śpiących wybudzimy w bezpiecznych koloniach na nowych planetach. (Chęć walki.) Nie dokończyła zdania zwrotem „albo wcale”, choć cisnęło jej się na usta. Śpiący reprezentowali świat, który już dawno nie istniał, pochłonięty przez rozszerzającą się gwiazdę i jako taki stanowił obecnie przeszkodę dla tych, którzy wiedzieli, do czego dążą.

- Zrozumiałem, starsza admirał. - Medyk mówił bardzo wyraźnie i jednoznacznie, wiedząc, że jakikolwiek cień wątpliwości, czy wykona rozkazy, może oznaczać wyzwanie na pojedynek *maatkah*. - Wybudzanie odwołane.

Amunsit rozejrzała się dookoła, przesuwając wzrokiem po oficerach, którzy jeszcze nie odważyli się poruszyć.

- Zadaniem *holodah'kri* i jemu podobnych jest znajdowanie głębszego znaczenia rzeczy w wielkim dziele stworzenia. Naszym zadaniem natomiast jest zapewnienie przetrwania rasy. A żeby mu sprostać, musimy postępować tak, jakby inne floty nie przetrwały. Splotła macki, sygnalizując zmniejszenie zagrożenia, choć wcześniej też nie miała ochoty na jakąkolwiek konfrontację. (Chęć pojedynku.) Kto jak kto, ale akurat ona nie musiała używać gestów, by wzmocnić swój przekaz.

- Uatchet, przekaz dalej moje rozkazy. (Niecierpliwość.)

Jej drugi oficer poruszył się służbiście.

- Tak jest, ma'am. Przekazuję rozkazy pozostałym jednostkom floty. Rozkazy od admirała, stan podwyższonego zagrożenia. Nie wybudzajcie śpiących.

\* \* \*

W sali odpraw pilotów myśliwców panował trudny do opisanego rwetes, i to mimo wygłuszającej wykładziny na ścianach poznaczonej niezliczonymi napisami, które pojawiły się niemal natychmiast po tym, jak *Heavyside* został oddany do użytku. Simmons pomyślał, że chciałby, jak Kociambry, położyć uszy po sobie i po prostu przestać słyszeć. Przez ostatnie kilka tygodni ludzie pracowali, mając tylko tyle informacji, by móc wykonywać swoje zadania. Jednak każdy, kto miał choć trochę oleju w głowie i potrafił kojarzyć fakty, domyślał się, że może spotkać ich to samo, co wydarzyło się w systemie Bellerophon. Morale żołnierzy wahało się od postawy „chodźmy i rozwalmy coś w drobny mak” do całkowitej apatii. Obie skrajności wyzwalaly w pilotach wszystkie najgorsze cechy. Niezależnie od rasy.

- Słuchajcie! - powiedział głośno, a w pomieszczeniu natychmiast zapadła cisza. Rozejrzał się dookoła, nie zważając już zupełnie na to, czy spoglądają na niego okrągłe źrenice ludzi, czy pionowe Kociambrow, czy ciekawość maluje się na twarzach pozbawionych zarostu, czy na pokrytych futrem. To byli jego ludzie, bez wyjątku, i nie chciał stracić ani jednego z nich. Inni oficerowie prowadzili w tej chwili takie same odprawy, choć wiedział, że nie cackają się ze swoimi pilotami jak on.

Zespół uderzeniowy wielkiego pazura Howaarmaiisa - którego imię za każdym razem kojarzyło mu się z Howardem - stworzony z pojedynczych jednostek ze wszystkich dostępnych systemów, z których mogły dotrzeć na czas do Łańcucha Zarzuela - był gotowy na powitanie obcych. Łącznie z grupą patrolującą wielki pazur miał do dyspozycji dwadzieścia cztery supermonitory i czterdzieści dwa superdreadnoughty, dziesięć lotniskowców uderzeniowych i piętnaście lotniskowców floty. Skład uzupełniało osiem przestarzałych monitorów i sześćdziesiąt jeden krążowników liniowych.

- Posiłki przysłane z Dogpatch, Pogo i Amadeusa są zbyt daleko, by dołączyć do nas na czas. Mamy to, co mamy. Amen.

- Chwała naszym analitykom - mruknął Naguya, którego cięte komentarze wyprowadzały go z równowagi więcej razy, niż chciał pamiętać. Tym razem mówił bardzo cicho, Simmons więc go zignorował.

- Zbliżająca się flota obcych składa się z dwudziestu Behemothów, a przypominę, że siły, które zaatakowały Bellerophon, miały ich o sześć więcej. Tyle że tym razem statki są większe i poruszają się znacznie szybciej. Właśnie dlatego muszę patrzeć na wasze zakazane gęby

sześćdziesiąt dni po tym, jak ich zauważyliśmy po raz pierwszy, a nie osiemdziesiąt, jak pierwotnie przypuszczaliśmy. Będziecie siedzieli w swoich klatkach, dopóki nie pojawią się okręty pokładowe obcych...

- A wtedy zadziałamy jak packa na muchy, komandorze.

- ...bo - nie pozwolił się wytrącić z równowagi - wiem, że potraficie dokonywać rzeczy niemożliwych, lecz wolałbym, żebyście tym razem nie próbowali.

- Bez obaw. Rzeczy niemożliwe zajmują nam tylko trochę więcej czasu niż możliwe. - W sali rozległy się śmiechy.

- Przymknij się, Naguya. - Simmons zganił go za nic niewnoszący komentarz, nie odrywając wzroku od notatek.

- Tak jest, sir.

- Komandorze, czy mamy jakieś informacje od przyjaciół?

- Nie, Guitano. - Pytająca była rudą jak wiewiórka, niewysoką kobietą z Brazilica w systemie Parone. Jak na pilota myśliwca odznaczała się nadzwyczajnym spokojem. - Choć od początku staramy się nawiązać łączność.

- Kurwa, a ja miałam nadzieję, że wypijemy razem piwko.

- Zapomnij. - Simmons rozejrzał się dookoła. Kombinezony lotnicze, hełmy - i głowy wymagające natychmiastowej interwencji psychiatry. Ludzie kpili z wroga i rzucali buńczuczne zapowiedzi, jak stado szympanów usiłujących odgonić intruza wrzaskiem i potrząśnięciem kamieniami. Kociambry mruczały, ale jeśli można uznać, że przypominały koty, to tylko te największe, tygrysy. - Dobrze, przygotujcie się na ostrą zabawę.

- Stek z Behemota raz poproszę, komandorze. - Jiilhaarahk'edohan odsłonił wszystkie kły w szerokim śmiechu.

- Nie kłapać tyle, tylko uważać na maszyny. Wiecie, że obsługa nie lubi, jak są potem jakieś rysy na lakierze.

Śmiech zebranych rozładował emocje i delikatnie zasugerował, gdzie obsługa może sobie wsadzić swoje uwagi.

\* \* \*

Amunsit skulona w swojej niszy zastukała szponem w ekran. Flota zbliżyła się do systemu.

- Uatchet! Spójrz proszę tutaj. Przygotowują się do ataku, chyba też nie masz wątpliwości, prawda? Widzisz? Jeśli to nie szyk bojowy, to chyba jestem kupą *flixita*. (Niesmak.) Była wściekła, jakby już została zaatakowana.

- Pani admirał. - Uatchet pilnował, by utrzymać swoją *selnarm* na wodzy. Wielu sądziło, że robi tak ze względu na wybuchowość starszej admirał.

- Badacze twierdzą, że w systemie znajdują się dwie planety, na których panują warunki nadające się do życia lub na których można takowe stworzyć. Dwie! A te... te szkodniki wyroiły się na obu! Niech będzie chwała Illudorowi, ale nie rozumiem, jaki był Jego zamysł. (Mdłości. Wściekłość.)

- Pani admirał. Może te stworzenia naprawdę posiadają inteligencję? Ich szyk bardziej przypomina mi formację obronną. Może sygnały, które bez przerwy wysyłają, oznaczają... (Argument. Spokój.)

Amunsit spojrzała na niego, jakby postradał rozum.

- Ani słowa więcej, drugi. (Zdecydowanie.) Mówisz, jakbyś należał do tych przerażonych wszystkim, tchórzliwych *shaxzhu*. Może powinnam cię zamrozić razem z nimi? Awansowałabym sobie wtedy Binthanatha. (Złość.)

- Nie. Staralem się pokazać alternatywny punkt widzenia. (Logika.)

Wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę, a potem jakby zapomniała o całej seysji. Wróciła do monitora i zagrożenia dla rasy.

- Alarm bojowy. Zdobędziemy ten system.

- Rozkaz!

\* \* \*

Howaarmaiis obrócił się z fotelem w kierunku oficera łącznościowego.

- Jakaś reakcja na nasze sygnały, Yiraanthu'astaha! - zapytał cichym głosem, obserwując jednocześnie holoprojekcję taktyczną, na której jednostki obcych rozwijały szyk przypominający płatek śniegu. Składał się z Behemotów, które sunęły wciąż tym samym kursem, i z okrętów, które gęsto zajęły miejsca na obrzeżach formacji. Rzadko spotykane ustawienie, ale korzystne dla największych jednostek, które nie mogły manewrować.

Ktoś musiał opracować tę metodę w czasie konstruowania Behemotów, bo inaczej te gigantyczne okręty lecące z prędkością daleką od prędkości światła albo musiałyby wystartować w szyku bojowym, albo zacząć zajmować pozycję dobre kilka lat wcześniej.

Ale choć równie ogromne, statki pokoleniowe różniły się od swoich odpowiedników z systemu Bellerophon. Miały mniej cylindryczny kształt i zaznaczoną delikatnie talię, mniej więcej w dwóch trzecich długości. Niemniej jednak nie było wątpliwości, że zostały zbudowane przez członków tej samej rasy.

Komandor Simmons znajdował się na pokładzie *Spyridona*, skąd koordynował ruchy



krążowników liniowych i myśliwców, podczas gdy jego orioński odpowiednik znalazł się na pokładzie supermonitora *Lareina*, na prawej górnej flance. Tak między nami, pomyślał Howaarmaiis, powinniśmy ich roznieść.

- Nie, sir.

- Otworzyć ogień na mój rozkaz.

- Aye, sir.

- Startują superdreadnoughty! - Porucznik Stills zeszywniał, wpatrując się w odczyty sensorów.

- Ognia! - Howaarmaiis szczechnął. - Simmons!

- Aye, sir, odpalone!

Jedyną taktyką, jaką mógł zastosować, było rzucenie do walki z jednostkami liniowymi obcych kilku fal myśliwców i jednoczesne skupienie ognia raketowego na Behemotach, zanim wystartują z nich wszystkie jednostki pokładowe. Rakiety zaprogramowano tak, by ich celem stała się ta część okrętów, która skrywała wewnątrz czarną dziurę.

- Trafienia, sir! Wielokrotne trafienia! - Ekran zamigotał, sygnalizując pociski, które dotarły do celu, lecz przy tej skali nawet najcięższe rakiety, jakimi dysponował, miały skuteczność podobną do skuteczności ataku młotkiem na buldożer. Musiał utrzymać silny ogień, mając nadzieję, że któryś pocisk w końcu się przedrze. W tym samym czasie obcy odpalili pierwsze salwy pocisków, a jego ekran zalała fala raportów o uszkodzeniach.

\* \* \*

Raporty o uszkodzeniach wciąż napływały szerokim strumieniem. Amunsit spojrzała na drugiego oficera. (Gorzka satysfakcja.) Otworzyła usta i już miała coś powiedzieć, kiedy ekran rozbłysnął, a potem zgasł przeładowany. Potężna fala uderzeniowa powstała po wybuchu *Amunsehkanhk* i *Ma'atptah* wstrząsnęła nawet tak masywnym okrętem jak jej flagowiec. Znacznie gorsze skutki miała fala uderzeniowa przemieszczająca się w *selnarm*, ale przecież oni byli *Destoshaz* i musieli sobie poradzić. Gwałtowna śmierć ponad miliona cywilów sparaliżowała ich na chwilę, ale szybko wrócili do wykonywania swoich obowiązków, napędzani nowym gniewem, którego nie czuli przez setki lat. Nieruchomi, skryci i niepowstrzymywani przez *shaxzhu* i przechowywaną przez nich pamięć ludu, stali się pełną wściekłości zwartą grupą walecznych *Destoshaz*. W końcu, okazując więcej emocji niż którykolwiek mieszkaniec dawnego Ardu przez ostatnie kilkaset lat, rzucili się na nieprzyjaciela. (Oślepiająca furia. Przetrawanie, przetrwanie, przetrwanie. Jednomysłność.)

\* \* \*

Howaarmaiis zignorował szereg Kodów Omega piętrzących się na obrzeżach wyświetlacza. Smród dymiącej izolacji drażnił go, bo dla czułego węchu Kociambrów żaden rodzaj filtrów nie był dostatecznie skuteczny. Cofnął wargi i obnażył kły w niemym warkocie.

Nie utrzyma pozycji. Stracił ponad 20 procent sił, podczas gdy obcy stracili (zerknął na ekran) trzy Behemoty i jakieś pół setki mniejszych jednostek.

- Do wszystkich! Powtarzam, do wszystkich! - warknął do mikrofonu. - Wycofać się na pozycje artyleryjskie! Powtarzam. Wycofać się. Plan ogniowy Alfa, i wykonać, albo osobiście odgryzę odporne łby! - Monitory *John Ericsson* i *Zephrain* atakowały niemalże jak myśliwce, ostrzeliwując dwa Behemoty ze wszystkich beamerów. - *Zeerloweer dirguasha!* - Wulgarnie przekleństwo wyrwało mu się z ust, kiedy oba nagle zniknęły, a zamiast nich na monitorze pojawiły się dwa nowe Kody Omega. - Wycofać się. - Słowo smakowało bardzo gorzko w jego ustach. - Wycofać się! Wszystkie jednostki!

Mimo że nie był tym zachwycony - ba, brzydził się tym nawet - już wcześniej zaplanował drogę odwrotu. Zostawiał dwie bezbronne planety, które choć słabo zasiedlone, dawały schronienie niemalże siedmiuset pięćdziesięciu tysiącom istot. Wbił pazury w poręczę fotela, obserwując, jak jego przeredzone i osłabione siły odskakują od wroga.

- Odwrot do warpa wiodącego do Santa Evita. - Nawet najwaleczniejszy wojownik musiał nauczyć się, że sporo racji było w ludzkiej strategii *theernowlus*: Przeżyj, by jutro móc dalej walczyć.

## ROZDZIAŁ XVIII

### WRÓCIŁA, BY MNIE NĘKAĆ

Dzień był dostatecznie wietrzny, by fale na oceanie niosły na grzbietach białe czapy piany. Ocean szalał, lecz Waterside był osłonięty przed podmuchami, a światło Zephraim A przyjemnie grzało. Leżący na tarasie Ian Trevayne nie zwracał uwagi na pogodę; miał zamknięte oczy, rozkoszował się słońcem, a w rękę dzierżył szklaneczkę szkockiej whisky.

- Wyglądasz na wykończonego - odezwała się Miriam Ortega z leżaka obok. - Tylko się nie poparz z tego przepracowania.

- Dzięki, mamó. - Trevayne westchnął, nie otwierając oczu.

Miriam uśmiechnęła się, choć nie mógł tego zobaczyć. Żart miał w sobie więcej prawdy, niż mógł przypuszczać.

Zajął mu to trochę czasu, ale w końcu udało mu się emocjonalnie zaakceptować argumenty, które jego mózg od początku podsuwał mu, kiedy myślał o dawnym romansie. Tamta trzydziestoletnia kobieta, którą pamiętał z poprzedniego życia, była martwa. Odeszła. Już nie mogli być kochankami. Ale choćby chcieli, nie potrafili i nie mogli uciec przed świadomością, że kiedyś nimi byli. To uczucie nigdy nie zniknie, pomyślał, choć teraz nabrało zupełnie nowej jakości. Ona natomiast była zaskoczona, kiedy uświadomiła sobie, że z jej strony pojawiły się uczucia charakterystyczne dla matki. Ale z drugiej strony, cóż było w tym takiego dziwnego? Koniec końców, Ian był od niej znacznie młodszy, i to zarówno fizycznie, jak i biorąc pod uwagę doświadczenie życiowe. Był młodszy nawet od jej synów.

Ech, zrobiła się ze mnie mamuśka, niech to szlag, pomyślała. Między Bogiem a prawdą powinna być jego prababcia. Ale potem spojrzała na jego ciało... ciało, które było doskonałą kopią tego, które znała na pamięć. No dobra. Może prababcia to trochę za dużo. Może nawet niezupełnie matczyne uczucia... oj, już koniec, ty stara, sprośna wariatko!

Upiła łyk szkockiej ze swojej szklanki.

- To ty nauczyłeś mnie pić dobrą whisky. Gdy byłam młoda, wolałam znacznie tańsze

napoje. Ale przez ostatnie osiemdziesiąt lat płaciłam krocie za oryginalną wersję, doskonałą gatunkowo. Sprowadzali mi ją z jakiejś wyspy na Ziemi.

- I dobrze zrobiłaś. - Trewayne otworzył oczy, usiadł i na potwierdzenie swoich słów też pociągnął ze szklanki.

- Powinnam ci wystawić rachunek za zarządzanie majątkiem - powiedziała zaczepnie.

- To by mnie nie było stać na ten domek. - Trewayne miał dobry refleks.

Uśmiechnęli się do siebie. Ona przynajmniej miała tę przewagę, że przez osiemdziesiąt lata mogła się przygotowywać do sytuacji, w której on znalazł się nagle i bez uprzedzenia. Ale i tak obojgu dużo czasu zajęło poznawanie się na nowo. Każde z nich na swój sposób radziło sobie z nową rzeczywistością i tym, jaki ślad odciskał na niej ich dawny związek. Początkowa nieśmiałość i zakłopotanie zniknęły, a pojawiło się głębokie i proste zadowolenie z faktu przebywania w swoim towarzystwie.

- Niezależnie od wszystkiego - kontynuował Trewayne - zemściłaś się na mnie przez te „kursy dostosowawcze”, w których musiałem brać udział. Masz świętą rację, jestem wykończony!

- Przecież sam wiesz, że sporo rzeczy ci umknęło.

- Ale nie mam dość czasu, żeby wszystko nadrabiać. Po łebkach zapoznaję się z rozwojem techniki, choć bez teoretycznej części, to i tak dla mnie czarna magia.

- Ale przynajmniej zaczynasz łapać, jakimi możliwościami dysponujemy, prawda?

- Tak, tak. Wiem, co się stanie, jeśli naciśnie odpowiedni przycisk, choć z rzadka sędzę, dlaczego tak jest.

I jak rozumiem, nie muszę wiedzieć nic więcej. Nikt nie oczekuje ode mnie, że nagle stanę się inżynierem. Zastosowanie, możliwości taktyczne - to moja działka. I powoli zaczynają mi się krystalizować ciekawe pomysły... - Trewayne wbił wzrok w dał, wyraźnie przenosząc się myślami w kosmos, o którym ostatnio tylko słyszał i w którym cytowane przez innych parametry techniczne i martwe liczby przekładały się na potęgę stalowych kolosów i ludzkie życia.

- To wspaniale - ucieszyła się Miriam, a jej głos ściągnął go z powrotem na ziemię. - Bo zaczyna się dużo dziać. Właśnie dlatego przyszedłam. Siły Marynarki Republiki Ziemskiej wyruszyły, by dołączyć do kontrofensywy. Będą tutaj za jakieś dwa tygodnie. - Przerwała i przyglądała się, czy cokolwiek zmieni się w jego wyrazie twarzy. Tak jak oczekiwała, Trewayne nie dał niczego po sobie poznać. Od czasu, kiedy dotarła wiadomość o porażce Cyrusa Waldecka w Bellerophonie, prezentował stanowisko, że należy bezwarunkowo zaakceptować każdą pomoc, w tym i tę z Republiki. A teraz...

- Dobrze - odezwał się w końcu, choć trochę zbyt radośnie. - Szykuje się zatem dobra okazja. Pierwsze poważne wzmocnienie ze strony reb... ze strony Marynarki Republiki.

- I ich pierwsze pojawienie się w naszym systemie bez wrogich zamiarów - dodała z uśmiechem. - Ty pewnie wciąż masz w pamięci te niezbyt pokojowe, co?

- Tak, niestety. I w przeciwieństwie do całej reszty mieszkańców Federacji mam wrażenie, że miały miejsce przed kilkoma tygodniami. - Trevayne zamilkł, a Miriam bała się odezwać. Wyraz jego oczu, ból i cierpienie, które się w nich malowały, nie pasowały do tak młodej twarzy.

Stałeś się legendą, odpierając dwie inwazje, pomyślała. W pierwszej brał udział niejaki komandor podporucznik Colin Trevayne, który przyłączył się do powstania. Jedyne dziecko, które nie zginęło w nuklearnym ataku przeprowadzonym przez rebeliantów na cywilne domy na Archipelagu Jamiesona na Galloway's World.

Wiedziałaś, że jego okręt jest wśród tych, których zniszczeniem osobiście dowodziłeś.

- Ianie - odważyła się w końcu odezwać - masz rację, mówiąc o okazji. W siedzibie rządu odbędzie się uroczyste powitanie oficerów flagowych Marynarki Republiki.

- Na którym wszyscy spodziewają się mojego udziału - dokończył po cichu.

- Jakbyś zgadł - potwierdziła.

Po krótkim milczeniu uniósł szklankę i wychylił ostatnie krople whisky.

- Dobrze się składa, bo i tak chciałem z kimś porozmawiać o tej ich nowej klasie okrętów liniowych - uśmiechnął się.

\* \* \*

Przy sześciu supermonitorach, jedenastu superdreadnoughtach, trzech lotniskowcach uderzeniowych, osiemnastu krążownikach liniowych i chmarze mniejszych okrętów kontyngent Marynarki Republiki raczej ciężko było uznać za zespół wydzielony i choć trafniejszym określeniem było „grupa operacyjna”, uznano, że z powodów wizerunkowych nie powinno się w żaden sposób minimalizować wkładu Republiki w wysiłek wojenny Obrzeża.

Goście bez przeszkód dostali się do systemu, do którego ich dziadkowie usiłowali dostać się przemocą, ale nie podolali. Zrezygnowano z ceremonii powitalnej w przestrzeni na rzecz łatwiejszej do transmitowania uroczystości na powierzchni planety. W ten sposób dowódcy Marynarki Republiki dostali się do Prescott... w promach Marynarki Federacji.

Od kiedy miasto stało się siedzibą rządu międzyplanetarnego państwa (choć Federacja Obrzeża uparcie odmawiała używania takiej nazwy), budynki rządowe zostały rozbudowane i

wyremontowane. Najbardziej zmieniły się hall wejściowy, sala bankietowa, które zajmowały teraz część terenów wcześniej stanowiących ogrody. Tu też miało się odbyć uroczyste przyjęcie na cześć nowych sprzymierzeńców.

Trevayne przybył na miejsce tak późno, jak się tylko dało, albo nawet jeszcze troszkę później. Hall był już pełen elegancko ubranych dostojników i pulsował szumem uprzejmych rozmów. Całość robiła takie wrażenie, na jakie był przygotowany: pomieszczenie miało kształt kwadratu, w wystroju dominował głównie kolor złoty, z sufitów zwieszały się przepyszne kryształowe żyrandole, a wzdłuż ścian stały eleganckie meble wykonane na antyczną modłę, pięknie komponując się ze stolikami z blatami z najprawdziwszego marmuru. W połowie pomieszczenia rozpoczynały się łagodne schody, prowadzące do urządzonej z równym przepychem sali bankietowej, której dziesięciometrowej wysokości okna wychodziły na pozostałości po paradnych ogrodach.

Jednak uwagę Trevayne'a najbardziej przyciągała flaga Republiki Ziemskiej, którą na powitanie gości powieszono na ścianie. Coś, czego nigdy się nie spodziewał zobaczyć tutaj, na Xanadu.

Cóż, czasy się zmieniły, pomyślał filozoficznie. Zaczął przyglądać się uważnie czarnemu sztandarowi ze złotą gwiazdą i krwistoczerwonym stworzeniem, raczej nieistniejącym w żadnym ze znanych światów, które ją oplatało swoim cielskiem. Trevayne zawsze się zastanawiał, skąd wytrzasnęli tak dziwną bestię.

- Tutaj się schowałeś! - Miriam Ortega pojawiła się nagle tuż obok. - Chodź, proszę, ze mną. Chciałabym, byś poznał dowódcę kontyngentu z Marynarki Republiki. Ona już nie może się doczekać spotkania z tobą! - Czyżby mu się wydawało, czy w jej oczach pojawiły się psotne iskierki?

Pozwolił się jej przeprowadzić przez środek parkietu, zatrzymując się co kilka kroków, by przywitać kolejną osobę i zakołysać uniesionym kieliszkiem szampana. Zmierzali w kierunku grupy oficerów Marynarki Republiki w galowych mundurach, które zrobiły na nim bardzo dobre wrażenie. Łączyły w sobie granat, biel i złote lamówki, odwołując się do tradycyjnego militarnego stylu. Od grupy oficerów odłączyła się pojedyncza sylwetka.

Trevayne zamarł z zaskoczenia.

Dobry Boże, pomyślał, nie mogąc zebrać myśli w chaosie, jaki zapanował w jego głowie. Ona wróciła, żeby mnie nękać!

Ale nie, przecież to nie może być Li Han. Ona musiałaby mieć coś koło stu dwudziestu lat standardowych i już dawno być admirałem floty. Kobieta, która przed nim stała, nosiła insygnia wiceadmirała, choć nie wyglądała na starszą od niego - był wprawdzie świadom, że

to nic nie znaczy przy zaawansowanym poziomie i dostępności kuracji antygeriatrycznych. No i była wyższa niż Li Han. (Ale to też nic nie znaczyło, bo niemal każdy był wyższy niż Li Han.) Twarz gościa miała w sobie coś z rysów starych, szlachejnych japońskich rodów, podczas gdy Li Han bez wątpienia przypominała Chinę.

Niezależnie od tego podobieństwo było wręcz uderzające. Być może, pomyślał, cała tajemnica tkwi w oczach. Z zasady oczy, o których mówi się, że są czarne, są tylko ciemnobrązowe. Ale tylko z zasady, bo Li Han miała całkowicie czarne. Podobnie jak oczy, które właśnie napotkały jego i wyrażały szczerą ciekawość. Nie mógł mieć wątpiwości - były identyczne jak te, w które kiedyś już się wpatrywał, żywiąc głęboką nadzieję, że ich właścicielka popełni jakiś błąd i będzie mógł ją zabić.

- Admirale Trevayne - usłyszał głos Miriam Ortegi - chciałabym przedstawić panu wiceadmiral Li Magdę z Marynarki Republiki. - Mówiła bardzo oficjalnym tonem, ale nie było już wątpiwości, skąd brały się w jej oczach figlarne ogniki.

Zapłaci mi za to, pomyślał ponuro. Jednym ruchem wychylił cały kieliszek szampana i rozejrzał się dookoła, rozpaczliwie szukając kelnera. Nie zauważył żadnego, więc zrezygnowany wyciągnął dłoń.

- Li Magda? - wydukał, akcentując nazwisko.

- Tak, admirale - odpowiedziała, podając mu rękę. - Ale przyjaciele mówią mi Mags. Tylko nigdy w obecności mojej matki!

Jakiegokolwiek wątpiwości co do źródeł podobieństwa rozpadły się na kawałki jak szklany wazon upuszczony na podłogę. Wyobraźnia Trevayne'a poddała się, kiedy usiłował włożyć w usta Li Han takie zdrobnienie. Ale...

- Pani matki? - zapytał.

- Tak - potaknęła. - Mojej matki, Pierwszej Damy Przestrzeni Marynarki Republiki, Li Han. Muszę panu szczerze wyznać, admirale, że przez całe życie wiele się o panu nasłuchałam.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedziała słodko Miriam Ortega. - Nawiasem mówiąc, też miałam okazję spotkać pani matkę.

Li Magda nie ukrywała zdziwienia.

- Kiedy, jeśli mogę zapytać?

- Mów mi, proszę, Miriam. A spotkałyśmy się zaraz po drugiej bitwie o Zephrain.

- Właśnie - wtrącił Trevayne. - Pani matka przebywała wtedy tu, na Xanadu, w roli... - Głos uwiązał mu w gardle.

- ...jeńca - dokończyła za niego Magda.

- Byłam wtedy odpowiedzialna za bezpieczeństwo wewnętrzne - wyjaśniła Miriam, pomagając Trevayne'owi uciec z grząskiego gruntu. - Odwiedzałam jeden z obozów wojennych i rozmawiałam z pani matką, jako że była najstarszym rangą jeńcem. Sprawiała wrażenie zadowolonej z mojego zainteresowania tym, jakie mają warunki w obozach. Dobrze się rozumialiśmy, takie w każdym razie wtedy odniosłam wrażenie, mimo, że była... - Miriam przerwała, szukając właściwych słów - ...tak, była uczciwa do bólu.

- Mogę sobie wyobrazić, bo w tej materii się nic a nic nie zmieniła - oznajmiła smutnym głosem Li Magda. - Mama do dziś nie rozumiała, dlaczego wszyscy odmawiają jej poczucia humoru. Sama jest przekonana, że jest wręcz śmieszką.

Trevayne rozsądnie powstrzymał się od komentarza na temat powszechności takiego przekonania.

- Myślę, że była wtedy też trochę zakłopotana - kontynuowała Miriam. - Na dodatek prawidłowo odczytała z mojego nazwiska, że jestem córką admirała Siergieja Ortegi, który zginął w pierwszej bitwie o Zephraim.

- Przykro mi. - Li Magda taktownie milczała przez chwilę. - Wielu w tamtych czasach musiało się borykać ze śmiercią najbliższych. Moje pokolenie nigdy nie zrozumie, jak wtedy było naprawdę. Chociaż teraz... cóż, sam fakt, że jestem tutaj, w tym systemie...

- Tak - Miriam zgodziła się z nią. - Wszyscy jesteśmy bardzo szczęśliwi, że możemy was tu gościć.

- Szczególnie - Trevayne wtrącił się do rozmowy - że mogę z pierwszej ręki usłyszeć o nowej klasie jednostek liniowych.

- Ma pan na myśli dewastatory. W grupie, którą prowadzę, nie ma niestety ani jednego z nich. Zależało nam, by bez żadnych opóźnień dotrzeć tutaj z posiłkami. Kolejne na pewno będą miały je w składzie. Wdrożyliśmy je do masowej produkcji. Muszę się pochwalić, że miałam swój udział w ich projektowaniu.

- Pani? - Trevayne się ożywił.

Miriam westchnęła.

- Widzę, że chcielibyście sobie w spokoju porozmawiać. A Ianie, sam wiesz, że jeśli chodzi o militaria, jestem całkowitym laikiem. Zostawiam was zatem samych i idę nawiązywać nowe kontakty dyplomatyczne.

Kiedy zniknęła, podkomendni Li Magdy z Marynarki Republiki natychmiast zrozumieli jej zachowanie i też się dyskretnie oddalili. Odchodząc, nie mogli oderwać wzroku od admirała Trevayne'a. W końcu on i Mags zostali sami pośrodku sali pełnej ludzi.

Li Magda zaczęła pierwsza, ale o dziwo, nie mówiła o dewastatorach.



- Wie pan, admirał Trewayne, poznałam wiele interesujących faktów technicznych związanych z pana ożywieniem, jeśli mogę się tak wyrazić. Wiedziałam, czego oczekiwać, ale mimo to pański wygląd mnie szokuje.

- Nie jest pani pierwszą osobą z tym problemem - odpowiedział jej oschłym tonem, bo odruchowo pomyślał natychmiast o niektórych wysokich rangą oficerach Marynarki Obrzeża, którzy niespodziewanie stali się jego podkomendnymi. - Pani też wygląda na bardzo młodą jak na stanowisko, które pani piastuje, a dodając do tego wiek pani matki... do diabła, nie zabrzmiało to dobrze, prawda? Bardzo panią przepraszam. Nie zawsze zachowuję się jak aspołeczny gbur. Proszę zrzucić to na karb tego, że nie byłem przygotowany na spotkanie z panią.

- Zrozumiałam - roześmiała się. - Ale w gruncie rzeczy ma pan rację. Tak naprawdę skończyłam sześćdziesiąt cztery lata standardowe. Miałam jednak od samego początku nieograniczony dostęp do kuracji przeciwdziałających starzeniu się, a mój organizm doskonale je znosił. Fizjologicznie mam około dwudziestu lat.

- To tyle, co ja. - Trewayne pokiwał głową. - Teraz rozumiem, dlaczego mój wygląd może być tak trudny do zaakceptowania w połączeniu z tymi wszystkimi opowieściami, które zapewne pani słyszała o mnie. Nie tak wyobraża się sobie potwora do straszenia dzieci.

- Proszę sobie nie dokładać zasług. Mieszkańcy Republiki wcale nie wspominają pana najgorzej. - Zrobiła pauzę na zebranie myśli. - Jest pan traktowany jako postać zajmująca miejsce gdzieś pomiędzy Erwinem Rommlem i Robertem E. Lee: odważny, honorowy i owszem, wyjątkowo skuteczny oficer, ale walczący po złej stronie.

Kilka sekund upłynęło, zanim Trewayne był w stanie odpowiedzieć - i to nie dlatego, że poza Genjim Yoshinaką od wieków nie rozmawiał z nikim, kto miałby choćby nikłe pojęcie o historii Ziemi.

- Prawdę mówiąc, przywiązałem się już do myśli, że walczyłem po właściwej stronie.

- Zrozumiałam aluzję - powiedziała z żalem.

- Ale muszę przyznać, że taki punkt widzenia może być dość odświeżający. Nastawienie mieszkańców Obrzeża jest czasem bardzo... hmm... - zastanawiał się, jak opisać tę nieomal cześć, jaką go otaczali.

- Chyba rozumiem, co chce pan powiedzieć. I tak, doskonale pojmuję, jak musi się pan czuć. - Zamrugła powiekami i nagle zmieniła temat. - Pytał pan o dewastatory. Proszę mi powiedzieć, ile pan wie o tej klasie.

- Znam tylko podstawowe dane. Dwa miliony ton wyporności i szybki jak supermonitor... chociaż nie, powinienem powiedzieć dzięki Bogu nie wolniejszy niż supermonitor. Ale o ile

dobrze zrozumiałem, jeszcze gorzej reaguje na stery?

- Tak, to prawda. Ale jest o dwie trzecie większy... OK, inaczej. Jest o tyle silniejszy ogniowo od supermonitora, co supermonitory do monitorów w chwili, gdy je wprowadzaliście.

- To zapowiada się mały przełom. Ale już dalej nie da się pójść, bo osiągnęliście największe rozmiary, przy jakich można jeszcze dokonać tranzytu przez warpa. Przypomina to sytuację Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych na początku dwudziestego wieku: mieli techniczne możliwości budowy jednostek większych, niż mogły przepłynąć przez Kanał Panamski. - Obserwował jej twarz, oczekując zagubionego spojrzenia osoby, która nie wie, o czym mówi. Niemal zawsze go to spotykało, kiedy wspominał o historii Ziemi. Tym razem się zawiódł. Ale w jej wzroku pojawiło się coś jeszcze. Jakby coś ukrywała. Chciał spróbować ją sprowokować, ale akurat podano obiad.

Miejsce dla niego przygotowano po drugiej stronie stołu, kilka krzeseł dalej, mogli więc jedynie co pewien czas zamienić kilka kurtuazyjnych uwag. Z racji tego, kim byli, stanowili główną atrakcję spotkania. Trewayne dlatego, że zawsze był w centrum, a Li Magda jako ucieleśnienie nowego przymierza. Oboje musieli więc zajmować się grupką osób, które były zbyt przejęte podniosłością sytuacji, by dało się je po prostu splawić. Na szczęście nie musiałem wygłaszać przemowy, pomyślał Ian. Rządzący politycy byli bardziej niż chętni, żeby się pokazać w tej roli.

W końcu uroczystości i obiad dobiegły końca i goście zaczęli opuszczać siedzibę rządu. Trewayne szukał wzrokiem Li Magdy, aż w końcu zawędrował w pobliże flagi Republiki.

- Pewnie się pan dziwnie czuje, widząc ją akurat tutaj, nieprawdaż?

- Nie mogę zaprzeczyć, admirał Li. A przy okazji, może wyjaśniłaby mi pani kilka spraw związanych z symboliką, które nie dają mi spokoju?

- Z przyjemnością. Mam nadzieję, że podołam, tym bardziej że to mój dziadek ze strony matki był odpowiedzialny za jej projekt.

- Doprawdy? - Ta kobieta jest pełna niespodzianek, pomyślał Trewayne.

- Tak. Li Kai-lun był przewodniczącym delegacji Hangchów na konwencję konstytucyjną Tymczasowego Rządu Pogranicza, które przekształciło się w Republikę Ziemską. Był też szefem komisji odpowiedzialnej za flagę. Ale do rzeczy; o co chciał pan zapytać?

- Cóż... - Trewayne wskazał dłonią na stworzenie, które wiło się wokół gwiazdy. - Co to za dziwo?

- Ach, o to chodzi... to jest pseudowal.

- Pseudowal? - Trewayne powtórzył z niedowierzaniem, słysząc nazwę drapieznika,

przypominającego dziesięciometrowego węża, który zamieszkiwał oceany na Beauforcie. I pośrednio przyczynił się do rozkwitu tej nieprzyjaznej planety Pogranicza, a jeszcze później do jej konfliktu z Planetami Korporacji.

- Tak. Cała flaga, z wyjątkiem gwiazdy, bazuje na fladze Beauforta, bo to właśnie tam rozpoczęło się powstanie.

Trevayne zaczął mówić tonem kogoś, kto doskonale rozumie, co usłyszał, ale nie ma pojęcia, co to może znaczyć.

- Tylko że... admirał Li... pseudowale nie miały skrzydeł.

- Mieszkańcy Beauforta też wspomnieli o tym mojemu dziadkowi - oznajmiła. - Odpowiedział im, że... zaraz, jak on to powiedział? Że skrzydła symbolizują siłę i rozmach naszego nowego narodu.

- Hmm... - Trevayne miał dziwny głos.

- Wszyscy się wtedy z tym zgodzili. Oczywiście zastanawiali się, dlaczego delegacja z Hangchów tak dziwnie się uśmiecha. - Trevayne też nie miał pojęcia, szybko więc wyjaśniła. - Jeśli pseudowalowi przyczepi się skrzydła, zaczyna być uderzająco podobny do...

- Smoka! - Trevayne krzyknął, przyprawiając o palpitacje serca stojących najbliżej gości.

- Li ying, jak powiedziałaby mój dziadek - poprawiła go.

- Cóż. - Trevayne odzyskał oddech. - Właśnie dała mi pani kolejny dowód na to, że nigdy nie powinienem nie doceniać waszej rodziny.

- Byłoby mi bardzo miło, gdyby zwracał się pan do mnie Mags, admirał Trevayne.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym jeszcze na razie „Magdo”. Ale mam też nadzieję, że nie będziesz się czuła skrępowana, by też mówić mi „ty”.

- Z przyjemnością... Ianie - odrzekła, jakby sprawdzała, jak to będzie brzmiało. Zachichotała. - A ty twierdziłeś, że ta flaga sprawia, że człowiek się dziwnie czuje! - Uśmiechnęła się jeszcze raz i dołączyła do swoich podkomendnych. Trevayne patrzył, jak się oddala. Przy samych drzwiach obróciła się raz jeszcze i posłała mu uśmiech.

Po niedługiej chwili zauważył, że ktoś stoi obok.

- No i jak poszło? - zapytała niewinnie Miriam Ortega.

- Cóż... porównała mnie do Erwina Rommla i Roberta E. Lee.

- Doprawdy? - Miriam uniosła brew, wyrażając uprzejme zainteresowanie. - Jacyś jej krewni?

Płaczący mężczyzna to doprawdy straszny widok.

## ROZDZIAŁ XIX

### WPADNIESZ DO MNIE?

*Michael 2*, daj trochę bocznym manewrowym - polecił cicho kapitan Paulo Velasquez, dzieląc uwagę pomiędzy swojego partnera i resztę zespołu. Silnik z bezgłośną gracją popychał arkusz pancierza w górę fortu, aż do chwili, kiedy pokryły się oznaczenia celownicze. Gdyby stał na kadłubie *Los Dios*, poczułby wstrząs, kiedy dwie masywne części zetknęły się z impetem.

Wcześniej, kiedy pracował w stoczni na Bellerophonie, nie podejrzewał, że będzie musiał dokonywać poważnych napraw i przeróbek daleko w przestrzeni. Wyciągnął dłoń, a sprzężone z nią kolosalne ramię serworobota powtórzyło dokładnie jej ruch. W zależności od punktu widzenia jego pancerny kombinezon z własnym zasilaniem można było uznać za gigantyczne ubranie robocze albo niewielki statek kosmiczny zwany z jakiegoś powodu „archaniołem”. Chwytnak zacisnął się na pancierzu i unieruchomił go.

- Doskonale, *Michael 2*, odbiór.

Dziwnie było pracować poza zabezpieczoną przestrzenią doków stoczniowych, gdzie każda upuszczona rzecz zostawała wyłapana na długo przedtem, zanim zaczynała pędzić w dal po własnej orbicie. Tutaj, w pobliżu warpa, wszystko, co zaczynało dryfować, kończyło w przejściu między systemami, i to niezależnie od tego, czy chodziło o człowieka, czy o przedmiot. Starał się skupić na pracy i nie myśleć o tym. Pilnował też, na tyle, na ile mógł, by jego zespół miał dość roboty, żeby nad tym nie dumać.

Przeskoczył cztery główne kanały wypełnione uspokajającym gwarem rozmów robotników. Wsluchiwał się w ten szum, nawet mocując pancierz przed sobą. Kiedyś interesował się starodawnymi technikami formowania, a do dziś korzystał z jednej z nich, mianowicie ze spawania. Nie miało to jednak nic wspólnego ze współczesnymi technikami spajania materiałów.

- *Rafe 16*, zabieraj stamtąd dupę, bo przeszkadzasz.

- Przyjąłem. Usuwam się. *Raphael 8*.

Takim rozmowom nikt się nie dziwił. Wydawało się, że wszyscy przywykli do pracy w specyficznych bądź co bądź warunkach, dając z siebie wszystko, by plan admirał Krishmahnty mógł mieć szansę na realizację.

Czas wycofać ekipę i ustąpić miejsca pilotom, żeby wypróbowali swoje nowe, zdalnie sterowane zabawki.

- *Gabriel, Michael, Raphael, Uriel*, na mój sygnał kończycie i zwijamy się do środka. - To była wielka prowizorka, ale miała szansę zadziałać.

- Przyjąłem. *Uriel* zgłasza gotowość. Kończymy.

- *Gabriel*, przyjąłem.

- *Raphael*, przyjąłem.

Na tle czarnego atlasu przestrzeni pancierz fortu był jedynym tworem odbijającym promienie światła. Kilka migoczących punkcików znaczyło drogę jego ludzi, którzy wracali do względnie bezpiecznego wnętrza jednostki, na której zostali zaokrętowani. W czasie ewakuacji Bellerophona okazało się, że promy zaprojektowane do transportu archaniołów pasują do stanowisk cumowniczych pinas na okrętach liniowych. Dzięki temu udało im się wywieźć ekipy remontowe, zanim pojawili się obcy.

Odebrał podwójne kliknięcie z *Abijit*, gdzie zbierały się owieczki z sekcji *Michael*.

- Dobra robota. Nie opóźniamy odlotu.

\* \* \*

W kabinie unosił się ciężki, lekko zastały i zatęchły zapach charakterystyczny dla miejsc, gdzie gromadzą się nerwowi i spoceni ludzie. Krishmahnta wyregulowała oświetlenie, trąc zmęczone oczy. Odstawiła kubek na zawalony blat biurka, przeproszając w duchu obsługę, która będzie musiała tu posprzątać. Potem spojrzała na kapitana *Gallipoli*.

Yoshi Watanabe był bardzo zmęczony. Zacisnął usta, przeglądając kolejne obrazy, które wspólnie zebrali. Jeden po drugim, aż doszedł do pierwszego.

- Oparliśmy naszą strategię na tym założeniu. I powiem ci, że mnie to martwi. - Pochyliła się i wskazała nagranie obcych okrętów opuszczających wylot warpa. Potem wywołała jeszcze nagranie z bitwy wiceadmirał Miharu Yoshikuni o system Andromeda.

- Porównanie - powiedziała cichym głosem, a maszyna posłusznie zaczęła wyświetlać obok siebie przebieg ataku przez BR-01 i Pegasus. Obrazy były dość wymowne i nie wymagały komentarza. Dopiero kiedy się skończyły, spojrzała w jego stronę. - Zauważyliśmy to jednocześnie. Dowodzący siłami obcych prezentują różne style walki. Nasz nie oszczędza

ludzi i sprzętu, drugi jest znacznie bardziej zachowawczy. Yoshikuni ma do czynienia z niebezpieczniejszym przeciwnikiem, którego ruchy są znacznie lepiej przemyślane - starała się mówić o obcych bezosobowo. - Myślę, że jeśli podejmiemy ryzyko przypisania im cech antropomorficznych, naszego uda się zrobić na szaro.

- Możliwe. Na dodatek nasz plan minimalizuje straty własne, co też nie jest bez znaczenia. - Uśmiechnął się. - Dobra, przyznaję ci rację. Po prostu starałem się być adwokatem diabła, żeby znaleźć słabe punkty naszego rozumowania.

Rozległ się sygnał, po którym z głośników popłynął głos Liama, adiutanta admirała.

- Ekipy remontowe zameldowały się na pokładzie, sir, ma'am.

- Dziękuję, Liam. Czy twoja wachta przypadkiem nie skończyła się już jakiś czas temu? - zapytała i choć rozmawiali przez łącze telekomunikacyjne, odniosła wrażenie, że adiutant się czerwieni.

- Właśnie schodziłem, ma'am. Wachtę przejmuje Kausalaya. - Erica uśmiechnęła się. Liam Howitt był w stosunku do niej nadopiekuńczy.

- Dziękuję, Liam.

- Ma'am.

Spojrzała na Yoshiego.

- A to oznacza, że pierwsza część układanki znalazła się na swoim miejscu. - Dłonią złożoną w pięść przebiła hologram. - Jestem gotowa zaakceptować mniejszą skuteczność, pod warunkiem że pomoże mi to ograniczyć straty w załogach.

Forty broniące warpa prowadzącego z Jasona do Castora zostały włączone do sieci taktycznych *Gallipoli*, *Passendale* i *Temuchina*. Załogi opuściły ich pokłady, a ładownie wypełniły najsilniejsze rakiety z głowicami z antimaterią, jakie udało się wyprodukować.

- I jeśli dalej będziemy mieli do czynienia z tym dowódcą, który ma gdzieś straty własne, powinno nam się udać zablokować ich przy samym wylocie warpa.

- Właśnie tak. Miałeś świetny pomysł. - Jednym ruchem ręki usunęła nagrania poprzednich bitew, które zastąpiła Pajęczyna. Yoshi uśmiechnął się z ponurą satysfakcją.

- Jeśli to zadziała - powiedział.

Pajęczyna znajdowała się piętnaście stopni od płaszczyzny ekliptyki, udając warpa lub inne strategiczne miejsce w przestrzeni. A nie była nim. Ale obcy nie mogli mieć o tym pojęcia.

- Kiedy odkryją niespodziankę przy Warpie, idę o zakład, że ich dowódca będzie chciał się odegrać i popędzi za nami.

- Będzie dyszał żądzą krwi.

- I krew się poleje.

\* \* \*

Kiedy rozpoczął się atak na system Charlotte, wiceadmirał Yoshikuni była na niego niemal przygotowana.

- Zatem zaczynamy - oznajmiła, przerywając posiłek, kiedy wstawali od stołu.

- Tak jest, ma'am.

Dwie minuty później zajęła należny jej fotel admiralski i podłączyła hełm do systemów sterowania. Na głównym ekranie taktycznym natychmiast pojawił się obraz rozdzielony na dwie części, pokazujący wyloty z warpów Andromeda i Demeter, przez które obcy rozpoczęli atak. Obaj dowódcy mają teraz co robić, pomyślała. Za ich bezpośrednią obronę odpowiadali Way Lem i Armand Dupres-Pacey.

- Armandzie, Way. Macie ich tam wszystkich w kupie. Nie dajcie im rozlecieć się na boki.

- Tak jest, ma'am.

Wiceadmirał Krishmahnta przesłała kapsułę z informacjami na temat taktyki ataku obcych, byli więc przygotowani na to, co zobaczyli. Yoshikuni z kamienną twarzą przyglądała się czerwonym symbolom wrogich okrętów, które stopniowo zalewały okolice wylotu warpa, aż do chwili, kiedy pomimo kordonu obrońców rozlali się po okolicy jak wykipiałe mleko. Uparcie ignorowała też spływające raporty o uszkodzeniach własnych okrętów i pojawiające się co pewien czas Kody Omega.

- Niektóre z ich jednostek są wyposażone w napęd Desai! Ma'am!

- Ile? Które? - Pochyliła się, wbijając palce w poręcze fotela, zachowując spokojny wyraz twarzy, choć czuła już pot spływający strużkami po karku i kombinezonie, bo filtry dbały o wyrzucanie nadmiaru wilgoci przez membranowy materiał.

- Tylko cztery, ma'am. Pięć... coraz więcej. Jedenaście, ma'am. Potwierdzam identyfikację jedenastu okrętów wroga wyposażonych w napędy Desai.

- Zniszczcie je. - Na barki Lema spadał właśnie główny ciężar tej części bitwy. Obcy wysłali większą część swoich najszybszych jednostek przez systemy Polo i Demeter.

Jedynie doskonale skoordynowane działania pozwalały na utrzymywanie obrony. Gdyby nie sieć taktyczna kierująca ogniem i ruchami okrętów, nie mieliby szans. Tymczasem robili, co tylko było w ich mocy, rażąc wroga rakietami. Tyle że nie mieli nieskończonej ilości amunicji. *Kirin*, okręt komandora Lema, zniknął w potężnej eksplozji. Cała załoga zginęła. Ten sam los spotykał coraz więcej jednostek. Śmierć upominała się o coraz więcej istnień

walczących po obu stronach. Wiceadmirał Yoshikuni wzięła głęboki oddech.

- Wszystkie jednostki, wycofać się do Beaumonta.

- Przyjąłem, pani admirał.

Ustępowanie pola wrogowi zawsze było gorzkim przeżyciem, ale nie miała innego wyjścia, bo jej siły były na wyczerpaniu. Miała nadzieję, że wiceadmirał Krishmahnta lepiej sobie radzi.

Jej okręty odskoczyły od jednostek obcych. Tylko kilka maszyn wroga mogłoby podjąć pościg, ale żadna nie ruszyła za nimi.

\* \* \*

Wiceadmirał Krishmahnta była na pomoście flagowym, kiedy zaczął się atak. Jednostki obcych dokonywały symultanicznych tranzytów i już na początku kilka z nich eksplodowało, materializując się w tym samym miejscu. Resztę powitały salwy z fortów. Uśmiechnęła się, widząc, jak przestrzeń kosmiczna rozbłysnęła eksplozjami i promieniowaniem, kiedy superdreadnoughty obcych skierowały swój ogień na forty. Nie straciła jeszcze nikogo, nawet jednej duszy.

- Kapitanie Watanabe, czy kiedykolwiek słyszał pan o marszałku Żukowie?

Odwrócił się do niej, zaskoczony, po co zadaje takie pytania właśnie teraz.

- Nie, ma'am.

- Nieważne. Ale w dowodzącym obcymi jest coś, co mi go przypomina. Tamten miał gdzieś straty w ludziach. Ale miał też nieograniczone ilości mięsa armatniego. - Potrząsnęła głową. - Dobra, to naprawdę teraz nie ma znaczenia.

- Fort Zulu wypadł z sieci taktycznej. Wypadł z sieci taktycznej. - Niemalże w tej samej chwili, kiedy oficer łącznościowy wypowiadał te słowa, fort, którego dotyczył meldunek, poruszył się. Wyraźnie widzieli to na głównym ekranie taktycznym. Przez chwilę drżał pod naporem ognia, by nagle zamienić się w piekielną kulę oślepiającego błysku.

\* \* \*

Na pokładzie *Montuhoteph*, okrętu admirał Lankhi, *selnarm* dowódcy była dostatecznie mocna, by porwać wszystkich jej oficerów i połączyć w harmonii pełnej emocjonalnych półtonów, dźwięczących we wszystkich w centrum dowodzenia i nawet poza okrętem. Potężna fala emocji pędziła przed siebie, zatapiając wszystko, co napotkała po drodze. (Chwała zwycięstwa.) (Wściekłość.) (Ukochanie walki.) Śmierć była odczuwalna, lecz szybko wtapiała się w ogólną wrzawę wojenną. Już na pierwszy rzut oka było widać, że ogień



prowadzony z fortów jest bardziej chaotyczny i nieskuteczny niż to, z czym spotykali się dotychczas. *Montuhoteph* podążał z drugą falą, a Lankha czuła każdy jego ruch, kiedy przez kadłub przebiegało drzenie pobliskich eksplozji.

- Blokują nasze jednostki w pobliżu wylotu warpa.

Admirał zlekceważyła meldunek.

- Nie uda im się. Są już zmęczeni. I tak naprawdę nie potrafią przecież myśleć. (Fanatyzm.) Wprowadź rezerwy.

\* \* \*

- Macie wprowadzić do boju każdy okręt, jakim dysponujecie - Krishmahnta miękkim głosem pouczała czerwone symbole na ekranie. Na razie straciła setki ludzi, a mogła przecież stracić tysiące. Była gotowa, by uruchomić pułapkę. Sprzęt, który poświęcała na przeprowadzenie tego planu, nie miał już takiego znaczenia, bo Samantha Mackintosh dysponowała rezerwami przemysłowymi w systemie Tilghman.

Trudno było beczynnie się przyglądać, jak obcy wałą raketami w nieobsadzone forty, i czekać, by wprowadzili do akcji wszystkie jednostki, jakimi jeszcze dysponowali. Żeby myśleć o jakimkolwiek sukcesie, należało pozbawić ich okrętów, załóg i chęci do walki. Szacowała, że na Behemotach nie mogli przywieźć więcej niż jakieś trzydzieści milionów osobników - skąd więc taktyka rzucania tysięcy istnień w taki kocioł?

Ekran nie był w stanie pokazywać osobnych jednostek wroga, bo całe jego centrum przybrało zwartą, czerwoną barwę. Obraz rozbłysł i zgasł, by po chwili wrócić przekalibrowany, z indywidualnymi sygnaturami jednostek. Niebieskawe, zimne światło padało na twarz kapitana Watanabe, nadając mu surrealistyczny wygląd.

- Myślę, że lepszej okazji nie będziemy mieć, ma'am.

Krishmahnta kiwnęła głową.

- Przekaż wszystkim, że mają się stąd zwijać, Yoshi. Nie chcę przytrzasnąć im ogonów, kiedy będziemy zamykali pułapkę. Skoro chcemy oszczędzić życie naszych, to nie po to, żeby jacyś idio... jacyś nieodpowiedzialni piloci z własnej woli marnowali swoje.

Uśmiechnął się i przekazał rozkazy. Supermonitory, z których sterowano fortami i które jednocześnie były przynętą, rozpoczęły zaplanowany wcześniej odwrót. Nadzieje wszystkich były wielkie, lecz nikt nie odważył się otwarcie uśmiechnąć. Obcy przelali już wiele ich krwi, a teraz nadszedł czas zemsty. Erica podniosła osłonę niewielkiego przycisku umieszczonego w poręczy fotela, z namaszczeniem położyła na nim palec i nacisnęła.

Ponieważ znajdowali się niemal pięć minut świetlnych od warpa, musieli poczekać,

obserwując supermonitory wycofujące się w ich stronę. Sygnał potrzebował czasu na dotarcie do fortów, a potem na powrót na jej okręt. Patrząc z perspektywy pola walki, oglądali film z przeszłości.

Forty zostały wypełnione potężnymi ilościami głowic z antymaterią, a komputery pokładowe zaprogramowano do samozniszczenia. Kiedy nadszedł sygnał, wszystkie forty otaczające wejście do warpa i jednostki obcych zniknęły w jednej eksplozji porównywalnej do tej, którą powodowało zniszczenie napędu Behemota; oślepiający blask i fala energii, która przedostała się nawet przez warp. Promieniowanie wypełniło przestrzeń z taką intensywnością, że część wrogich okrętów nie tyle eksplodowała, ile uległa transformacji z materii wprost w energię.

Te, które znajdowały się nieco dalej od punktu zero, zakołysały się od potężnej fali uderzeniowej. Chmury odłamków dziurawiły ich kadłuby, rozrywały burty i niszczyły napędy. Wiele jednostek dryfowało, zdanych na łaskę losu, bez możliwości manewrowania, bo temperatura eksplozji stopiła delikatne systemy sterownicze.

Na *Gallipoli* wybuchły owacje. Z radości krzyczeli wszyscy, od chorążych do dowódców. Nawet Krishmahnta do nich dołączyła, nie podnosząc się fotela. Z lubością patrzyła na kody zniszczenia kolejnych jednostek obcych. Wciąż jeszcze zaciskała dłonie na poręczach, ale oczy błyszczały jej radością zwycięstwa.

\* \* \*

Generatory grawitacji na *Montuhoteph* zakrzuszyły się, wyłączyły i wróciły z mocą mniejszą o dwadzieścia pięć procent. Na błądy i podłogę spadł deszcz przedmiotów, które nie zostały wcześniej zabezpieczone.

Admirał Lankha przytrzymała się obrzeża swojej niszy dowodzenia, wbijając w nią szpony. Wpatrywała się w ekran, przez który przebiegała niekończąca się lista raportów o zniszczeniach i uszkodzeniach. (Ból. Lekkie uszkodzenia. Śmierć. Poniżenie.) Jej siły, które miały bez problemu zmieść tych ohydnych *griarfeksh*, same zostały zdziesiątkowane. Zamrugła powiekami i zamknęła oczy. Starła się opanować zakłócenia *selnarm*. (Uspokojenie. Rozsądek. Wola walki. Wściekłość. Poniżenie.) Chciała w ten sposób zapanować nad zagubieniem i nieporządkiem, jaki niespodziewanie pojawił się na jej jednostce, a potem przedostał na kolejne, które jakimś cudem uniknęły zniszczenia w pułapce.

- Pani admirał. - Trzeci oficer Teti pokazał się na ekranie, prezentując ogromny guz z boku głowy. Medycy właśnie pakowali do worka Uatcheta, który wylądował na podłodze, kiedy wróciła grawitacja. - Nie mamy dość mocy, maksymalnie osiągamy jakieś 50 procent.

(Otepienie.)

- Na macki i szpony Illudora! (Ponizenie.) - Wszystkie oczy podążyły za grupą uciekających okrętów *griarfeksh*. - Zapłacą nam za to *at'holodahk*! Będą żalowali, że chcieli zawstydzić lud. Ruszamy za nimi, Teti. Nowe rozkazy. Ustawić się w klin. Rozpoczynamy pościg. Dziś wielu wspaniałych wojowników będzie miało okazję się odrodzić.

\* \* \*

- A teraz się przekonamy, czy dostatecznie ich wkurzyliśmy - powiedział Yoshi, przyglądając się, jak wrogie jednostki formują nowy szyk.

Krishmahnta zaśmiała się krótko.

- Cóż, myślę, że solidnie nadepnęliśmy im na odcisk. - Obróciła się w fotelu. - Teraz kolej na twój kawałek naszej niespodzianki, Paulo. Jesteś gotów?

Kapitan Velasquez pokiwał głową z miejsca, w którym się znajdował.

- Pajęczyna gotowa, ma'am.

- Wspaniale. Yoshi, bądź tak miły i zwolnij. Masz wyglądać jak kaczka na strzelnicy.

- Przyjąłem. - Przyjrzał się jej. - Może kulawa kaczka?

- Idealnie.

- No to kulawa kaczka na strzelnicy drepce w waszą stronę minimalnie szybciej niż pościg.

Przed nimi, dookoła nieistniejącego warpa, znajdowało się potężne pole minowe obsiane gęsto pociskami i prawdziwie paskudna niespodzianka, którą Velasquez przygotował, modyfikując naturalny pas asteroidów wykorzystywanych przez kopalnie.

Płaszczyzna ekliptyki większości gwiazd jest często pełna niewielkich odłamków skalnych, ułożonych w dość regularnych odstępach. Ich skład to zazwyczaj niemal czysty nikiel i żelazo, a wielkości wahają się od około metra sześciennego do rozmiarów niewielkich planetoid. Przemysł zainteresowany najtańszym możliwym sposobem wykorzystywania tych złóż czystej rudy stosował do transportu niewielkie silniki umieszczone na powierzchni pojedynczych odłamków. Wyjątkowo ekonomiczne rozwiązanie wprowadzono jeszcze w czasach wojny z Pająkami. Współczesne górnictwo polegało zatem na umieszczeniu na orbicie statku-barki, wysłaniu w przestrzeń zaprogramowanych odpowiednio silniczków i czekaniu na rudę, która sama wlatywała do ładowni.

Velasquez opowiedział kiedyś o swoim pomysłe, nie licząc, że tak prymitywna metoda zostanie zastosowana przeciwko nowoczesnym jednostkom liniowym. Szczerze się zdziwił, gdy Krishmahnta podchwyciła jego plan. Potem szybko rozmieszczono napędy na miejscach,

usuwając z nich moduły sterownicze. Teraz czekały na wroga, tworząc pary z nieruchomymi kawałkami materii o masie nieprzekraczającej stu ton.

\* \* \*

Zbliżali się do uciekających *griarfeksh*. Admirał Lankha niemalże czuła w ustach smak zwycięstwa, którym odkupi wstydlivą porażkę. Pochylała się, jakby mogła w ten sposób zmusić okręt do jeszcze szybszego lotu. Zachowanie na tyle dziwne i niecodzienne, że czuła nerwowość swoich młodszych oficerów.

- Już ich mamy. (Pewność siebie.) Spotkamy się w pobliżu warpa, do którego zwiewają. (Zemsta.) Pozwoliła *selnarm* płynąć, w miarę jak wypowiadała kolejne słowa, by podnieść morale. - Zgnieciemy ich...

- Admirale! *Hapshet* melduje... zniknęła! (Szok.)

- Miny! Uwaga, miny! (Strach. Strach.)

Przestrzeń dookoła nagle ożyła, kiedy jej okręty wpadły na pole minowe. Pierwszy zniszczeniu uległ *Hapshet*, potem *Anknefhotep*, *Pertetis* i *Nunefankh*.

- Odpalili rakiety! Pociski na jeden, zero trzy, zero pięć... ze wszystkich stron! (Koncentracja.)

\* \* \*

Paulo Velasquez uruchomił sprzęt górniczy. Skały, pozbawione jakichkolwiek pól siłowych, w dodatku tanie i dostępne w potężnych ilościach, ruszyły z miejsca zaprogramowane do lotu na wprost, by w ułamku sekundy osiągnąć prędkość pięciuset metrów na sekundę.

Żelazo w asteroidach stopiło się niemal natychmiast pod wpływem ciśnienia, a ślady, jakie na niebie zostawiają spadające gwiazdy, pojawiły się tak gęsto, że stworzyły sieć, w którą wpadły okręty wroga.

Przy takiej prędkości i dystansie żadne antyrakiety nie mogły nic poradzić, nawet gdyby dało się je przeprogramować na przechwytywanie skał. Statki Arduan wpadały po kolei w gorejącą sieć roztopionego żelaza. Pierwsze trzydzieści sekund zamieniło trzy czwarte z nich w wirujące resztki lub, jak *Montuhotepha*, w kule promieniowania.

Niedobitki rzuciły się do panicznej ucieczki. Z jednostek, które spróbowały dokonać powrotnego tranzytu pod dowództwem młodszego dowódcy Osirii, dwie trzecie uległo zniszczeniu, gdyż po wybuchu struktura samego warpa została naruszona.

## ROZDZIAŁ XX

### MAJĄ NAPĘDY DESAI

Główna sala odpraw na Zephrainie - bardziej przypominająca amfiteatr - była zajęta do ostatniego miejsca, bo tym razem Cyrus Waldeck zażyczył sobie obecności wszystkich oficerów flagowych Drugiej Floty, do dowódców eskadr i szefów sztabów włącznie. Mieli się stawić osobiście. Wśród obecnych było widać sporo Kociambrów, kontyngent Marynarki Unii w miarę przybywania kolejnych okrętów liniowych stawał się bowiem coraz liczniejszy, aż w końcu stał się grupą wydzieloną. Stawił się również mały kiel Zhaairnow'ailaaioun i jeszcze kilku jego pobratymców. Waldeck zażył podwójną dawkę tabletek na alergię, ustawił filtrację powietrza na maksimum i modlił się, żeby przeżyć to spotkanie.

Przyjrzał się grupie ludzi w granatowych mundurach, którzy zajęli miejsca pośród oficerów w czarnych, zdobionych srebrem uniformach Marynarki Unii i Floty Chanatu. Widząc ich, pomyślał, że Kociambry wcale nie muszą okazać się najsilniejszym alergenem.

Skarcił się za tę myśl. Większość ciężkich jednostek Marynarki Republiki dotarła już do Astrii, a kontradmirał Li Magda dowodziła 23. Zespołem Wydzielonym, choć na razie nie dysponowała ani jedną maszyną klasy dewastator - a to dlatego, że stocznie potrzebowały dużo czasu, by wyprodukować takiego olbrzyma, a ponieważ mogły korzystać jedynie z największych warpów, podróże także sporo trwały. Niemniej zespół wydzielony Marynarki Republiki stworzył bardzo silną grupę - dziewiętnaście supermonitorów, trzydzieści superdreadnoughtów, dziewięć lotniskowców uderzeniowych i czterdzieści dwa krążowniki liniowe - a Waldeck wiedział, że powinien się cieszyć, że je w ogóle ma. I cieszył się z tego, choć...

Doskonale wiedział, że to działa w obie strony.

Nigdy nie uważał siebie za szczególnie delikatnego człowieka, ale nawet on był w stanie zauważyć, że Li Magda nagle zeszywniała, kiedy usłyszała jego nazwisko. Z drugiej strony nie mogło być inaczej. W czasie dramatycznych narodzin Republiki - a w każdym razie tak to

widzieli jej mieszkańcy - rodzina Waldecka należąca do jednego z najpotężniejszych rodów Planet Korporacji składała się głównie z przestępców i wykołajeńców. Hector Waldeck, przewodniczący delegacji planety Christophon w Zgromadzeniu Legislacyjnym Federacji, tak bardzo rozsmakował się w zakulisowych knowaniach i intrygach, że jego działalność skończyła się zamachem na Fionę MacTaggart z Beauforta, co z kolei stało się bezpośrednią przyczyną rozruchów. Kolejny krewny - wzdragał się na samą myśl o więzach łączących go z tym skończonym głupcem - admirał Jason Waldeck, okupował Nową Rodinę, gdzie przeprowadził kilka spektakularnych egzekucji, których brutalność potwierdziła wszystkie najgorsze wyobrażenia, jakie mieszkańcy Pogranicza mieli o Federacji i Planetach Korporacji. Buntownicy mogliby przynajmniej podziękować za utratę na ich rzecz nietkniętych okrętów liniowych, pomyślał gorzko. Przynajmniej był konsekwentny w głupocie.

Kiedy spotkał Li Magdę, nie widział w niej jedynie admirała Marynarki Republiki. Już sam dźwięk jej nazwiska przyprawił go o mdłości - przede wszystkim była córką kobiety, bez której powstanie nie odniosłoby wielu sukcesów, włączając w to kulminacyjną bitwę o Zapatę, w czasie której powstrzymała samego Iana Trevayne'a.

Krwawa łaźnia, którą zgotowały sobie obie strony, odebrała im chęć do dalszej walki.

Tak, pomyślał. Mamy przed sobą długą drogę.

Ale musimy ją pokonać, co powinno stać się moim głównym celem, skoro to ja jestem tutaj dowódcą, a jedną z moich podwładnych jest admirał Li.

Wszedł na podium ustawione przed szerokim ekranem i odchrząknął, mając nadzieję, że zrobił to odruchowo, a nie z powodu zbliżającego się ataku uczulenia.

- Panie i panowie - rozpoczął bez zbędnych ceregieli - większość z was, jeśli nie wszyscy, wiedzą, że nasze sondy od jakiegoś czasu badają sytuację w Bellerophonie. Natomiast wielu spośród państwa nie ma pojęcia, jak to jest możliwe. Proszę zatem komandora Koleszara o kilka słów na ten temat.

Oficer operacyjny podniósł się z miejsce i sprężystym krokiem wszedł na podium.

- Skupiając się na najważniejszych faktach, powiem tylko, że udało nam się obejść wymyślony przez obcych system wykrywania naszego maskowania elektronicznego. Modyfikacja systemów maskowania polega na tym, że odchyła odczyt ich systemu tak jak wszystkie inne - jest to rozwiązanie czasowe, ze względu na fakt, że obcy zapewne szybko się w tym połapią i dostroją systemy na inną częstotliwość.

- Ale wtedy my znów możemy coś zmienić, prawda? - zapytał ktoś z sali.

- Oczywiście, ale oni dość szybko zrobią to samo. I tak możemy bez końca bawić się w

kotka i myszkę. Historia rozpoznania elektronicznego zna takie przypadki. Jednak na razie mamy pewność, że się jeszcze nie połapali. Mamy więc jako takie pojęcie, co nas czeka po drugiej stronie. Nie będziemy wchodzić tam na ślepo, bo bez rozpoznania przyjęlibyśmy prawdopodobnie błędne założenia, a to znacznie gorsze niż działanie nawet po omacku. Nasze ostatnie odwiedziny w systemie opierały się właśnie na błędnych założeniach. Uważam, że mamy dość dokładny obraz obrony warpa po ich stronie, choć nie oznacza to, że wiemy już wszystko, co chcielibyśmy wiedzieć. - Koleszar przerwał, jakby wahał się, czy powinien powiedzieć o czymś jeszcze. - Nasze sondy zwiadowcze na przykład nie zaobserwowały jeszcze żadnego z ich okrętów obrony systemu w ruchu, przez co nie mamy żadnych danych na temat ich możliwości.

Przez zgromadzony tłum przebiegł szmer zdziwienia.

- Jak na razie dysponujemy jedynie podstawowymi danymi - podkreślił oficer, dochodząc do wniosku, że nie warto niczego owijać w bawełnę. Aktywował ekran za swoimi plecami, by zademonstrować poprawione, lecz wciąż rozmazane zdjęcia masywnej, brzydkiej sylwetki okrętu w kształcie stożka, widocznego na błyszczącym, czarnym tle, bez żadnych punktów odniesienia dających pojęcie o wielkości i masie jednostki. - Na podstawie kształtu sądzimy, że obcy rozłożyli statki pokoleniowe, którymi dostali się do naszych systemów, na mniejsze jednostki. Zupełnie możliwe, że Behemoty miały budowę modułową i że zostały celowo tak zaprojektowane. Szacowana masa nowych jednostek wynosi około miliarda ton.

Nie dodał, że to odpowiada łącznej masie pięciuset supermonitorów. Publiczność była na tyle obyta z tematem, że sama szybko to sobie przeliczyła.

- Oczywiście - uznał, że powinien szybko powiedzieć coś pozytywnego - oczywiście to przede wszystkim statki transportowe, a nie okręty bojowe. Ich siła ognia nie jest zatem proporcjonalna do ich rozmiarów. Co więcej, mamy podstawy sądzić, że korzystają z takich samych napędów jak statki pokoleniowe, z których zostały zrobione.

- Na ile możemy być tego pewni? - zapytał wiceadmirał Alistair McFarland z Marynarki Republiki, dowódca 21. Zespołu Wydzielonego, pochodzący ze starej i zasłużonej rodziny polityków z Aotearoi. Podległe mu okręty wchodziły w skład Drugiej Floty składającej się z jednostek Marynarki Obrzeża - dwadzieścia trzy supermonitory, dwadzieścia wycofanych z rezerwy monitorów, czterdzieści cztery superdreadnoughty, piętnaście lotniskowców uderzeniowych i sześćdziesiąt trzy krążowniki liniowe.

- Na tyle, na ile możemy być, nie posiadając żadnych dowodów. Jak już mówiłem, nasze sondy nie zarejestrowały ich w ruchu. Ale możemy wnioskować, biorąc pod uwagę jedynie ich wielkość. Poza tym sam brak ruchu też jest jakimś argumentem.

- Czyli nie będą mieć „martwych pól” - odezwał się Zhaairnow. Dowodził 22. Zespołem Wydzielonym składającym się z jednostek Marynarki Unii i zgodnie z jej polityką główny nacisk kładł na myśliwce. W skład zespołu wchodziło szesnaście supermonitorów (większość lotniskowcowych), trzydzieści siedem superdreadnoughtów, dwadzieścia lotniskowców uderzeniowych, trzynaście lotniskowców floty i pięćdziesiąt sześć krążowników liniowych. Jak zwykle myślał przede wszystkim o wykorzystaniu myśliwców, których taktyka polegała na ataku od rufy, spod napędów, gdzie nie dało się zastosować przeciwko nim systemów obrony przeciwlotniczej.

- Tak, to prawda. Ale każdy kij ma dwa końce. W porównaniu z naszymi okrętami będą wyjątkowo niemrawi. Mam wrażenie, że nie przesadzę, porównując ich możliwości manewrowe do fortów orbitalnych. Nie zmienia to faktu, że już na samym początku spotkamy się z bardzo silnym ostrzałem z ich strony. Ale kiedy już je minimy, przestaną być problemem. - Koleszar obawiał się, że na żywo będzie to trochę trudniejsze.

Dlaczego obcy - do diabła, już dawno powinniśmy wymyślić dla nich jakąś lepszą nazwę! - mieliby się trudzić rozbieraniem na części statków pokoleniowych i składaniem z nich okrętów bojowych, których możliwości były ledwie minimalnie większe? Tak samo pozostawały nieruchomo na orbicie i raziły potężnymi salwami rakiet dalekiego zasięgu - czy to im się opłacało? Okręty obrony systemowej powinny być nieco bardziej ruchliwe niż statki pokoleniowe, nawet te najmniejsze. A tymczasem z perspektywy kogoś, kto wykorzystuje współczesne napędy, różnice w ich możliwościach można było pominąć milczeniem.

- Niezależnie od naszych dywagacji - wrócił do prelekcji, zmieniając jednocześnie temat - znamy ich dokładne pozycje, podobnie jak położenie pól minowych i boi laserowych wokół warpa. Udało nam się również potwierdzić posiadanie przez obcych myśliwców uderzeniowych.

Ta wiadomość nie wywołała gwałtownej reakcji. Już wcześniej byli o tym przekonani, choć nie mieli żadnych dowodów. Nikt nie wiedział również, ile jednostek może się znaleźć na okrętach obrony systemu.

- Ustaliliśmy również położenie głównych stoczni obcych. To ostatnie zadanie było wyjątkowo proste dla sond ze względu na nadzwyczajnie wysoki poziom promieniowania neutrino. I na tym opieramy naszą strategię.

- Dziękuję, komandorze. - Cyrus Waldeck ponownie znalazł się na podwyższeniu. - Teraz poproszę szefa sztabu o zreferowanie planowanej strategii.

Kapitan Julia Monetti podniosła się z fotela i zajęła miejsce obok Cyrusa. Sala z ulgą zareagowała na jej decyzję, by usunąć z wyświetlacza monumentalny okręt wroga. Zamiast



niego pojawił się schemat czegoś, co każdy znał na pamięć - systemu Bellerophon.

Dwuwymiarowy ekran wystarczał do pokazania systemu planetarnego, bo warpy (z powodów równie niezgłębionych jak i cała ich natura) zawsze występowały na tej samej płaszczyźnie ekliptyki co orbity planetarne. Słońce systemu Bellerophon oznaczono złotą kropką w centrum. Zorientowanie całości było czysto umowne, a warp, przez który mieli się dostać z Astrii do systemu, otoczony był na schemacie fioletową obwódką - znalazł się dokładnie poniżej słońca, na godzinie szóstej, jak ludzie zwykli wyjaśniać kierunek obiektów, mniej więcej w połowie drogi do dolnej krawędzi ekranu. Trzy pozostałe fioletowe kółka znajdowały się na godzinie trzeciej, dziesiątej i jedenastej, w różnych odległościach od pierwszego. Orbity planetarne zaznaczono z kolei jako niebieskie, koncentryczne okręgi, w których centrum znajdowało się słońce. Jeden z nich, wskazujący położenie bogatego w minerały i rudę pasa asteroidów, został zakreskowany; okrążał centralną gwiazdę przy średniej odległości od centrum systemu około dwudziestu dwóch minut świetlnych, obejmując też wszystkie warpy systemu. Dwie minuty bliżej w kierunku centrum i cztery minuty świetlne od warpa łączącego Bellerophona z Astrią zaczynało się brązowe pole. Był to nowy element, który dopiero niedawno znalazł swoje miejsce na schemacie, a reprezentował limit Desai, czyli granicę, poza którą napędy Desai nie mogły funkcjonować.

- Zgodnie z danymi zebranymi przez sondy - rozpoczęła Monetti - uważamy, że mamy realną szansę, by dostać się do systemu. Szczególnie informacje o rozmieszczeniu pól minowych i boi dają nam możliwość skutecznego zastosowania nowych Ambammów. - Rozległ się szum aprobaty. Udoskonalone Ambammy były teraz lepiej chronione i większe. Od jakiegoś czasu dostarczano je w ilościach hurtowych, bo Waldeck konsekwentnie odmawiał nawet rozmowy na temat rozpoczęcia ofensywy, zanim nie zgromadzą tyłu, by móc skutecznie zlikwidować pola minowe wroga.

- Kiedy uda nam się odsunąć nieco od wylotu warpa, wykorzystamy naszą główną przewagę technologiczną, czyli napędy Desai.

- Ale on przecież znajduje się w granicach limitu Desai lokalnego słońca - zaprotestował głos z sali. - Jeszcze gorzej wygląda Bellerophon, ledwie siedem minut od gwiazdy.

- Sama planeta nie znajduje się na naszej liście celów - Monetti dotknęła sterownika podium i w pasie asteroidów pojawiło się migoczące światełko, mniej więcej na godzinie czwartej. - Tutaj znajduje się najważniejsza stocznia obcych, choć precyzyjniej byłoby powiedzieć, że tutaj będzie się znajdowała w chwili, kiedy rozpocznie się atak. Zamierzamy ją zniszczyć.

- Szczegółowe dane znajdziecie w chipach, które otrzymaliście wcześniej.

Przygotowujemy specjalną grupę uderzeniową, której podstawą stanie się Grupa Wydzielona 21.4 - za plecami McFarland wyprostowała się wiceadmirał Aline M'puta.

Dowodziła ośmioma lotniskowcami uderzeniowymi Marynarki Federacji, ich eskortą w sile trzynastu krążowników liniowych oraz grupą ciężkich i lekkich krążowników, które z racji wieku i tonażu nie mogły być uznane za okręty liniowe.

- Zostanie ona wzmocniona jednostkami Unii z 22. Zespołu Wydzielonego. Kieł Zhaairnow zdecydował, że będą to jedynie lotniskowce i krążowniki liniowe eskorty. Jak sami państwo możecie wywnioskować z przedstawionego składu, największy nacisk położyliśmy na prędkość. To ma być grupa szturmowa. Kiedy cięższe, ale jednocześnie mniej mobilne jednostki liniowe zabezpieczą warpa i okolice, admirał M'puta ruszy kursem na obrzeże systemu, aż znajdzie się poza granicą limitu Desai. Następnie, korzystając już z tego napędu, ruszy w kierunku stoczni znajdujących się także poza granicami limitu i zniszczy je, ograniczając możliwości remontowe wroga. Następnie opuści system, chyba że uda nam się utrzymać tam przyczółek. Musimy być bardzo elastyczni.

- Na ostatnim odcinku powrotu do warpa prowadzącego do Astrii będziemy pozbawieni przewagi, jaką dawał nam wcześniej napęd Desai, a na dodatek obcy będą wiedzieli, dokąd zmierzamy. - M'puta mówiła spokojnie i z namysłem.

Jak wszyscy dowodzący lotniskowcami, ona też była wcześniej pilotem myśliwca, choć w przeciwieństwie do większości przedstawicieli tej profesji nie była skora do nadmiernej pewności siebie, co stało się też powodem, dla którego Waldeck wyznaczył właśnie ją do wykonania misji.

- To prawda, ma'am. Może się przez to okazać, że powrót do Astrii będzie dla pani grupy niewykonalny. Ale przygotowaliśmy plan awaryjny na taką ewentualność. - Monetti ponownie dotknęła konsoli sterującej i momentalnie zamrugało fioletowe kółko na godzinie trzeciej. - Warp prowadzący do Pegasus jest poza polem limitu Desai: dwadzieścia dwie minuty od słońca, gwoli dokładności. I tuż poza pasem asteroidów, w którym będziecie się poruszać. Jeśli uzna pani, że wróg uniemożliwił wam powrót do Astrii, będzie mogła pani dostać się do Pegasus, nie rezygnując z napędów Desai.

- A co potem? - zapytała M'puta spokojnym głosem.

- Będzie pani podejmowała decyzje na bieżąco, na podstawie sytuacji panującej poza Bellerophonem, bo niestety my żadnymi danymi na ten temat nie dysponujemy. Głównym celem będzie wzmocnienie sił Obrzeża, które wciąż muszą się tam znajdować. - Raczej jeśli jakieś tam się jeszcze ostały, pomyślała M'puta, ale nie powiedziała tego głośno. - Przekaze im też pani wiadomość, która bez wątpienia podniesie wszystkich na duchu - że nie

zapomnieliśmy o nich.

Cyrus Waldeck przyglądał się ciemnej twarzy pani admirał, czekając na jej reakcję, bo takie zadania zazwyczaj rozpoczynali od doboru ochotników. Nic takiego się nie stało, a M'puta zachowywała charakterystyczne dla siebie opanowanie. Nie musiał natomiast patrzeć na Zhaairnowa, by wiedzieć, że ten był z kolei gotów zgłosić się natychmiast do udziału w rajdzie przez Bellerophon i potem dalej, w nieznane, nawet gdyby oznaczało to oddanie się pod rozkazy kontradmirał. Waldeck nie miał najmniejszego zamiaru zgadzać się na takie rozwiązanie, bo jego miejsce widział przy Drugiej Flocie. Zhaairnow będzie musiał wskazać innego oriońskiego oficera Marynarki Unii do tego zadania, które idealnie wpisywało się w kodeks honorowy *Zheerlikou'valkhannaiee*. (Waldeck nie był pierwszym człowiekiem, który cieszył się, że Chanat znajdował się w Konstelacji Oriona, zgodnie z nomenklaturą z Ziemi, bo dzięki temu mógł używać przymiotnika „orioński”, nie łamiąc sobie języka.)

Tak naprawdę Waldeck już wcześniej zaplanował wszystko w ten sposób. Legendarne umiejętności oriońskich pilotów, którzy myśliwce kochali nad życie, pozwalały zwiększyć szanse powodzenia misji. A jeśli grupa uderzeniowa będzie zmuszona uciekać do systemu Pegasus, co osobiście uważał za bardzo prawdopodobne, pojawiał się jeszcze jeden argument, by w jej skład weszły jednostki Marynarki Unii dowodzone przez Kociambrów. Niech wszyscy, którzy pozostali w łańcuchu, dowiedzą się, ile narodów i ras bierze udział w akcji ratunkowej.

Dołączenie okrętów Marynarki Republiki jeszcze wzmocniłoby efekt, lecz na ten krok się nie zdecydował. I miał usprawiedliwienie: Marynarka Republiki największy nacisk w swojej strategii kładła na okręty liniowe, a znacznie mniejszy na operacje z lotniskowcami. Ale w głębi duszy wiedział, że tylko szukał wymówki.

W niektórych bardzo szczęśliwych przypadkach kuracje antystarzeniowe wywoływały skutek uboczny polegający na zintensyfikowaniu dobrych cech danego człowieka. W przypadku Cyrusa Waldecka cechą taką była bezwzględna uczciwość w ocenie swojej osoby. Również teraz nie zamierzał się oszukiwać. Wiedział, że wciąż ma bardzo mieszane uczucia odnośnie do udziału Marynarki Republiki w Drugiej Flocie. Nie pomagała też osoba, która nimi dowodziła - córka Li Han. Wiedział, co czuje, i starał się, jak mógł, by to zwalczyć, ale jednocześnie nie mógł zaprzeczyć, że jeszcze mu się nie udało.

Pomyślał, że w pewien sposób udało mu się odnieść pierwsze zwycięstwo nad sobą, bo nie wysłał supermonitorów Li Magdy w pierwszej fali, co naraziłoby je na największe niebezpieczeństwo. Miały się tam znaleźć w jednym z wielu kolejnych rzutów, kiedy ich silnie zróżnicowane uzbrojenie mogło się okazać najbardziej przydatne. Nikt nie wiedział

przecież, jak rozwinię się sytuacja w systemie Bellerophon.

- Dziękuję, kapitan Monetti. - Wstał i poczekał, aż Julia Monetti zejdzie z podium. - Proszę dokładnie się zapoznać z przekazanymi danymi. Pytania i komentarze proszę kierować do kapitan Monetti, by zdążyła przygotować odpowiedzi na ostatnie spotkanie. Kluczową sprawą jest trzymanie się harmonogramu, gdyż został on opracowany zgodnie z optymalnym położeniem stoczni wroga względem warpów. Czy macie państwo jakieś pytania, zanim się rozejdziemy?

Nie było żadnych. Każdy najpierw chciał się zapoznać z danymi. Waldeck spojrzał na Li Magdę, ale ona też nie miała pytań. Ale była bardzo zamyślona.

\* \* \*

Trzecia bitwa o Bellerophon rozpoczęła się bezprecedensowym, zmasowanym tranzytem Ambammów. Zaprogramowane zostały zgodnie z danymi wywiadowczymi, dzięki czemu gęste pola minowe i liczne boje energetyczne w większej części zostały unicestwione, jakby ktoś wypalił je potężnym miotaczem ognia. Równocześnie z kolejnymi falami Ambammów tranzyt rozpoczęły *Hawki*. Ich celność i niespotykana dotąd liczebność umożliwiły zadanie ciosu, który wyraźnie odczuły gigantyczne jednostki obrony systemu.

Dopiero po takim otwarciu do tranzytu przystąpiły jednostki liniowe obsadzone załogami, dostając się w przestrzeń, którą jeszcze chwilę temu wstrząsały niszczycielskie rozbłyski energii. Tym razem Waldeck zdecydował się na inną taktykę. W pierwszych falach ataku znalazły się monitory i różne odmiany supermonitorów, włącznie ze sporą grupą lotniskowcowych jednostek Marynarki Unii. Wysłanie lotniskowców wciąż niosło ze sobą duże ryzyko, jednak koniec końców piloci z Oriona dostali rozkaz, na który tak bardzo czekali, gdy z gigantycznych jednostek wroga, z których każda mogła pomieścić co najmniej czterysta maszyn, wystartowały chmary myśliwców. Pilotowały je stworzenia, które, o czym Kociambry nie miały pojęcia, traktowały śmierć jako przejściową niewygodę.

Piloci Obrzeża i Unii dostali nowe myśliwce przewagi kosmicznej, które umożliwiały atak raketami przeciwlotniczymi z dużo większej odległości niż wcześniejsze modele przy jednoczesnym wsparciu ogniowym prowadzonym przez obronę przeciwlotniczą supermonitorów. Maszyny wroga, które przetrwały ostrzał, kiedy tylko znalazły się w odpowiednio małej odległości, zostały powitane nawałnicą wirujących metalowych ostrzy wystrzeliwanych z działek systemu *flechette*. Przez wszystkie kanały łączności przetoczył się mrozący krew w żyłach ryk tryumfu Kociambrow.

W tym samym czasie jednostki broniące wstępu do systemu - nowe, ciężkie

superdreadnoughty, wielkością przewyższające starsze okręty tej klasy, lecz ustępujące jeszcze monitorom, zaczęły się zbliżać i synchronizować ogień, zarzucając napastników kolejnymi salwami z okrętów obrony systemu. Przestrzeń wokół wylotu warpa szybko zamieniła się w cmentarzysko pełne dogorywających jednostek obu stron.

Lecz nawet pośród największego zniszczenia i chaosu automatyczne sensory okrętów Drugiej Floty z obojętnością nieosiągalną dla ich żywych załóg zbierały informacje. Nie zmniejszał się też ruch kapsuł, którymi zgromadzone dane trafiały do analityków Cyrusa Waldecka.

Kiedy ustąpił początkowy szok i zaskoczenie atakiem, a tajemniczy obcy zaczęli się zlatywać z całego systemu, kapsuły przyniosły Waldeckowi dwie złe wiadomości.

\* \* \*

(W końcu.) Walka, której Torhok tak pożądał, przysłała do niego sama. Początek ataku z Astrii sprawił, że ekran jego stanowiska rozświetlił się sygnaturami pojawiających się okrętów i obrazami kolejnych eksplozji, rozrzucających szczątki atakujących i broniących przejścia. Spojrzał w kierunku oficera łącznościowego i odezwał się cichym głosem:

- Wezwij na pomoc jednostki obrony systemowej i wszystkie, które są dostępne. - Zacisnął macki i przyglądał się jednostkom obcych. (Oczekiwanie.)

- Iakkucie.

- Tak jest, sir. - Drugi oficer poruszył się w swojej niszy, dając znać *selnarm* i głosem, że jest gotów, lecz nawet na chwilę nie oderwał się od ekranu swego stanowiska.

- Chyba już czas pokazać tym stworzeniom niespodziankę, którą dla nich przygotowaliśmy.

(Oczekiwanie. Wola walki. Żądza krwi.)

\* \* \*

Cyrus Waldeck sam poczuł się zaskoczony spokojem swojego głosu.

- A więc mają napędy Desai?

- Oni pewnie inaczej je nazywają... - zaczął komandor Lester Jardine, oficer odpowiedzialny za rozpoznanie. Nathan Koleszar spojrział na niego w milczeniu. Jardine był ekspertem w swojej dziedzinie, lecz gdy szło o kontakty międzyludzkie, wykazywał się całkowitym brakiem zrozumienia ich reguł. Koleszar przypomniał sobie słowo „oszołom”, które znał z literatury historycznej o Ziemi.

- Tak jest, sir. - Koleszar przejął raportowanie. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości,

od kiedy zaczęli ściągać posiłki z innych miejsc w obrębie systemu, w tym również jednostki strzegące wcześniej warpa do Pegasusu. - Mówiąc to, zaprezentował odczyty prędkości, z jakimi poruszały się te okręty. - Oczywiście - dodał, mając nadzieję, że nie brzmi przez to jak Jardine - dzięki temu obrona warpa do Pegasusu będzie silnie osłabiona, zwiększając prawdopodobieństwo powodzenia odwrotu admirała M'puty.

- Dobrze - mruknął Waldeck, bardziej do siebie niż do swoich oficerów. - Szkoda tylko, że misja admirała M'puty nie wchodzi w obecnej sytuacji w rachubę. Założenie, na którym oparliśmy ten pomysł, okazało się z gruntu błędne.

Koleszar głośno przełknął ślinę.

- Tak jest, sir... jest jeszcze coś.

- Coś jeszcze?

- Ich jednostki obrony systemowej ruszyły z miejsca. Analizując charakterystykę ruchu, należy przyjąć, że kolejne z naszych kluczowych założeń było błędne. Te okręty nie korzystają z napędów Behemotów.

- A z jakich?

- Już wyjaśniam, sir. Maksymalna prędkość, którą osiągają, jest zaledwie nieco większa niż połowa maksymalnej prędkości supermonitorów... tyle że osiągają ją w jednej chwili. W jakiś sposób udało im się zastosować normalne napędy w tych potworach. Idąc dalej, z danych, które zebraliśmy do tej pory, wynika, że są nie tylko powolne, ale i wyjątkowo niesterowne. Zawrócenie nimi musi być niezłym wyzwaniem.

Waldeck nie słuchał go. Zamrugnął powiekami, by zyskać na czasie.

Odezwał się dopiero wtedy, kiedy pierwszy szok minął, a z jego głosu przebijała charakterystyczna rzeczowość granicząca z oschłością.

- Komandorze, natychmiast zatrzymać tranzyt kolejnych jednostek. Wszystkie okręty znajdujące się w systemie Bellerophon mają rozpocząć odwrót do Astrii natychmiast, gdy zbiorą swoje myśliwce. Powiadomić admirała M'putę o wstrzymaniu akcji. - Po czym dodał łagodniejszym tonem: - Jej dzień w końcu nadejdzie. Ale dziś nie mam zamiaru poświęcać jednostek tak delikatnych jak te pod jej dowództwem na walkę w warunkach zbyt ciężkich nawet dla supermonitorów.

- Tak jest, sir. Hm... admirałe, większość jednostek pierwszej fali uderzenia została poważnie uszkodzona.

- W takim razie niech wracają jako pierwsze, osłaniane przez jednostki, które dokonały tranzytu na samym końcu. Kto ostatni atakował?

- Admirał Li, sir.

- Dobrze. - Waldeck odezwał się po chwili wahania tak krótkiej, że mało kto to zauważył.  
- Będą musieli sobie poradzić. Przygotować kapsuły kurierskie z rozkazem dla admirała Li, że od teraz jest odpowiedzialna za wyprowadzenie naszych jednostek z systemu Bellerophon.

\* \* \*

Niewielki myśliwiec Eraphisa został dozbrojony po powrocie z drugiej strony warpa i przydzielony jako rezerwa do jednego z gigantycznych okrętów obrony systemowej, czego pilot szczerze żałował.

(Radość.) Była jego odpowiedzią na wezwanie, które nadeszło z okrętu dowodzenia. Dzięki nowym silnikom istniała realna szansa, że mimo odległości zdążą wziąć jeszcze udział w walce.

Skupił wzrok na ekranie i skierował maszynę w stronę odległej bitwy. Cudownie się czuł, pilotując swoje maleństwo.

- Znów mruczysz coś pod nosem - warknął Seht, gdy zbliżyli się do myśliwców *griarfeksh*, wycofujących się na lotniskowce.

- Nieprawda - odpowiedział mechanicznie, zaciskając pięści na manetkach. Obraz na wyświetlaczu zawirował, a on zagłębił się w żelu, który nie dawał dostatecznego oparcia. Myśliwiec obcych tańczył przed nim jak mucha *kreevix*. Poczul drżenie, kiedy Seht odpalił pociski. (Dziki zachwyty.)

- Wprowadzasz chaos, idioto - zganiał go Seht (Sympatia.)

- Nieprawda. - Wszystkie myśliwce wroga zniknęły. (Rozczarowanie.)

\* \* \*

Atak myśliwców bardzo osłabił, a okręty obrony systemowej odpaliły na pożegnanie jeszcze kilka salw. Jednostki Drugiej Floty zebrały swoje maszyny i nie zezwalały na dalsze starty, na które po prostu nie było już czasu. Wszystkie wycofywały się w stronę warpa i bezpiecznej Astrii w tempie najwolniejszych jednostek... Niektóre były naprawdę wolne, bo miały uszkodzone napędy, a Li Magda nie chciała nikogo zostawić na pastwę obcych.

To silne postanowienie właśnie zostało wystawione na próbę, bo na ekranie taktycznym pomostu flagowego TRNS *Implacable* zobaczyła czerwoną linię symboli obcych jednostek idących kursem odcinającym im drogę.

Na szczęście okręty obrony systemowej nie miały najmniejszych szans, by ruszyć za nimi w pościg, choć cały czas mogły ich razić ogniem rakietowym, z czego skwapliwie korzystały. Problem stanowiły natomiast nowe jednostki wroga, które usiłowały odciąć ich od warpa.

Choć wielkością bliższe były monitorom, osiągały prędkość superdreadnoughtów. Każdy z osobna niewiele znaczyłby w starciu z supermonitorem, takim jak choćby jej jednostka klasy *Impregnable*, którą dowodziła Li Magda. Ale ich liczbę równoważyły niedostatki w sile ognia. Zbliżały się, osłaniane parasolem rakiet z innych okrętów, angażujących systemy obrony przeciwrakietowej supermonitorów i nadwerężając ich pancerze i tarcze.

- Komandorze de Chaleins - wywołała szefa sztabu. - Proszę przekazać wszystkim, żeby ogień rakietowy skupili na zbliżających się okrętach wroga, a my w tym czasie zmienimy kurs. - Uniosła urządzenie przypominające różdżkę, a zielona linia reprezentująca ich kurs na ekranie taktycznym gwałtownie zakreśliła w kierunku warpa.

De Chaleins zamarł. Był potomkiem arystokratycznego rodu z planety Lancelot i wykazywał się silnie tłumioną skłonnością do raptowności. Tyle że to, co zobaczył, zaskoczyło nawet jego.

- Taki manewr oczywiście skraca nam znacząco drogę do warpa, jednak ogranicza też możliwość obrony pozostałych jednostek, ma'am.

- Tak czy inaczej, wykonać, komandorze - powiedziała, a potem wyjaśniła: - Chcę, żeby sądzili, że jesteśmy uzbrojeni przede wszystkim w pociski rakietowe i walczymy o jak najdłuższe utrzymanie dystansu pozwalającego na ich odpalenie. Logiczną konsekwencją będzie ich próba skrócenia tego dystansu. Kiedy znajdą się w zasięgu broni energetycznej, zaatakujemy ich wszystkim, co mamy, z wyjątkiem torped. Te odpalimy dopiero na mój wyraźny rozkaz.

W oczach de Chaleinsa pojawił się błysk zrozumienia.

- Tak jest, ma'am!

Li Magda zdążyła już o nim zapomnieć i wpatrywała się w skupieniu w ekran taktyczny. Cóż, ryzykowała. Jeśli się nie uda, okręty wroga wpadną między zmęczone i okaleczone jednostki, których miała bronić. Ale jeśli się uda, będzie miała dla wroga niespodziankę - nowość technologiczną, o której wolałby się dowiedzieć w inny sposób.

Klasa *Impregnable* była najnowszą generacją supermonitorów Republiki. Została wyposażona w ciężkie baterie nowoczesnych torped, którymi zastąpiono większość popularnych wcześniej dział energetycznych i część wyrzutni rakiet, bo nowa broń łączyła w sobie zalety ich obu.

Torpeda energetyczna składała się z plazmy utrzymywanej w temperaturze zbliżonej do temperatury syntezy jądrowej, zamkniętej w polu siłowym. Była to broń niekierowana, krótkiego zasięgu, wystrzeliana z prędkością bliską prędkości światła. Maksymalny skuteczny zasięg był niewiele większy od zasięgu standardowych rakiet, choć między Bogiem



a prawdą szansa trafienia czegokolwiek poruszającego się z prędkością bojową w takim oddaleniu graniczyła z niemożliwością. Przeciwnik również mógł ją przechwycić, jednak tylko, gdy wystrzeliana była z odległości przekraczającej dziewięć sekund świetlnych, bo inaczej obrona przeciwrakietowa nie miała nawet szans namierzyć kawałka materii pędzącego z prędkością bliską prędkości światła. Na mniejszych dystansach były nie do zatrzymania. Miały też jeszcze jedną ciekawą cechę...

- Komandorze de Chaleins. - Li Magda musiała przekrzykiwać przybierający coraz bardziej na sile huk, w miarę jak zwiększała się intensywność ognia. - Poprawka do ostatniego rozkazu. Kiedy wydam polecenie odpalenia torped, ma to być ogień ciągły.

- Tak jest, ma'am. - Szef sztabu potwierdził przyjęcie rozkazu po chwili ciszy. Li Magda wychwyciła to i zrozumiała. Znała potencjalne następstwa wystrzelenia torped energetycznych z prędkością dwukrotnie większą niż standardowa.

- Pojmuję pana troskę, komandorze - rzekła. - Ale to, czy spalimy kondensatory, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. Walka będzie bardzo krótka i skończy się, jeszcze zanim się na dobre rozkręci. Wóz albo przewóz. Proszę rozesłać rozkazy.

- Aye, aye, ma'am.

Li Magda nie odrywała wzroku od zielonych i czerwonych symboli na ekranie taktycznym. Wsłuchiwała się też w coraz szybciej napływające raporty o uszkodzeniach jej jednostek, które robiły, co mogły, by odpowiedzieć na kolejne salwy wroga. Obcy musieli się zapewne zastanawiać, dlaczego ta odpowiedź była tak słaba, skoro swoim zachowaniem te umykające okręty sugerowały, że rakiety są ich podstawowym uzbrojeniem.

Potem rozległ się sygnał informujący, że obie grupy jednostek znalazły się w zasięgu skutecznego działania broni energetycznej. Coraz silniejsze wstrząsy kadłuba i strumień raportów o uszkodzeniach były znakiem, że wróg wprowadził do boju swoją broń energetyczną - w zdecydowanej większości były to, zgodnie z założeniami, beamery. Teraz już nie mogli mieć wątpliwości, że doganiają jednostki rakietowe, bo odpowiedź z pokładowych beamerów była bardzo słaba. Wróg rzucił się na okręty Li Magdy, jakby chciał je wypatroszyć.

Jeszcze chwilę, pomyślała, a huk zamieni się w grzmot.

\* \* \*

*Indomitable* zakołysał się, rzucając o ściany i przewracając członków ekip naprawczych, którzy pośród dymu usiłowali zabezpieczyć uszkodzenia powstałe po ostatniej salwie pocisków wroga. Kapitan Fergus Thorsen zawisł na szelkach utrzymujących go w fotelu.

Pochodził z Beauforta, o czym świadczyła budowa jego ciała, efekt grawitacji dużo wyższej niż ziemski. Ale nawet on znalazł się na granicy utraty przytomności. Mało brakowało, a poddałby się ciemności, lecz nie odpłynął, kurczowo trzymając się skręcanego i rozrywanego metalu, gdy wiązki energetyczne wroga penetrowały jego statek pozbawiony osłon pól siłowych.

Kiedy uruchomiły się kompensatory inercyjne i uspokoiły kadłub okrętu, z podłogi podniósł się pierwszy oficer i spojrzał na niego. Komandor Rafael Gravina miał zmiażdżone prawe ramię i poszarzałą twarz, ale płomień w jego oczach nie zgasł nawet na chwilę.

- Kapitanie - ryknął, przekrzykując hałas - stanowiska ogniowe meldują, że lada chwila stracimy zdolność odpalenia torped energetycznych. Musimy ich użyć teraz, póki to jeszcze możliwe!

- Odmawiam! - odrzyknął Thorsen. - Dostaliśmy bardzo jednoznaczne rozkazy, żeby odpalić je jedynie na sygnał admirał Li.

- Za pozwoleniem, kapitanie! Nic poza nimi nam nie zostało! Nie możemy pozwolić, żeby rozerwali nasz okręt na strzepy, podczas gdy jeszcze możemy się bronić! - Ogień w oczach Graviny zamienił się w coś, czego Thorsen nigdy nie spodziewałby się zobaczyć. - Kapitanie, nalegam...

Od kiedy abordaże prowadzone w czasie wojny thebańskiej okazały się całkowitym zaskoczeniem dla nieprzygotowanej Marynarki Federacji Ziemskiej, osobiste miotacze laserów stały się obowiązkowym wyposażeniem każdego członka załogi. Ręka Thorsena powędrowała wymownym gestem na kolbę pistoletu i zatrzymała się.

- Komandorze, starczy już! Będziemy postępować zgodnie z rozkazami. Zabraniam odpalenia torped energetycznych. Zrozumiano?

Żaden z nich nie odwrócił wzroku, a Thorsen odniósł wrażenie, że zdławił bunt w podkomendnym, zanim ten na dobre się zaczął.

Chwilę później nie miało to już żadnego znaczenia, bo wiązka beamera przeszła pomost.

\* \* \*

- Kod Omega z *Indomitable*, ma'am. - De Chaleins starał się przekrzyknąć huk.

- Jeszcze chwilę - odpowiedziała admirał, walcząc ze smutkiem po śmierci załogi supermonitora. Żeby wziąć się w garść, pomyślała o jednostkach Unii i Federacji, które wdarły się do systemu z pierwszymi falami ataku, a teraz rozpoczynały tranzyt przez warpa, by ratować swoją skórę. I wpatrywała się w kolorową mieszankę symboli na ekranie.

- Pani admirał...!

- Już prawie. - Nagle poczuła dziwną bliskość mentalną z obcymi, której natężenie się zwiększało, w miarę jak byli coraz bliżej. Co za stworzenia dowodzą tymi okrętami? - Czy wszystkie jednostki gotowe?

- Tak jest, ma'am.

- Chwila - mówiąc to, obserwowała ekran, na którym czerwone „wrogie” symbole przekroczyły niewidzialną linię, którą dla nich wyznaczyła. - W takim razie można rozpocząć ostrzał torpedami energetycznymi... teraz!

Większość rodzajów broni energetycznych jest całkowicie niewidoczna w przestrzeni kosmicznej. Inaczej sprawa się miała z porcjami rozgrzanej do białości plazmy, którą wystrzeliły wszystkie supermonitory Republiki - efekt był oślepiający. Dodając do tego ich prędkość, wyglądały jak przemieszczające się przez próżnię błyskawice - migające światło wyrzucane z taką prędkością i w takich ilościach, że nie mogło to trwać długo.

Nawet jeśli Arduanie wiedzieli lub domyślali się, z czym mają do czynienia, nie mogli nic zrobić, by przechwycić świecąca śmierć, która zmierzała w ich kierunku z odległości mniejszej niż dziewięć sekund świetlnych. Kiedy torpedy docierały do celu, a zdecydowanej większości się to udało, uderzały z potężną siłą eksplodującej główicy z antymaterią.

Generatory pól siłowych obcych zresetowały się i zniknęły, pancerze wyparowały, a potężne ciężkie superdreadnoughty eksplodowały w błysku wielu wtórnych eksplozji, zamieniając okolicę w morze piekielnego ognia. Osłabło nawet natężenie ostrzału z odległych jednostek obrony systemu, jakby dosięgnęła je fala uderzeniowa tego, czego właśnie stały się świadkami.

- Zawracają! - wrzasnął de Chaleins. - Uciekają!

- Widzę - odparła Li Magda głosem słabym z wyczerpania. Czytała raporty sugerujące, że obcy nie boją się śmierci. Jak się okazało, reagowali na straty.

- Zawracamy, komandorze - zarządziła, prostując się w fotelu. Później będzie czas na zmęczenie, pomyślała. - Wracamy jako ostatni.

\* \* \*

Cyrus Waldeck przyglądał się z ponurą miną, jak ostatnie jednostki Marynarki Unii i Marynarki Federacji dokonują tranzytu. Zaraz potem pojawiły się okręty Republiki, dzięki którym w ogóle miały szansę na powrót.

Walczył z rozczarowaniem. Po raz kolejny nie udało się osiągnąć celu... ale zebrali chociaż bezcenne informacje o tajemniczych przybyszach. I chociaż wyjątkowo trudno było oszacować straty wroga, który utrzymał system, tym razem można było założyć, że stracił

tyle samo co oni.

- To był ostatni okręt, sir - zameldował Nathan Koleszar. - *Implacable* dowodzony przez admirał Li.

- A tak, tak. Proszę nawiązać z nimi kontakt. Chciałbym osobiście z nią porozmawiać.

Admirał Li. Przypomniał sobie o wątpliwościach, jakie nim targały, kiedy dowiedział się, że ktoś o takim nazwisku miałby zasilić szeregi Drugiej Floty. Ale z czasem było mu coraz trudniej sobie przypomnieć, jakie to uczucie.

## ROZDZIAŁ XXI

### SZTUKA JEST ALBO ODTWÓRCZA, ALBO REWOLUCYJNA

Ankaht otworzyła okno i wychyliła się na zewnątrz, pozwalając, by delikatny wiatr i deszcz przepędziły mentalny zaduch. To ją odświeżyło, ale nie miało wielkiego wpływu na spokój ducha, a na dodatek wpuszczało deszcz do jej biura. Zamknęła okno i podeszła do fotela przy biurku, nie zwracając uwagi na drobne krople wody perlące się na jej skórze.

Tak naprawdę to nie był wielki deszcz. Ot, mżawka, przekonywała siebie. Z czasem zdążyła przywyknąć do takich subtelnych niewygód życia na planecie. Polubiła to miejsce, zupełnie szczerze, ale nie potrafiła przestać myśleć, że i tak nigdy nie będzie jej domem. Musiała poczekać na kolejne życie i kolejne narodziny, by nazwać tak to miejsce. Nie chciała ponownie skończyć na ciasnym statku. Nie potrafiła jeszcze znaleźć ukojenia. Było, jak było. Niewiele mogła zrobić. Deszcz na zewnątrz stał się bardziej gwałtowny. Chmury zaczęły się szybciej przesuwać w dół ulicy, zmywając łaskawie kurz z roślin, które były ładne, choć w niewłaściwym odcieniu *herrm*.

Przypadki chorób psychicznych w gronach miejskich zdarzały się coraz rzadziej, a wszyscy zaczęli się przyzwyczajać do nieprzewidywalności pogody i niezmienności grawitacji. Niestety, nie skończyły się ataki ze strony tubylców, i to mimo wysiłków Rady, by ich zniechęcić. Obserwując, jak rozwija się sytuacja i jak zachowują się tubylcy, dochodziła powoli do wniosku, że śmierć jednego z nich powoduje wzrost agresji i zapamiętałości w walce całej reszty, jakby odcieleśnienie było dla nich czymś przerażającym. Będę musiała jeszcze nad tym pomyśleć, postanowiła, ale teraz nie mam czasu. Zamknęła oczy i zaczęła masować boki głowy, starając się powstrzymać ból czający się za środkowym okiem. (Depresja.)

Mimo że obcy - nie potrafiła się zmusić, by nazywać ich jak inni *griarfeksh* - byli całkowicie niemi w wymiarze, w którym inne stworzenia posługiwały się *selnarm*, doszła do

przekonania, że tak naprawdę dysponują inteligencją i że warto podejmować próby porozumienia się z nimi. Gdyby tylko Torhok, Urkhot i ich poplecznicy nie byli tak silni w Radzie, można by powalczyć o bardziej stonowane podejście. (Wyczerpanie wewnętrzne.)

Bez pokoju, który musiałby zapanować między rasą a stworzeniami zamieszkującymi pierwotnie tę planetę, nie uda się zapewnić bezpieczeństwa dzieciom Illudora. Ten strach był narzędziem do brutalnego przekonywania wszystkich o zbędności tubylców. (Postanowienie.) Wstała z krzesła, zdecydowana, by w końcu przestać o tym wszystkim rozmyślać. Mały spacer dobrze jej zrobi, pomyślała; ucieszyła się na myśl o ciepłym deszczu spływającym po skórze.

Dzielnica, w której się znalazła, stała się bezpieczna dla Arduan już wiele tygodni temu. W dzień można było po niej spokojnie spacerować. Idąc, mijała domy, które zostały skonfiskowane. Budynki stały otwarte i puste, a deszcz wlewał się do środka. Szła, moknąc i ciesząc się z dotyku chodnika pod stopami. Zatrzymała się przy grupie drzew zasadzonych w doniczkach. Stanowiły miłą odmianę wśród domów. Pomiedzy nimi stało coś, co nie miało sensu. Nie potrafiła znaleźć dla tego zastosowania. Była to rzeźba z białego metalu przedstawiająca pasące się stworzenie z tej planety, na brzegu sadzawki powstałej w zagłębieniu przy drodze. Ankaht stała i podziwiała ją, zastanawiając się, co może ona oznaczać dla obcych.

Kolejne rzeźby tłoczyły się obok siebie, ustawione wzdłuż meandrującej linii chodnika. Z ciekawości poszła dalej. Na niewielkim głazie czał się myśliwy. Obok z kamienia wynurzało się stworzenie wodne. Ścieżka prowadziła do typowego, brzydkiego domu. Zaprojektowanego z wykorzystaniem samych prostych linii i nieprzyjemnie wyglądających kątów. Kiedy podeszła, drzwi same się przed nią otworzyły.

Niewiele brakowało, a przed wejściem do środka powstrzymałby ją widok najbrzydszego gobelinu, jaki kiedykolwiek widziała. *Vrel* przepleciony czerwienią. *Herrm* i *crivan* zdominowane pomarańczem. Z całej siły zacisnęła powieki.

Sama sień, pomijając oczywiście ten koszmarek, sprawiała przyjemne wrażenie. Sklepienie wygięte łagodnymi łukami, skąpane w różnokolorowych plamach światła. Feeria barw. Tylko po co? Czy dawni mieszkańcy uważali ten chaos, tę *ranarmata*, za uspokajający?

Przejsie dalej blokowała zamknięta skrzynia z czarno-białym wyobrażeniem dłoni, która sama się rysowała. Nie sądziłam, że znajdę tutaj *sulhaji*. Czuję *shotan*.

Trójwymiarowe obrazy były często udane, choć i one, przynajmniej w części, nie miały właściwie dobranych kolorów. Męczyło to oczy i głowę, ale wrodzona ciekawość nie pozwalała jej opuścić tego wnętrza. Skoro raz znalazłam tu *sulhaji*, może trafię na wizje

jeszcze gdzieś? Jeśli te stworzenia wykazują jakiś odpowiednik naszego *shotan*, może to oznaczać, że nie są, jak większość sądzi, szkodnikami zbędnymi na naszej nowej planecie.

Minęła zakręt i znalazła się w niewielkim, ślicznym pokoiku z grawitacyjnie zawieszonymi jedno nad drugim rzeźbionymi naczyniami przedstawiającymi różne pory roku w czasie dnia i nocy i przy różnej pogodzie. Ktoś miał świetny pomysł i ustawił je w pętli, by woda przelewająca się z misy kaskadą zasilala następną. Jak coś tak pięknego znalazło się pośród tych wszystkich brzydkich przedmiotów? Znow *sulhaji*.

Naraz poczuła dziwny niepokój, jakby ktoś krzyczał z bardzo daleka, niczym delikatny słodki powiew albo *selnarm* kogoś śpiącego lub nieprzytomnego. Ruszyła w kierunku, z którego dobiegły te dziwne wrażenia. Szła przed siebie, choć to, co wyczuwała, wcale nie zwiększało swojej mocy. W końcu znalazła się w pomieszczeniu z trzema rzeźbami zajmującymi całą długość sali. Pierwsza była niebiesko-czarną kolumną, której *shotan* stawał się coraz bardziej oczywisty, w miarę jak znajdowała się bliżej niej. Noc. Tajemnica. Niebezpieczeństwo. Trwanie.

Druga rzeźba miała identyczny kształt, jednak różniła się kolorem. Tutaj dominowały czerwienie, pomarańcze, *crivan* i biel. Wschód. Nadzieja. Ulga.

Trzecia wyniosła kolumna stanowiła połączenie bieli i *crivan*. Dzień. Rzeczywistość. Bezpieczeństwo. I odległa zapowiedź zmroku.

Nie miała pojęcia, skąd pojawiła się w niej świadomość ich przekazu. Z pewnością nie była to *selnarm*. Obróciła się i przyjrzała korytarzowi, którym się tu dostała. Pomyślała o niszach w ścianach i kolejnych salach, które mijała, i zrozumiała. Proste. Była w galerii sztuki. Zwierzęta pozbawione uczuć nie czują potrzeby tworzenia. Znalazła dowód, że dotychczasowi mieszkańcy planety nie są bezdusznymi istotami, którym bliżej do maszyn niż do mających zdolność myślenia abstrakcyjnego stworzeń. To już nie była tylko jej teoria niepoparta żadnym dowodem, z którą można się było nie zgadzać i twierdzić, że odzwierciedla jedynie jej życzeniowe myślenie. Znalazła dość *sulhaji* pośród *ranarmata*, by mieć argument nie do obalenia.

W galerii umieszczono jeszcze wiele prac. Ankaht znalazła jeszcze między innymi trzy rzeźby, które przemówiły do niej i w jakimś wymiarze mogła je odczytać, odebrać inaczej niż jedynie wzrokiem. Wśród obcych musieli być artyści, którzy posiadli zdolność mówienia, choć możliwe, że nie zdawali sobie z tego sprawy. Oni musieli widzieć prawdziwe rzeczy. I stworzyli coś, co dało jej nadzieję, że możliwe jest osiągnięcie prawdziwego porozumienia. Zapamiętała kod identyfikujący twórcę dzieła Noc, Wschód i Dzień. Jennifer Pietchkov.

\* \* \*

Światła w sali zgromadzeń Rady były przygaszone, ale znacznie bardziej przygaszone były emocje siedzących wokół stołu. Torhok powstrzymywał zniecierpliwienie, ale nie potrafił uspokoić *narmata*. Urkhot, reszta jego oficerów i wielu młodszych *'kri* wyruszyło w kierunku gwiazdy zwanej Asth na pamiątkę jednego z kontynentów na starym Ardu. Zdażali do miejsca, gdzie Narrok gromadził siły. Wyraźnie okrojony skład Rady, w której zabrakło jego popleczników, narażał go na walkę z nieprawomyślnymi pomysłami śpiących i przede wszystkim jej. *Shaxzhu* cieszyli się szacunkiem, choć wcale na to nie zasługiwali. Wysuwali pomysły, które prowadziły jedynie do śmierci kolejnych członków rasy, i bezustannie rzucali kłody pod nogi tym, którzy kroczyli prostą ścieżką *Destoshaz holodah*.

I jeszcze Narrok. On był zbyt ostrożny. Dlaczego to nie jego zabili? Z Lankhą doskonale się rozumieliśmy, pomyślał. Wciąż miał w głowie rozkołysaną *narmata* jednostek, które wtoczyły się ostatkiem sił do systemu przez warpa; część z nich była nieszczelna, część tak zniszczona, że nie opłacało się ich już naprawiać. *Destoshaz* pod wodzą Lankhi nigdy nie odważyli się kwestionować jej *sulhaji*. Albo jego.

Teraz część jego sił zdecydowała się przeciwstawić temu wszystkiemu. Czy bezmyślne stworzenia byłyby w stanie przechytrzyć doświadczoną admirał? Skąd wiedziały, jak zastawić skuteczną pułapkę?

Otrząsnął się z pytań, które mu zadawali, a na które jeszcze nie odpowiedział. W hipotezie, że obcy mogą posiadać zdolność myślenia czy świadomego odczuwania, niekoniecznie czaił się błąd. Po prostu to i tak nie czyniło ich mniej groźnymi czy niebezpiecznymi dla rasy.

Swoje miejsca zajęła Ankaht. Siedziała ze złożonymi ramionami i z niemal zamkniętymi oczyma. Wyglądała jak medytująca *'kri*. Spróbował wybadać jej *selnarm*, ale nie dał rady. Wygasiała wszystkie emocje i przekazy do minimum. Nie ufał jej.

- Radni - rozpoczął Torhok - proponuję awans Appepa na admirała i oddelegowanie go do odbudowy naszych sił w systemie Fetket. (Rozwiązanie problemu.) Zastąpi admirał Lankhę. (Delikatny żal.)

(Zgoda.) No proszę, to nie było trudne, choć nie spodziewałem się, by ktoś odważył się negocjować mój osąd *Destoshaz*. (Satysfakcja. Przygotowania.)

- Na tym chciałbym zakończyć swój udział w zgromadzeniu. (Napięcie. Oczekiwanie.)

- Chciałabym zgłosić wniosek. (Zdecydowanie.) - Ankaht przemówiła ze swojego końca stołu, powoli przesuając pazurami po blacie.



(Zainteresowanie 12, Odrzucenie 3, Obojętność 5.)

- Ostatnio trafiłam na dowód, że część obcych posiada szczątkową zdolność do komunikacji poprzez coś mocno przypominającego *selnarm*. (Podniecenie. Oczekiwanie.)

(Zainteresowanie 16, Odrzucenie 3, Obojętność 1.)

Nie, znowu te bzdury? Torhok za każdym razem miał nadzieję, że to ostatni raz. Tymczasem ona nie dawała mu wytchnienia. Ankaht podnosiła tę kwestię wciąż na nowo. Starał się powstrzymać swoją niechęć, ale nie potrafił i jego uczucia wędrowały coraz bardziej w stronę nienawiści. Już z trudem panował nad sobą, kiedy ona była w pobliżu. Była inkarnacyjną pomyłką. Ale oczywiście doskonale wiedziała, kiedy znów zgłosić ten problem, prawda? Bo brakowało wielu rozsądnie myślących członków Rady, więc nie czuła tej presji. Zacisnął zżwacze. Czuł się strasznie. Całkowicie odciął się od *selnarm*, ale coraz bardziej okazywał swój stan fizycznie.

- Starsza - powiedział delikatnie, odnosząc sukces nad emocjami. (Zainteresowanie.) - To doprawdy fascynujące. Czy to oznacza, że w końcu uda nam się w jakiś sposób porozumieć z tymi stworzeniami? (Uprzejme zainteresowanie.) - Nazwę kilku *griarfeksh* twoim imieniem i rozerwę im gardła. Siedział nieruchomo i czekał. Ręce położył na stole i zastanawiał się nad zaskakującą złośliwością tego, co przed chwilą przyszło mu do głowy. Dobrze, posunąłem się zbyt daleko. Nie mogę pozwolić, by wyprowadzała mnie z równowagi w ten sposób.

- Odkryłam, że obcy tworzą sztukę i pokazują ją publicznie. - Uczyniła ruch dłonią, wskazując dzieła ustawione pod ścianami, które kontemplowali, ilekroć dyskusja stawała się zbyt *ranarmata*.

Hachette przekazał (Odmowa.), zanim jeszcze zaczął mówić.

- Widziałem tę ich, jak to nazwałaś, sztukę. Jest niezrozumiała, podobnie jak reszta ich dzieł. Brzydkie i pozbawione ładu kupy zaschniętego gipsu. (Niezgoda.)

(Niepewność 4, Otwarcie na pomysł 15, Sprzeciw 1.)

- Może my ich nie rozumiemy. Ale ważne jest to, że w ogóle zajmują się tworzeniem sztuki! Maszyny nie czują potrzeby twórczego działania. Podobnie jak zwierzęta, które też nie tworzą sztuki. - Była tak przekonana o swojej racji, że mówiąc, aż pochyliła się w kierunku pytającego. - Chciałabym zaproponować, byśmy zebrali kilku ich artystów razem i spróbowali nawiązać z nimi kontakt. (Pewność.)

Zbyt wielu obecnych zyczliwie się pochyła nad tym bezsenssem. Po śmierci admirał Lankhi i naszej klęsce nie mam dość siły przebiccia, by wyśmiać ten pomysł. Ale przebiegły bojownik posługuje się w razie potrzeby nawet bronią przeciwnika.

- Muszę się zgodzić ze starszą - oznajmił Torhok. (Wsparcie.) - Rasa krwawi, bo nie

potrafimy zrozumieć nawet podstawowych praw kierujących postępowaniem tych dziwnych stworzeń.

(-) Jego nieoczekiwane poparcie dla pomysłu, którego dotychczas był zaciekłym wrogiem, było tak zaskakujące, że *selnarm* w pomieszczeniu niemal zamarła.

- Wierzę, że nie ma nikogo pośród Arduan, kto lepiej nadałby się do poprowadzenia tego projektu. Wszystkie swoje dotychczasowe obowiązki wykonywała z właściwą sobie starannością i na najwyższym poziomie. Niech zajmie się nimi ktoś młodszy stażem i pozycją, bo nie sądzę, żeby długo przyszło mu zastępować starszą. Jestem przekonany, że Ankaht bardzo szybko znajdzie wspólny język z obcymi. (Wsparcie. Ironiczny uśmiech.) Jestem również przekonany, że ten akt *sokhata* ze strony starszej będzie skutkował najwyższym *matsokah*. - Odsunę ją od rzeczy ważnych. Niech się zajmuje tą swoją mrzonką skazaną na niepowodzenie. I będę ją miał z głowy. W końcu. Skupiając się na tej myśli, mógł przestać blokować swój przekaz *selnarm*. (Chęć pomocy. Satisfakcja.)

- Rozważę tę propozycję. - Ankaht ostrożnie dobierała słowa. (Zaskoczenie.) - Przyznam szczerze, że nie spodziewałam się poparcia z pana strony, admirale. (?)

- To, co najważniejsze, to *sulhaji*, jasne widzenie. To nasza *narmata*. (Troska.)

(Namysł 19, Niepewność 1.)

Torhok spojrział na Mahesa, delegata Rady z Civanrock.

- Czyżbyś, przyjacielu, podejrzewał, że najbardziej zasłużona ze starszych nie poradzi sobie z tym *matsoka*? (Wiara.) - Zadbam, by już nam nie przeszkadzała.

Mahes należał do najlojalniejszych popleczników Torhoka w Radzie. Najwyraźniej był w zbyt głębokim szoku, by odpowiednio szybko zmienić zdanie i podążyć nowo wytyczoną ścieżką. (Zakłopotanie.)

- Oczywiście, że nie, admirale! Byłem niemal przekonany. Teraz już wiem na pewno. - Spojrział na Ankaht. - Wierzę, że ty, starsza, i starszy admirał macie rację. Macie oboje moje pełne wsparcie.

(Porozumienie.)

- Przyślę ci kilku *Destoshaz* do pomocy przy odłowieniu tych tak zwanych „artystów”, starsza. - Torhok zaoferował pomoc. (Przyjacielski.) Postaram się wybrać kilku młodych, nerwowo reagujących na *griarfeksh*. Oj, już oni zadbają, by badania rozpoczęły się na odpowiednim gruncie. Stłumił w sobie złośliwą satysfakcję, którą czuł, wyobrażając sobie swoją *ranarmata*, gdy będzie musiała zapanować nad zgrają kilkuset zdziczałych *griarfeksh*. (Stonowana satysfakcja.)

Wstała.

- Niech więc tak będzie. Skoro mam przed sobą nowy projekt i osiągnęliśmy porozumienie, proszę o Radę o pozwolenie na oddalenie się. (Oczekiwanie.)

- Oczywiście, starsza, masz nasze wsparcie. - Torhok wziął na siebie odpowiedzialność, której winien był udzielić Mahes. Miało to symboliczne znaczenie; nie pozwoli, by jakiegokolwiek niepowodzenia militarne umniejszały jego znaczenie. (Gotowość do rządzenia.) - Radni, chciałbym was również poinformować o nowej wyprawie do Asth. Narrok potrzebuje znacznych sił, by prowadzić ataki zgodnie ze swoją filozofią walki, a ja proponuję rozwiązanie, jak mu je dać. (Moc.)

Rozległ się delikatny trzask, kiedy drzwi zamknęły się za plecami Ankaht. Wtedy zaczął wyłuszczać swoje plany dla systemów, których pilnował Narrok. Ona niech się zabawia w niewykonalne projekty. To ją wykluczy z podejmowania decyzji. I to od zaraz.

\* \* \*

Jennifer oparła głowę na dłoni, i wsłuchując się w sygnał oczekiwania, stuknęła dłutkiem w blat stołu. Klik.

- Panno Pietchkov, już jestem...

- Hej! - przerwała mu głośno. - Od kiedy to jestem dla ciebie panną Pietchkov, hej? Potrzebuję dostępu do galerii Crossingford zaledwie na kilka godzin. Moje rzeczy, które tam zostały, są na tyle niewielkie, że załaduję je wszystkie na mojego pick-upa, a Alessandro mi we wszystkim pomoże...

- Jennifer, staram się. Ale zrozum, że nikt nie ma tam wstępu. Obcy zamknęli tamte okolice i zarekwirowali wszystko, co ludzie pozostawili, uciekając. Kropka. Nic nie zrobisz, mimo że ostatnio przestali nas po prostu zabijać. Ja nie mam zamiaru sprawdzać, czy ostrzeżenia, które przekazują nam łamanym angielskim, są na serio. Jezu, no zrozum po prostu, że nie chcę, żeby cię zabili, i koniec. Poza tym, kiedy zajmują jakąś strefę, nie palą jej, nie burzą domów i nie bombardują okolicy. Twoje dzieła są bezpieczne. Nie prosz mnie więcej, żebyśmy tam pojechali. Nie, i koniec.

Jen pociągnęła nosem, na próżno starając się udrożnić zatoki. Nikt jej nie ostrzegł, że jednym z symptomów ciąży będzie wiecznie zatkaany nos. Była tym już zmęczona i odbijało się to na jej twarzy. Poza tym znów czuła się gruba.

- Dobrze, Lewisie. Nie będę. W każdym razie nie w tym tygodniu.

- Nie ma sprawy, Jennifer.

Rozłączyła się i opadła na oparcie. Stół w kuchni zawalony był jej narzędziami, wprawkami. Między nimi stało kilka pustych kubków i kawałek niedojedzonego ciasta. Z

tego akurat się cieszyła, bo wilczy apetyt z początków ciąży wyraźnie zmalął. Trzydziesty siódmy tydzień. Super, zostały mi już tylko trzy. Mama zawsze powtarzała, że ciąża jest za długa, i to przynajmniej o dwa miesiące. Dziecko zmieniło pozycję, przesuwając piętą albo łokciem po wewnętrznej stronie brzucha. To uświadomiło jej, jak delikatna i cienka jest teraz jej skóra.

- Stałam się skórzaną kopertą dla ciebie, dziecinko - znów mówiła do brzucha. - Oj, maluszku, ależ będę szczęśliwa, kiedy zamiast w środku, będę cię trzymać na rękach.

Dziś wieczorem więcej olejku na skórę.

Słońce wpadało do środka przez przesuwane drzwi tarasowe, a ona obserwowała Alessandra, jak w ogrodzie zмага się ze swoim nowym hobby. Jak i dlaczego rozkwitła w nim nagle miłość do zdalnie sterowanych samochodzików, pozostawało dla niej zagadką. Niby oficjalnie nie miał pracy, ale przecież nigdy nie zajmował się takimi rzeczami.

Ale przecież musiał coś robić. Jego firma zakończyła działalność i zwolniła wszystkich pracowników, kiedy pojawili się obcy. Próby przedostania się do starannie ukrytych urzędzeń górniczych i hutniczych też nie miały sensu, bo ludzie mieli zakaz poruszania się poza powierzchnią planety. Z tymi obcymi trudno było dojść do ładu. Pozwalali na przykład wsiadać do statków kosmicznych i siedzieć w nich. To ich nie obchodziło. Ale gdyby ktoś uruchomił silniki, to w tej samej sekundzie statek przestawał istnieć.

Przyglądając się mu, poczuła łyzy zbierające się pod powiekami. Nie udało im się do końca zażegnać konfliktu, który zrodził się, gdy powiedziała mu o ciąży. Wciąż był między nimi jakiś dystans i chłód. Jezu, pomyślała, to tak boli. Był cały czas przy niej, ale nawet gdy była już pewna, że uporali się z tamtym problemem, uświadamiał jej, że jest inaczej. Co pewien czas przypominał jej dawnego Sandra, kiedy drapał ją po plecach albo przygotowywał jej coś do zjedzenia. A potem nagle stawał się zimny i obcy i znikał z domu bez słowa. Kiedy wracał, kładł się spać na kanapie w pokoju gościnnym.

System rozrywkowy w salonie uruchomił się automatycznie i zaczął wyświetlać jej ulubiony program muzyczny, Phoenix Sonata Ijaba Danladi. Delikatny temat muzyczny towarzyszący transmisji uspokoił jej skołatane nerwy.

Jennifer przesunęła palcami po brzuchu, czekając, aż dziecko zacznie kopać. Ostatnio jestem bardzo płaczliwa. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie wiem, czy to z powodu Sandra, czy ta cała sytuacja z obcymi mnie wykańcza. Spróbowała się uśmiechnąć, choć wciąż ciekły jej łyzy. Pomyślała o rodzicach. Przez inwazję właściwie cała komunikacja z pozostałymi systemami została zablokowana, nie mieli więc nawet pojęcia, że lada dzień zostaną dziadkami. Pewnie i tak byli chorzy ze zdenerwowania, ale nie mogła nic zrobić, by ich

uspokoić i dać im znać, że wszystko jest w porządku. Nie mogła nawet wysłać maila do słonecznej Palma Brava, gdzie wykupili sobie emerytury.

\* \* \*

- Na kły Illudora, ta lista jest do niczego - oficer Sił Porządkowych warknął, wymachując otrzymanym spisem przed nosem partnera. (Frustracja. Strach przed nimi.)

- Racja. - Tatenen odepchnął go jedną ręką, a drugą prowadził ich pojazd. - Ale z drugiej strony, ty zawsze wszystko komplikujesz. Wyrывasz się ze strzelaniem, a jak jednego załatwisz, reszta dostaje małego rozumu. Chcesz zabić osobnika, którego mamy odłowić? To zapewniam cię, że będziemy mieli większe problemy, niż się spodziewasz. Nie rozwal już ani jednego z nich, rozumiesz? To jest rozkaz. (Irytacja.)

- Ale ta lista. Połowy z nich tutaj nie znajdziemy. Escher. Michał Anioł. Kresaarkal-jahr'tergit. Jak niby mielibyśmy ich znaleźć?

- A skąd ja mam wiedzieć, co? Sprawdź odczyty i upewnij się, że się nam nie budzą. (Nerwowość.)

Shesmetet przyjrzała się obrazom transmitowanym z tyłu pojazdu, którym się poruszali.

- Myślisz, że nie pilnuję tych ohydnych stworzeń? (Strach.)

- Niezupełnie. Wiem, że nie lubisz nawet na nich patrzeć. (Rozbawienie.)

Odcięła się od *selnarm*, odmawiając mu przepływu jakichkolwiek emocji. Wzięła się do sprawdzania sytuacji w ładowni.

- Temperatura i obieg powietrza w normie. Żyją. Wciąż są nieprzytomni.

- To dobrze. (Irytacja.)

\* \* \*

Jennifer stała u podstawy schodów, kiedy zauważyli pękaty pojazd ciężarowy obcych. Zatrzymała się i wyrzała przez frontowe okno. Łysole zatrzymali się na ulicy i wysiedli z pojazdu. Jeden o złotym kolorze i jeden ciemny wyszli z kabiny, a trzeci siedział w wieżyczce na dachu pojazdu i celował z działka. Od czasu inwazji nie widziała żadnego z tak bliska. Znała ich jedynie z transmisji i wiadomości, ale jak zauważyła, telewizja strasznie przekłamywała obraz. W jej oczach wyglądali bardziej realnie, byli żywi i jednocześnie bardziej pozbawieni emocji.

- Co się dzieje? - zapytał Alessandro, wchodząc do salonu przez drzwi tarasowe. Jennifer wciąż stała na pierwszym stopniu, wyciągnęła ręce i wsparła się na jego ramionach.

- Nie mam pojęcia.

Dwójka obcych ruszyła wzdłuż ulicy, znikając im sprzed okna.

- Niech ich piekło pochłonie - powiedział Sandro zdenerwowanym tonem, a na jego czole pojawiły się krople potu. Jennifer objęła go za szyję i przyciągnęła bliżej siebie; wtedy zaskrzypiała furтка i ktoś szarpnął za klamkę.

- O cholera! Zapomniałam zamknąć! - Jennifer zasłoniła usta dłonią, widząc obcych wchodzących do ich domu. Poczwała, że Sandro sztywnieje, choć nawet nie drgnął. Zachowywał się tak, jakby atakował go pies, a on nie chciał go prowokować.

- ## ### #### ##### Jennifer Pietchkov ### ### - powiedział złoty. Mniejszy, ciemny, wpatrywał się w ekranik na przedramieniu.

- Co? - Zapytał Alessandro, machając dłonią w uniwersalnym geście zaprzeczenia. - Nie!  
- Oznajmił, zaciskając zęby. - Nie! Tutaj nie ma Jennifer Pietchkov!

- #### Chodź z ## Jennifer Pietchkov - powiedział złoty. Ciemny odpiął zabezpieczenie i sięgnął po broń.

Jennifer wysunęła się przed Sandra i odezwała dźwięcznym głosem:

- To ja jestem Jennifer Pietchkov.

- Jen, co ty, do cholery, wyprawiasz? - Alessandro krzyknął, a wielkogłowi zrobili krok w tył.

- Nie pozwolę im cię zastrzelić, kochany. Przecież tylko czekają, aż zrobisz jakiś gwałtowny ruch. - Powiedziała i ruszyła w ich stronę. Złoty wyciągnął po nią rękę i owinał macki wokół jej nadgarstka. Pomyślała, że w dotyku byli jak ciepły i wyjątkowo elastyczny skórzany pasek. Zauważyła, że kiedy zamykali dłoń, szpony chowały się do stwardniałych wgłębień. Jestem tak przerażona, że nie mogę nawet przełknąć śliny. Nie wiem, co mam myśleć.

Za plecami usłyszała hałas i zobaczyła Alessandra, jak rzuca się, by ją odbić. Ciemny obcy nie zdążył wyciągnąć broni, bo stał za blisko atakującego człowieka. Złoty natomiast obrócił się, ściskając metalowy przedmiot.

Uderzył nim Sandra w ramię, którym schwycił Jennifer, a potem jeszcze w brzuch i w twarz. Odgłos był podobny do tego, jaki wydaje przypadkowo uderzony młotkiem kciuk. Chwilę później Sandro zatoczył się w tył i zasłaniając twarz drugą dłonią, padł na podłogę, obficie krwawiąc z nosa i rozciętego czoła.

Jennifer nabrała głęboko powietrza, ale zanim zdążyła krzyknąć, jeden z napastników prysnął w jej kierunku ciecżą z niewielkiego zbiorniczka. Złoty złapał ją, zanim zdążyła upaść na ziemię. Potem wynieśli ją z domu i załadowali na ciężarówkę.

Z głośników rozlegał się dudniący finał Phoenixa, ciężarówka obcych zniknęła za

zakretem, a wirujący w powietrzu pył dostał się do domu przez drzwi, których nie zamknęli, wychodząc, i osiadł na kałuży lepkiej, świeżej krwi.

W domu po drugiej stronie ulicy zakołysały się zasłony, kiedy sąsiad odsunął się od okna.

\* \* \*

Czuła się tak, jakby w głowie miała dwa drewniane kołki, a nad nią stał ktoś z młotkiem i walił w nie bez wytchnienia. Jennifer uświadomiła sobie, że leży w pozycji, w jakiej nagle zapadła w sen - z uniesioną ręką, otwartymi ustami i zamkniętymi oczyma.

Dziecko! To była jej pierwsza myśl. Gwałtownie uniosła powieki. Maluszek poruszył się w jej łonie, dając znak kopnięciem, że nic mu nie jest. Sandro? Sandro? Oni... oni go zabili! Pamiętała początek. Obcy poruszali się bardzo szybko. Albo wzięli Alessandra ze sobą, albo zostawili go tam na podłodze. Tak byłoby lepiej, bo przynajmniej tajna komórka z piwnicy szybko by się nim zajęła. Przesunęła dłońmi po twarzy. Albo jedno, albo drugie, nie było innej możliwości. Na szczęście w każdym wariantcie jej Sandro żył. Po prostu musiał żyć.

W pokoju nie było nikogo poza nią. Dwie pary zamkniętych drzwi. Brak okien. Środek wyglądał jak sypialnia urządzona przez kogoś całkowicie pozbawionego wyczucia kolorystyki. Koc, pod którym leżała, był zjadliwie pomarańczowy, a na widok czerwonych wzorków na kanapie zacisnęła powieki. Nie była pewna, czy mdłości są efektem narkotyku, który jej podali, czy kakofonii barw.

Pod ścianą stał niewielki stolik do rysowania z dobrej jakości lampą. I żadnych okien. Ta myśl z jakiegoś powodu ustawicznie wracała. Na szafeczce obok łóżka butelka z wodą i kubeczek do picia. Podniosła go, powąchała i spróbowała. Smakowała jak zwyczajna woda.

Już raz użyli przeciwko mnie jakiejś chemii. Jeśli chcą mnie ponownie otruć, pewnie nie bawiliby się w takie mistyfikacje, pomyślała i upiła spory łyk. Z pierwszą porcją wody, która dostała się do jej żołądka, pojawiła się też świadomość potężnego pragnienia. Dziecko się poruszyło. Jeśli skrzywdzą moje maleństwo w jakikolwiek idiotyczny sposób, zabiję ich gołymi rękoma. Nie mogła zebrać myśli, a z powodu odwodnienia z oczu nie ciekły jej łzy. Zacisnęła zęby i odłożyła kubek, A jeśli zabili Alessandra - to kiedy już urodzę dziecko... Nie, nie mogła w ten sposób myśleć. Jedna rzecz naraz. Najpierw muszę się skupić na bezpiecznym porodzie.

Mimo odwodnienia, chciała do toalety. Hej, młody, przestań podskakiwać mamie na pęcherzu. Sprawdziła po kolei drzwi. Pierwsze były zamknięte, a za drugimi, ku jej wielkiej uldze, kryła się łazienka.

Kiedy myła ręce i twarz, przesunęła wzrokiem po niewielkiej półce pod lustrem.

Najwyraźniej nie mając pojęcia, co może się przydać w łazience człowiekowi, z drogerii wynieśli kilka losowo wybranych półek produktów. Szampon, środki antykoncepcyjne, opakowanie pasty serowej, farby do ciała. Chusteczki higieniczne, pasta do zębów, osiem szczoteczek. Ani szczotki do włosów, ani grzebienia. Kosmyki do przedłużania fryzury, wkładki higieniczne, gąbki. Kartki pocztowe i kilka kolorowych magazynów. Wytarła twarz. Na szczęście ręcznik był na swoim miejscu. Stała i wpatrywała się w opakowanie plastrów, dziecięcy syrop na kaszel i gryzak dla psa. Czuła dziwne łaskotanie. Weź nas do swojego sklepu! - pomyślała i rozplakała się. Wytarła łzy gwałtowniejszym ruchem, niż zamierzała. To się musi skończyć. Musi. Pomyśl logicznie. Dlaczego mnie zabrali? Nie mam pojęcia. Gdzie jestem? Też nie mam pojęcia. Ale musieli zadać sobie sporo trudu, żeby urządzać to pomieszczenie... z efektem, który bardzo dużo mówi o ich zrozumieniu naszych potrzeb i zachowań.

Kiedy zamknięte dotąd drzwi uchyliły się, zamarła na sekundę i spojrzała w ich kierunku. Do środka weszła obca. Stała przy drzwiach, rozejrzała się i skupiła na niej. Była niewysoka, ciemna i miała na sobie szatę, która wyglądała trochę na lnianą, lecz Jennifer, mimo że była artystką, nie potrafiła określić jej koloru. Ubranie było zupełnie inne niż ochraniacze i mundury, które dotychczas widziała. Było w niej coś złotego, zielonego i dziwnie fioletowego.

Jennifer uświadomiła sobie, że skupia się na szacie zamiast na obcej. Spojrzała w oczy gościa, wszystkie trzy. Wielkogłowa stała nieruchomo, spokojnie jak maszyna przełączona w stan czuwania. W końcu jej macki drgnęły, podeszła do stolika, odsunęła krzesło, usiadła na nim i złożyła dłonie na kolanach.

Zachowuje się, jakby znalazła się w pokoju z niebezpiecznym psem, pomyślała Jennifer ze złością. I to stąd to wszystko. Jeśli Sandrowi coś się stało, zobaczy, jak niebezpieczni mogą być ludzie. Położyła dłoń na brzuchu i ostrożnie, wzdłuż ścian, przeszła z łazienki do sypialni. Chciała być tak daleko od niej, jak się tylko dało. W końcu dotarła do łóżka i usiadła na nim. Obca wpatrywała się w nią z dziwną ciekawością.

Jennifer poczuła, że podnoszą się jej włosy na karku. Potrząsnęła głową.

- Kim jesteś i czego ode mnie chcesz? - Ponownie potrząsnęła głową i przeczesала dłonią włosy. - Gdzie jest Sandro? Czy nic mu nie jest?

Zdawała sobie sprawę, że wielkogłowa nic nie zrozumie z jej pytań, ale mimo to uznała, że warto próbować. Potem wzruszyła ramionami i zamilkła.

Obca odezwała się w końcu.

- ### ty ### ### ##### Jennifer Pietchkov? - Automatyczny tłumacz robił, co mógł, ale i



jego wysiłki nie na wiele się zdały. Ciemna skóra ramion i twarzy wielkogłowej stała się na chwilę ciemniejsza, by błyskawicznie pojaśnieć do koloru kawy latte. Zaszło to jakiś czas po wypowiedzianych słowach, nie miało więc z nimi nic wspólnego.

- Tak. Jestem Jennifer Peitchkov. - Jen wskazała palcem na siebie. Wielkogłowa zdawała się nie zauważać jej ruchu. Ale Jen uznała, że nie zaszkodzi spróbować jeszcze raz. Warto, o ile nie złączą za to do niej strzelać. Znow przyłożyła dłoń do piersi i powiedziała swoje imię.

- Jennifer.

Obca siedziała wyprostowana, a kolor jej skóry zmieniał się niemal falami. Wyglądała jak rzeźba. Jennifer nagle poczuła dziwne zdenerwowanie i mrowienie na karku. Podrapała się i pomyślała, że dobrze byłoby mieć okna. Wstała i wróciła do łazienki. Zupełnie nie zwróciła uwagi, że obca drgnęła, kiedy się ruszyła.

Jen odkręciła wodę i pozwoliła jej płynąć po nadgarstkach. Potem się napiła. Nie chciała wracać do tamtego pomieszczenia, ale nie miała wyboru. Weszła i usiadła na łóżku. Spoglądała na obcą, obwiniając ją za całą tę sytuację.

Poza drgnięciem, kiedy Jen zerwała się z łóżka, obca nie poruszyła się ani razu. Teraz nagle przesunęła jedną dłoń, rozplątała macki i niemalże z zakłopotaniem dotknęła nią swojej piersi, naśladując niezdarnie ruch Jen.

- Ankaht - powiedziała. - ## ##### ## rozmawiać.

Chyba już najwyższy czas, do ciężkiej cholery, pomyślała Jennifer. Najwyraźniej ktoś z tej zgrai poszedł po rozum do głowy. Rozmowa to jedyny sposób na wydostanie się stąd. Może nawet uda nam się porozumieć, by położyć kres rozlewowi krwi? Wskazała na nią swoją dłonią, widząc, jak stara się zrozumieć jej gesty. Miejmy nadzieję, że to do niej dotrze.

- Ankaht. Witaj. Rozmawiajmy.

## ROZDZIAŁ XXII

### WITAMY NA ZEPHRAIN, ADMIRAŁ LI

Kiedy wewnątrzorbitalny prom kosmiczny zbliżał się do stacji dokowania na głównej stacji kosmicznej Xanadu, Li Han jeszcze raz przeanalizowała, co czuje. Ku swemu zaskoczeniu i złości stwierdziła, że ma tremę.

Co za głupota! Poprawiła granatowo-białą spódnicę ze złotą lamówką. Uznała, że mundur będzie odpowiedniejszy niż cywilne ubranie, w którym urzędowała jako Pierwsza Dama Przestrzeni. Kiedy sobie uświadomiła, co właśnie zrobiła, poczuła jeszcze większą złość. Krygujesz się? Czy to podświadomość? Na Boga, Han, przecież nie masz już dziesięciu lat!

Kiedy przez warpa dostała się do systemu, który skrywał tak wiele jej gorzkich wspomnień, myślała, że dobrze się trzyma. Wybór Zephraïn na miejsce pierwszego spotkania wszystkich naczelnych dowódców sił sprzymierzonych był decyzją czysto polityczną. Bądź co bądź, Federacja jako pierwsza została zaatakowana przez najeźdźców, którzy jak dotąd nie dorobili się nawet imienia. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie tylko o to chodziło. W grę wchodziła jeszcze niemal mityczna sława otaczająca człowieka, który miał ją zaraz powitać w systemie, a który wiele lat temu trzymał ją tutaj jako swojego więźnia.

Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Politycy Republiki naciskali na kompromis. Wymyśliła więc, że owszem, konferencja odbędzie się w głównym systemie Federacji, jednak nie na planecie, a na pokładzie okrętu flagowego Marynarki Republiki. Han uśmiechnęła się do siebie. TRNS *Taconic* od chwili, kiedy dostał się do systemu, sprawiał, że ludzie unosili ze zdziwienia brwi i otwierali usta, zwłaszcza gdy zbliżyła się do orbity Xanadu. A przecież jeszcze nie widzieli wnętrza. Cieszyła się na to jak dziecko.

Ale najpierw formalności. Trzeba się grzecznie przywitać, a po samej ceremonii spodziewała się czegoś w rodzaju uczucia nierealności.

Prom znieruchomiał i otworzyły się służby. Li Han wstała, dała znać swojej delegacji, by pozostała na miejscach, i samotnie wyszła na rampę.

W jednej chwili potężny hangar rozbrzmiał hymnem Republiki - miła niespodzianka, musiała przyznać. Pojawiła się też warta honorowa złożona z Marines Federacji. Kiedy po raz ostatni widziała ich oliwkowe tuniki i czarne spodnie, mieli je na sobie strażnicy pilnujący jej celi. Nie zatrzymała na nich wzroku. Skupiła się na postaci, która wysunęła się przed wielorasową grupę komitetu powitalnego - wysokim mężczyźnie, ubranym w czarno-srebrny mundur starej Marynarki Federacji Ziemskiej, lecz przybrany insygniami Federacji Obrzeża. Zeszła z rampy, by się z nim przywitać.

Już wcześniej wiedziała, że zobaczy człowieka w wieku około dwudziestu lat. Zestawienie młodzieńczego wieku ze stopniem admirała nie było dziś aż tak trudne, jak byłoby jeszcze kilkaset lat temu, gdy kuracje powstrzymujące efekty starzenia organizmu były albo niedostępne, albo jeszcze bardzo niepopularne. Problematyczne było natomiast połączenie jej wspomnień o człowieku starszym od niej samej z tym, kto stał naprzeciwko.

Zastanawiała się, jak on sobie radzi z jej bielutkimi jak śnieg włosami i aparycją sześćdziesięciolatki - i z faktem, że dziś też była admirałem floty. Rzeczywiście, jeśli chodzi o formalności, to rangą był nieco wyżej, ale w kwestii doświadczenia ona miała zdecydowaną przewagę, i to liczoną w pokoleniach. Ale teraz stanęła na pokładzie jego stacji kosmicznej. Zasalutowała więc zgodnie z przyjętym protokołem.

Odpowiedział tym samym.

- Witamy na Zephrain, admirał Li. - Tak, to ten sam głos, choć uformowany przez znacznie młodsze struny głosowe. Poza tym twarz była bardzo podobna do twarzy z jej wspomnień. Będzie musiała się oswoić z brakiem brody i gęstymi, czarnymi włosami (to pewnie mu się najbardziej podoba, pomyślała z przekąsem), ale nie uważała, by stanowiło to jakąkolwiek przeszkodę. Nie miała wątpliwości, z kim rozmawia. Żadnych wątpliwości.

Przez chwilę stali w milczeniu, skrzępowani formalnością chwili.

Cóż, pomyślała. Ktoś musi zrobić pierwszy krok. A ja jestem starsza i... jak by to powiedzieć, mądrzejsza.

- Domyślam się, admirale Trewayne, że nie spodziewał się pan, że przyjdzie mi kiedykolwiek użyć tych słów.

- Może panią zaskoczę, admirał Li - odparł z oschłością, którą też doskonale pamiętała - ale mam już pewne doświadczenie na tym polu. Jest pani bowiem drugą admirał Li, którą mam zaszczyt witać na terenie Federacji. A od czasu trzeciej bitwy o Bellerophon przy każdej okazji dziękujemy Opatrzności za pierwszą.

- To miłe, co pan mówi, admirale - podziękowała, zdecydowana, by odpowiedzieć w tym samym tonie: - Mam tylko nadzieję, że w porównaniu do mojej córki nie okażą się dla was

rozczarowaniem.

- Nie sędzę, by to było możliwe. Cieszę się, że warp do naszego systemu pomieścił pani okręt.

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Gdyby było inaczej, znalazłabym się w dość kłopotliwej sytuacji, nieprawdaż? Z niecierpliwością oczekuję pana, admirale, i pozostałych dowódców sił sprzymierzonych na pokładzie mojego okrętu flagowego, *Taconica*.

- Z nie mniejszą, niż ja oczekuję przejażdżki dewastatorem - odparł z zapałem odpowiednim dla jego fizycznego wieku. - Ale najpierw proszę mi pozwolić przedstawić moich towarzyszy.

Pierwszy kiel chana Thraaiewlahk'gahrnak był obecnie marszałkiem, zgodnie z tradycją, która nakazywała, by stanowisko głównodowodzącego Marynarki Unii zajmował raz człowiek, raz Kociamber. Miał bujne futro, choć poprzątykane delikatnie siwizną zdradzającą wiek, bo nie wymyślono jeszcze kuracji powstrzymującej starzenie dla jego rasy. Li Han okazała mu szacunek szczególną dbałością o poprawność wymienianych salutów i zrozumienie Języka Języków. Propozycja zjednoczenia Federacji z Chanatem stała się pośrednio przyczyną wybuchu powstania, a ludzie zamieszkujący Republikę wciąż mieli reputację szowinistów patrzących z wyższością na Kociambrów. Han nie miała wątpliwości, że opinia ta była krzywdząca, ale wciąż pokutowała w różnych środowiskach.

- Ahhdmiraaaauu Liii, jestem zaszczycony, mając możliwość spotkania z pierwszym kłem pani narodu. Jeszcze większym zaszczytem jest spotkanie matki pani córki. Mały kiel Zhaairnow'aillaion przekazał mi wieści, jak umożliwiła odwrót wielu *Zheerlikou'valkhannaiee*, ryzykując własne życie i wysyłając do piekła wielu *chofaki*. Nasze pazury są do jej dyspozycji - zakończył oficjalną formułką.

- Czuję się zaszczycona pańskimi słowami, pierwszy kle, i jestem przekonana, że moja córka również byłaby nimi zachwycona. - Słowa Li Han płynęły prosto z serca. Nie uważała się za znawcę Kociambrów, których ze świeczką by szukać w Republice, ale i tak wiedziała, ile znaczyło ostatnie zdanie, które było oficjalnym uznaniem długu honorowego. Jeśli Mags kiedykolwiek chciałaby kogoś pozbawić życia, wystarczyło, żeby poprosiła Kociambra.

Thraaiewlahk przedstawił ją reszcie delegacji składającej się z przedstawicieli głównych ras Unii i jednego Gorma, Tolkaru, dowódcy zespołu wydzielonego, jako że jego rasa nie wykształciła formalnej struktury wojskowej. Szary i wielkogłowy Tolkaru stał w pozycji wyprostowanej oznaczającej w szerokiej gamie zachowań jego rasy zainteresowanie, na tylnych nogach, przez co jego podobna do ludzkiej twarz kołysała się na wysokości trzech

metrów. Li Han zachowała jednak pełną powagę, choć musiała zadzierać głowę znacznie wyżej niż zazwyczaj. Status rasy formalnie należącej do Chanatu, lecz uważanej za autonomiczną, pozostawał dla ludzi raczej niezrozumiały, podobnie jak ich stosunek do Unii Gwiazdnej, niemal równie ambiwalentny jak stosunek do Federacji Obrzeża. Obojętności był natomiast pozbawiony stosunek do wielkich i ciężkich przedstawicieli tej rasy, którzy godnie zapracowali na szacunek jako wojownicy.

- Admirał floty Zhwaaraa z Sił Obrony Stowarzyszenia Ophiuchi - Trevayne przedstawił kolejną osobę.

Li Han przypomniała sobie, że sprzymierzeni z ludźmi od niepamiętnych czasów Ophiuchi przyjęli też ich strukturę wojskową. Pamiętała również, że wyrwali się ze swego pozbawionego warpów obszaru dzięki niezamierzonej uprzejmości przedstawicieli rasy zwanej Sedua, którzy wpadli na chory pomysł zaatakowania ich przez zamkniętego warpa, ujawniając im jego położenie. Dzięki temu wypłynęli na szerokie wody i zaczęli zajmować coraz większe obszary. Poza tym doskonale sprawdzali się w walce, jako że byli najlepszymi pilotami myśliwców, jakich znała galaktyka, i to nie wyłączając Kociambrów. Potomkowie latających stworzeń zrezygnowali z umiejętności latania na rzecz korzystania z narzędzi, lecz nie kosztem utraty wewnętrznego wyczucia ruchu i położenia w trójwymiarowej przestrzeni, co było ich najcenniejszym dziedzictwem. Li Han znów musiała zadrzeć głowę do góry, by dojrzeć dziób i surowe oblicze Zhwaaray, bo jego opierzone ciało, utrzymywane w wyprostowanej pozycji przez pneumatyczne kości, miało wysokość dwóch i pół metra.

Następnie Li Han przeszła do prezentacji własnej delegacji.

- Dodatkowo - uśmiechnęła się - poprosiłam doktora Kasugawę o towarzyszenie mi w tej misji. Zgodził się, choć doktor Desai bardzo niechętnie go puściła. Spotkanie go, państwo, na pokładzie *Taconica*.

- Oczywiście. - Trevayne pokiwał głową. - Na to spotkanie szczególnie się cieszę, co jest chyba zrozumiałe w świetle informacji, które do nas dotarły. I... żałuję, że doktor Desai nie towarzyszy pani, Li Han.

- Niestety - Li Han starannie dobierała słowa. - Ale żeby formalności stało się zadość, mówimy oczywiście o admirał Desai. Wróciła do czynnej służby i pracuje w dziale badawczym Marynarki Unii. Nawał obowiązków uniemożliwił jej przybycie, nad czym też boleję.

- Doprawdy szkoda. Miałem nadzieję na spotkanie z nią. Kiedyś była moim szefem sztabu, ale pani to na pewno wie.

- Tak, słyszałam o tym. - Li Han, w przeciwieństwie do Iana, znała prawdziwy powód

nieobecności Desai, choć sama uważała, że jego młody wygląd byłby bardzo pomocny przy spotkaniu. - A teraz zapraszam na pokład *Taconica*. Musicie wiedzieć, że jesteśmy z niego bardzo dumni.

\* \* \*

Dowódcy sił sojuszniczych nadal wyglądali na solidnie zaskoczonych, kiedy skończyli zwiedzanie *Taconica* i zajęli miejsca w fotelach (albo cokolwiek to było; Li Han pogratulowała sobie w myślach wyczucia, bo zadbała, by na sali znalazło się kilka dziwacznych ławek, których Gormowie używali jako krzesel).

U części ten stan zaskoczenia się pogłębił, kiedy zobaczyli holomapę sieci warpów w Łańcuchu Bellerophon i wielu innych systemach. Po co do takiego zastosowania był jej projektor trójwymiarowy?

Li Han usiadła za stołem stojącym przodem do gości. Doktor Kasugawa zajął miejsce obok. Li wyczuwała, że wielu zgromadzonych było znacznie bardziej zainteresowanych jego osobą niż hologramem, bo zadbała, by wszyscy, którzy znaleźli się na dzisiejszym spotkaniu, zapoznali się wcześniej z efektami prac Sonji Desai.

- Admirale Trewayne - rozpoczęła oficjalnie - chciałabym poprosić pana jako najwyższego rangą oficera i głównodowodzącego siłami Federacji, pierwszą ofiarę agresji obcych, o otwarcie narady i skrótowe przedstawienie obecnej sytuacji ze szczególnym uwzględnieniem Łańcucha Bellerophon.

- Dziękuję, admirał Li. - Trewayne obszedł wyświetlacz holograficzny i zajął miejsce przy stole. Poruszał się ze zwinnością odpowiednią wiekowi jego ciała, ale kiedy przemówił, rozwiął wszelkie obawy dotyczące wiedzy i doświadczenia. - Bez owijania w bawełnę, sytuacja jest paskudna. Dostaliście wszyscy dane statystyczne dotyczące ostatniej próby wdarcia się do systemu Bellerophon podjętej przez admirała Waldecka. Wnikliwie przeanalizowałem każdą informację, jaką posiadamy na ten temat, i doszedłem do wniosku, że admirał Waldeck nie ponosi najmniejszej winy za wynik tej próby; ani on, ani nikt inny po naszej stronie. Takie stanowisko przekazałem władzom Federacji Obrzeża. Uważam, że to samo tyczy się ostatniej próby kontrofensywy na obszarach Unii Międzygatunkowej. - Ze strony Thraaiewłahka dobiegł smutny pomruk zgody. - W obu przypadkach zadaliśmy wrogowi ciężkie straty, częściowo dzięki zmodyfikowaniu systemów maskowania elektronicznego. Wysłaliśmy wsparcie dla Drugiej Floty w systemie Astria. Będziemy się starali rozbudowywać tam nasze siły, jeśli zajdzie taka konieczność, w nieskończoność. Ale w tym samym czasie wróg rozbiera kolejne statki pokoleniowe i buduje z nich potężne okręty

obrony systemowej.

W sali panowała ciężka cisza. *Taconic* w niezamierzony sposób uświadomił im niemal niewyobrażalny ogrom jednostek obrony systemowej obcych. W czasie wycieczki pogromcą nie mogli zapomnieć, że jakikolwiek by on był, wciąż jest trzysta razy mniejszy niż one. *Trevayne* pozwolił im to przez chwilę rozważyć, a potem kontynuował.

- Plotki o względnej nieskuteczności okrętów obrony systemowej związanej z ich wielkością nie zmniejszą przewagi, jaką daje im potężna siła ognia. A niewielka prędkość i ograniczona manewrowość jest problemem, ale w ataku lub walce manewrowej. Tyle że aby znaleźć się w takich warunkach i wykorzystać naszą przewagę prędkości i zwrotności, musielibyśmy najpierw się przebić przez pierwsze linie ich obrony i odskoczyć od wylotu warpa. To właśnie usiłował zrobić admirał *Waldeck*. I wiemy, jak to się skończyło.

- Tak - potwierdził *Thraaiewlahk*. - Ich myśliwce nie mają się co równać z naszymi myśliwcami przewagi kosmicznej. Widzieliśmy to w czasie ataku. Ale problemem jest start odpowiedniej liczby myśliwców w czasie, gdy atak przez warpa jest kontynuowany przez inne jednostki. Podobnie jest z ich monstrualnymi okrętami - niszczą nasze jednostki dokonujące tranzytu nawałą rakiet dalekiego zasięgu, parszywe *chofaki*. - Nie starał się nawet ukryć obrzydzenia w głosie. *Chofaki* zostało przetłumaczone bardzo delikatnie jako „gównojady”, lecz wszyscy wiedzieli, że oznacza istoty niegodziwe i pozbawione honoru. - A że każda z naszych jednostek musi najpierw dokonać tranzytu, nie ma mowy, byśmy potrafili zrównoważyć ich przewagę wielkości. I to nawet wykorzystując pani wspaniały okręt, *ahhdmiraaaaruuu Liii*. - Stary *Kociamber* kontynuował, wyraźnie szukając w sobie odwagi do stanięcia twarzą w twarz z trudną do zaakceptowania prawdą. - Na tę chwilę nie widzę możliwości ataku przez warpa bez ponoszenia niemożliwych do zaakceptowania strat.

W sali zapadła martwa cisza. Wszyscy wiedzieli, ile kosztowało *Thraaiewlahka* powiedzenie czegoś takiego. Kiedy oriońscy wojownicy uznawali straty za nie do zaakceptowania, należało się z tym zgodzić.

Po dłuższej chwili *Li Han* odezwała się z nieśmiałością, której nigdy nie udało jej się zwalczyć, choć wiedziała, że część uważa to za pozę.

- Admirale *Trevayne*... pierwszy kle... admirale *Zhwaarao*... Jak zauważyliście, znaleźliśmy się w impasie. - Nikt nie zdobył się na odwagę, by zaprzeczyć. Wstała z miejsca.  
- Republika Ziemska z pomocą Unii Międzygatunkowej jest gotowa zaproponować rozwiązanie.

Chyba nie było nikogo, kto nie wpatrywałby się w nią z największą uwagą.

- Admirał *Li*, proszę kontynuować. - *Trevayne* ustąpił jej miejsca.

Przeszła dookoła stołu i wskazała na linie łączące warpy na holomapie. W Łąncuchu Bellerophon zaczął pulsować pojedynczy punkt. Był to mało ważny, odległy system z jednym warpem prowadzącym do pustego systemu, z którego dalej szlak prowadził do łańcucha.

- System Borden - wyjaśniła Li Han. - Czerwony karzeł, brak zamieszkanego planety.

Nikt nie wiedział, dlaczego zdecydowała się wspomnieć akurat o tym systemie, całkowicie bezużytecznym składowisku kosmicznego śmiecia. Li Han podeszła do miejsca, w którym szlak warpów przechodził w Republikę. Ponownie uniosła pilota i podświetliła kolejny punkt.

- ZQ-147 - wyjaśniła. - Kolejny pusty system.

Nikt już nic nie rozumiał, a dezorientacja obecnych pogłębiała się z każdym mrugnięciem symboli znajdujących się po różnych stronach holomapy.

Li Han pozwoliła sobie na uśmiech.

- Nasi programiści są z siebie bardzo dumni, że udało im się zrobić coś takiego - oznajmiła i uniosła pilota.

Chaos!

Wszyscy jak jeden mąż zerwali się na równe nogi, by dokładniej widzieć projekcję, na której podświetlone wcześniej szlaki przez warpy zaczęły znikać, a sygnatury poszczególnych systemów się przemieszczać, tworząc wzór, który nikomu nic nie mówił.

Jedyną cechą wspólną obrazu z poprzedniej projekcji i obecnej były dwa błyszczące symbole. Tyle że teraz znajdowały się tuż obok siebie.

- To, co państwo widzicie - wyjaśniła Li Han - to coś, o czym przez ostatnie setki lat nie myślał nikt poza astronomami. To prawdziwy układ gwiazd i warpów w trójwymiarowej przestrzeni - takiej, jaką widzieli ją Newton i Einstein. Widać na nim jedynie niewielką część warpów, a to dlatego, że większość z nich leży w takiej odległości od pozostałych, że aby je wyświetlić, nasza holomapa powinna być kilka razy większa. Dla nas jednak liczy się co innego: systemy Borden i ZQ-147 są oddalone od siebie zaledwie o 2,21 lat świetlnych w normalnej przestrzeni. (Użyła tradycyjnej miary odległości, bazującej na ziemskich latach standardowych).

- Aaa fięc - odezwał się Zhwaaraa, przeraźliwie sycząc - jakie to ma ssszsansse...?

Li przywróciła holomapę ze szlakami przez warpy.

- Proponujemy wyprawę z ZQ-147 do Borden... wyprawę w normalnej przestrzeni.

- W normalnej...? - mruknął ktoś z niedowierzaniem.

Pomysł był tak niedorzeczny, że na chwilę w sali zapanował szum.

- Właśnie tak. Jej celem będzie dostarczenie tam generatora Kasugawy. - Zapanowała



cisza jak makiem zasiał. - Zapewne wiecie o pracach prowadzonych przez doktora Kasugawę i doktor Desai, a także, że dwa skalibrowane generatory Kasugawy uruchomione w tym samym momencie mogą dokonać wyrwy w kontinuum czasoprzestrzeni. - Doktor Kasugawa zrobił minę, jakby rozboleł go brzuch. - I powstaje między nimi warp. Chcemy to wykorzystać. Kiedy generator znajdzie się w systemie Borden, wykorzystamy go do uruchomienia bezpośredniego połączenia - pierwszego sztucznego warpa w historii - między systemami. - Uniosła pilota i posłużyła się nim jak mieczem, rysując poziomą kreskę biegnącą od jednego pulsującego punktu do drugiego. - Gdy nam się to uda, podejmę się poprowadzenia floty złożonej głównie z pogromców przez to przejście wprost do Łańcucha Bellerophon. Mam nadzieję, że po przejażdżce naszym nowym nabytkiem nie macie państwo wątpliwości, że pogromcy potęgą ustępują jedynie wrogim jednostkom ochrony systemowej - a te ze względu na wielkość są unieruchomione w Bellerophonie, bo nie zmieszczą się w żadnym warpie. Najpierw więc odbijemy cały łańcuch, zostawiając Bellerophon na samym końcu. Zepchniemy wroga właśnie tam, ograniczając jego możliwości. Kiedy zamkniemy ich w jednym systemie, będą musieli podzielić siły, by bronić każdego warpa osobno. Wtedy będziemy gotowi do ataku i wyzwolenia Bellerophona, co jest naszym nadrzędnym celem.

Ciszę, jaka zapanowała po jej słowach, przerwał dopiero basowy pomruk Gorma, którego umiejętność posługiwania się ludzkim językiem w innych okolicznościach musiałaby wywołać zachwyty.

- Ja widzę tutaj mimo wszystko kilka problemów. - Tolkaru gwałtownie manipulował przy komputerze umieszczonym na potężnym przedramieniu. - Przede wszystkim, droga z Borden do właściwego Łańcucha Bellerophon prowadzi przez pusty system BR-06 i dalej przez podwójny system Merkury. A ten warp jest za mały dla supermonitora, nie wspominając o dewastatorze.

- Rzeczywiście, mogłoby się tak wydawać. Ale nie zostaliście, państwo, poinformowani o wszystkich możliwościach generatora Kasugawy. Ma on bowiem też tę właściwość, że za jego pomocą da się rozszerzyć istniejący warp - rozciągnąć go, jak ładnie ujęła doktor Desai, do wielkości dwukrotnie większej niż konieczna do tranzytu dewastatora. Nasza flota zostanie wyposażona w dodatkowe generatory właśnie w tym celu.

- Wssspaniale - ucieszył się Zhwaaraa. - Ale nie rossswwiässsaliśmy problemu prędkośśści. Napęd Dessssai osiąga najwyżej pół c.

- Zgadza się. - Thraaiewlahk kiwnął głową. Nauczył się tego przez lata przebywania wśród ludzi. - A więc przejście, o którym pani wspomniała, admirał Li, może zostać otwarte najwcześniej za 4,42 roku standardowego. Załogi okrętu pędzącego z taką prędkością spędzą

w nim mniej czasu, niż my czekając, aż się tam dostaną, ale...

- Gwoli dokładności, pierwszy kle, podróż z ZQ-147 do Borden zajmie dokładnie 3,8 roku standardowego, przy stałej prędkości zero pięć c, ale... - uniosła dłoń - ale zanim ktoś wyciągnie pochopne wnioski, chciałabym poprosić doktora Kasugawę o zabranie głosu, gdyż poprosiłam jego i doktor Desai o pochylenie się nad tym problemem.

Nikt się nie sprzeciwił, więc „starszy” naukowiec wstał. Określenie starszy doskonale pasowało do ludzi jego typu, choć nie miał jeszcze nawet skończonej setki. Dość późno rozpoczął kurację antystarzeniową, przez co nabrał wyglądu traktowanego przez wielu ludzi jak atrybut mądrości.

- Pierwsza Dama Przestrzeni Li wie już to, czego za chwilę dowiedzą się państwo w ramach nowego projektu transferu wiedzy między Unią a Republiką. Jednak muszę państwa ostrzec, że rzeczy, o których mówię, są wciąż ściśle tajne, a skutki wykorzystania tej wiedzy mogą okazać się znacznie bardziej doniosłe niż pozostałe kwestie rozpatrywane w trakcie dzisiejszego spotkania. Używając prostych słów, wspólnie z doktor Desai udało nam się opracować podstawy do ulepszenia napędu Desai, znacznie poprawiającego jego osiągi. Zmodyfikowany napęd pracuje w systemie zerojedynekowym, czyli inaczej rzecz ujmując, wszystko albo nic. Jednostka napędzana takim silnikiem porusza się albo z maksymalną prędkością, albo nie porusza się wcale. Przy czym prędkość maksymalna po modyfikacjach to około 0,85 c. - Kasugawa zrobił pauzę, czekając na stęknienia niedowierzania, a potem wrócił do wykładu i kontynuował rzeczowym tonem: - Już na pierwszy rzut oka widać, że to rozwiązanie ma swoje minusy. Po pierwsze, taki napęd nie ma zastosowania taktycznego, bo albo poruszamy się z maksymalną prędkością, albo tkwimy w miejscu. Poważniejszą wadą jest maksymalna prędkość, która stanowi jednocześnie granicę, powyżej której są pola siłowe chroniące załogę przed promieniowaniem i cząsteczkami. Niemniej jednak, jeśli się okaże, że napęd działa prawidłowo...

- Jeśli? - padło pytanie z sali.

- ...a doktor Desai nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, to czas podróży zaproponowanej przez admirał Li dla zewnętrznego obserwatora zostanie skrócony do 2,6 roku standardowego, a dla załogi do zaledwie 1,37 roku.

- Dziękuję, doktorze Kasugawa - powiedziała Li Han, choć może troszkę za szybko. - Chciałabym jeszcze dodać - zwróciła się do publiczności - że czas tego lotu, który wydaje się bardzo długi w porównaniu do tego, do czego przyzwyczailiśmy się przez ostatnie setki lat, nie może być postrzegany jako minus całego planu. Mniej więcej tyle zajmie nam budowa odpowiedniej liczby dewastatorów potrzebnych do przeprowadzenia ofensywy.

Tolkaru nie dał się zbić z tropu.

- Pomówmy może o załodze potrzebnej na taką ekspedycję - huknął w bezpretensjonalny sposób charakterystyczny dla przedstawicieli swojego gatunku. - Można by pomyśleć, że będą ochotnikami...

- Nie inaczej - przerwała mu Li Han.

- ...i że zostaną wyposażeni w najlepsze systemy maskujące oraz generatory pól siłowych, jakimi dysponujemy. Niemniej, przy optymistycznym założeniu, że uda im się przetrwać podróż, nie możemy do końca przewidzieć, co się wydarzy na miejscu. Co, jeśli generator zawiedzie? Utkną tam czy nie?

- Raczej tak - odparła pewnym siebie głosem.

Thraaiewlähk przemówił... w sposób, który sprawił, że straciła dotychczasową pewność siebie. Liczyła na jego wsparcie, bo uważała, że jako orioński wojownik nie uzna wyprawy za ryzykowną.

- Przyjrzałem się danym generatora Kassugawy. To wielki kawał sssssskomplikowanej maszszszynerii. Okręt zostanie dosłownie obudowany dookoła... inaczej rzecz biorąc, będziemy mieli generator obudowany statkiem, z przyczepionym napędem Desssai. I niewiele więcej się tam zmieśśśści - uzbrojenia oczywiśśście.

- To prawda. - Musiała przyznać mu rację, a co gorsza, wiedziała, co teraz nastąpi.

- Założmy, że okręt dociera na miejscssssce i sssssspotyka wroga. Nie będzie mógł się obronić.

- Nie mamy wiedzy, by wróg okupował również system Borden. - Li Han sama widziała słabość tej argumentacji.

- Nie. Co więcej, nie mamy żadnej wiedzy o tym, co się dzieje w łańcuchu od czasu inwazji, nie mamy więc też pewności, czy wróg nie zajął docelowego ssssysstemu, tak? A jeśli zajął, to wyprawa będzie podaniem wrogom bezbronnej ofiary na taccceccy. - Stary Kociamber patrzył jej prosto w oczy, a ona nie potrafiła odwrócić wzroku. - To wy, ludzie, ahhdmiraaaauu Liii, nauczyliście moich przodków, i nawiasem mówiąc bardzo drogo sobie policzyliście za te korepetycje, że honor wojownika musi być połączony z zimną logiką militarnej konieczności. W tym wypadku najważniejszą sprawą jest niedopuszczenie, żeby generator Kasugawy wpadł w łapska tych *chofaki*, które są już i tak doświadczone w podróżach międzygalaktycznych. Potencjalne konsekwencje są nie do oszacowania. - Potrząsnął głową gestem równie ludzkim jak wcześniejsze potakiwanie. - Nie, to zbyt ryzykowne.

Li Han rozejrzała się rozpaczliwie. Widziała... nie, czuła raczej, że sprawy wymykają jej

się z rąk i zdążają w kierunku narzuconym przez Thraaiewlahka i Tolkaru.

Wtedy, na chwilę przedtem, zanim ogólne zniechęcenie przerodziło się w zdecydowaną opozycję, Ian Trewayne powoli podniósł się z fotela.

Przez długi czas był dziwnie milczący. Niemalże można było już zapomnieć, że w ogóle tam jest. Teraz nagle wszyscy się uciszyli. Poczekał, aż zgasną wszystkie szepty.

Jak on to robi, pomyślała, podobnie jak tysiące razy wcześniej i na dodatek z taką samą dawką zazdrości. Czyżby to ta magiczna aura, która go teraz otaczała? Nie, to nie to. To coś, co miał w sobie od zawsze, choć teraz młodość szczególnie to wyeksponowała.

- Pierwszy kle - jego głęboki baryton przetoczył się przez całą salę - ustaliliśmy, że system Borden nie nadaje się do zamieszkania, czy tak?

- Oczywiście, że tak. - Thraaiewlahk był ciekaw, do czego zmierza Trewayne.

- Ustaliliśmy również, że to system z jednym tylko warpem, czyli coś jak ślepa uliczka, prawda?

- Oczywiście.

- Zatem nie mamy się o co spierać. Skoro przyjęliśmy, że wróg zaczął kontrolować systemy w głębi Łańcucha Bellerophon... to po co miałyby utrzymywać jakieś siły w systemie całkowicie bezwartościowym i pozbawionym znaczenia strategicznego?

Thraaiewlahk otworzył usta i szybko je zamknął.

- Jestem za realizacją propozycji admirał Li. - Trewayne nie uniósł głosu, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób wszyscy słyszeli tylko jego. - Zaproponowano nam sposób na wyjście z impasu. Czy ktoś ma może lepszy pomysł? Nie? Cóż, jakoś nie jestem zaskoczony! Uważam, że jedynym rozsądnym wyjściem jest poparcie tego projektu.

- Ale, admirał Trewayne - Tolkaru próbował oponować - nie możemy ignorować zastrzeżeń, o których wspomniał pierwszy kle. Nawet jeśli rzeczywiście niebezpieczeństwo jest znikome.

- Rozumiem - Trewayne przerwał na moment. - Ustaliliśmy, że załoga będzie się składać z ochotników mających pełną świadomość ryzyka. Proponuję, żeby jednym z warunków było podpisanie zobowiązania, że w razie zagrożenia przejęciem generatora wysadzą statek i siebie w powietrze. - Uśmiechnął się krzywo. - Będzie nieco ciężiej zgromadzić załogę, ale nie wątpię, że się nam uda.

- Nie możemy brać na siebie takiej decyzji. - Tolkaru dalej nie był przekonany, ale już nie taki kategoryczny, Nasze rządy...

- Rząd Republiki Ziemskiej jest za - oznajmiła Li Han bez emocji.

- Ja mogę zapewnić, że rząd Federacji Obrzeża będzie również za - dołączył Trewayne.

Li Han spojrzała i zrozumiała, że naprawdę może wpłynąć na decyzję.

- Jeśli więc rząd Unii... - spojrzał na Thraaiewlahka i uniósł brwi.

- Tak! - Kociamber zerwał się na równe nogi. - Jeśli nie wykorzystamy tej szansy, zbrukamy honor wojowników! Wyrwijmy im serca!

Ty cholerny łajdaku, pomyślała Li Han, spoglądając na Trewayne'a. Wiedziałeś doskonale, że tą bajeczką o koniecznym samobójstwie sprawisz, że misja nagle stanie się dla nich ryzykowna i będzie czystą esencją *theernowlus*. Nastroiłeś Thraaiewlahka jak stradivariususa przed koncertem!

- Zgadzam się - dołączył Zhwaaraa. Zresztą i tak nie miał już wyjścia, skoro najsilniejsi zdecydowali wcześniej. - Ale proponuję, żebyśmy nie ignorowali planów na wypadek niepowodzenia. Jesssst takie ludzkie powiedzenie, które zawszszszszsze negujemy - o stawianiu wszystkiego na jedną kartę.

- Ależ oczywiście, admirale. - Trewayne pokiwał głową. - Nie możemy się ograniczać do jednej tylko ewentualności. Przede wszystkim powinniśmy zintensyfikować poszukiwania innych dróg do tych oddalonych i niezamieszkanym przestrzeni, najprawdopodobniej przez zamknięte warpy.

Rozległ się aplauz, bo wszyscy znali historię wojny z Pająkami i sukces poszukiwań „Eldorado”.

- Pamiętajmy tylko, że statystycznie prawdopodobieństwo odnalezienia takiego przejścia jest minimalne.

- Nie możemy przerywać konwencjonalnych działań. - zwrócił uwagę Tolkaru. - Jeśli nie z nadzieją na sukces, to przynajmniej po to, by wróg skupiał się na tym niebezpieczeństwie i nie domyślał się podstępu z naszej strony.

- I - doktor Kasugawa włączył się do rozmowy - nie zapominajmy o możliwości wykorzystania generatorów w ramach sieci warpów pozostających pod naszą kontrolą...

- O tak! - Ucieszył się Thraaiewlahk. - To poprawi nasze możliwości logistyczne.

- Da nam nowe połączenia, kiedy stare zostaną odcięte przez kolejne inwazje wroga. - Tolkaru był pesymistą.

- Wszystkie pomysły mają swoje plusy i, w miarę możliwości, przeanalizujemy je i wdrożymy - zapewnił wszystkich Trewayne. - Nie zmienia to faktu, że strategia zaproponowana przez admirała Li jest jedyną, która ma szansę powodzenia. To też jedyna nadzieja mieszkańców Bellerophona na wyzwolenie w przewidywalnej przyszłości. Musi się stać podstawą planowania. Teraz należy przedstawić wyniki, możliwie najbardziej przekonująco. Czy wszyscy są za?

Wszyscy byli. Wojna zyskała nowy scenariusz.

\* \* \*

Przed wyjściem Li Han udało się zostać sam na sam z Trevayne'em.

- Admirale... dziękuję - powiedziała, choć przyszło jej to z trudem. A potem z jeszcze większym dodała: - Sama... nie dałabym rady.

- Nie ma za co! - Uśmiechnął się. - Mam wrażenie, że to, co ich przekonało, to widok nas obojga po tej samej stronie. Nie sądzę, żeby ktokolwiek się tego spodziewał.

- Pewnie nie - zgodziła się i pomyślała, że chciałaby wiedzieć, jak to jest patrzeć na nich dwoje występujących razem. - Ja w każdym razie na pewno nie.

- A więc - nagle spoważniał - może się pani domyślać, co ja czuję. Pamięta pani pewnie, co... co wydarzyło się między nami wcześniej. Dla mnie to bardzo świeże wspomnienia. Zabrakło mi tych osiemdziesięciu lat, które miała pani.

- Nie myślałam o tym - przyznała. - Zgadzam się, że dla pana przeszłość jest znacznie trudniejsza do zaakceptowania. Nie żeby mi przyszło to bez wysiłku, ale... myślę, że daliśmy sobie z tym radę.

- Mam nadzieję, że tak jest. Dzięki temu w przyszłości nie ukują powiedzenia „nienawidzić jak Trevayne Li” albo „Li Trevayne’a”.

- Tak - zgodziła się z nim, po czym wyciągnęła dłoń, a on ją ujął.

Jedna podróż się kończy, inna zaczyna. Żadne z nich nie miało pojęcia, dokąd ich zawiedzie. Ale wiedzieli, że kolejna właśnie się zaczęła.

## EPILOG

Kiedy tym razem Ankaht stanęła przy kopczyku, pod którym ukryła szkatułkę ze wspomnieniami, pogoda była okropna. Uzmysłowała sobie, dlaczego wybrała akurat to miejsce. Przypominało jej dom ojca.

Kto wówczas, kiedy ona i Harrok stali i spoglądali na morze i góry w oddali, a w miastach rozpoczynała się gorączkowa akcja ewakuacji ludu, pomyślałby, że kiedyś znajdzie się miejsce takie jak to. Nie po prostu nowa planeta, jedna, ale cały system planet, zamieszkałych przez dziwne stworzenia.

Ich rozmowa byłaby bardzo ciekawa, gdyby Harrok powtórnie się teraz narodził i osiągnął wiek rozumny. Istniała możliwość, że wkrótce wybiorą go do powrotu, podobnie jak jej syna. Choć była niewielka. Brakowało jej wsparcia.

Ciekawe... myślę, że powiedziałyby, iż Illudor ma znacznie więcej macek, niż tylko nas. Jestem przekonana, że już dawno wyzwalały Torhoka.

Objęła się ramionami, czując smagnięcia zimnego wiatru od oceanu. Ta planeta była przepiękna. Zaraz zacznie padać deszcz, a chmury w kolorach *herm* i *vrel* kłębiły się już nad plażą. Odległe promyki błyskawic łączyły niebo z ziemią. Powiedziała sobie, że najwyższy czas iść, ale piękno i potęga burzy nie pozwalały jej oderwać wzroku. Postanowiła czekać.

Zbyt wielu ginie w tej wojnie. Powinniśmy zacząć sprowadzać ich z międzyżycia. Przyznaję się, to było samolubne. Jeśli nie zaczniemy zwiększać liczby wybudzeń, później zobaczą rodziców. Torhok i jego *Destolfi montu shilkiene* sprowadzą na nas nieszczęście.

Dużo trenowała. Nie wiedziała, czy już jest gotowa, by wyzwąć starszego admirała, ale wiedziała, że taki dzień na pewno nadejdzie. Już się zbliżał. Ale to *narmata* innego czasu.

W końcu usłyszała grzmot. Wycie wiatru, uderzenia fal popychanych nadciągającą zawieruchą. Pozwoliła odpłynąć *sulhaji* tego wszystkiego... pozwoliła mu ulecieć z wiatrem, który zapierał jej dech w piersiach.

Kiedy będę mogła, zbuduję tutaj dom. Wtedy, kiedy znów zapanuje pokój. Staniemy na tarasie, on i ja, i będziemy podziwiać błyszczący ocean w kolorze *vrel*.

## Z A Ł A C Z N I K : S Ł O W N I K A R D U

*Asth*: kontynent na starym Ardu; później nazwano tak jeden z systemów planetarnych

*at'holodahk*: zakłócenie oświetlenia

*Anaht'doh Kainat*: Gwiazdni Tułacze

*crivan*: kolor niewidoczny dla ludzi w ultrafiolecie

*„Destolfi montu shilkiene”*: filozoficzna sentencja: „Śmierć to nie jest błahostka!”

*Destoshaz*: wojownicy

*Fetket*: arduańska nazwa system Jason

*flixit*: niewielkie zwierzę przypominające kanarka, krzyżówka ptaka i jaszczurki

*griarfeksh*: gruby, wodno-lądowy padlinożerca o odrażających zwyczajach, pejoratywnie o ludziach

*herrrn*: kolor niewidoczny dla ludzi

*holodah*: stan oświetlenia

*holodah'kri*: najwyższy kapłan

*Illudor*: imię Boga

*kreevix fly*: insekt przypominający jętkę

*'kri*: kapłan

*maatkah*: walka wręcz

*matsokah*: ćwiczenia ducha

*murn*: kolor niewidoczny dla ludzi i Kociambrów w podczerwieni

*Myrtak*: arduański Einstein

*narmata*: grupowa harmonia, wspólne działanie

*ranarmata*: chaos, chaotyczne działania, celowe zamieszanie

*Sekahmant*: błękitny gigant leżący 1.973 parseków od słońca Ardu

*selnarm*: współodczuwanie

*shaxzhu*: istota mająca wspomnienia z minionych żyć

*shaxzhutok*: posiadanie wspomnień z poprzednich żyć

*shotan*: smak/zmysły

*skeerba*: nóż o trzech ostrzach, zakładany na dłoń jako przedłużenie kostek



**sokhata:** budowa ducha

**sulhaji:** czyste widzenie

**vrel:** kolor niewidzialny dla ludzi

**xen-narmatum:** rodzaj choroby psychicznej

**yihrt:** wielki drapieżnik z Ardu, o szaroczarnych barwach